

TRACY ANNE
WARREN

*Przypadkowa
kochanka*



Roman historyczny



***TRACY ANNE
WARREN***



***Przypadkowa
kochanka***

Tytuł oryginału *The Accidental Mistress*



Mojej siostrze, Victorii
-utalentowanej kucharce, namiętej czytelniczce romansów
i wielkiej miłośniczce psów

RS

Kwiecień 1814 roku

- **J**eszcze tylko kilka jardów, powtarzała sobie Lily Bainbridge. Jeszcze tylko kawałek i będę bezpieczna. Wolna.

Lodowata fala zalała jej twarz. Z trudem odzyskawszy oddech, płynęła dalej, kolejnymi uderzeniami ramion łamiąc opór rozkołysanego, wzburzonego morza. Przez szare niebo nad głową przebiegła błyskawica, lunął deszcz, krople siekły skórę niczym wodospad małych igiełek.

Mimo że ręce drżały jej z wysiłku, starała się nie myśleć o zmęczeniu ani o bólu i parła do przodu, wiedząc, że w przeciwnym razie utonie. Bo choć w swej sypialni w domu zostawiała list pożegnalny - ostatnie słowa samobójczyni - nie miała najmniejszego zamiaru umierać, a na pewno jeszcze nie teraz.

Większość ludzi uznałaby wchodzenie do morza podczas sztormu za czyste szaleństwo, jednak ona wiedziała, że musi pokonać strach i nie oglądać się na ryzyko. Zwłoka oznaczałaby konieczność poślubienia Edgara Faylora. Wprawdzie Lily oświadczyła ojczymowi, że raczej wolałaby umrzeć niż związać się na zawsze z tym obmierzłym prostakiem, ojczym jednak nie przejmował się jej protestami - małżeństwo Lily z Faylorem miało mu przynieść okrągłą sumkę.

Zwolniła nieco i przyjrzała się badawczo poszarpanej linii brzegowej i bałwanom, które z ogłuszającym łoskotem rozbijały się o skały.

Pływała w tych wodach przez niemal całe dwadzieścia lat swego życia, ale jeszcze nigdy podczas szalejącej burzy. Ogarnęło ją przerażenie,

bo nic nie wyglądało tak samo: panujący półmrok i zasłona skłębionych fal i morskiej piany zmieniły znajome miejsca prawie nie do poznania. Poczwała ciężar oblepiającej ją sukni - mokry muślin niczym żelazne kajdany pętał nogi i krępował ruchy. Z pewnością uniknęłaby tego, gdyby przed wejściem do wody rozebrała się do koszuli, ale jej „śmierć” musiała wyglądać na tyle przekonująco, by ojcym nie domyślił się prawdy. Jeśli odkryłby, że jest cała i zdrowa, ścigałby ją bez litości.

Z bijącym gwałtownie sercem płynęła jeszcze energiczniej świadoma, że nie może dać się ponieść falom, nie może pozwolić, by wyrzuciły ją na otwarte morze. Ścisnęło ją w gardle, a przez głowę przebiegła niepokojąca myśl: A jeśli źle oszacowałam odległość? Jeśli sztorm zniósł mnie za daleko?

Obawy zniknęły, kiedy jej oczom ukazał się znajomy widok: wąska, czarna jak węgiel, głęboka szczelina w urwistym klifie. Pozornie nie różniła się niczym od innych podwodnych grot, licznych w tej okolicy. Lily wiedziała jednak, że za groźnym wyglądem jaskini czekają bezpieczeństwo i ratunek.

Ruszyła pełną parą, przedzierając się na ukos przez bałwany. Miała teraz przyływy za plecami i fale szybko niosły ją w przód. Przez moment przestraszyła się, że roztrzaska się o skały, ale w ostatniej chwili prąd skręcił i wniósł ją łagodnie wprost do wnętrza jaskini.

Ogarnęła ją ciemność i na chwilę straciła rozeznanie, ale mimo to płynęła przed siebie, wiedząc, że nie czas na strach. Jaskinia stanowiła sekretne przejście, od dawna nieużywane przez przemytników, swego czasu była kryjówką ciekawskich dzieci, teraz miała chronić zbiegłą niedoszłą pannę młodą.

Sunęła tak w cicho pluszczącej wodzie, dopóki nie otarła się o ścianę. Szybko namacała skalny nawis i miała już pewność, że jest we właściwym miejscu. Ociekając wodą i dygocząc z zimna, wdrapała się na półkę. Stała tam przez dłuższą chwilę, by złapać oddech. Uważając na każdy krok, ruszyła w głąb pieczary, kształtem przypominającej dzwon. Wnętrze stopniowo rozszerzało się, stawało się cieplejsze i bardziej suche. Kiedy uderzyła stopą o duży, twardy przedmiot, wiedziała, że dotarła na miejsce.

Szczękając zębami, pochyliła się, namacała drewniane wieko i otworzyła skrzynię. Drżącymi palcami po omacku znalazła latarkę, którą wcześniej tam umieściła i metalowe pudełko zapalek starannie ułożone na boku. Gdy zapaliła lampę, wnętrze wypełniło migotliwe światło rzucające fantastyczne refleksy na chropowate ściany i niskie sklepienie. Skostniała z zimna, zsunęła z siebie mokrą odzież, następnie wyjęła ze skrzyni duży wełniany koc i mocno się nim opatuliła.

Dzięki Bogu, że była na tyle przewidująca, by przemycić tu te rzeczy. Od śmierci matki pół roku temu wiedziała, że w końcu będzie musiała uciec, bo gdy tylko okres żałoby minie, ojczym, Gordon Chaulk, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa postanowi „coś z nią zrobić”, jak to już obiecywał od lat.

Podczas codziennych spacerów metodycznie zapełniała skrzynię przemytników najpotrzebniejszymi przedmiotami, włączając w to pieniądze, żywność i męski strój, które uszyła ze starych ubrań ojca. Jeśli idzie o buty, musiała po prostu ukraść parę jednemu z drobniejszych stajennych. Nie chcąc, by chłopak był stratny, podrzuciła mu dość pieniędzy, by mógł sobie kupić nowe. Jeszcze wiele tygodni później

stajenny uśmiechał się od ucha do ucha na myśl o dziwnej kradzieży i sowej rekompensacie, jaka mu się dostała.

Pomimo szmuglu herbaty i francuskiego koniaku kwitnącego tuż pod nosem miejscowych urzędników skarbowych, oprócz kilku starych przemytników mało kto wiedział o istnieniu tej kryjówki. Ojczym Lily na pewno nie miał o niej pojęcia. Większość Kornwalijszczyków uważała go za obcego, choć mieszkał w tych okolicach już od pięciu lat, czyli od kiedy poślubiwszy jej matkę, sprowadził się do Bainbridge Manor.

Pięć lat, westchnęła Lily. Pięć lat, w czasie których zdołał wpędzić do grobu tę dobrą kobietę zasługującą na znacznie lepszy los.

Dobrze znany ból ścisnął gardło dziewczyny, po policzku spłynęła łza. Starła ją zaraz zdecydowanym gestem, mówiąc sobie, że nie pora na rozpamiętywanie przedwczesnej śmierci matki. Gdyby wiele lat temu zdołała przekonać matkę, by odeszła, nie dopuścić, by padła ofiarą umizgów przystojnego pochlebcy, który, jak się szybko okazało, miał serce jadowitej żmii. Ale wtedy Lily była dzieckiem, nikt nie pytał się jej o zdanie, ani tym bardziej go nie słuchał.

Osuszywszy z grubsza włosy, podeszła do ułożonego pod przeciwległą ścianą stosu drewna. Z kilku kawałków rozpałała małe ognisko. Błogie ciepło szybko wypełniło wnętrze, uśmierzając dreszcze, które ciągle wstrząsały jej ciałem. Podeszła do skrzyni i wciągnęła na siebie koszulę, spodnie oraz surdut. Dziwnie czuła się w tym męskim stroju. Przynajmniej jest ciepły i co ważniejsze, suchy, pomyślała. Zresztą powinnam się przyzwyczaić do chodzenia w chłopięcym odzieniu, dopóki nie dotrę do Londynu.

Nie była tak naiwna, by wyobrażać sobie, że jako kobieta może wybrać się w podróż do stolicy sama. Niewiasta podróżująca bez towarzystwa wzbudzałaby niepotrzebne komentarze i, co gorsza, narażała się na zaczepki łotrów wszelkiej maści, ostrzających sobie zęby na jej sakiewkę albo, Lily wzdrygnęła się na samą myśl, cnotę. Liczyła poza tym, że oprócz zapewnienia odrobiny bezpieczeństwa, męskie przebranie pozwoli jej także niepostrzeżenie opuścić okolicę. Nie chcąc korzystać z niczyjej pomocy, zamierzała dojść pieszo do zajazdu w Penzance. W ten sposób, gdyby ojczyim dopytywał się o nią później, nikt nie pamiętałby rudowłosej dziewczyny, pasującej do jego opisu.

Zdenerwowana, najchętniej bez zwłoki ruszyłaby w dalszą drogę, ale wiedziała, że rozsądniej będzie zostać w jaskini, póki sztorm się nie przewali. Naciągnęła parę długich wełnianych skarpet, które rozgrzały jej zziębnięte stopy, i sięgnęła do skrzyni po owinięty w serwetkę żółty ser. Odłamała kawałek i zjadła, rozkoszując się przyjemnym, ostrym smakiem.

Kilka minut później, posiliwszy się, przystąpiła do wypełnienia ostatniego zadania, które od dawna wzbudzało w niej lęk. Wzdragała się na samą myśl, że będzie musiała to zrobić. Nie ma wyjścia, nic na to nie poradzi.

Znalazła grzebień z kości słoniowej, przeciągnęła nim po wilgotnych, długich do pasa włosach, starannie rozczesując pasma, potem związała je z tyłu cienką wstążką z czarnego jedwabiu. Dla dodania sobie otuchy nabrała głęboki haust powietrza, uniosła nożyczki i zaczęła ciąć.

Trzy dni później Ethan Andarton, piąty markiz Vessey, przełknął ostatni kawałek zapiekanki pasterskiej, odłożył sztucce i odsunął talerz. Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszek czerwonym wytrawnym winem

dość marnego rocznika, choć najlepszego, jakie serwowano w oberży pod Wołem i Orłem w Hungerford.

Izba, tłoczna od mężczyzn przybyłych do miasta na turniej bokserski, rozbrzmiewała gwarem i gromkimi wybuchami śmiechu. Kłęby gryzącego niebieskiego dymu fajczanego, zmieszanego z zapachem piwa i ciężką wonią pieczonego mięsa, wznosiły się pod powałą. Jedyne gabinet w zajeździe był już zajęty, wobec czego Ethan postanowił usiąść wśród miejscowych. Usadowiwszy się przy zaskakująco wygodnym narożnym stoliku, mógł stamtąd, sam nie niepokojony, swobodnie obserwować hałaśliwe otoczenie. Ale zupełnie co innego zaprzętało jego myśli, kiedy pociągał kolejny łyk wina.

Dobrze będzie znaleźć się z powrotem w Londynie, rozmyślał. Wrócić do klubu i zwykłych rozrywek teraz, gdy już podjąłem pierwsze kroki, by ułożyć sobie przyszłość.

Wprawdzie niespecjalnie mu się paliło do jej układania, ale długo i poważnie analizując tę kwestię, doszedł do wniosku, że nie może sobie pozwolić na dalszą zwłokę. Miał trzydzieści pięć lat i wiedział, że najwyższy czas się ożenić. To był jego obowiązek względem rodu: począć synów, którzy zapewnią przetrwanie nazwiska i tytułu. Musiał więc znaleźć sobie narzeczoną, niezależnie od tego, czy rzeczywiście takiej pragnął, czy nie.

Rzecz jasna, gdyby żyli jego starsi bracia, Arthur i Frederick, on sam nie musiałby się borykać z takim problemem. Arthur byłby teraz markizem, bez wątplenia od dawna żonatym i dzieciatym. Ale okrutnym zrządzeniem losu obaj bracia stracili życie, próbując ratować z rzecznej kipieli dziecko jednego z dzierżawców. Pierwszy skoczył na pomoc

Frederick, a kiedy się nie wynurzał, we wzburzone odmęty dał nura Arthur. W rezultacie zginęli wszyscy troje: obaj mężczyźni i dziecko.

Ethan często się zastanawiał, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby zamiast podróżować po Europie, był tego fatalnego dnia w domu. Czy zdołałby ich ocalić? A może sam także by zginął? Wiedział, że bez wahania, z radością oddałby życie, by uratować braci. W jednej chwili z trzeciego w kolejce do tytułu, został markizem, o który to zaszczyt ani nie zabiegał, ani o nim nie marzył.

Gdy po tym tragicznym wypadku, oszalały z bólu, powrócił do domu, nagle okazało się, że oczy wszystkich są zwrócone na niego: rodzina, służba, dzierżawcy oczekiwali od niego pomocy, wsparcia i słów otuchy. Czując, jak dawne, beztrudne życie bezpowrotnie odchodzi w przeszłość, zrobił wszystko, by godnie zastąpić Arthura.

W ciągu dwunastu lat, które minęły od tamtej chwili, Ethan sprostał wyzwaniu, nauczył się tego, co konieczne, i z determinacją oraz hartem ducha starał się spełniać wszelkie wymagania i pokładane w nim nadzieje. Od jednej tylko powinności jak dotąd się wymigiwał, z uporem broniąc resztek własnej wolności - aż do teraz.

Przypomniawszy sobie reakcję przyjaciela, księcia Wyvern, kiedy w zeszłym tygodniu przebąknął o swym postanowieniu.

- Nie mówisz serio - stwierdził Anthony Black ze szklaneczką brandy znieruchomiałą w połowie drogi do ust. - Czemu, u Boga Ojca, chcesz dobrowolnie zakuć się w kajdany? Tym bardziej że nie brak do łoża kobiet pięknych, chętnych i uległych, które wcale nie oczekują w zamian obrączki.

Odchylając się na krzesło w Brooks's Club, Ethan spojrział w ciemnogrnatowe oczy przyjaciela.

- Bo już na to czas, Tony. Czy mi się podoba, czy nie. Nie mogę odkładać tej sprawy w nieskończoność. Muszę myśleć o swojej przyszłości, o przyszłości rodu. Moim obowiązkiem jest urządzić pokój dziecinny i wychować dziedzica lub dwóch, by zapewnić ciągłość tytułu.

Tony machnął lekceważąco dłonią, tkwiący na palcu sygnet z rubinem niczym pierwszorzędne bordo błysnął szkarłatem w łagodnym świetle świec.

- Od przedłużania rodu są krewni, jeśli aktualny posiadacz tytułu nie ma chęci krępować się ślubnymi więzami.

- Wnoszę z tego, że nadal jesteś przeciwny instytucji małżeństwa? - spytał Ethan, mimo że doskonale wiedział, jaka będzie odpowiedź przyjaciela. - Tylko czy nie będziesz żałował, że nie spłodziłeś synów? Naprawdę pozwolisz, by twój kuzyn Reggie odziedziczył książęcy tytuł?

Tony prychnął cicho.

- Przyznaję, że Reggie jest dandysowatym głupcem, ale się nada. Poza tym wcale nie zamierzam szybko opuszczać tego padołu. Najlepiej, gdybym przeżył Reggiego, a tytuł przeszedłby na któregoś z jego synów. Co do moich potomków, cóż, nie można mieć wszystkiego. - Książę potarł palcem jeden z prostych złotych guzików białej wieczorowej kamizelki. - Zresztą założmy nawet, że wyrzekłbym się kawalerskiego stanu i poślubił jakąś nieciekawą pannicę. Ani bym się nie obejrzał, a zaczęlibyśmy drzeć koty, a ona z czystej złośliwości rodziłaby mi same córki. Nie, mój przyjacielu, wolę pozostać kawalerem.

Jak szkoda, że nie mogę sobie pozwolić na taki optymizm, pomyślał wówczas Ethan, o ileż prostsze byłoby życie.

- Jeśli koniecznie chcesz się upierać przy tym szaleństwie, a widzę po twojej minie, że tak, zakładam, że będziesz obtańcowywał tegoroczne debiutantki i co lepsze partie.

- Już miałem okazję widzieć tegoroczne i ubiegłoroczne także. - skrzywił się Ethan. - Gdy się dobrze zastanowić, to z całej dekady żadna nie przypadła mi jakoś do gustu. Wszystkie kute na jedno kopyto: głupiutkie, chichoczące panienki, którym w głowie jedynie zdobycie tytułu i majątku na tyle dużego, by przez resztę życia pławić się w wykwintnych jedwabiach, wspaniałych powozach i wystawnych balach. - Pokręcił głową. - Nie, zabieganie o którąś z nich byłoby potwornie wyczerpujące, zwłaszcza że każda oczekiwałaby, że przysięgnę jej dożgonną miłość, mimo że oboje wiedzielibyśmy, że to kłamstwo.

- Jeśli nie targowisko matrymonialne, to co? Nie widzę, jakim innym sposobem mógłbyś dopiąć swego.

Ethan oparł podbródek na pięści.

- Opowiadałem ci już o moim sąsiedzie, hrabim Sutleigh? Kiedy byliśmy z braćmi jeszcze brzdącami, matka zawarła z nim układ, że w przyszłości jeden z jej synów poślubi kiedyś jedną z jego córek. Od tego czasu istnieje między naszymi rodzinami ciche porozumienie, choć mało kto o nim wie. Spodziewano się, rzecz jasna, że Arthur pojmie za żonę najstarszą córkę Sutleighów, Matyldę, ale te plany wzięły w łeb z chwilą śmierci jego i Fredericka. Mama chętnie scedowałaby tę partię na mnie, ale wtedy nie miałem ochoty na żeniączkę, bez względu na jej protesty. Następnej wiosny Matylda wyszła za innego i w ten sposób mi się upiekło.

- Cóż się zatem zmieniło?

- Najmłodsza córka Sutleighów. Właśnie skończyła siedemnaście lat.

Po głębokim namyśle postanowiłem poprosić ojej rękę. Jest doskonałą kandydatką na markizę, a poślubiając ją, wywiążę się ze starej rodzinnej umowy.

- Zmiłuj się, Ethanie, czy w ogóle miałeś sposobność poznać tę smarkulę? Czyś ją w ogóle widział?

- Owszem, przez kilka minut podczas ubiegłorocznego obiadu w Boże Narodzenie. Ładne dziecko, dobrze wychowane i posłuszne. Czegóż mi więcej trzeba?

- Świadomości, żeś chyba postradał zmysły, chcąc się z nią wiązać. Nie minie pół miesiąca, a znudzisz się dokumentnie.

- Nawet jeśli, cóż z tego? Da mi dziedziców, w zamian za co ja dam jej dużo swobody pod warunkiem, że będzie rozsądna. Taki układ z pewnością zadowoli nas oboje.

Dlaczego więc już teraz wydaje mi się taki fałszywy i pusty, przeszło mu przez głowę.

Być może zbyt wiele czasu spędzał w towarzystwie Rafe'a i Julianny Pendragonów. Ze wszystkich małżeństw, które znał, ich związek był jednym z nielicznych, opartych na prawdziwej miłości. Ale tego typu uczucia stanowiły nie lada rzadkość, zwłaszcza wśród ludzi z ich sfery.

- Zatem kiedy nastąpi to szczęśliwe wydarzenie? - spytał Tony, krzywiąc wargi w cynicznym uśmiechu.

- Nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Amelia jeszcze się uczy. Wysłałem list do jej ojca z prośbą o spotkanie, a on wyraził zgodę. Nie mam wątpliwości, że z radością przyjmie moje oświadczyzny. Wyruszę

więc do Bath, gdzie hrabia korzysta z dobrodziejstw tamtejszych zdrojów. Nie spodziewam się, byśmy zawarli teraz coś więcej niż wstępne porozumienie. W przyszłym roku, kiedy Amelia będzie miała już za sobą debiut towarzyski i posmakuje trochę salonów, nadejdzie właściwa pora, by omówić szczegółowo warunki i ogłosić zaręczyny.

I tak właśnie wszystko się ułożyło: przewidywania Ethana potwierdziły się kilka dni później nad szklaneczką cuchnącej cieczy serwowanej w pijalni wód w Bath. Hrabia okazał wielką radość z propozycji markiza i wyraził zgodę, by ten ubiegał się o rękę jego córki. Postanowili, że samej Amelii na razie nic się nie powie, ale Sutleigh zapewnił markiza, że kiedy nadejdzie pora, dziewczyna bez wahania przyjmie jego oświadczenia.

Co ustaliwszy, Ethan udał się w drogę powrotną do Londynu. Głodny i zmęczony podróżą, zatrzymał się w oberży pod Wołem i Orłem, by posilić się i zmienić konie. Uniósł rękę, przywołując obsługującą dziewczynę i kazał sobie podać butelkę brandy.

Kołysząc biodrami, wróciła szybko z otwartą flaszką i szklaneczką w dłoni. Postawiła szkło na stoliku i nachyliła się, nalewając trunka, a jednocześnie serwując markizowi widok swoich pełnych piersi wciśniętych w niemal pękający w szwach stanik sukni.

Kiedy szklanka była już napełniona, wręczył dziewczynie monetę.

- Dziękuję, moja droga.

Zachichotała, mruknęła z zadowolenia i wsunęła suwerena między piersi.

- Czy mogę jeszcze czymś służyć, milordzie? Czymkolwiek? Przez chwilę rozważał propozycję.

- Brandy wystarczy.

Złożyła głęboki ukłon i westchnęła rozczarowana.

- Gdybyś się namyślił, panie, wystarczy słówko. Zapomniawszy o niej, gdy tylko zniknęła mu z oczu, Ethan sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta po cygaro i srebrny nożyk, którym odciął koniec. Wyciągał właśnie zapalną, kiedy do izby weszła nowa grupa gości.

Z ich zmęczonego wyglądu wywnioskował, że są podróżnymi, którzy przybyli właśnie jednym z pocztowych dyliżansów, regularnie zatrzymujących się na tej drodze. Patrzył, jak trzech mężczyzn i kobieta wpełznąli się do środka, zostawiając za sobą chłopca samotnie stojącego na progu.

Młodzieniec, w nasuniętym głęboko na oczy kapeluszu, przedstawiał osobliwy widok. Chudy jak szczapa, tonął w przydużym, niemodnym ubraniu. Na karku wisiał mu równie staroświecki gruby warkocz ognistoczerwonych włosów. Chłopiec miał delikatny podbródek, zaokrągloną szczękę i gładkie policzki, które jeszcze całe lata nie miały oglądać zarostu.

A cóż to za zbłąkane pachole, zastanawiał się Ethan. Najwyżej czternastoletnie, a może i młodsze.

Zerkając nań raz i drugi, zwrócił uwagę na delikatną twarz w kształcie serca, jasną skórę i ładne różowe usta układające się w idealny łuk Amora.

Patrzył, jak chłopiec lustruje pomieszczenie, rozglądając się, gdzie mógłby usiąść. Po dłuższej chwili dostrzegł wolne miejsce pod ścianą naprzeciwko, ruszył więc przez izbę i wsunął się na koniec ławy. Ethan nie

mógł powstrzymać uśmiechu, widząc odległość, w jakiej usiadł chłopiec od przysadzistego mężczyzny z boku.

Kilka chwil później przy chłopcu pojawiła się dziewczka służebna z filuternym uśmiechem na ustach, na którego zrozumienie chłopiec był zbyt młody. Przyjęła zamówienie i z chichotem oraz kołysaniem bioder, które wzbudziło niedwuznaczne komentarze dwóch mężczyzn przy sąsiednim stoliku, szybko wycofała się do kuchni.

Dolawszy sobie brandy, Ethan niespiesznie pociągnął łyk i zapalił cygaro. Przeniósł z powrotem wzrok na chłopca, patrząc, jak dziewczyna wraca i stawia przed nim filiżankę gorącej herbaty, talerzyk biszkoptów i dżem.

Młodzieniec rozłożył na kolanach serwetkę, ujął nóż i delikatnie przekroił jeden z herbatników. W jego ruchach nie było śladu niezdarności dziecka uczącego się dopiero panować nad rozwijającym się ciałem. Kiedy sięgnął po herbatę, zdradził się raz jeszcze: elegancko ujął filiżankę dwoma smukłymi palcami.

Pewnymi siebie palcami.

Pełnymi gracji.

Takimi, które chwyciły w sposób, jakiego żaden mężczyzna - dorosły czy chłopiec - nigdy nie zdołałby wyćwiczyć.

W głowie markiza błysnęło podejrzenie. Jeszcze bardziej wytyżając wzrok, zmrużył oczy i studiował dokładniej twarz młodzika: miękką zmysłowość warg, niemal porcelanową gładkość półprzezroczystej skóry.

Przecież to nie chłopiec, uświadomił sobie Ethan. To kobieta.

Szeroki uśmiech wykwitł na jego wargach, w głowie zakotłowało się od najróżniejszych domysłów. Kim ona jest, na Boga, zastanawiał się

markiz i czemu ma służyć cała ta maskarada z męskim przebraniem? Nie mogąc oderwać od niej spojrzenia, patrzył, jak popija herbatę i po chwili unosi wzrok, by przyjrzeć się pobieżnie izbie. Wtedy przelotnie zobaczył jej oczy.

Zielone jak u kota i tak samo pełne ciekawości, były obrzeżone zasłoną długich ognistoczerwonych rzęs, uroczych i bardzo kobiecych.

Wciągnął głęboko powietrze na ten widok, czując, jak budzi się w nim twardy zew pożądania. Teraz, gdy już domyślił się prawdy, nie mógł uwierzyć, że przez krótką chwilę dał się zwieść pozorom. Poza skróconymi włosami, dziewczyna nie miała w sobie krzyny męskości ani w rysach twarzy, ani w figurze i postawie; każdym gestem dłoni, każdym mięśniem twarzy zdradzała swą płęć i przyrodzoną kobiecość.

Rozejrzał się na boki po pomieszczeniu, sprawdzając, czy ktoś jeszcze to dostrzegł, ale pozostali goście nie zwracali na dziewczynę najmniejszej uwagi, zatopieni w rozmowach lub pochłonięci własnymi sprawami.

Zdumiewające, pomyślał, że jestem jedyną osobą w tej izbie, która domyśliła się, że jest wśród nas taki śliczny zuchwalec.

Doszedł jednak do wniosku, że należało się spodziewać takiej reakcji. Ludzie z reguły widzą to, co spodziewają się zobaczyć, nie zastanawiają się i niczego nie kwestionują, nawet kiedy prawda dosłownie aż krzyczy.

Niewykluczone jednak, że powodzenie maskarady wyszło dziewczynie na dobre, uznał po chwili. Kobieta pozbawiona męskiej opieki wystawiała się na poważne niebezpieczeństwo - zwłaszcza kobieta na tyle zuchwała, by podawać się za mężczyznę. Nie tylko ryzykowała

społeczne potępienie, ale także zaczepki ze strony indywidualów wszelkiego pokroju. Niektórzy panowie zinterpretowaliby takie prowokujące zachowanie jako zachętę do śmiałych poczynań, gotowi potraktować dzierlatkę jak im się spodoba, nie bacząc na jej przyzwolenie.

Kimkolwiek była, najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z potencjalnego niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Popijając brandy i nie spuszczać wzroku z dziewczyny, Ethan zastanawiał się, ile może mieć lat. Dwadzieścia albo dwadzieścia jeden, orzekł. Wystarczająco młoda, by popełniać błędy, ale dość dorosła, by ustrzec się akurat tego jednego. Kobieta napełniła filiżankę resztkami gorącej herbaty ze stojącego obok imbryczka, wypiła łyżeczkę i odstawiła filiżankę na spodek.

Chwilę później podskoczyła i odwróciła głowę, przestraszona wrzaskiem siedzącego obok zwalistego mężczyzny. Podniosła się zdumiewająco szybko i przylgnęła do ściany, robiąc mu przejście.

Niezależnie od szczupłości dziewczyny, między ławą a stołem po prostu nie było miejsca dla dwóch osób. Nie zwracając na to uwagi, mężczyzna jednak postanowił się precyzyjnie przemieszczać, trącił stół i przewrócił przy okazji filiżankę herbaty.

Gorąca ciecz bryznęła strumieniem na spódnie osiłka. Klepiąc się jak oszalały po rozszerzającej się plamie, znowu wpadł na stół i ryknął niczym rozjuszony byk.

Ethan skoczył na równe nogi i ruszył w kierunku awanturującego się osiłka, który naskoczył na dziewczynę.

- Zobacz, co narobiłeś! Zniszczyłeś mi odzienie i do pioruna, omal nie sparzyłeś klejnotów. Odpowiesz za to, chłopcze.

- Bardzo mi przykro, ale to... - dziewczyna urwała, świadoma, że za wysoki głos może ją zdradzić.

- Ale co? - powtórzył wielkolud z groźbą w głosie.

- To nie jego wina - rzucił Ethan stanowczym tonem, występując do przodu i mieszając się w pyskówkę. - Sądzę, że młodzieniec właśnie to chciał powiedzieć. Jeśli nie, to powinien.

Z plecami ciągle przyciśniętymi do szorstkiej, gipsowanej ściany, Lily uniosła głowę i spojrzała w twarz obrońcy. Na ten widok zaparło jej dech w piersiach: bez wątpienia był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego miała okazję dotychczas poznać.

Z włosami barwy dojrzałej na słońcu pszenicy i oczyma błyszczącymi niczym wypolerowany bursztyn, emanował męskością i niewymuszoną pewnością siebie. Pozwoliła sobie na nieco dłuższe oględziny, wędrując wzrokiem po silnej, kwadratowej szczęce i zgrabnym nosie, rzeźbionym zarysie wysokiego czoła i kości policzkowych. Wreszcie prześledziła kontur zmysłowych warg, które obiecywały wyrafinowaną rozkosz tak wyraźnie, że nawet dziewczyna równie niewinna, jak ona, bez trudu odczytywała ów komunikat.

Serce zabiło jej mocniej, choć tym razem nie ze strachu.

Ze wszystkich sił starając się otrząsnąć z nagłego i zupełnie dla niej nieoczekiwanego pociągu do tego mężczyzny, odwróciła wzrok i nasunęła kapelusz niżej na czoło.

I to tyle, jeśli idzie o pozbawioną incydentów podróż do Londynu, pomyślała. Bogu niech będą dzięki, że ten człowiek przyszedł mi z pomocą.

Jej wybawca posłał osiłkowi uśmiech, nie zaszczycając go spojrzeniem.

- Pan, zdaje się, wychodził, nieprawdaż?

Zapadła cisza. Wielkolud patrzył na rozmówcę, jakby nie do końca zrozumiał, co ten ma na myśli.

- Zatem nie zatrzymujemy pana - rzucił przybysz. Zaraz potem powędrował wzrokiem do sporawej mokrej plamy na spodniach awanturnika. - Podejrzewam, że kilka minut na słońcu zlikwiduje ten nabytek, choć niewykluczone, że do tego czasu będzie pan musiał odpowiedzieć na parę krepujących pytań.

Policzki osiłka oblały się rumieńcem jawnego zażenowania, wstydu i frustracji. Rzucił obojgu gniewne spojrzenie, odepchnął stół, strącając filiżankę i resztkę herbatników na podłogę. Pomrukując pod nosem, opuścił oberżę.

Lily popatrzyła na pokruszone biszkopty i potłuczone naczynia. Zastanawiała się, jak zapłaci za zniszczenia, jeśli będą się od niej tego domagać. Wyruszyła w podróż święcie przekonana, że ma dość pieniędzy, jednak rzeczywistość szybko zweryfikowała te wyobrażenia. Na skutek powojennej inflacji wszystko znacznie podrożało: opłata za dyliżans, koszty jedzenia, a w pierwszym rzędzie ceny noclegów. Oczywiście, z chwilą gdy dotrze do Londynu i zgłosi się po zapis od dziadka, jej kłopoty finansowe przeminą jak ręką odjął, ale do tego czasu musiała się liczyć z każdym szylingiem.

Z głodu kiszki grały jej marsza, żałowała, że nie jadła szybciej.

Podszedł do niech oberżysta, zaniepokojony zamieszaniem.

- Milordzie, co się stało? Czy ten chłopiec naprzykrza się panu?

Złotowłosy dżentelmen pokręcił głową.

- Bynajmniej. Człowiek, który właśnie wyszedł, spowodował cały ambaras.

Nieznajomy schylił głowę i popatrzył jej w oczy; w jego bursztynowym spojrzeniu migotała osobliwa iskierka, jakby tajemniczego porozumienia.

- Nic ci się nie stało, chłopcze?

Lily już otworzyła usta, by odpowiedzieć, i dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie, że powinna zniżyć głos do jak najniższych rejestrów. W rezultacie zaczęła falsetem, a skończyła barytonem, jakby naprawdę była chłopcem w wieku dojrzewania i przechodziła mutację.

- Nic. Zupełnie nic. Dziękuję, milordzie. Bardzo łaskawie, żeś się za mną wstawił.

Ethan lekceważąco machnął ręką, przez jego twarz przebiegł grymas rozbawienia.

- Zrobiłem to z przyjemnością, chłopcze. A dokąd podróżujesz, jeśli mogę spytać? Trudno nie zauważyć, że jesteś sam.

Miała właśnie odpowiedzieć, że do Londynu, ale uświadomiła sobie, że chyba nie powinna. Zapewne nigdy więcej nie zobaczy tego mężczyzny, ale rozsądniej nie lekceważyć przedsiębiorczości ojczyma. Wprawdzie to mało prawdopodobne, ale gdyby jednak ktoś o nią wypytywał, nie chciała zostawiać wskazówek ułatwiających jej wytropienie.

- Do Bristolu - zmyśliła na poczekaniu. - Ja... eee, mam tam krewnych, którzy mnie oczekują.

- Dobrze słyszeć, że znajdziesz się wkrótce pod opieką rodziny. -
Arystokrata przeniósł wzrok na pobojuwisko pozostałe z jej przekąski. -
Twój posiłek chyba marnie skończył. Może powinniśmy zamówić
następny?

Pokręciła głową na myśl o mizernych zasobach swej sakiewki.

- Och, nie, zjadłem dosyć. Dżentelmen uniósł brew.

- Pół biskopta nie wydaje się zbyt sycącą strawą.

Właśnie w tym momencie, jakby na potwierdzenie słuszności tego
stwierdzenia, zaburczało jej w brzuchu, nie pozostawiając wątpliwości co
do pustki panującej w żołądku.

Dżentelmen uśmiechnął się ponownie i zwrócił do oberżysty.

- Czy gabinet jest nadal zajęty?

- Nie, milordzie, siedzący tam panowie odjechali kilka minut temu.

- Doskonale. Zatem zamawiam go dla tego młodzieńca, by mógł w
nim spokojnie najeść się do syta, na mój koszt, rzecz jasna.

Lily postanowiła zaprotestować.

- To bardzo łaskawie, milordzie, z waszej strony, ale nie mogę
pozwolić, byście fundowali mi lunch, panie. - Wyprostowała się dumnie. -
Doskonale radzę sobie sam, bez niczyjej pomocy.

- Och, nie wątpię, ale nie warto pogardzać dobrą strawą. -

Arystokrata pochylił się w jej kierunku i spojrzał w oczy z uspokajająco
szczerym wyrazem twarzy. - Nie obawiaj się - rzucił szeptem
skierowanym tylko do niej. - W zamian oczekuję tylko i wyłącznie
towarzystwa oraz miłej pogawędki.

Zatem zamierza mi towarzyszyć, pomyślała. Już sama zgoda na to,
by zapłacił za jej posiłek, była wystarczająco niestosowna, ale wspólne

posilanie się... cóż, żadna dobrze wychowana, przyzwoita młoda dama nie odważyłaby się na coś takiego. Ale jaka przyzwoita, dobrze wychowana młoda dama sfingowałaby własną śmierć, uciekła z domu i wyruszyła w podróż do Londynu w chłopięcym przebraniu? Kiedy spojrzała na sytuację z tej strony, wspólny posiłek z nieznanym nie wydał się jej już rzeczą tak straszną.

A jaki on jest piękny, westchnęła w duchu, przyglądając się mu zza zasłony rzęs. Istny jasnowłosy Adonis. Cóż w tym złego, że spędzi godzinkę w jego towarzystwie, czekając na swój dyliżans? W końcu chodzi tylko o lunch i rozmowę, jak sam stwierdził. Kiedy już zje, podziękuję mu, ruszy swoją drogą i nigdy się już nie spotkają.

Żołądek skręcał jej się z głodu, domagając się, by przyjęła zaproszenie. Od trzech dni, od czasu swej szaleńczej ucieczki z domu, nie miała w ustach porządnego posiłku. Z uwagi na wątpliwą jakość potraw serwowanych w niektórych oberżach i konieczność oszczędzania, ograniczała się głównie do herbatników, herbaty i zupy, zadowolona, gdy w podanym bulionie pływało kilka kawałeczków mięsa czy warzyw. Jak cudownie byłoby wreszcie najeść się do syta. A wszystko, co musiała zrobić w tym celu, to zgodzić się na chwilę rozmowy z przystojnym arystokratą, który nawet nie miał pojęcia, że jest młodą damą.

- Zgoda, przekonałeś mnie, milordzie - powiedziała, nie zwracając uwagi na nieprzyjemną myśl, że właśnie zgodziła się usiąść sam na sam w gabinecie z mężczyzną. - Dziękuję, panie...

Panie - jak, pomyślała, uświadomiwszy sobie nagle, że wcale nie zna jego nazwiska.

- A propos, jestem Vessey - stwierdził w odpowiedzi na jej niewypowiedziane pytanie. - Markiz Vessey. A ty, chłopcze?

Markiz! Wielkie nieba! I co gorsza, chce wiedzieć, kim jestem! Cóż, nie powiem mu przecież, że nazywam się Lily Bainbridge... łamała sobie głowę nad odpowiedzią.

- A więc... nazywam się Jack. Jack Bain.

Po twarzy Ethana przebiegł uśmiezek rozbawiania, jakby usłyszał dobry żart.

- Cóż, Jacku... Jacku Bain, miło cię poznać. Może pójdziemy na górę?

Nabrała głęboko powietrza, serce biło jej jak młotem. Popatrzawszy w bursztynowe oczy markiza, wahała się jeszcze przez długą, ostatnią chwilę, po czym przypieczętowała swój los skinieniem głowy.

Nic pan nie je, milordzie?- spytała młoda kobieta znana Ethanowi jako Jack Bain, wznosząc nóż i widelec nad talerzem z pieczonym kurczakiem i warzywami.

Markiz, usadowiony naprzeciw niej przy okrągłym dębowym stole gabinetu, pokręcił głową.

- Nie jestem głodny. Zadowolę się brandy. - Wzniósł szklaneczkę i pociągnął łyk. - Śmiało, jedz. Nie krępuj się mną.

Po chwili wahania zaczęła pałaszować z apetytem jedzenie. Ale pomimo widocznego zapachu i oczywistego głodu dziewczyny, jej manieri przy stole nie budziły zastrzeżeń. Były doskonałe, podobnie jak jej manieri w ogóle, co jednoznacznie świadczyło o przynależności do wyższych sfer. Dykcję miała także wyborną, mimo tego śmiesznego barytonu, jakim usiłowała mówić. Podczas ostatnich dwudziestu minut kilkakrotnie tłumił śmiech, bawiąc się tym przedstawieniem bardziej, niż przystało.

Kim ona jest, chodziło mu bez przerwy po głowie. I czemu ma służyć farsa, którą odgrywa...

Zamiast prosto z mostu zażądać wyjawienia prawdy, uznał, że lepiej wziąć udział w tej komedii i zobaczyć, jak daleko dziewczyna jest gotowa się posunąć.

Nalał sobie jeszcze trochę brandy, promienie słońca wpadające do środka przez potrójne okno odbijały się od szklanki, migocząc Ni nadając trunkowi barwę rozgrzanego miodu. Potrząsnął naczyniem i obserwował,

jak strumyczki alkoholu spływają po ściankach, a potem wypił kolejny łyk.

Kiedy zmiotła już wszystko do ostatka z talerza i miała właśnie odłożyć sztućce, naszła go ochota, by jej trochę podokuczać.

- Jeszcze trochę kurczaka? - spytał, sięgając po nóż, by odkroić kawał piersi. Zważywszy na obfitą porcję, którą właśnie pochłonęła, małe były szanse, by miała chęć na dokładkę. - Kiedy byłem w twoim wieku - ciągnął - mogłem zjeść konia z kopytami. Jestem pewien, że z takim młodzieńcem jak ty musi być podobnie.

Zmarszczyła brwi i skonsternowana wbiła wzrok w gruby plaster kurczęcia, który odkrawał.

Po długim wahaniu mężnie podsunęła talerz.

- Ziemniaki?- nabrał cynową łyżką kilka zrumienionych na złoto połówek. - Nie znoszę, gdy takie pyszności się marnują. A ty?

Z determinacją przyjęła propozycję.

- Cebule w śmietanie? - zaproponował. - Bardzo ci smakowały.

Nozdrza jej się rozchyliły.

Myślał, że zaoponuje. Zachowała jednak spokój, jedynie ręka jej lekko zadrżała.

Uśmiechnął się w duchu i ustąpił. Odłożył na bok łyżkę i odchylił się w krześle.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła jeść to, co nałożył jej na talerz.

Ma charakter, pomyślał, obserwując, jak się stara nie wypaść z roli chłopca i rozprawić się po męsku z dokładką.

- Zatem Bristol, powiadasz? - rzucił i wypił łyk brandy. Przerwała jedzenie.

- Słucham?

- Bristol. Tam jedziesz, czyż nie? Do krewnych?

Jej szmaragdowe oczy na ułamek sekundy zrobiły się okrągłe, szybko jednak wróciły do zwykłego kształtu.

- Owszem, zgadza się. Zastanawiał się, czy choć raz tam była.

- Opowiedz mi zatem o tych kuzynach.

Patrzył, jak powoli odkłada sztucce, grając na zwłokę, by wymyślić jakąś odpowiedź, a przy okazji zostawić niedojedzone resztki na talerzu - nie wątpił, że z ulgą.

- Niewiele jest tu do opowiadania - odrzekła. - Mają dom i trochę ziemi.

- Są dzierżawcami, tak?

Sięgnęła po widelec i przesunęła kawałek cebuli na talerzu.

- Tak.

- Długo zamierzasz u nich zabawić? Milczała przez chwilę, potem pokręciła głową.

- Nie, niedługo.

W ogóle tam się nie wybiera, pomyślał.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi, do środka weszła dziewczka kuchenna, by posprzątać ze stołu, inna niż ta, która obsługiwała ich na dole. Kiedy naczynia zniknęły, pojawił się oberżysta z okrągłą cynową paterą, na której były ułożone jabłka, suszone figi i kawałek żyłkowanego na niebiesko sera.

- Śmiało, częstuj się - zachęcił Ethan, gdy zostali znowu sami.

- Dziękuję, ale jestem najedzony.

Markiz ujął nóż, przekroił figę, na jednej z połówek położył plasterek sera i przełknął całość, popijając brandy.

- Wyborne. Milczała.

- Pozwolisz, że zapalę? - Wyciągnął nowe cygaro z kieszonki surduta.

- Ależ naturalnie - odpowiedziała udawanym barytonem, którego niskie, chropowate brzmienie zaczynało mu burzyć krew.

Zapalił cygaro, zaciągnął, się i w bok, z dala od dziewczyny, wypuścił zgrabną strużkę dymu.

Zauważył, że żywo zainteresowała się tym, co robi.

Dotychczas prawdopodobnie zawsze opuszczała jadalnię razem z innymi damami, tak by panowie bez skrupowania mogli zapalić fajkę czy cygaro. Teraz jednak udawała podrostopka, który byłby wniebowzięty, mogąc zakosztować tej przyjemności zarezerwowanej wyłącznie dla mężczyzn.

Co nasuwa mi pewien pomysł, skonstatował w duchu markiz i posyłając kolejną smugę dymu w stronę sufitu, spojrzał jej w oczy.

- Masz ochotę spróbować?

Brwi na jej czole znowu ułożyły się w kształt litery V.

- Och, nie jestem pewien...

- Rozumiem twoją ciekawość, nie ma w niej nic złego. Większość młodzieńców w twoim wieku strzela sobie dymka od czasu do czasu, kiedy myślą, że nikt ich nie przyłapie. - Wyciągnął w jej kierunku rękę z cygarem. - Nie obawiaj się. Nie pisnę słówka.

Widać było, że aż ją korci, tę kobietę udającą chłopca. Do czego jeszcze dałaby się namówić przy odpowiedniej zachęcie? Czysto

zmysłowej prowokacji? Po długiej chwili wahania, kiedy Ethan zaczął się już zastanawiać, czy przypadkiem nie przecenił jej śmiałości, wyjęła z jego dłoni cygaro. Trzymając w palcach niczym odbezpieczoną broń, wolno uniosła je do ust.

- Tylko nie zaciągaj się głęboko - ostrzegł.

Za późno. Jack zrobił potężny wdech, od którego koniuszek cygara rozżarzył się na czerwono.

Na moment oboje zamarli z przerażenia. Chwilę później z ust i nozdrzy dziewczyny dobiegły się kłęby dymu, a ona sama zanosła się gwałtownym kaszlem, krztusząc się i z trudem łapiąc oddech. Na domiar złego jej twarz zrobiła się zielonkawa.

Masz ci los, chyba nie dostanie mdłości, pomyślał Ethan, wyrzucając sobie, że skłonił ją do zjedzenia takiego obfitego lunchu.

Ale choć nadal kaszłała i oddychała chrapliwie, jej cera powoli odzyskiwała normalny różowy kolor. A nawet więcej: na czole i policzkach pojawiły się wypieki, jakby stała tuż przy rozżarzonej roznie.

Sięgnął po dzbanek z wodą, nalał szklaneczkę i podszedł do dziewczyny.

- Proszę. Wypij to.

Zamachała rękami, pokręciła głową i dalej kaszała. Chwycił jej rękę i wsadził do dłoni szklanekę.

- Pij - rozkazał.

Ciągle kaszłąc, posłuchała, zrazu pijąc małymi, ostrożnymi łyčzkami, potem już większymi haustami.

- Jeszcze - poprosiła ochryłym głosem.

Nalał jej kolejną szklaneczkę i odsunął się, patrząc, jak wychylają duszkiem.

- Brr! - wykrzyknęła i cmoknęła ze wstrętem w reakcji na nieprzyjemny smak w ustach.

Potem, jak gdyby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w palcach cygaro, rzuciła je na stół, choć jeszcze się paliło.

Złapał je czym prędzej, nim sturlało się na podłogę i narobiło szkody.

- Nie wolno obchodzić się z wybornym cygarem tak lekceważąco - stwierdził i zgasił je na najbliższym talerzu.

- Wyborne cygaro! To... coś... jest... wprost niewymownie obrzydliwe.

- To coś to oryginalny kubański wyrób. Zgaduję, że to twój pierwszy kontakt z tytoniem? - spytał przeciągle z uśmiechem na ustach.

- I ostatni - oświadczyła uroczym, bardzo kobiecym kontraltem, najwyraźniej zapomniawszy przez całe zajście, że udaje chłopca.

- Zatem nałóg raczej ci nie grozi?

- Nie, stanowczo nie. Nie pojmuję jak ty, panie, albo w ogóle ktoś może w czymś takim gustować. - Znowu cmoknęła z obrzydzeniem. - Brr, okropieństwo!

- To paskudne przyzwyczajenie, nie przeczę i podejrzewam, że właśnie dlatego kobiety na ogół trzymają się odeń z daleka.

Znieruchomiała, policzki jej pobrały.

- Proszę? - zapiszczała, zanim udało jej się obniżyć głos do barytonu. - Jestem... to znaczy... że co?

Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Możesz już darować sobie tę komedię. Choć muszę przyznać, że dałaś brawurowe przedstawienie. Nabrałaś wszystkich. Oprócz mnie.

Pełne życia szmaragdowe oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak szklane kuleczki, wpatrywała się w markiza z oczywistą konsternacją.

Po chwili wewnętrznych zmagania, które wyraźnie malowały się na jej twarzy, opuściła ramiona i poddała się.

Kiedy się, panie, domyśliłaś? - spytała. Jakies dziesięć minut po twoim przybyciu do gospody, Otworzyła usta ze zdumienia.

- I przez cały ten czas nie zdradziłaś się ani słowem, milordzie? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nie, ani słowem. Znowu zmarszczyła brwi.

- I naraziłaś mnie na te nieprzyjemności ot tak sobie, dla zabawy?

- Nie przypominam sobie jakiegoś zalewu nieprzyjemności. Zjadłaś obfity posiłek i spróbowałaś pierwszego w życiu cygara, według mnie trudno o lepszy sposób spędzenia czasu.

- Bawiąc się moim kosztem, chciał pan powiedzieć?

- Pozwalając ci przeciągnąć jeszcze trochę tę grę. Byłem ciekaw, jak wiele zniesiesz i jak długo wytrzymasz. I muszę przyznać, że trzymałaś się dzielnie aż do końca. A teraz może mi wyjaśnisz, kim naprawdę jesteś i czemu paradujesz w chłopięcym przebraniu?

Lily mierzyła go wzrokiem przez długą chwilę, potem się wyprostowała.

On wie. Do kroćset, wie! - zakłęła w myślach. Co mam teraz zrobić?

- Pomyślała, że za wszelką cenę musi próbować jakoś wyplątać się z tej sytuacji i mieć nadzieję, że się uda. Wyznanie prawdy nie wchodziło w grę. Pomimo hojności i niewątpliwego magnetyzmu markiza, niewiele o

nim wiedziała. Nie mogła mu się zwierzyć, licząc na jego dyskrecję. W końcu cała jej przyszłość zależała od zachowania własnej tożsamości w absolutnej tajemnicy. W przeciwnym razie czeka ją śmierć albo, co gorsza, małżeństwo z obmierzłym współnikiem ojczyma. Na szczęście szanse na to, by markiz i Gordon Chaulk kiedykolwiek się spotkali, były raczej niewielkie. Po pierwsze, ojczym nie bywał w Londynie - uważał takie wycieczki za kosztowną stratę czasu. Po drugie, mógł tylko pomarzyć o obracaniu się w tych samych sferach, co markiz. Ona sama, mimo że pochodziła z szanowanego starego rodu, nie wyobrażała sobie, by do nich trafiła. Ale to nie miało nic do rzeczy. Teraz musiała jak najszybciej wydobyć się z obecnych tarapatów.

Nie panikuj, usiłowała przywołać się do porządku. Rusz głową, a wszystko skończy się dobrze.

- Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, całe to przebranie jest tylko zabawą.

To zuchwałe oświadczenie starło z jego ust leniwy uśmiezek.

- Zabawą?

Splotła dłonie na wysokości biodra.

- Nie inaczej. Założyłam się z jedną z moich przyjaciółek, iż wyruszę w drogę w męskim przebraniu i nikt niczego nie zauważy. Przez was, milordzie, właśnie straciłam dwie gwinee.

Przez jego rzeźbione rysy przewaliła się burza emocji: od niedowierzania przez zadziwienie po irytację. Wskazał ręką na dziewczynę.

- Więc to przebranie jest po prostu głupią zabawą?

- Nie nazwałabym jej głupią... Ale tak, bawię się całkiem dobrze. W końcu niby dlaczego przygody miałyby być zarezerwowane tylko dla mężczyzn?

Rzucił jej gniewne spojrzenie spod złotych brwi, które mocno się ściągnęły, co jednak ani na jotę nie umniejszyło jego atrakcyjności.

- Lekkomyślny sposób zabawiania się, moim zdaniem. Czy masz choćby blade pojęcie, jakiej biedy mogłaś sobie napytać?

Ów strach o nią spowodował, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Przypomniała sobie, jak wkroczył, by ją uratować przed osiłkowanym prostakiem w izbie na dole i zrozumiała, że naprawdę jest bardzo rycerski.

- Jak widzisz, milordzie, nic mi się nie stało. Jeszcze mocniej zmarszczył czoło.

- A mogłoby się stać, gdybym był człowiekiem innego pokroju, lubiącym wykorzystywać samotne kobiety, które wystawiają się na ryzyko za garść miedziaków.

- Przecież sam stwierdziłeś, milordzie, że wszystkich zwiodło moje przebranie.

Oprócz mnie. A jaką miałaś pewność, że nie wykorzystam twoich względów? Wystarczyłoby, żebym przekręcił klucz w zamku i mógłbym zniewolić cię tu na tym stole.

Zaparło jej dech w piersiach na taką drastyczną wizję, puls zaczął dziko pulsować pod skórą.

- Zrobiłbyś to, panie?

Wbił w nią rozpalone spojrzenie i pochylił się do przodu, żeby podkreślić swą posturę i męską siłę.

- Mógłbym, ale na szczęście dla ciebie nigdy nie zniżyłbym się do zniewolenia kobiety.

Lily nie wiedziała, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie.

- Zatem nie mam się czego obawiać. Cofnął się i wrócił na krzesło.

- Powinnaś była chociaż mieć wzgląd na swoją reputację, bo jest oczywiste, że pochodzisz z dobrej rodziny.

- Mam wzgląd i dlatego właśnie nie podałam ci swego nazwiska, panie.

W bursztynowych oczach markiza zamigotała mała iskierka.

- Chcesz mi wmówić, że nie masz na imię Jack? Roześmiała się.

- Więc nie wyjawisz mi prawdy? Przechyliła głowę, udając, że się zastanawia.

- Niestety, obawiam się, że nie mogę.

- Nie wiedziałem wcześniej, że jesteś tak okrutna. Powiedz mi przynajmniej, jak masz na imię.

Z uśmiechem na ustach pokręciła głową na znak odmowy.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- Kim zatem jest Jack? Twoim ojcem? Bratem?

- Ani jednym, ani drugim, brata nie mam, zaś imię mojego ojca brzmi inaczej. Prawdę mówiąc, tak wabił się pies, którego miałam jako ośmioletnia dziewczynka. A teraz, zdaje się, muszę się już pożegnać, bo spóźnię się na swój dyliżans. Dziękuję, milordzie, za posiłek i towarzystwo, mimo żeś miał zuchwałość zwodzić mnie tak długo.

- Pozwól, że zauważę, iż dzielnie dotrzymywałaś mi kroku - skonstatował. - Co do dyliżansu, obawiam się, że już się spóźniłaś.

- Co?!

Skoczyła na równe nogi, rzuciła się do okna i wyjrzała na dziedziniec, na którym roilo się od stajennych, koni, powozów i podróżnych. Przeczesała wzrokiem cały ten rozgardiasz, bez trudu wyłowila z tłumu wóz pocztowy w charakterystycznym rdzawoczerwonym i czarnym kolorze.

Kamień spadł jej z serca.

- Jesteś w błędzie, milordzie. Dylizans jeszcze stoi.

Vessey podszedł do okna i oparł dłoń na framudze tuż przy głowie dziewczyny.

- Dziwna rzecz, bo ja nie widzę żadnego dylizansu jadącego do Bristolu. Może dlatego, że żaden nie odjeżdża w tym kierunku, przynajmniej nie w ciągu najbliższych kilku godzin. Zanim przyszedliśmy na górę, poleciłem mojemu służącemu, by to sprawdził. Poinformował mnie, że od momentu, kiedy się zjawiłaś, zatrzymały się tu tylko dwa dylizanse pocztowe. Jeden jadący do Exeter i drugi do Londynu.

Poniewczasie uświadomiła sobie własną nieostrożność.

- Zatem gdzie jedziesz? - wyszeptał jej prawie do ucha. - Do Exeter czy do Londynu? Coś mi się zdaje, że ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna.

Zadrzała i przymknęła na moment oczy.

- Zgadza się - przyznała. - Masz rację, milordzie.

- Ponieważ sam zdążam do Londynu, podwiozę cię, pani. Obróciła się gwałtownie i znieruchomiła, teraz, na dobrą sprawę znalazła się w ramionach markiza. Był tak blisko, że czuła zapach goździków i piżma oraz ciepło, którym promieniowało jego ciało. Odchylając głowę, spojrzała mu w oczy.

- Nie mogę jechać w pańskim powozie. Pochylił się niżej.

- A ja nie mogę pozwolić, byś podróżowała do Londynu sama. Już mówiliśmy, jakie to niebezpieczne.

Niebezpieczna będzie podróż z nim, pomyślała, choć z zupełnie innych powodów.

- Nic mi się nie stanie w dyliżansie pocztowym. Nikt się nie domyśli prawdy.

- Wcześniej sądziłaś, że i ja się nie domyśle. Przykro mi, ale muszę nalegać - rzucił cichym mruknięciem, które było niczym aksamitny dotyk palców. - Nigdy bym sobie nie darował, gdyby przydarzyło ci się jakieś nieszczęście.

- Ale przecież już nigdy się nie zobaczymy. Nawet byś się nie dowiedział, panie.

Oczy mu pociemniały i spochmurniały.

- Bardzo by mnie to strapiło.

I w tej chwili oboje już wiedzieli, że nie ma na myśli tylko jej bezpieczeństwa.

Serce kołatało jej w piersiach jak oszalałe, podchodząc niemal do gardła. Wiedziała, że powinna odmówić, znaleźć siłę, by uciec i ruszyć w dalszą drogę samotnie. Ale czuła, że on nie da jej się tak łatwo wymknąć, że, kto wie, może nawet wsiądzie razem z nią do dyliżansu, by przypilnować jej bezpieczeństwa.

Wspólna podróż mogła poza tym być po prostu bardziej komfortowa. Elegancki krój, jakość stroju oraz sam tytuł markiza kazały sądzić, że i jego powóz okaże się zdecydowanie wygodniejszy niż jakikolwiek pojazd Królewskiej Poczty. Ponadto musiała przyznać, że dobrze się czuje w jego

towarzystwie i jadąc z nim, będzie znacznie bezpieczniejsza niż sama. Cóż złego w tym, że spędzą razem jeszcze kilka godzin, zanim rozstaną się na dobre?

- Śmiało, Jack - naciskał. - Powiedz tak.

Wahała się jeszcze przez kilka sekund, świadoma, że powinna odmówić.

- Dobrze, zgadzam się.

RS

Penelopa.

Lily umościła się wygodniej na obitym granatowym aksamitem siedzeniu naprzeciwko lorda Vessey'a i pokręciła głową.

- Nie.

- Margaret.

Kareta tak luksusowa, jak sobie wyobrażała, mknęła drogą w stronę Londynu. Obita miękką brązową skórą, wyposażona w klamki z wypolerowanego mosiądzu oraz sprężyny tak giętkie, że nawet przez głębokie koleiny przejeżdżała niemal bez wstrząsów, była jedną z najświetniejszych, jakie dotąd widziała. A już na pewno najlepszą, jaką jechała.

- Niestety nie - odrzekła, upajając się otaczającym ją komfortem.

Przesunął kciukiem po podbródku, pogrążony przez chwilę w milczeniu.

- Jane.

Posłała mu współczujący uśmiech.

- Niech pan da spokój, milordzie. Czy naprawdę wyglądam na Jane?

- Wyglądasz na irytującą pannicę, która ma się za bardzo sprytną.

Dobrze już, wyjaśnijmy to. Jak ci na imię?

- Och, nie, nie wyciągniesz tego ze mnie tak łatwo, milordzie. To tajemnica, nie mogę jej wyjawić, sam musisz wpaść na rozwiązanie.

- Od godziny nic innego nie robię i zapewniam cię, że nie jest to łatwe. - Przyglądał się jej uważnie. - Berta.

- Berta! - Uśmiech przebiegł jej po twarzy. - Widzę, że pańskie domysły są coraz bardziej rozpaczliwe.

- Bynajmniej. Wierz lub nie, znałem kilka Bert i wszystkie bardzo niechętnie przyznawały się do swego imienia. Brunhilda zatem.

- Teraz, milordzie, posuwa się pan już do absurdu. Kto, u Boga Ojca, nosi takie imię?

- Wydaje mi się, że pewna Prinny ma kuzynkę Brunhildę ukrytą w którymś z ksiąstewek elektoratu hanowerskiego. Wielkie nieba, o tym nie pomyślałem! Nie nosisz chyba jednego z tych niemożliwych do wymówienia łacińskich imion, takich jak na przykład Agrypina czy Domicyla? Też bym się z takim nie obnosił.

- Nie, moje imię jest całkiem zwyczajne i proste.

- Aha. Wreszcie jakaś podpowiedź. Może jednak uda mi się zgadnąć. Niewykluczone, pomyślała, zastanawiając się, dlaczego nie chce sama tego powiedzieć. Prawie go nie znała, a jednak czuła się w jego towarzystwie swobodnie, jak nigdy jeszcze z żadnym mężczyzną. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa, przez co traciła czujność, toteż łatwo mogła popełnić kolejny błąd, w rodzaju tego z dyliżansem do Londynu.

Nietrudno dać się zwieść jego czarowi, skonstatowała w duchu. Muszę się przed nim strzec, i to ze wszystkich sił.

Jednak nie mogła udawać, że jej nie pociąga. W żadnym wypadku nie mogła, ponieważ już sam jego widok sprawiał, że puls jej przyspieszał, oddech stawał się płytki, jakby płuca nie były w stanie nabrać dość powietrza. Nie miała wprawdzie jeszcze żadnego doświadczenia w sprawach serca i zmysłów, ale wiedziała, że czuje pożądanie.

Gdy siedziała w powozie naprzeciwko niego, robiło jej się w środku ciepło i miękkły jej pod wpływem emocji kolana. Starła się nie zwracać

uwagi na silnego mężczyznę siedzącego z niedbałym wdziękiem, ale chcąc nie chcąc, była świadoma fizycznej bliskości markiza.

Ramiona, szerokie i mocne niczym konary starego dębu, wypełniały ściśle surdut koloru czekolady, co pozwalało zrezygnować z poduszek, jakich używali inni panowie obdarzeni mizerniejszą posturą. Cała reszta prezentowała się równie wspaniale: silne ręce, solidny tułów, muskularne nogi w spodniach z kozłej skóry, które jak ulał opinały sprężyste uda i łydki.

O ile wzrok jej nie mylił, wszystko w powierzchowności lorda Vessey'a było doskonałe. Począwszy od złotych falistych włosów po wysokie buty do kolan z frędzlami; stanowił ucieleśnienie męskości.

Chrząknęła, czując nagle, jak coś jej rośnie w gardle, i myśląc gorączkowo, ile mil jeszcze dzieli ich od Londynu.

- Rose. - Jego głos, aksamitny i mocny niczym łyk grzanego rumu, przerwał te rozmyślenia.

- Słucham? - spytała.

- Pani imię. Czy nie Rose? Powiedziałaś, że jest zwyczajne i łatwe do wymówienia, a ja dałbym głowę, że i urocze. Tak urocze jak ty.

Serca załomotało jej w piersiach.

Ciepło, pomyślała, zbyt ciepło. Jeśli pójdzie dalej tym tropem i zacznie wymieniać wszystkie imiona pochodzące od nazw kwiatów, z pewnością dojdzie do mojego.

- Nie, Rose też nie - rzuciła lekceważącym tonem. - Ale dobra próba. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, milordzie, chciałabym się trochę przespać. Poczulałam się zmęczona.

Skłonił głowę.

- Ależ naturalnie, odpoczywaj. Obiecuję, że cię zbudzę, kiedy dotrzemy do miasta.

Uśmiechnęła się przelotnie, wtuliła w kącik i zamknęła oczy. Pięć minut później jednak nadal nie spała, nie mogąc, mimo otaczającego luksusu, znaleźć sobie wygodnego miejsca.

- Może się połóżysz? - zaproponował markiz, widząc jej kłopoty. - Jeśli ułożysz się na boku, powinno ci być całkiem wygodnie.

Gdyby miała na sobie suknię, nawet przez myśl by jej nie przeszła taka ewentualność i niezależnie od okoliczności starałaby się zasnąć w pozycji siedzącej. Ale przez ostatnich kilka dni zaczęła doceniać niespotykaną swobodę ruchów, jaką zapewniały spodnie.

Dlaczego nie skorzystać z faktu, że mam je na sobie?

Jutro, gdy już się rozlokuje w hotelu, będzie musiała na powrót stać się kobietą i zapomnieć raz na zawsze o surducie i pludrach.

Uznawszy, że dawno już minął czas, kiedy mogła się certować i bawić w konwenanse z markizem, skinęła głową w podzięcie. Przesunęła się na środek siedzenia i zwinęła na boku. Prawie natychmiast ogarnął ją spokój, zupełnie jakby kołysanie powozu uśmierzało wszelkie troski.

Kilka sekund później już spała.

Ethan studiował regularne rysy jej twarzy i kilka maleńkich kropek zdobiących grzbiet nosa. Urocze piegi, pomyślał, na nosku równie uroczej kobiety. Nie mieściło mu się w głowie, jak udało jej się podróżować w przebraniu mężczyzny.

Doszedł do wniosku, że ludzie są najwyraźniej ślepi.

Dałby wiele, aby się dowiedzieć, kim jest nieznajoma. Dotąd skutecznie wymigiwała się od podania mu jakichkolwiek informacji o

sobie, choć musiał przyznać, że bawiła go ta zgaduj-zgadula z imionami, mimo całej daremności jego wysiłków. Spróbuje raz jeszcze, kiedy dziewczyna się zbudzi. Przecież nie może pozwolić jej odejść, nie poznawszy choćby imienia.

Niepokoila go ta myśl podobnie jak perspektywa, że prześliczna rudowłosa na zawsze zniknie mu z oczu. Czy jest gotów, ot tak, rozstać się z nią i zapamiętać tylko jako piękną i niezwykle śmiałą młodą kobietę? Zabawną poszukiwaczkę przygód, która na moment zagościła w jego życiu i znikła równie szybko, jak się pojawiła? To spostrzeżenie sprawiło mu przykrość - znacznie większą, skonstatował, niż powinno.

Dziewczyna, pogrążona w głębokim śnie, westchnęła lekko i ów odgłos poruszył lędźwie markiza. Pod obcisłymi spodniami natychmiast pojawił się twardy dowód podniecenia tak silnego, jakby pieściła go rękoma, nie zaś ledwie podrażniła jego uszy muzyką swego tchnienia.

Postanowił, że zignoruje tę jawnie fizyczną reakcję i popatrzył przez okno na mijaną okolicę. Ów wybieg niewiele jednak pomógł i wkrótce markiz znowu powędrował wzrokiem do dziewczyny podobnie jak w gospodzie, gdy ujrzał ją po raz pierwszy i potem już nie mógł oderwać oczu.

Nie rozumiał do końca pociągu, jaki w nim wzbudzała, zwłaszcza że jej kobiece wdzięki były skryte pod męskim odzieniem. Choć nie wszystkie, musiał przyznać, patrząc na jej nogi ułożone w sposób, jaki większość ludzi uznałaby za szokująco nieobyczajny, i pośladki, których zaokrąglony kształt podkreślały obcisłe wełniane spodnie.

Jak gdyby dziewczyna czytała w jego myślach, zadowolona z uwagi, jaką wzbudza, poruszyła się i przekreśliła na drugi bok, jeszcze bardziej eksponując tylną część ciała.

Jęknął cicho.

Pobudziło to bardziej jego wyobraźnię.

Właśnie dlatego, stwierdził, kobiety nie powinny nosić spodni. Taka pokusa może zmącić rozum każdemu mężczyźnie.

Oparłszy głowę na wyściełanym siedzeniu, zamknął oczy, starając się myśleć o czymś nudnym. Płodozmian. Deklinacje łacińskie. Gra w golfa.

Po jakiejś godzinie na horyzoncie pojawiły się bramy Londynu, w miarę jak zbliżali się do miasta, ruch na drodze zaczął gęstnieć. Robiło się głośniejsze od gwaru kłębiącego się na ulicach tłumu, odgłosu końskich kopyt podzwaniających o kocie łby, rozlegających się tu i ówdzie pokrzykiwań oraz poszczekiwania psów. Uznał, że pora obudzić śpiącą towarzyszkę podróży. Przekreśliła się raz jeszcze w czasie snu i teraz leżała na plecach w kolejnej niespotykanej prowokującej pozycji: z jedną nogą zgiętą w kolanie i podwiniętą pod tułów, drugą zwisającą z siedzenia.

- Jack! - zawołał markiz.

Żadnej odpowiedzi.

- Jack - wrzasnął.

Spała dalej. A niby dlaczego miałyby zareagować, stwierdził. Wszak to nie jest jej imię.

Obawiając się, że krzykiem mógłby ją zbyt przerazić, podniósł się z miejsca i stojąc niepewnie w kołyszącym się powozie, pochylił się nad dziewczyną.

- Panno Bain - powiedział, wątpiąc, by nazwisko, jakie mu podała, było prawdziwe. - Pora się zbudzić.

Jęknęła, wyszeptała coś niewyraźnie i lekko zamrugła powiekami.

- Już prawie dojechaliśmy. Zbudź się, śpiąca królowno.

Drzemkę Lily przerwał męski głos, aksamitny i ciepły niczym filiżanka czekolady. Otworzyła oczy i zobaczyła uderzająco piękną twarz mężczyzny, o którym przed chwilą śniła: jego oczy mieniły się jeszcze żywszą barwą niż w sennej wizji. Rozchyliła usta w niemym westchnieniu, piersi zafalowały pod cienką tkaniną koszuli.

Oczy mu pociemniały, powieki opadły, przesunął wzrokiem po jej twarzy, zatrzymując się na ustach, by zaraz powędrować niżej.

Uświadomiwszy sobie, jak nieprzystojnie musi się prezentować, zaciągnęła poły surduta i usiadła prosto, otrząsając się z resztek sennego otumanienia.

- Przyjechaliśmy?

- Prawie - powiedział i opadł na siedzenie naprzeciwko. - To, jak sądzę, zależy od miejsca, do którego się kierujemy. Gdzie mieszka twoja przyjaciółka? Czy mam cię do niej zawieźć?

Przez chwilę patrzyła na niego oniemiała, nie rozumiejąc. Potem sobie przypomniała: rzekomy zakład i rzekoma przyjaciółka.

- Nie - zaproponowała. - Osobliwie by to wyglądało, gdybym pojawiła się przed jej drzwiami w tym stroju i na dodatek twoim towarzystwie, milordzie. Poza tym sam przecież rozumiesz, że nie mogę wyjawić jej adresu.

- Ani swego własnego, jak mniemam, choć byłoby o wiele prościej, gdybyś powiedziała mi, gdzie mieszkasz. By nie wystawić na szwank twej

reputacji, każe stangretowi zatrzymać się przecznicę czy dwie wcześniej, tak byś mogła pieszo pokonać resztę drogi.

- Jeśli nie chcę zdradzić ci swego imienia, milordzie, z pewnością nie wyjawię również adresu.

Nawet jeśli bym go znała, pomyślała. Bo na razie sama nie wiem, gdzie to jest.

- Możesz to łatwo zmienić - rzekł ciepło. - Nie znam wprawdzie szczegółów twojej sytuacji, pani, ale chciałbym się znowu z tobą zobaczyć. Może jednak wyjawisz mi, kim jesteś?

To wyznanie zaskoczyło zarówno jego samego, jak i Lily. Pragnienie walczyło w jej sercu z obawą.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Ponieważ już teraz wiem, że to ponad moje siły, stwierdziła w duchu. Był zbyt niebezpieczny. Zbyt czarujący. I stanowczo zbyt inteligentny, by dać się zbyć wymijającymi odpowiedziami, jakimi musiałyby go karmić.

Poza tym powinna się mieć na baczności. Miała plany na przyszłość - niezależną przyszłość - i nie było w nich miejsca dla zmysłowego arystokraty, który sprawiał, że serce trzepotało jej w piersi jak listek na smaganej wiatrem gałęzi. Poza tym z pewnością nie mówi poważnie. Po prostu zaintrygowały go jej wykręty i byłby rad zaspokoić ciekawość. Pokręciła głową.

- Wyjawienie mojego adresu nie wchodzi w grę, milordzie. Każ się zatrzymać stangretowi, chcę wysiąść.

Ethan sposepniał, marszcząc czoło.

- Nie mogę cię ot tak wysadzić na rogu pierwszej lepszej ulicy.

Dopiero co wjechaliśmy do miasta, a to jest okolica, w której nikogo nie odważyłbym się zostawić samego, nawet mężczyzny.

- Wezmę zatem dorożkę, gdy tylko wjedziemy do bezpieczniejszej dzielnicy. Wtedy już sobie poradzę.

Widziała, że markiz znów chce się temu sprzeciwić, z wojowniczej iskierki w bursztynowych oczach zgadywała, że jest na skraju wybuchu. Po dłuższej chwili skinął tylko głową i uniósł się, by zastukać w ściankę. Otworzyło się małe okienko łączące wewnątrz powozu z siedzeniem stangreta.

- Hyde Park - rzucił markiz. Stangret burknął coś na potwierdzenie, że usłyszał polecenie. Okienko zamknęło się z cichym trzaskiem.

Vessey usiadł, a w tym momencie raptem zarzuciło powozem. Dziewczyna poleciała do przodu i omal nie upadła na podłogę. Złapał ją jednak, przytrzymując w swoich ramionach.

Na zewnątrz rozległy się krzyki, wywołane zapewne wypadkiem, który ich zatrzymał. Jednak Lily nie słyszała zamieszania, wszystkimi zmysłami skupiona na dotyku silnych ramion, które obejmowały jej plecy, i muskularnych ud, do których przylgnęły jej nogi. Po chwili markiz uniósł ją i posadził sobie na kolanach.

W odpowiedzi na to nowe doznanie wydała stłumione westchnienie i spojrzała mu w oczy.

Nie spuścił wzroku, tylko objął ją jeszcze mocniej.

- Wygląda na to, że utknęliśmy.

- Tak.

- Ale w Londynie nic nie trwa długo. Wkrótce ruszymy dalej, nie zostało nam wiele czasu. Powiedz, jak masz na imię.

Z dziko bijącym sercem, przecząco pokręciła głową.

- Diana?

Otworzyła usta w drżącym szepcie.

- Nie.

- Może Anna?

- To urocze imię, ale nie moje.

- W takim razie Mary. Czy jestem blisko?

- Nie.

Zacisnął usta.

- Dobrze. Skoro jednak nie chcesz mi dać z siebie nic poza wspomnieniem, chyba powinienem sprawić, by żadne z nas nigdy nie zapomniało tego spotkania.

Zanim zdążyła wziąć oddech, przycisnął usta do jej warg, poczynając sobie z nimi z taką wprawą i namiętnością, że wszystkie myśli pierzchły jej z głowy z szybkością spadającej gwiazdy. Jego pocałunki, gniewne i natarczywe, paliły, rozogniały krew, przyprawiały o zawrót głowy i dreszcze.

Już kiedyś, gdy miała lat szesnaście, była całowana. I całkiem jej się podobała owa krótka zabawa z kuzynem sąsiada. Jednak nigdy nie poprosiła o powtórkę, co niewątpliwie musiało rozczarować młodzieńca. Teraz już rozumiała dlaczego. Gdyby ów chłopiec potrafił całować tak jak markiz, nie byłaby w stanie się od niego oderwać.

Lord Vessey nie był jednak chłopcem, lecz mężczyzną - czarującym i doświadczonym. Każdy jego dotyk świadczył o niekwestionowanej

znajomości rzeczy i kompetencji w kwestiach zmysłów. Nawet Lily, przy całej swej niewinności, wyczuwała jego przyrodzony talent w tym względzie, rozumiejąc, że markiz ma dar dawania rozkoszy, którym niewielu mężczyzn może się poszczycić; zręczność w sztuce miłosnej tak wielką, że jest zdolny zmusić kobietę do błagań.

Nagle karetą ruszyła.

Gdyby jej nie trzymał, z pewnością zwałaby się na podłogę jak kłoda. Ale teraz już jej to nie groziło, przysunął ją bliżej do siebie i mocniej napał ustami na jej wargi.

Jęknęła, kiedy przebiegł koniuszkiem języka po jej dolnej wardze, i jeszcze raz, kiedy wsunął go do środka. Nigdy wcześniej nie myślała, że takie doznanie może być przyjemne. Ale było. Poczowała naraz gorąco i słodcz, pyszne niczym cukierek. Instynktownie oddała pieśczętę: musnęła językiem jego język, by zaraz przesunąć nim po zębach i aksamitnej gładkości wnętrza policzków markiza.

Wydał z głębi gardła chrapliwy pomruk i wsunął palce w krótkie włosy dziewczyny. Trzymając nieruchomo jej głowę, wtargnął jeszcze głębiej w usta, sprawiając, że zacisnęła palce u stóp i jęknęła z rozkoszy.

Tracąc przytomność, poczuła, jak wsuwa rękę pod jej surdut. Z niebywałą zręcznością znalazł jedną pierś i objął mocno przez koszulę. Lily zaczęła oddychać szybciej, co sprawiło, że jędrna krągłość dokładnie wypełniła dłoń mężczyzny. Kiedy pogładził sutek kciukiem, po plecach dziewczyny przebiegł dziki dreszcz. Raz, drugi, trzeci, aż straciła rachubę, zbyt pogrążona w rozkoszy, by myśleć.

Poczuła gorąco między udami i zatrważający niepokój. Zaatakował jej usta jeszcze żarliwej, jakby domagając się, by dotrzymała mu kroku, by na każdy z jego pocałunków odpowiadała jeszcze bardziej namiętym.

Niezdolna wykonać ruchu, leżała, drżąc i pozwalając, by rozpiął jej koszulę. Poczuła chłodne powietrze na skórze, kiedy odsłonił jej pierś.

Oczy Ethana błyszczały pożądaniem. Przechylił Lily przez swoje ramię i ukrył twarz w wygięciu jej szyi. Obsypawszy pocałunkami łabędzi kształt, przez chwilę chwycił gładką skórę otwartymi ustami, aż zaczęła pulsować niczym tłocząca krew tętnica. Przesuwając wargami po obojczyku, potem po mostku, zszedł jeszcze niżej.

Kiedy przytknął usta do jej piersi, Lily, jak rażona piorunem, wygięła się w łuk. Nigdy w życiu nie czuła jeszcze takiej przyjemności: dotyk ciepłych, wilgotnych ust, muśnięcia języka na stwardniałym sutku wprawiała ją w płomienną ekstazę.

Wydała nieartykułowany dźwięk, niezdolna powstrzymać jęku, który wydobył się z jej gardła. Nie bardzo wiedząc, co czyni, wplotła palce w falujący jedwab włosów markiza, pieszcząc jego głowę i przyciskając ją do siebie.

Wtedy musnął jej pierś zębami leciutko i przygryzł, na co aż podskoczyła. Wówczas ją delikatnie polizał, raz i drugi, doprowadzając dziewczynę na skraj szaleństwa.

Odwracał właśnie głowę, zapewne po to, by taką samą szatańską torturę zafundować drugiej piersi, kiedy nad ich głowami otworzyło się okienko.

- Hyde Park, milordzie - oznajmił stangret, natychmiast zamykając drzwiczki.

Markiz zamarł, spomiędzy jego warg wydobył się stłumiony jęk.

Lily także jęknęła, dopiero wtedy uświadomiwszy sobie, że powóz dawno już stanął. We wnętrzu panował półmrok, słońce zaczęło zachodzić, czego żadne z nich wcześniej nie zauważyło.

Och, Bogu niech będą dzięki za zmierzch, pomyślała, wyobrażając sobie, jak nieobyčajny widok stanowiliby zarówno dla służby markiza, jak i każdego przypadkowego przechodnia, który zajrzałby do środka karety.

Ciągle jeszcze otumaniona niedawnym zalewem namiętności, Wyswobodziła się niechętnie z ramion markiza i zawstydzona zsunęła się z jego kolan na siedzenie naprzeciwko. Szybkim ruchem osłoniła koszulą nagość i drżącymi palcami zaczęła zapinać guziki.

Markiz odsunął jej ręce.

- Pozwól, ja to zrobię.

Zawahawszy się przez chwilę, przystała na propozycję.

Sprawny niczym pokojowiec, zapiął jej koszulę, upychając powyciągane części w spodnie, następnie wygładził pomięty surdut.

Zszokowała ją ta nieoczekiwana poufałość, ale w świetle tego, co wyrabiali jeszcze dwie minuty wcześniej, uznała, że ma mizerne podstawy, by zachowywać się jak oburzona dziewczica.

Markiz przyjrzał się Lily badawczo, po czym wyciągnął rękę i zsunął opaskę z jej głowy.

- Och - szepnęła, gdy na jej policzki opadły grube pasma włosów, sięgające do ramion.

- Jesteś potargana - wyjaśnił.

Nie czekając na przyzwolenie, przeczesał bujne pukle palcami, a każdy jego ruch zalewał kolejną falą przyjemności rozbudzone zmysły dziewczyny. Widziała, że jemu też się to podoba i przez chwilę myślała, że znowu ją pocałuje.

Ale Ethan zebrał jej włosy na karku i przewiązał je paskiem czarnego jedwabiu. Skończył, ale nie cofnął rąk od razu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym cię odwiózł do domu? Nie podoba mi się pomysł, by cię tu zostawić, nawet jeśli zamierzasz resztę drogi pokonać dorożką.

- Nie turbuj się, milordzie. Nic mi się nie stanie. Naprawdę, już na mnie pora. Wdzięczna jestem za posiłek, podwiezienie i... - urwała, czując, jak na jej policzki wypełza palący rumieniec. - Cóż, dziękuję.

- Odejdiesz i nie zdradzisz mi nawet swego imienia?

Milczała, ale widziała pragnienie w jego oczach.

Jakie to ma w końcu znaczenie, pomyślała. Gdy opuszczę karetę, nigdy się już nie spotkamy.

Kąciki ust uniosły jej się w słodko-gorzkiem uśmiechu.

- Lily.

Po czym, nim zdążyła się zastanowić, co czyni, objęła dłońmi jego twarz i przyciągnęła bliżej, by pocałować go po raz ostatni. Rozkoszowała się słodyczą jego ust, jakby chciała na zawsze zapamiętać ich smak.

Kończąc szybko pocałunek, odwróciła się, otworzyła drzwiczki i zeskoczyła na ziemię.

Niemal biegnąc do dorożki, czuła na plecach jego spojrzenie. Jednak nie zatrzymał jej, kiedy wsiadła do najbliższej i cicho, tak by nikt jej nie usłyszał, podała stangretowi nazwę hotelu.

Stangret kiwnął głową, strzelił batem i dorożka ruszyła.

Odwróciła głowę, by zerknąć przez ramię i zobaczyła, że Vessey na nią patrzy, a jego złote włosy błyszczą w świetle latarni. Spoglądała na Ethana jeszcze przez dłuższą chwilę, potem z trudem oderwała od niego wzrok. Pomyślała jednak, że oderwanie myśli od markiza zajmie jej znacznie więcej czasu.

RS

Dwa dni później Lily siedziała w kancelarii notarialnej Pennyroyal i Synowie, podejmowana przez samego Eustachego Pennyroyala.

- Proszę jeszcze łaskawie poczekać minutkę lub dwie, póki mój pracownik nie odzuka akt zawierających zapis dokonany przez pani dziadka. Może tymczasem napije się pani herbaty? Woda powinna być już gorąca.

Lily zerknęła na kominek i czajnik stojący na metalowej płycie, po czym skinęła głową na znak zgody.

- Dziękuję, panie Pennyroyal, z przyjemnością.

Gdy prawnik wstał, by przygotować napój, omiotła wzrokiem pomieszczenie, którego ściany były zastawione regałami pełnymi ciężkich, oprawnych w skórę ksiąg, a których większość, jak podejrzewała, traktowała o prawie. Dłonie w czarnych rękawiczkach położyła na sukni z czarnego muślinu i spróbowała się odprężyć. Po raz pierwszy od prawie tygodnia ubrana w kobiecy strój znowu czuła się sobą.

Dzięki wczorajszej wycieczce na targowisko z używanymi ubraniami na Petticoat Lane znalazła się w posiadaniu nowej sukni i stosownych dodatków, których to rzeczy nie mogła zabrać z domu. Kilka dodatkowych pensów wsuniętych w dłoń właścicielki stoiska przekonało handlarkę, by nie rozpowiadała o chłopcu, który zakupił ubranie, i o młodej kobiecie, która wyłoniła się z przymierzalni chwilę potem.

Choć nowa toaleta Lily nie była tak modna, jak jej własne suknie, należała kiedyś do damy z towarzystwa i, co ważniejsze, jej kupno leżało w możliwościach dziewczyny. Kiedy już odzyska spadek, znajdzie dobrą

modystkę i sprawi sobie nową garderobę. Zaraz po opuszczeniu kancelarii zamierzała także znaleźć nowy hotel - już trzeci od przyjazdu do Londynu. Z pierwszego wymeldowała się po zaledwie jednej nocy, uznawszy, że po zakupach na Petticoat Lane trudno będzie jej wrócić do pokoju Jacka Baina jako kobieta. Wczorajsza kwatery okazała się wprawdzie zadowalająca, Lily poczuła się jednak nader niekomfortowo, kiedy rankiem przy śniadaniu do jej stolika przysiedli się dwaj panowie, hotelowi goście. Z ulgą uregulowała rachunek i opuściła przybytek.

- Proszę bardzo - rzucił pan Pennyroyal.

Uśmiechnął się do niej zza okularów tkwiących na końcu długiego nosa i podał talerzyk oraz filiżankę, z której unosił się słodki aromat herbaty Darjeeling.

Wypiła łyczek i przez chwilę rozkoszowała się smakiem luksusu po dniach wyrzeczeń. Naturalnie podczas podróży do Londynu zdarzyło się kilka jaśniejszych momentów. Choćby pyszny posiłek w gospodzie w towarzystwie lorda Vessey'a i jazda jego komfortowo wyposażoną kareta. A także, rzecz jasna, pocałunki markiza oraz niebezpieczny, acz cudowny dotyk jego rąk.

Jej policzki oblały się pąsem. Miała nadzieję, że notariusz przypisze rumieńce temperaturze herbaty.

Muszę przestać myśleć o markizie, napomniała się w myślach. Zniknął z mojego życia i pora o nim zapomnieć. Jak na razie jednak ów cel pozostawał całkowicie poza zasięgiem Lily: nocami śniła o złotowłosym lordzie.

Nakazała sobie w duchu skoncentrować się na jutrze. Myśleć o wolności, od której, dzięki ostatniemu podarunkowi kochającej matki, dzielił ją już tylko krok.

Z sobie tylko znanych powodów po ślubie z Gordonem Chaulkiem matka nie poinformowała go o spadku, jaki jej ojciec przeznaczył dla wnuczki. Dziesięć tysięcy funtów, jak powiedziała Lily zaledwie pięć miesięcy temu. Być może już wtedy wiedziała, że nie przeżyje roku.

Gdy Chaulk po raz kolejny pobił matkę, Lily jak zwykle opatrywała jej obrażenia, obmywała krew z zapuchniętej twarzy i obwiązywała bandażem złamane żebra, gdy po kolejnym ciosie kobieta uderzyła o ścianę. Lily była przekonana, że matka śpi, i miała właśnie wyjść na paluszkach z pokoju, kiedy pobita wyciągnęła rękę i chwyciła ją za nadgarstek.

- Dziadek zapisał ci pieniądze - wyszeptała. - Dokumenty znajdują się w londyńskim biurze notarialnym Pennyroyal i Synowie. Uciekaj stąd, póki jeszcze możesz. Wyjedź. Ratuj się, Lily.

Oczywiście, nie posłuchała. Jak mogłaby wyjechać, gdy matka żyła i tak bardzo jej potrzebowała? Ale choć z całych sił usiłowała zaszczerpić w niej chęć życia, Louisa Bainbridge Chaulk zmarła. Zapalenie płuc -tak brzmiała diagnoza lekarza. Jednak Lily wiedziała, że przyczyna była inna. Matka nie chciała już dłużej żyć, serce zdruzgotane przez dwóch mężczyzn, którzy powinni byli ją kochać, odmówiło posłuszeństwa.

Chaulk okazał się łotrem, bez dwóch zdań, ale jego okrucieństwo było przynajmniej proste, a nawet w pewien sposób przewidywalne. Cierpienia zadane przez ojca Lily miały znacznie bardziej wyrafinowany, podstępny charakter. Choć nigdy nie podniósł na żonę ręki, zrobił coś o

wiele gorszego: wykorzystał jej miłość i oddanie, a potem, powoli bezmyślnie, łamał jej serce.

Szykowny i przystojny niczym księżę z bajki, Timothy Bainbridge był czwartym synem hrabiego. Uroczy lekkoduch bez trudu oczarowałby nawet krasnoluda, wyłudził od niego złoto i zostawił z uśmiechem na ustach. Kiedy upatrzył sobie jakąś osobę, całkowicie skupiał na niej uwagę i jakby hipnotyzując, sprawiał, że czuła się kimś zupełnie wyjątkowym. Przez chwilę.

Lily pamiętała to uczucie, dobrze znała przyprawiającą o zawrót głowy, niemal narkotyczną radość płynącą z posiadania całkowitej uwagi ojca, a także dręczące duszę pragnienie zdobycia jego miłości i akceptacji tak przemożne, że gotowa była zrobić wszystko, by je uzyskać.

Ale i matka, i córka szybko się przekonały, że Timothy Bainbridge łatwo się nudzi, potrzebuje do szczęścia nowości oraz coraz większej dawki emocji i przygód.

Małżeństwo, zamiast zgodnie z wyobrażeniami otoczenia wpłynąć na niego, by się usatkwował, pchało go do jeszcze intensywniejszej pogoni za nieznanym, poszukiwania coraz większego ryzyka i podejmowania coraz niebezpieczniejszych wyzwań. Kiedy polował na tygrysy w Indiach, wspinał się na szczyty w Alpach i pływał po chińskich morzach, matka i córka musiały radzić sobie same.

Gdy pamiętał, przysyłał pieniądze, a więc czasami nawet raz na miesiąc, a czasami raz na rok. Bywały okresy, kiedy zasypywał je listami i dziwnymi, pięknymi podarunkami z najróżniejszych zakątków świata, a potem nagle, ni stąd, ni zowąd, kontakt zupełnie się urywał i całymi miesiącami nie miały od niego żadnych wieści.

Czasami zaś - zwykle gdy ich życie domowe wreszcie stawało się prawie normalne - bez zapowiedzi nagle stawał na progu. I znowu czarował swym wdziękiem, rozbudzając w nich pragnienie, by został, choć obie dobrze wiedziały, że to niemożliwe.

Lily zaczęła go nienawidzić. Miała do niego żal za częstą nieobecność, była wściekła, że za każdym razem, gdy wyjeżdżał, doprowadzał matkę do histerycznych łkań, a potem do szaleńczego niepokoju, gdy całymi miesiącami nie dawał znaku życia.

Wiadomość o jego śmierci - list od urzędnika z jednej z kanadyjskich prowincji, wyjaśniający, że pan Bainbridge zmarł w wyniku ran zadanych przez niedźwiedzia - przyjęła niemal z ulgą. Jednak pomimo niechęci, jaką doń żywiła, opłakiwała śmierć ojca równie mocno, jak matka, wiedząc, że jego odejście pozostawiło pustkę i ból, które nigdy całkowicie nie znikną.

W przeciwieństwie do innych dziewczynek marzących o księciu z bajki, który zawróciłby im w głowie, Lily w trzynastej wiosnie życia postanowiła, że nigdy się nie zakocha i nigdy nie wyjdzie za mąż. Kobieta, poślubiając mężczyznę, stawała się jego własnością i od tej pory tylko on decydował o jej fizycznym i emocjonalnym bezpieczeństwie. Uznała, że lepiej żyć samotnie, aniżeli narażać się na zdradę i ból. Lepsza jest samotność niż rozpacz i cierpienie.

Ojciec nauczył ją jednego: nie można ufać mężczyznom. Ojczym jeszcze ugruntował to przekonanie.

- Jak pani znajduje herbatę, pani Smythe?

Lily wzdrygnęła się zaskoczona i zmarszczyła czoło, dopiero po chwili przypomniała sobie, że to ona jest panią Smythe. Takim nazwiskiem przedstawiła się notariuszowi.

Wiedziała, że byłoby bardzo źle widziane, gdyby niezameżna i ledwie dwudziestoletnia kobieta sama zgłosiła się po swój spadek, nawet jeśli należał się jej zgodnie z prawem. Zwyczaj nakazywał, by z takim wnioskiem wystąpił opiekun, w jej przypadku Gordon Chaulk. A do tego stanowczo nie mogła dopuścić.

I choć nie sądziła, by pan Pennyroyal wiedział o drugim małżeństwie matki nie mogła jednak wykluczyć, że skontaktowałby się z ojczymem. Toteż, by zapewnić sobie minimum wiarygodnej niezależności, postanowiła przedstawić się jako mężatka, a męża zaraz, w kolejnym błysku natchnienia, uśmierciła.

Uśmiechnęła się w duchu, dumna z tego konceptu. Teraz musiała tylko odegrać rolę młodej, pogrążonej w żałobie wdowy i zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

- Herbata jest wyśmienita, dziękuję. - Wypiła kolejny łyk i posłała prawnikowi słaby uśmiech.

Odstawił na bok swoją filiżankę.

- Proszę przyjąć szczerze kondolencje z powodu tragedii, jakie panią dotknęły. To musiało być zaiste potworne: najpierw śmierć męża, potem zgon matki. Niełatwo się pogodzić z odejściem tych, których kochamy.

- Istotnie. - Pomyślała o matce i bez trudu przywołała na twarz wyraz prawdziwego smutku. - To właśnie jedna z przyczyn, dla których postanowiłam przyjechać do Londynu. W domu otaczało mnie zbyt wiele bolesnych wspomnień.

- Gdzie poległ, jeśli wolno zapytać?

Przez ułamek sekundy nie rozumiała, o co mu chodzi. Kto poległ?

Omal nie wyrwała się z pytaniem, w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że notariusz ma na myśli jej rzekomego małżonka.

Masz ci los, pomyślała. Muszę lepiej uważać, jeśli nie chcę, by mnie złapano. I, Boże miłościw, on chyba chce, bym podała nazwę jakiejś bitwy. Myśl, Lily i to szybko.

Wypiła kolejny łyk herbaty, zyskując minutkę. Filiżanka zadzwoniła o spodek, gdy odstawiała ją na stół.

- Pod Vitoria - rzuciła posepnym tonem. - Niecały rok temu. - Podziękowała Opatrzności i sobie za to, że systematycznie śledziła komunikaty z wojny.

- Ach, Vittoria. Nasze wielkie zwycięstwo. I Portugalczyków. Pomogło zrzucić z tronu małego kaprała, cesarzyka i wysłać go na maleńką Elbę. Pasują do siebie rozmiarami, by tak rzec. Musi być pani bardzo dumna, że mąż poświęcił życie dla tak chwalebnej sprawy. Skinęła głową.

- Naturalnie i szczęśliwa z pokoju.

Kiedy wreszcie ten asystent wróci, pomyślała Lily.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł jeden z czterech pomocników pana Pennyroyala, kładąc przed pryncypałem gruby plik spiętych razem dokumentów. Gdy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, notariusz rozwiązał broniącą dostępu do środka wstążkę. Przekartkował kilka stron i wyciągnął jedną.

- O, jest. Już przygotowany na wypadek pani wystąpienia o nabycie.

- Urwał, przebiegając wzrokiem po papierze. - Wszystko wydaje się być w jak najlepszym porządku, choć w dokumencie nadal figuruje pani

panieńskie nazwisko. - Ściągnął siwe brwi. - Może w takim razie sporządzimy nową wersję.

Poczuła ucisk w dole brzucha.

- Czy to bezwzględnie konieczne?

Wielkie nieba. Co zrobię, jeśli będzie nalegał, bym podpisała się tym wymyślonym nazwiskiem?

Notariusz położył palec na dolnej wardze, zastanawiając się przez chwilę.

- Nie, nie bezwzględnie.

Żołądek podszedł jej do gardła, kołysząc się niczym maleńka łódeczka na środku ogromnego oceanu.

- Widzi pan, jeśli to tylko możliwe, wołałabym już dziś dopełnić wszystkich formalności. Nie chcę, by zabrzmiało to niedelikatnie, ale mój... małżonek był oficerem piechoty, i choć na takie rzeczy nie zwraca się uwagi, gdy jest się zakochanym, muszę wyznać, iż finansowo nigdy nam się nie wiodło najlepiej. Nie chciałabym rozwijać tego tematu, choć muszę przyznać, że w chwili obecnej bardzo potrzebuję pieniędzy.

Stary notariusz zasznurował usta i ściągnął brwi.

- Hm... Nie ma wątpliwości, że jest pani prawowitą beneficjentką, pod nazwiskiem panieńskim czy ślubnym. Taaak, sądzę, że to nie ma znaczenia. - podsunął dokument i podał jej pióro. - Proszę podpisać u dołu.

Palce jej się trzęsły i chwilę trwało, zanim się uspokoiła i w końcu zanurzyła stalówkę w atramencie, po czym złożyła podpis. Napięcie ustąpiło dopiero, gdy notariusz osuszył bibułą dokument i umieścił go z powrotem w teczce.

Uśmiechnął się.

- Jeśli poczeka pani jeszcze chwilę, każe przygotować czek.

Lokujemy powierzany nam kapitał w bardzo szanowanym banku.

Zakładam, że nie będzie pani chciała, by wypłacono całą kwotę.

- Nie, nie sądzę, bym potrzebowała pilnie aż dziesięciu tysięcy funtów.

- Dziesięciu tysięcy? Ależ, droga pani, jest tego znacznie więcej.

- Przerzuciwszy kilka dokumentów, wyciągnął z pliku kolejny akt.

- Oto ostatni wyciąg z rachunku. Aktualne saldo wynosi czterdzieści osiem tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt trzy funty, jedenaście szylingów i trzy penty. Pani dziadek zrobił ten zapis i złożył depozyt prawie dwadzieścia lat temu. Od tego czasu kapitał znacznie się zwiększył.

Serce załomotało jej w piersiach. Czterdzieści osiem tysięcy funtów. Na Jowisza, jestem bogata.

- Czy pięćset na dziś wystarczy? - spytał pan Pennyroyal.

Lily nie mogła powstrzymać uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz niczym wschód słońca.

- Dalibóg, tak!

Notariusz się roześmiał i wezwał kolejnego pracownika.

- Jeszcze jedno - powiedział, gdy polecił już kolejnemu młodzieńcowi przygotować stosowny czek. - Powiedziała pani, że po raz pierwszy jest w Londynie. Słyszałem o pewnej rezydencji na sprzedaż, która mogłaby panią zainteresować. Życzy pani sobie, bym jej o niej opowiedział?

Rezydencja? Na razie nie miała aż tak dalekosiężnych planów, ale z pewnością nie uśmiechało jej się dalsze mieszkanie w hotelu, nawet jeśli teraz stać ją było na tak elegancki jak Grillons czy Claridge's.

Własny dom nie byłby od rzeczy.

- Tak- zgodziła się. - Będę wdzięczna.

Gwar rozmów i śmiechów przepływał meandrem niczym rzeka przez salon Bascomów, elegancką komnatę przeznaczoną dla tych gości, którzy nie mieli ochoty na tańce w tłocznej sali balowej ani podpieranie jej ścian, gdzie panował taki sam ścisk.

- Wychodzisz, Vessey - rzucił Tony Black, księżę Wyvern. Ethan uniósł głowę i spojrzał na trzech mężczyzn siedzących przy stoliku karcianym, którzy patrzyli na niego wyczekująco.

- Słucham? - bąknął.

- Twoja kolej - przynaglił wicehrabia Howard, sympatyczny bon vivant, który jako pierwszy zlokalizował kącik karciany i zwołał całą czwórkę.

- A, tak, zaraz - przytaknął Ethan, spoglądając na trzymane w ręku karty spod zmarszczonych brwi. Wyciągnął na chybił trafił waleta trefl i rzucił na stół.

Z ust pozostałych trzech mężczyzn wydobył się pomruk niezadowolenia.

- Można się spodziewać, że Ethan weźmie lewę, nawet gdy nie uważa - skomentował Rafe, baron Pendragon, sięgając po szklaneczkę porto.

- Jak to mówią, kto ma szczęście w kartach... - rzucił żartem Tony, czekając na wyjście markiza.

Markiz położył jeszcze jednego waleta. Pozostali kolejno dorzucili karty, lewą zgarnął Ethan. Przy następnej kolejce jednak był już myślami gdzie indziej. Przy trzeciej znowu trzeba było mu przypomnieć, że teraz jego ruch.

Tony uniósł brew.

- A więc, kim ona jest?

- Kim jest kto? - odparował nonszalancko, zastanawiając się, którą kartą zagrać.

- Ta kobieta, która odjęła ci rozum.

Ethan położył kiera, jedyny kolor, jaki pozostał mu w ręku.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Książę wzniosł oczy do góry.

- Oczywiście, że wiesz. Roztargnienie takie jak twoje może mieć tylko dwie przyczyny: pieniądze albo kobiety. Jeśli przegrałbyś wczoraj swą wielką fortunę, zakładając się o jakąś bzdurkę, teraz byłbyś już w sztok pijany i przystawiał sobie pistolet do skroni. Ponieważ tak nie jest, za twoim obecnym zamyśleniem musi kryć się niewiasta.

Zatem kim ona jest?

- Właśnie, przyznaj się, Vessey - przyłączył się lord Howard. - Dama czy kurtyzana? Osobiście mam nadzieję, że ta ostatnia, ponieważ historie z udziałem cór Koryntu są bez porównania ciekawsze.

- Nie mam o kim ani o czym opowiadać.

- Hm... ciekaw jestem, jak ten nikt się nazywa? - zadumał się Tony.

Lily, odpowiedział w duchu markiz.

Przed oczyma stanęła mu śliczna twarz w kształcie serca, ta sama, która nie opuszczała jego myśli od chwili, kiedy odprowadzał wzrokiem dziewczynę trzy dni temu.

- Camilla - zasugerował Tony.

- Aurora - zaproponował Howard, wistując. Rafe pociągnął łyżeczek wina.

- A może Joan.

Ich przekomarzanie się przypomniało Ethanowi o niedawnej zgaduj-zgaduli w powozie i natychmiast poczuł w lędźwiach gorące wspomnienie tego, co wydarzyło się później między nim a Lily.

- Jej imię nie ma znaczenia - powiedział. Zwłaszcza że to wszystko, co o niej wiem.

- Ha! - triumfował Tony. - Więc jednak jest jakaś kobieta!

- Nie zwracaj na nich uwagi - poradził Rafe. - Choć jeśli jesteś w nastroju do zwierzeń, wiesz, że zawsze chętnie cię wysłucham -dodał z pogodnym uśmiechem.

Ethan pokręcił głową.

- Dziękuję, ale nie.

Choć może jednak powinien powiedzieć Rafe'owi, bo przyjaciel wiedział o wszystkim, o czym warto było wiedzieć, a także o jeszcze paru innych rzeczach. Bogaty finansista, który dopiero przed rokiem otrzymał tytuł arystokratyczny, potrafił dotrzeć do ludzi oraz informacji ze skutecznością, o jakiej reszta mogła tylko marzyć. Jeśli ktoś zdołałby odszukać Lily, to właśnie Rafe. Bóg jeden widzi, że nie mam szczęścia, pomyślał Ethan.

Gdy tylko dorożka Lily się oddaliła, wysłał w ślad za nią sługę, który po powrocie zameldował zdumionemu markizowi, że dorożka zatrzymała się przed hotelem, a nie przed prywatną rezydencją, jak wcześniej przypuszczał.

Następnego dnia skoro świt i bez śniadania popędził do hotelu. Recepcjonista poinformował go, że niejaki Jack Bain istotnie spędził noc w numerze, ale wyjechał niecałą godzinę temu, nie zostawiwszy adresu do korespondencji.

Przez następną godzinę Ethan jeździł faetonem po okolicy w mglistej nadziei, że gdzieś dostrzeże Lily, ale na darmo. Nie wiedział nawet, co mógłby jej powiedzieć, gdyby się na nią natknął.

Wrócił więc do domu, nakazując sobie zapomnieć o dziewczynie. Ich przypadkowa znajomość była interesującym urozmaiceniem codzienności, ale dobiegła końca. Lily wróciła do swego życia, on do swego.

Mimo to nie potrafił przestać o niej myśleć, zastanawiać się, kim jest, i zamartwiać o jej los.

Czy jest bezpieczna, zachodził w głowę. Czy nic jej się nie stało?

Nie powinien był dopuścić, by odjechała dorożką, tylko sam odwieźć ją do domu bez względu na jej protesty. Dlaczego udała się do hotelu? Czy była to kolejna część jej zabawy? A może coś się za tym kryło? Czy w ogóle miała jakiś dom w Londynie? Albo przyjaciółkę skorą do karygodnych, nieodpowiedzialnych zakładów?

Jeśli chodzi o Lily, nie mógł być pewien niczego. Jedno wiedział na pewno: nigdy jeszcze nie spotkał tak pełnej życia, tak błyskotliwej i tak niezależnej młodej kobiety. Na przemian to go irytowała, to bawiła lub zadziwiała. Rozpalała krew w żyłach, budząc podniecenie, jakie po raz ostatni czuł, gdy jako wyrostek odkrywał cuda rozkoszy w objęciach kobiety.

Mimo najszczerzych chęci nie potrafił usunąć jej z myśli, a także zmysłów. Minęły całe trzy dni, a on nadal czuł słodycz ich pocałunków, pamiętał waniliowy zapach skóry, wspominał czar jej subtelnego dotyku, śmiałego i jednocześnie niewinnego.

Jak mogłem ją stracić, skoro w ogóle jeszcze jej nie miałem?

- A ten znowu. Ona musi rzeczywiście być wyjątkowa. Ethan, usłyszawszy uwagę Tony'ego, uniósł głowę i napotkał zaintrygowane spojrzenie przyjaciela.

- Jaka bądź by była, nie ma to znaczenia, ponieważ już jej nie zobaczę. - Ethan rozpostarł w ręku wachlarz kart. - A więc, gramy czy nie?

Trzy tygodnie później Lily z pomocą sług wysiadła z nowiutkiego landa, podczas gdy stangret przytrzymał parę gniadoszy. Dyskretnie wygładziła spódnicę eleganckiej sukni z czarnego jedwabiu i spojrzała na rezydencję przyjaciółki, Daviny Finch, a raczej Daviny Coates, jako że była teraz mężatką.

Pomimo uprzejmych listów, jakie wymieniły między sobą w ciągu minionego tygodnia, Lily nie była pewna, czego się spodziewać. W końcu o czym można rozmawiać z przyjaciółką niewidzianą od ośmiu lat?

Ona sama, naturalnie, czule wspominała Davinę, były najlepszymi przyjaciółkami przez całe dwa lata, jakie spędziły w internacie na pensji panny Tweedmonts. Zaprzyjaźniły się w zasadzie od razu po przyjeździe, zbliżyły je do siebie lęk i smutek spowodowane rozłąką z rodziną.

Teraz Lily zdała sobie sprawę, że wysyłając ją na pensję, matka chciała po prostu zapewnić jej odpowiednie wykształcenie. Zatrudniane przez lata guwernantki okazały się fatalnym nieporozumieniem, zwłaszcza

wobec skłonności Lily do spędzania czasu na wspinaniu się po skałach i klifach wybrzeża Kornwalii.

Z kolei Davinę, praktycznie od kołyski, chowano na wielką damę. Jej ojciec, zamożny kupiec wełny z Leeds, pokładał w córce ogromne nadzieje. Przysiągł sobie, że dziewczyna zrobi świetną partię, poślubiając co najmniej arystokratę.

Teraz wszystko wskazuje, że ów cel osiągnął, myślała Lily, wchodząc po frontowych schodach do wytwornej rezydencji lorda i lady Coatesów, położonej w Mayfair, jednej z najelegantszych dzielnic Londynu. Powitał ją kamerdyner i wprowadził do salonu, by poczekała, a sam poszedł powiadomić panią o przybyciu gościa.

Rozglądając się po pokoju, Lily podziwiała tłoczoną czerwono niebieską tapetę i rzeźbione meble z ciemnego mahoniu w stylu egipskim. Choć komnata prezentowała się imponująco, Lily uznała, że woli prostszy wystrój i spokojniejszy, pastelowy odcień ścian własnej rezydencji.

Dom Lily mieścił się w zamożnej części Bloosmbury i było w nim wszystko, czego można sobie życzyć, a nawet więcej: cztery kondygnacje, wiele wygodnych, przestronnych pokoi, sympatyczne kocisko w czarno-brązowe pręgi imieniem Mouser oraz gotowa do usług służba, ponieważ większość ekipy pracującej u poprzedniego właściciela wyrażała chęć pozostania. Jednak wkrótce po wprowadzeniu się do tego wspaniałego lokum Lily uświadomiła sobie pewien problem - czuła się samotna. Kiedy postanowiła uciec do Londynu, myślała jedynie o realizacji planu i zdobyciu wolności. Ale gdy już dotarła do miasta i osiągnęła cel, ów fakt stawał się coraz bardziej oczywisty i dokuczliwy.

Zgodnie ze swym pragnieniem, była teraz samodzielna i niezależna. Ale to nie znaczyło, że chciała być samotna. Bądź co bądź nie miała natury odludka. Jednak bez poparcia rodziny czy przyjaciół nie mogła liczyć na wejście do towarzystwa.

Na początku pomyślała o markizie i ze grozą skonstatowała, że na samo jego wspomnienie krew zaczyna żywiej krążyć w jej żyłach. Choć od ich spotkania minęły tygodnie, nie opuścił jej myśli ani snów.

Cóż za ironia, przyznała, że właśnie on jest jedyną osobą, którą znam w Londynie. Ale akurat do niego absolutnie zwrócić się nie mogła. Po pierwsze, żadna szanująca się kobieta nie poprosiłaby o przysługę dżentelmena, który nie należał do jej rodziny. Po drugie, między nią a lordem Vesseyem doszło do czegoś, krótkiego, ale znaczącego, co bardzo chciałyby zachować w sekrecie. Postanowiła już wcześniej, że nigdy więcej się z nim nie spotka i nie zamierzała tego zmieniać.

Przeglądając w zeszłym tygodniu „Morning Post”, w rubryce towarzyskiej natknęła się na wzmiankę o przyjęciu, na którym pojawiło się kilka dam, w tym niejaka Davina Coates. Z uwagi na rzadko spotykane imię, Lily zastanawiała się, czy nie jest to przypadkiem jej dawna przyjaciółka.

Nieskłonna do długich wahań, czym prędzej skreśliła liścik z pytaniem. Ogromnie się ucieszyła, otrzymawszy natychmiastową odpowiedź potwierdzającą jej przypuszczenia. Davina pisała nadto, że bardzo chętnie odświeżyłaby dawną znajomość.

I teraz Lily, podekscytowana tym, co miało się wydarzyć, czekała w salonie na spotkanie, zastanawiając się, co zrobi, jeśli przyjaciółka nie będzie taka, jaką ją zapamiętała. Ale gdy tylko Davina weszła do pokoju,

uświadomiła sobie, że wszystkie obawy były zbędne, ponieważ z miejsca poczuła się tak, jakby dopiero wczoraj się rozstały.

- Lily ! - wykrzyknęła eteryczna blondynka.

Przebiegła przez pokój i objęła przyjaciółkę ramionami, na co ta odpowiedziała jeszcze mocniejszym uściskiem.

- Davina! - roześmiała się Lily, gdy już się od siebie oderwały. - Jak cudownie znowu cię widzieć!

- Ja też bardzo się cieszę. Własnym oczom nie wierzyłam, gdy otrzymałam twój liścik. Taka byłam wzruszona... - Davina, rzecz niewiarygodna, jeszcze piękniejsza niż jako dziewczynka, pociągnęła Lily na sofę i posadziła koło siebie. - Co u ciebie? Opowiadaj.

Lily wybuchnęła śmiechem, pozbywając się resztek napięcia.

- Całe osiem lat?

- Tak, szczegółowo i po kolei. Zauważyłam, że podpisałaś się jako pani Smythe. Jesteś już zameżna?

Lily milczała, ogarnęło ją przytłaczające poczucie winy. Nie chciała okłamywać przyjaciółki. Wzdragała się na samą myśl. Ale jeśli Davina choć trochę przypominała szkolną koleżankę, to nigdy i przed nikim nie byłaby w stanie wiarygodnie potwierdzić stworzonej przez Lily bajki. Nie w tym rzecz, że nie można było powierzyć jej takiego sekretu - bo oczywiście można było - ale gdyby znała prawdę, sama nie potrafiłaby okłamywać innych. Słodka i ufna, należała do osób organicznie niezdolnych do kłamstwa, nawet w imię wyższej racji.

Prosząc w duchu przyjaciółkę o wybaczenie, Lily zaczęła snuć opowieść o swych wymyślonych losach.

Gdy skończyła, uśmiech zniknął z pięknych ust Daviny.

- Moje biedne maleństwo, jakież to musiało być potworne, stracić matkę i męża w tak krótkim odstępie czasu! Całe szczęście, że już nie jesteś sama. Masz przyjaciół i nie będziesz się więcej zadręczać w samotności.

Lily posłała przyjaciółce serdeczny uśmiech.

- I choć twój smutek jest jak najbardziej naturalny - ciągnęła Davina - nie możesz się ukrywać. Musisz być wśród ludzi. Mam świetny pomysł. W najbliższy czwartek wieczorem wydaję obiad i nalegam, byś przyszła. Z góry zastrzegam, że nie chcę nawet słyszeć o odmowie.

Lily zachichotała, od wielu dni nie była w tak pogodnym nastroju.

- Cóż, w takim razie chyba muszę się zgodzić.

Ethan wziął od kamerdynera szklaneczkę whisky. Popijając trunek, przysłuchiwał się rozmowie grupki otaczających go mężczyzn.

- Problemem jest zbyt wielka liczba powracających z wojny żołnierzy, którzy nie mają szans na znalezienie jakiegoś zatrudnienia - oświadczył lord Pomfrey. - Jeśli czegoś się z tym nie zrobi, z pewnością dojdzie do wrzenia.

- Tak, tylko pytanie, co zrobić? Nie ma prostych rozwiązań zwłaszcza teraz, gdy ceny ostro poszybowały w górę - odpowiedział inny lord.

- To właśnie jest argument, jakiego nam trzeba. Musimy zmienić stanowisko Liverpoolu i reszty torysów - rzucił zapalczywie gospodarz, lord Geoffrey Coates. - Przecież musi być jakiś sposób, aby skłonić ich do kompromisu.

- Na takich próbach, milordzie - wtrącił Ethan - możesz strawić całe życie. Nie słyszałeś starego dowcipu o tym, dlaczego torysi nie jeżdżą na osłach? Bo osioł jest zbyt uparty, by się ruszyć, a torys zbyt uparty, by z niego zejść.

Panowie się roześmiali, w tym także i Coates, choć Ethan widział, że jego reformatorski zapał wcale nie osłabł.

Ethan słabo znał Coatesa, obracał się w innych towarzyskich kręgach niż pozostali zgromadzeniu tu mężczyźni. Ale przyjął zaproszenie na dzisiejszy obiad, by lobbować za uchwaleniem pewnej ustawy, która poprawiłaby los robotników i farmerów w rodzinnym okręgu Vesseyów.

Mężczyźni mieli właśnie zatonać w kolejnej gorącej dyskusji politycznej, kiedy przez tłum gości przecisnęła się eteryczna blondynka i stanęła obok Coatesa.

- Geoffreyu, panowie, wybaczcie, że przeszkadzam, ale jak niektórzy z was może zauważyli, są tu również damy.

Lord Pomfrey pokiwał łysą głową i uśmiechnął się.

- Tak, zdaje się, że ma pani całkowitą słuszość.

- Zatem zlitujcie się nad nami, biednymi niewiastami, i nie skąpcie swego towarzystwa. Będziecie mieli jeszcze mnóstwo czasu, by pomstować na niesprawiedliwości tego świata, kiedy podadzą porto i cygara.

- Trafna uwaga, milady - zgodził się Pomfrey, uśmiechając się uprzejmie, podobnie jak reszta.

Kiedy mężczyźni zaczęli się rozchodzić, Davina Coates położyła małą dłoń na ramieniu Ethana.

- Milordzie, jest ktoś, komu chciałabym pana przedstawić. To moja stara, bardzo dobra przyjaciółka, która od niedawna mieszka w Londynie. Czy zgodzisz się, że państwa zapoznam?

- Ależ naturalnie, łaskawa pani - zgodził się markiz, odstawiając szklaneczkę whisky. - Jestem do pani dyspozycji.

Zastanawiał się, kim może być ta przyjaciółka i miał nadzieję, że pani domu nie próbuje bawić się w swatkę. Jeśli tak, czeka ją rozczarowanie. Przygotowując się do grzecznej odmowy, ruszył za lady Coates.

Idąc, zauważył szczupłą kobietę stojącą z dwiema innymi paniami w drugiej części salonu. Włosy, czerwone niczym ogień, miała wysoko

upięte, kilka pojedynczych kosmyków zwijało się wokół smukłej szyi. Nie widział jej twarzy, bo stała tyłem, ale podziwiał elegancję pięknej szczupłej figury spowitej w suknię z szmaragdowozielonego jedwabiu.

Jego ciało, jak ostatnio zwykle na widok każdej rudowłosej kobiety, instynktownie się napięło. Minęły całe tygodnie, a on nadal nie potrafił wyrzucić z myśli i zmysłów wspomnienia pewnego wyjątkowego dziewczęcia o kasztanowych lokach. Ku jego zaskoczeniu, pani domu minęła kilku gości i zbliżała się do miejsca, w którym stała rudowłosa.

Może to ona jest tą przyjaciółką, przemknęło mu przez głowę.

Najwyraźniej tak, uświadomił sobie, kiedy lady Coates zatrzymała się przy nieznajomej i nachyliła, by wyszeptać jej coś do ucha. Przeprosiwszy resztę dam, z którymi rozmawiała płomiennowłosa, lady Coates odwróciła się do markiza z uśmiechem.

- Z największą przyjemnością przedstawiam panu mą serdeczną przyjaciółkę. Milordzie, to pani Smythe. Lily, poznaj proszę Ethana Andartona, markiza Vessey.

Czując, że ziemia nagle usuwa się mu spod nóg, patrzył, jak kobieta, której nie spodziewał się już nigdy zobaczyć, powoli się odwraca. Na jej widok zaparło mu dech w piersiach, zupełnie jakby dostał pięścią w brzuch.

Lily! Jego Lily. A jednak zupełnie nie ona. Przynajmniej nie taka, jaką zapamiętał. Przede wszystkim wyglądała oszałamiająco delikatnie i kobieco. Zniknęły spodnie, surduty i wszystkie inne szczegóły męskiego przebrania, w tym starannie zapleciony na karku warkoczek.

Zniknęły także z widoku jej kształtne nogi i jędrne pośladki, skryte teraz pod fałdami sukni. I choć ta strata była z pewnością godna

ubolewania, rekompensowały ją piersi, których krągłość podkreślał gorset sukni, odsłaniając przy tym kawałek pięknego ciała.

I choć w kobiecym stroju prezentowała się zupełnie inaczej, twarzy nie sposób było nie rozpoznać. Ten sam śliczny nosek ozdobiony kropeczkami piegów. Te same szmaragdowe oczy, których zieleń intensywnością barwy dorównywała wieczorowej sukni. Te same usta, o pełnych, zmysłowych wargach, które splądrował ongiś serią gorących, namiętnych pocałunków, a których smak do dziś go prześladował.

Najwyższą siłą woli stłumił nagły przypływ pożądania w lędźwiach, który mógłby okazać się krepujący, gdyby go nie powściągnął. Popatrzył jej w oczy i dojrzał w nich błysk zaskoczenia.

Opuściła rzęsy i dygnęła w głębokim ukłonie.

- To zaszczyt, milordzie.

Skłonił się, dopiero w tej chwili przypomniał sobie nazwisko, jakim przedstawiła ją lady Coates:

- Pani Smythe.

W jego uszach słowa te zabrzmiały jak nieprzyjemny zgrzyt. Pani Smythe! Mocno zmarszczył brwi, które przypominały teraz dwa ostre sztylety złączone w literę V

Do kroćset! Jest zameżna? Niezdolny wydusić z siebie tego przeraźliwego pytania, patrzył się na nią bez słowa.

Davina Coates, o której obecności markiz niemal całkiem zapomniał, zerknęła na nich oboje zaintrygowana.

- Być może to tylko moja imaginacja, ale czy państwo przypadkiem się nie znacie?

- Nie - odparowała z miejsca Lily.

- Tak - rzucił jednocześnie markiz.

- Niebiosa, to znaczy co? Znacie się czy nie? - roześmiała się lady Coates.

Czekał, pozwalając, aby Lily odezwała się pierwsza.

- Nie - odrzekła. - Przynajmniej nie naprawdę. Spotkaliśmy się już kiedyś z lordem Vesseyem, jak się zdaje, ale oficjalnie nas sobie nie przedstawiono.

- Tak - potwierdził markiz, przeciągając słowa. - Spotkaliśmy się już kiedyś. - A także całowaliśmy się, dodał w myślach.

- Ach, tak? - powiedziała pani domu z coraz bardziej zaciekawioną miną. - Może wasza lordowska mość znałeś świętej pamięci małżonka pani Smythe? Czy nie tak się poznaliście?

Świętej pamięci małżonka? Ha, zatem jest wdową! Poczul, że kamień spadł mu z serca.

- Hm... - powiedział - wprawdzie nie wydaje mi się, ale nie jest to wykluczone. Gdziekolwiek nasze drogi się wcześniej przecięły, cieszę się, że znowu się spotkały.

Lady Coates rzuciła im kolejny pełen konsternacji uśmiech.

- Cóż, doskonale zatem. Rada jestem, że teraz mogłam państwa przedstawić sobie formalnie. Proszę o wybaczenie, ale widzę, że potrzebują mnie w drugiej części salonu. Domyślam się, że muszę wydać dyspozycje co do obiadu.

Lily rzuciła przyjaciółce takie spojrzenie, jakby chciała zaprotestować przeciwko temu, że ich porzuca. Ugryzła się jednak w język, zaś lady Coates uśmiechnęła się raz jeszcze i zniknęła.

Przez długą chwilę markiz milczał, podobnie jak piękna poszukiwaczka przygód. A była naprawdę piękna, jeszcze bardziej olśniewająca i czarująca, niż pamiętał. Był trochę rozdrażniony - nie wiedział dlaczego - ale przede wszystkim czuł zadowolenie, szczęście i ulgę z powodu tego niespodziewanego spotkania.

Tym razem, pomyślał, już nie pozwolę jej uciec.

Podszedł bliżej, by mogli rozmawiać swobodnie, bez ryzyka, że zostaną podsłuchani. W odpowiedzi cofnęła się o dwa kroki do pobliskiego kącika, a on podążył za nią. Wtedy doleciał go waniliowo-różany zapach perfum na jej skórze.

Pożądanie wzburzyło mu krew. Poczował dzikie pragnienie, by przycisnąć twarz do jej szyi - albo, jeszcze lepiej, do piersi - i napawać się tą wonią. Nie mógł zareczyć, czy zdołałby nad sobą zapanować, gdyby byli sam na sam.

Ponieważ jednak nie byli sami, zmusił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Jakże się miewasz, Lily? Zakładam, że mogę zwracać się do ciebie po imieniu... a może wolałabyś, żebym mówił pani Smythe?

Majstrowała palcami przy guziku jednej z długich białych wieczorowych rękawiczek.

- Chyba pani Smythe. A miewam się doskonale, wasza lordowska mość. A pan, milordzie?

Uniósł brew i uśmiechnął się, bardziej rozbawiony niż dotknięty tą cokolwiek uszczypliwą odpowiedzią.

- Również cieszę się dobrym zdrowiem. I możesz być spokojna, Lily - dodał, ignorując jej prośbę o zachowanie oficjalnych form - nie powiem

nikomu ani gdzie się naprawdę poznaliśmy, ani, co ważniejsze, w jakim stroju wówczas paradowałaś.

Delikatne brwi zbiegły się na jej czole jak dwa ogniste łuki.

- Tak myślę. W przeciwnym bowiem wypadku byłabym zmuszona stanowczo temu zaprzeczyć.

- Nie wątpię. Ale, proszę, nie obawiaj się. To, co się między nami wydarzyło, również w powozie, pozostanie naszym sekretem. Masz na to moje słowo dżentelmena.

To oświadczenie wyraźnie uspokoiło Lily, napięcie ją opuściło, tak jakby wcześniej spodziewała się, że ją przed wszystkimi zdemaskuje.

- Muszę jednak przyznać - ciągnął markiz szeptem przeznaczonym tylko dla uszu dziewczyny - że zdumiewa mnie fakt, iż jesteś wdową. Wtedy nie wspomniałaś ani słówkiem, że tak się sprawy przedstawiają.

- Jeśli pamiętasz, milordzie, o wielu rzeczach podówczas nie wspominałam. Ten temat nie wydawał mi się ani istotny, ani stosowny

- Z pewnością. Pozwól jednak, że złożę ci wyrazy współczucia z powodu twojej straty.

Spuściła oczy, wbijając wzrok w okolice jego kamizelki.

- Dziękuję.

- Musiałaś bardzo wcześnie wyjść za mąż. Wyglądasz na nie więcej niż dziewiętnaście lat.

Policzki oblały jej się bladym różem, uniosła głowę i ich spojrzenia znowu się spotkały.

- Mam lat dwadzieścia, czyli nie tak mało, zważywszy, że wiele kobiet porzuca stan panieński w szesnastej wiosnie życia.

- Tak, ale większość z nich nie traci mężów. Jak zginął? Milczała przez chwilę, ponownie przebijając palcami przy guzikach rękawiczki.

- Żołnierską śmiercią. Na polu chwały. Jeśli pozwolisz, milordzie, wołałabym o tym nie mówić.

- Naturalnie. - Milczał przez chwilę. - Czy dlatego to robisz? Żeby zapomnieć o bólu?

W jej oczach pojawiła się konsternacja.

- Co robię?

- Zawierasz takie szokujące zakłady z przyjaciółkami.

W jej oczach mignął przelotny błysk zaskoczenia, którego miejsce zaraz zajęła zaduma.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam, ale niewykluczone, że ma pan rację, milordzie. Czasami człowiek ma ochotę dosłownie uciec od wszystkich trosk.

- Niech mi będzie wolno zasugerować, że istnieją także inne sposoby, aby dać ujście takim potrzebom.

Uniosła brew.

- Na przykład jakie, milordzie?

Już miał powiedzieć, kiedy odziany w liberię kamerdyner Coatesów poprosił wszystkich o uwagę i oznajmił, że podano do stołu.

W całym salonie panie i panowie zaczęli dobierać się w pary według rangi tytułów. Lily pochyliła się w stronę markiza i rzuciła szeptem:

- Na wypadek gdyby pan się nad tym zastanawiał, milordzie, to Davina nie jest tą przyjaciółką od zakładu, więc bardzo proszę jej w to nie wtajemniczać. Nie ma pojęcia o mojej małej wycieczce. A gdyby się dowiedziała, bardzo by ją to zasmuciło.

Skłonił głowę.

- Już mówiłem: to jest nasz sekret i zostanie wyłącznie między nami.

W tym momencie u boku Lily pojawił się jakiś szczupły dżentelmen, kłaniając się im obojgu.

- Proszę o wybaczenie, ale przypadł mi honor poprowadzenia pani Smythe do stołu.

Ethan miał ochotę odgonić nieznanego jak uprzykrzoną muchę. Powściągnął jednak to pragnienie, zwrócił się przodem do Lily i złożył jej uprzejmy ukłon.

- Zobaczymy się później, pani. Dygnęła.

- Naturalnie, milordzie.

Odwrócił się wbrew sobie i ruszył w poszukiwaniu damy, obok której wypadło mu miejsce przy stole, żałując, że nie jest nią Lily.

Naprawdę powinien przestać się tak we mnie wpatrywać, pomyślała Lily jakąś godzinę później.

Obiad trwał w najlepsze, lało się wino, rozmowy toczyły się wartko, gwar mieszał się z pobrzękiwaniem srebrnych sztućców o chińską porcelanę i podzwanianiem wykwintnych kieliszków z rżniętego kryształu. Pokój oświetlały piękne kandelabry z kutego srebra, palące się w nich świece z wosku pszczelego napępiały jadalnię subtelnym zapachem miodu. Lokaje zmieniali nakrycia niemal niepostrzeżenie i z doskonałą precyzją, każde kolejne danie zdawało się pyszniejsze od poprzedniego.

Lily jednak nie zwracała uwagi na jedzenie czy rozmowy, skupiona na pewnym złotowłosym dżentelmenie i jego świdrującym spojrzeniu.

Markiz siedział nieco dalej po przeciwnej stronie stołu, rozparty swobodnie na krześle z wdziękiem i pewnością siebie lwa. W blasku świec

jego włosy miały kolor lśniącego złota, zaś on sam przywodził na myśl nordyckie bóstwo. A może wojownika, pomyślała, zaczynając sobie uświadamiać, że pod pozorami spokojnej elegancji markiza kryją się pokłady dzikości. W dodatku był, bez dwóch zdań, najprzystojniejszym dżentelmenem wśród zgromadzonych tu mężczyzn. Zresztą dzięki swojej męskiej urodzie prawdopodobnie byłby najprzystojniejszy w każdym zgromadzeniu.

I patrzył na nią. Znowu.

Spuściła wzrok na talerz i starała się uspokoić, bo serce biło jej tak mocno, jakby siedział nie w pewnej odległości, lecz tuż przy niej. Naprawdę powinien przestać, pomyślała Lily, karcąc go w myślach. Odkroiła kawałek pieczonej sarniny w wiśniowym sosie zaprawionym porto i uniosła do ust. I choć mięso rozpływało się w ustach, miała trudności z przełknięciem kęsa, świadoma, że gdy tylko podniesie głowę, napotka hipnotyzujące bursztynowe oczy.

Na szczęście wszystko wskazywało, że nikt inny w jadalni nie zauważył nadmiernego zainteresowania Vessey'a, mimo że markiz przez całą kolację nie spuszczał wzroku z Lily. Nawet gdy jadł czy gawędził z sąsiadami po prawej bądź lewej stronie, popatrywał w jej kierunku, wodząc po niej spojrzeniem niczym dłonią w aksamitnej rękawiczce. Te wzrokowe karesy budziły w niej dreszcz podniecenia i ożywiały wspomnienie tych zręcznych dłoni i niezwykłych pocałunków.

Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności spotkała go tego wieczoru, zwłaszcza że nie spodziewała się go kiedykolwiek zobaczyć.

Szok, to było jedyne słowo, którym mogłaby opisać swoją reakcję, gdy na prośbę Daviny odwróciła się i ujrzała go przed sobą. Omal nie upadła z wrażenia. On sam wyglądał na równie zaskoczonego, w oczach miał taki sam błysk zdumienia. Dobrze, że przynajmniej obiecał, iż nie ujawni prawdziwych okoliczności ich pierwszego spotkania ani tego, jak była wtedy ubrana. Gdyby rzecz się wydała, bez wątpienia wiele osób uznałoby to za skandaliczne.

Nie, przynajmniej z tej strony nie musiała się niczego obawiać. Lord Vessey dał jej słowo dżentelmena, a nie miała podstaw, by w nie wątpić. Ale co chciał osiągnąć, wpatrując się teraz w nią z tak niezwykłą uwagą? Czy po prostu karał ją za wcześniejsze szaleństwa, czy też widział w jego oczach prawdziwe pożądanie? Jeśli tak, to jak powinna zareagować?

Wkrótce zebrano nakrycia po głównym daniu i podano deser, kawę i trunki: słodkie wina dla pań i likiery dla panów. Lily gawędziła właśnie uprzejmie z mężczyzną siedzącym po jej lewej stronie, kiedy ponownie napotkała spojrzenie markiza.

Tym razem nie odwróciła wzroku, zaś on posłał jej przeciągły, porozumiewawczy uśmiech. Wzniósł kieliszek i wypił łyk wina, widziała jak pod fularem porusza się jego grdyka. Zaschło jej w ustach, a puls oszalał, gdy Ethan wysunął język i złapał zabłąkaną kroplę wina, od której jego wargi zwilgotniały, połyskując, jak gdyby oderwały się właśnie od namiętnego pocałunku.

Poczuła, jak pod suknią stwardniały jej sutki.

Uzmysłowiła sobie, że uwodzi, nawet nie dotknąwszy ręką. Niebezpieczny. Taki właśnie jest. Dla niej zbyt niebezpieczny.

Z ulgą zobaczyła, że Davina dała paniom znak do opuszczenia jadalni; trochę niepewnie, chwiejąc się nogach, wstała i wyszła z pokoju.

W salonie przyjęła filiżankę herbaty, potem zajęła miejsce na jednej z sof. Popijając lekko parujący napój, analizowała problem z markizem.

Z pewnymi mężczyznami kobieta potrafi sobie poradzić, dumiała, a z pewnymi nie. Ethan Anderton najwyraźniej należał do tej drugiej kategorii. I choć nie znała go zbyt dobrze, już teraz wiedziała, że jest uparty i wytrwały i nie da się zmanipulować bądź sprowadzić z raz obranej drogi.

Teraz zaś zastanawiała się, czy droga aktualnie przezeń obrana ma prowadzić do jej uwiedzenia. Zachowanie przy obiedzie wyraźnie sugerowało taką możliwość; na samo wspomnienie spojrzenia markiza z miejsca cała spłonęła rumieńcem.

Intuicja podpowiadała jej, że powinna uciekać.

Rozum mówił, żeby nie była głupią gąską.

Prawda była taka, że sprawiał, iż drżała z podniecenia. Zgoda, nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, by kobieta mogła pragnąć mężczyzny tak mocno i by to się ujawniało w takich częściach ciała. Ale prawdą było także i to, że nie miała zamiaru nic robić w związku z tym pożądaniem. Po pierwsze, nie chciała wychodzić za mąż. Jeśli zaś idzie o romans, to choć w tej materii nie miała doświadczenia, wiedziała, że dla własnego dobra powinna trzymać się z daleka od takich komplikacji, nie wikłać w podobne związki. Szkopuł jednak w tym, że zawsze podejmowała rzuconą rękawicę. Zatem, postanowiła, cokolwiek zamyśla lord Vessey, stawię mu czoło i wygram.

Wszelako jej pewność siebie zachwiała się nieco, kiedy godzinę później markiz wkroczył do salonu razem z resztą męskiego towarzystwa. Nie podszedł jednak do niej, tylko kontynuował dyskusję z panem domu, poważną, sądząc po ich strapionych minach. Kiedy skończył konferować z lordem Coatesem, dał się wciągnąć w pogawędkę z jakimiś dwiema paniami, które śmiały się i flirtowały z nim, jednocześnie starając się jak najdokładniej zaprezentować nader obfite wdzięki jego wyraźnie zachwyconym oczom.

Bardziej tym rozdrażniona, niż chciała się do tego przyznać przed samą sobą, Lily narzuciła szal na ramiona i wstała. Odwracając się do markiza tyłem, postanowiła usprawiedliwić się przed gospodarzami i kazać przyprzewodzić swój powóz.

- Dobry wieczór, pani Smythe - rozległ się przy jej ramieniu znajomy męski głos. - I jakże się pani dziś bawi?

Odwróciła się i znalazła zdecydowanie zbyt blisko: delikatny zapach olejku lawendowego na szyi markiza przyjemnie pieścił jej zmysły, widziała dokładnie liście akantu misternie wyhaftowane na jego białej kamizelce.

Postanawiając, że nie stchórzy, odchyliła do tyłu głowę i spojrzała lordowi w oczy.

- Całkiem dobrze, choć właśnie zapomniałam pożegnać się z Daviną.
- Chyba nas pani nie opuszcza? Jest jeszcze wczesnie.
- Mimo to wrócę już do domu.
- Ale, jak mi mówiono, ma być jeszcze muzyka. Śpiewy i gra.

- Wnoszę, że ta wiadomość pochodzi od dwóch młodych dam, z którymi pan przed chwilą konwersował - rzuciła i zabrzmiało to zdecydowanie bardziej cierpko, niż chciała.

Uniósł brew, wyraz rozbawiania błąkał się na zmysłowych wargach.

- Jeśli idzie o ścisłość, o planach dzisiejszych występów wspomniała mi pani domu, ale panna Chartman i jej kuzynka niewątpliwie wezmą w nich udział. Pani także powinna zostać. A w czym czuje się pani lepiej: w grze czy śpiewie?

Z jej ust wymknął się stłumiony chichot.

- W żadnej z tych rzeczy, milordzie. W obu jestem prawdziwym antytalentem. Wiele lat temu uczęszczałyśmy na jedną pensję z lady Coates i ona może poświadczyć, jak wielkie są moje niedostatki w tej materii. Jeśli ma jakikolwiek wzgląd na uszy swych gości, zaoszczędzi im takich tortur.

- Och, z pewnością nie jest aż tak źle.

- Nie, jest jeszcze gorzej.

I nim się zorientowała, stali i uśmiechali się do siebie porozumiewawczo.

Wesołe iskierki tańczące w jego oczach stopniowo zgasły, ich miejsce zajęło coś zgoła innego.

- Cóż, jestem pewien, że posiada pani wiele innych wyjątkowych talentów - powiedział przeciągle, opuszczając wzrok na jej usta.

Piersi Lily zafalowały gwałtownie, elektryzujący dreszcz przebiegł po całym jej ciele.

Masz ci los, znowu zaczyna, pomyślała. Jeszcze chwila, a zostanie ze mnie mokra plama! Prawdopodobnie stosował tę technikę - jeden ze

swych wyjątkowych talentów - regularnie. Już widziała w myślach tabuny kobiet rzucających mu się do stóp. Zastanawiała się z ilu względów skorzystał?

- Może przespacerujemy się w ogrodzie? - zaproponował. - Opowie mi panie więcej o sobie.

- Zdawało mi się, że chciał pan posłuchać muzyki.

- Wołałbym posłuchać o pani.

Te słowa wyrwały ją z otumanienia. Jeśli było coś, o czym pod żadnym pozorem nie chciała rozmawiać, to o sobie. Już i tak wiedział zbyt dużo.

- Dziękuję, milordzie, ale zmuszona jestem odmówić - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał lekko i spokojnie. - Jak wspomniałam, naprawdę powinnam już wracać.

- Dobrze, skoro to konieczne. Ale wiedz, że spotkamy się jeszcze i odbędziemy tę przechadzkę. - Nachylił się bliżej, ścisząc głos do szeptu. - Tym razem nie uda ci się przede mną uciec ani schować. Nie dam się już zwieść żadnym mylnym tropom.

Przygryzła usta i patrzyła na niego w pełnym niedowierzania zdumieniu.

- Co ma pan na myśli? Czyżby śledził mnie pan tamtego wieczoru?

- Prawdę rzekłszy, śledził cię jeden z moich lokajów, a ja sam zjawiłem się w hotelu następnego ranka zaledwie kilka minut po pani wyprowadzce. Cieszy mnie świadomość, że już teraz nie znikniesz mi, pani.

O niebiosa, próbował mnie odszukać! Jestem w większych tarapatach, niż sądziłam, pomyślała w duchu, a głośno dodała:

- Dobranoc, milordzie.

Uniósł kącik ust w zmysłowym uśmiechu.

- Dobranoc, Jack.

RS

Pani wybaczy, ale przed chwilą je przyniesiono - oznajmił kamerdyner, stojąc w drzwiach gabinetu Lily.

Odłożyła gęsie pióro, którym właśnie pisała liścik do Daviny z podziękowaniem za ubiegły wieczór i ruchem ręki poleciła służącemu, by wszedł. Chwilę później otworzyła szeroko oczy na widok ogromnego bukietu kwiatów w białym porcelanowym wazonie.

- Wielkie nieba, kto je mógł przysłać? - zastanawiała się na głos. Ale znała już odpowiedź, domyśliła się, gdy tylko wymówiła to pytanie.

Lord Vessey.

Ładna historia, przysłał mi kwiaty. I to w dodatku lilie!

Każdy kremowobiały kielich wielkości spodka miał jasnoróżowy środek, niebiański zapach w jednej chwili przepełnił pokój, jakby rozeszła się woń z niedokręconego flakonu najlepszych francuskich perfum. Wciągnęła głęboko powietrze, delektując się rozkosznym aromatem.

- Jest liścik - pospieszył z wyjaśnieniem kamerdyner. Postawił kwiaty - co najmniej trzy tuziny - na stoliku. Odczepił od bukietu prostokątny kartonik, podszedł do Lily i podał jej z ukłonem. Zawahała się chwilę, potem wyciągnęła rękę po bilecik.

- Dziękuję, Hodges. Możesz odejść.

Gdy służący opuścił pokój, zerknęła na kartonik i zamaszyste, a przy tym wytworne pismo go pokrywające.

Dla najpiękniejszej ze wszystkich lilii. Do następnego spotkania.

Vessey

Westchnęła cicho i raz jeszcze popatrzyła na kwiaty, czując, jak wszystko w niej roztapia się do konsystencji ciepłej melasy.

Jakże są wspaniałe, pomyślała. Kremowożółta barwa ścian gabinetu jeszcze podkreślała piękno kwiatów.

Lily wstała, podeszła do wazonu i wyciągnawszy dłoń, pogładziła jeden z aksamitnych płatków. Zauważyła, że roztropnie usunięto z lilii pręciki, tak by nie rozsiewały pyłku. Znowu owionął ją słodki, pieszczący zmysły zapach.

Lord Vessey najwyraźniej nie należał do mężczyzn tracących czas albo ukrywających swe zamiary pod płaszczykiem fałszywych wabików czy zawołowanych podchodów. Na czymkolwiek polegał ów wzajemny pociąg między nimi, on nie zamierzał z niego rezygnować: nie zamierzał rezygnować z niej.

Gdy sobie to uzmysłowiła, przebiegł ją dreszcz podniecenia.

Dobry Boże, już zwykły bukiet od niego sprawia, że robię się miękka i kcliwa, pomyślała. Chyba lepiej zrobię, ustępując z pola, zamiast wystawiać się na dalsze pokusy. Bo pomimo zuchwałej decyzji, jaką podjęła ubiegłego wieczoru, by zmierzyć się z markizem i pokonać go w jego własnej grze, gdy rzecz tyczyła Vessey'a, nie była pewna siły swej woli.

Szybko, by nie zmienić czasem zdania, zadzwoniła po kamerdynera.

Hodges stawił się po niecałej minucie.

- Tak, pani, czym mogę służyć?

Rzuciła ostatnie smutne spojrzenie na kwiaty i zmusiła się, by odwrócić się do nich plecami.

- Bądź tak dobry i dopilnuj, by wróciły do nadawcy. Kamerdyner, mężczyzna w średnim wieku, uniósł brew, ale nie

zadał pytania, żeby zaspokoić swoją widoczną ciekawość.

- Oczywiście, pani Smythe. Jak pani sobie życzy.

Z rękami założonymi na piersiach kątem oka patrzyła, jak idzie przez pokój, a potem zabiera ogromny bukiet, odwraca się i rusza do drzwi.

- Poczekaj! - wykrzyknęła kiedy był już w progu.

Służący stanął w miejscu i obejrzał się przez ramię.

- Tak, pani?

Podbiegła do niego na palcach w swych pantofelkach z cienkiej skórki, wyciągnęła dłoń i ostrożnie wysunęła jeden kwiat z bukietu.

- Chciałabym jeden zachować - powiedziała ze świadomością, że tłumaczy się zarówno przed służącym, jak i przed samą sobą.

Delikatny półuśmiech przemknął przez usta kamerdynera.

- Oczywiście, proszę pani.

Trzymając w jednej ręce lilie, a bilecik od Vessey'a w drugiej, patrzyła, jak kamerdyner się oddala. Kiedy zniknął, zamknęła oczy i podniosła kwiat, chłonąc jego woń.

- Och, tak się cieszę, że postanowiłeś się do nas przyłączyć - oświadczyła lady Julianna dwa tygodnie później, kiedy Ethan wszedł do pokoju śniadaniowego Pendragonów. - Rafe powinien zaraz się zjawić. Miał do załatwienia jakąś pilną sprawę, która nie mogła poczekać nawet na jego zwyczajową poranną filiżankę kawy.

Był środek maja, do pomieszczenia wpadało wiosenne słońce, wnosząc atmosferę beztroski i radości. Rozciągający się za podwójnymi

szklanymi drzwiami ogród tworzył istną tęczę kolorów, po soczystej zielonej trawie skakały rudziki poszukujące robaków na śniadanie.

Ethan, nie zwracając uwagi na piękno przyrody, schylił się, by złożyć przyjacielski pocałunek na gładkim policzku Julianny.

- Też się cieszę. Pod nieobecność Rafe'a będziemy mieli więcej czasu tylko dla siebie. - Mrugnął do niej żartobliwie. - Chcę powiedzieć, że dziś wyglądasz olśniewająco, bardziej olśniewająco niż zwykle. Ten nienarodzony maluch naprawdę ci służy.

Julianna roześmiała się, w jej ciemnych oczach i na pięknej twarzy malowało się szczęście.

- A owszem, służy, choć tym razem spodziewam się dziewczynki. Ale niezależnie od płci, naprawdę nie mogę się uskarżać na samopoczucie, nie męczą mnie mdłości ani słabość. Gdyby nie to - powiedziała, kładąc dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu - nie wiedziałabym, że spodziewam się dziecka.

Ethan uśmiechnął się i usiadł przy stole.

Julianna, doskonała gospodyni znająca upodobania Ethana, podniosła imbryk z sewskiej porcelany stojący na środku przykrytego lnianym obrusem stolika i naleła markizowi filiżankę herbaty.

- Moja siostra twierdzi, że za drugim razem łatwiej znosi się stan błogosławiony. Cieszę się, że potwierdza się to i w twoim przypadku. A jak się miewa młody panicz Campbell?

- Jest cudowny - odrzekła, dolewając sobie herbaty, po czym odstawiła imbryk z powrotem na ocieplacz. - Choć ostatnio, odkąd nauczył się biegać, wystawia cierpliwość piastunki na ciężką próbę. Gdy się rozbryka, naprawdę trudno go złapać. Wczoraj wieczorem nie chciał się

położyć, dopóki Rafe do niego nie przyszedł. Ma zaledwie czternaście miesięcy, a jest takim wytrawnym negocjatorem, że zdołał wytargować od tatusia dodatkową bajkę przed snem. Już po pierwszej stronie spał jak zabity.

Na to wspomnienie na ustach wykwitł jej czuły uśmiech.

- Ale dość o mnie. Jakże ty się miewasz?

Hm, pomyślał Ethan, jakże się miewam... Miewałbym się znacznie lepiej, gdyby pewna wdowa nie starała się mnie unikać, w dodatku tak skutecznie.

Przez ostatnie dwa tygodnie liczył, że ujrzy Lily Smythe na którymś przyjęciu. Jednak pomimo jego wysiłków, jak dotąd nie pojawiła się na żadnym, na które i on był zaproszony. Zakładając, że bywała w towarzystwie i spędzała wieczory poza domem - a spodziewał się, że tak - najwyraźniej musiała ograniczać się do skromnych obiadów oraz kameralnych spotkań, i to tylko dla dam.

Gdyby nie zwrot bukietu, jaki jej wysłał, mógłby przypisać tę nieuchwytność niefortunnemu zbiegowi okoliczności. Podejrzewał, że były to wyniki celowych zabiegów.

Wystarawszy się u lady Coates o adres Lily jeszcze w wieczór przyjęcia, na którym się spotkali, rozważał, czy nie złożyć wizyty w jej rezydencji. Jednak zważywszy, jak krótko się znali, przynajmniej oficjalnie, uznał, że rozsądniej będzie znaleźć inny sposób podbicia serca wdowy Smythe.

Z reguły nie uganiał się za kobietami, zwłaszcza takimi, które nie chciały z nim flirtować. Zwykle niewiasty zabiegały o jego względy, co sprawiało, że mógł przebierać w propozycjach jak w ulegawkach. Teraz nie

pragnął żadnej z nich, cała jego uwaga skoncentrowała się na tej jednej jedynej.

Do tej chwili powinien był już wyrzucić z pamięci wspomnienie namiętnego sam na sam z Lily. Jednak tych kilka minut bliskości tkwiło w jego zmysłach niczym afrodyzjak, rozpalając pożądanie i chęć na więcej. Przypadkowe spotkanie u Coatesów tylko zaostrzyło jego apetyt.

Jedno wiedział na pewno: chciał zobaczyć Lily Smythe w swoim łóżku.

I, na Boga, zrobię wszystko, żeby się tam znalazła. Muszę ją tylko przekonać, że sama też tego chce, powtarzał sobie w myślach.

- Zatem powiedz - zagadnęła Julianna, przerywając jego zadumę - ile serc złamałeś ostatnio?

Milczał przez chwilę, uświadamiając sobie, jak blisko była odgadnięcia jego myśli.

- Niestety żadnych, moja droga. - Otrząsnął się szybko i posłał jej filuterny uśmiech. - Co mi po nich, gdy twoje serce jest już zajęte.

- Otóż to, jest zajęte - zagrzmiał Rafe Pendragon, wchodząc do jadalni - i racz łaskawie o tym nie zapominać. Nie masz co liczyć na udane łowy, mimo że jesteś jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Ethan uśmiechnął się, popijając herbatę. Był świadom, że nie grozi mu gniew Rafe'a. Oczywiście sytuacja wyglądałaby całkiem inaczej, gdyby miał wobec Julianny jakieś plany. Dobrze wiedział, że przyjaciel rozerwałby na strzępy każdego mężczyznę, który próbowałby się zalecać do jego żony. Która i tak nie byłaby zainteresowana, nie widziała bowiem świata poza mężem.

Rafe podszedł do krzesła żony, pochylił się i złożył jej na wargach krótki, ale pełen czułości i miłości pocałunek. Wyprostowawszy się, powitał Ethana przyjacielskim skinieniem głowy i zajął miejsce przy stole.

Do pokoju wszedł służący z dużym srebrnym dzbankiem. Podszedł do Rafe'a i nalał baronowi gorącej kawy do porcelanowej filiżanki. Następnie pojawił się kolejny lokaj, niosąc tacę z jajami, bekonem, wędzonymi śledziami i cynaderkami. Następnie na stole znalazła się srebrna patera z grzankami i koszyczek pełen najróżniejszych bułeczek i racuszków. Jako ostatnia pojawiła się misa świeżych owoców.

Ethan nałożył sobie na talerz jajka, trzy plastry bekonu i jednego śledzia, dołożył pysznie pachnącą jagodziankę i z przyjemnością zabrał się do jedzenia. Rafe i Julianna poszli w jego ślady.

Gawędzili przy posiłku na najróżniejsze tematy. Ethan odczekał, aż służba uprzątnie naczynia, naleje kawę i herbatę, po czym przeszedł do sprawy, która leżała mu na sercu.

- Doszły mnie słuchy, że w waszej okolicy pojawiła się nowa sąsiadka - zaczął, mieszając napój, z którego unosiły się delikatne smużki pary. - Młoda wdowa, jeśli się nie mylę?

Julianna odstawiła filiżankę na spodek.

- Ach, chodzi ci zapewne o panią Smythe. Owszem, wprowadziła się niedawno. Spotkałem ją w zeszłym tygodniu, gdy wyszłam z małym Camem na spacer. Wydała mi się bardzo miła i słodka.

Ethan nie był pewien, czy określiłby Lily mianem „słodkiej” w obliczu jej zuchwałych poczynań, które, gdyby prawda o nich wyszła na jaw, zaszokowałyby wiele osób z towarzystwa, w tym, jak podejrzewał, również Juliannę. Z drugiej jednak strony może to właśnie było

najodpowiedniejsze określenie: w jego ramionach Lily na pewno była słodka.

- Czemu pytasz? Znasz ją? - indagowała Julianna, lekko unosząc brew.

Spuścił wzrok i potarł paznokciem wykrochmalony obrus.

- Jedynie przelotnie. Przedstawiono nas sobie na jednym z obiadów kilka tygodni temu. Po prostu wydało mi się interesujące, że nabyła rezydencję w tym właśnie kwartale.

Baronowa uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Och, czy to jedyne, co cię zainteresowało?

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

Tym razem roześmiała się już głośno, zawtórował jej Rafe siedzący po drugiej stronie stołu.

- Zostałeś przyłapany, stary druhu - powiedział. - Julianna potrafi wyczuć romantyczne skłonności na milę.

- Cóż, niewielka to sztuka, zważywszy, że Ethan robi tak wyraźne aluzje. - Posłała markizowi ciepły uśmiech. - Śmiało, pytaj. Co chciałbyś o niej usłyszeć? Choć nie mogę powiedzieć, bym sama wiedziała dużo, bo nie rozmawialiśmy na tematy osobiste.

On też nie mógł powiedzieć, że wie dużo o Lily - zastanawiał się, czy w ogóle jest ktoś, kto by wiedział. Być może jej przyjaciółka Davina, choć nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że i jej Lily nie wyjawiała wszystkich sekretów.

- Zgodzicie się obaj co do tego, że pani Smythe jest bardzo urodziwa? - ciągnęła Julianna.

Uśmiechając się, Ethan oparł się wygodnie na krześle.

- Bardzo efektowna, jeśli ktoś gustuje w rudowłosych. Będzie na waszym balu w przyszłym tygodniu?

Julianna przytaknęła.

- Tak się składa, że wysłałam jej zaproszenie.

- I? - chciał wiedzieć Ethan, czując, jak puls mu przyspiesza.

- I przyjęła. Chyba nie dalej niż wczoraj otrzymaliśmy jej bilet. Miał ochotę uśmiechem wyrazić swą radość, ale pohamował się, tłumiąc okrzyk triumfu.

- To dobrze.

- Tylko tyle? Masz minę kota, który właśnie połknął smakowitego kanarka.

Ethan nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

- Czy jeśli znowu spotkam przypadkiem panią Smythe przed bale, mam jej szepnąć, że się nią zainteresowałeś? - droczyła się dalej Julianna.

- Nie! - Oczywiście mało nie wyszły mu z orbit, szybko jednak odzyskał panowanie. - To jest, byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała dyskrecję, pozwalając mi samodzielnie odświeżyć znajomość z tą damą.

- Nie obawiaj się - obiecała baronowa. - Nie pisnę słówka.

- Będę ci wdzięczny.

Po tej wymianie zdań rozmowa zeszła na mniej drażliwe tematy.

Kilka chwil później Julianna ich przeprosiła.

- Muszę już iść do pokoju dziecięcego. Bóg jeden wie, co Cam zdążył tymczasem napsocić.

Ethan i Rafe wstali, gdy opuszczała pokój.

Ethan zaczął się żegnać, świadom, że na przyjaciela, podobnie jak na niego samego, czeka praca.

- Co do tej wdowy... - zaczął Rafe. - Czy to przypadkiem nie ta sama, przez którą kilka tygodni temu nie mogłeś się skupić na grze?

Ponieważ znali się z Rafe'em jeszcze z Harrow- razem z Tonym tworzyli w szkole triumwirat - Ethan wiedział, że próba kłamstwa się nie uda.

- A jeśli tak, to co?

- To może lepiej, abyś uważał. Jest wprawdzie wdową, lecz nadal damą, w dodatku z tego, co słyszałem, młodą i zapewne uczuciową.

- Jestem świadom jej wieku oraz tego, że straciła męża zaledwie przed rokiem. Nie zamierzam jej skrzywdzić, jeśli to cię niepokoi.

- Nie wątpię, że nie zamierzasz. Ale co z twoją cichą deklaracją dotyczącą planów poślubienia córki hrabiego Sutleigh?

Ethan nonszalancko wzruszył ramionami.

- Co z nią?

- Nie widzisz żadnej sprzeczności w tych dwóch relacjach?

- Nie, ponieważ na razie nie ma żadnych relacji. Nie zaręczyłem się jeszcze z córką Sutleighów, zaś Lily Smythe nie jest moją kochanką.

- Ale chcesz, by nią była.

- Nawet jeśli, to moja sprawa - powiedział Ethan, zaciskając zęby

- Masz rację, twoja. Tylko zwracam ci uwagę, jako twój przyjaciel, że mógłbyś rozważyć konsekwencje swych przedsięwzięć, zanim się w nie zaangażujesz.

- Jako przyjaciel doceniam, że starasz się mnie ostrzec. Ale nie ma takiej potrzeby. Wszystko ułoży się ku naszemu wspólnemu zadowoleniu.

Rafe patrzył na niego badawczo przez dłuższą chwilę.

- Mam taką nadzieję. A teraz pozwól, odprowadzę cię do drzwi, a ty mi opowiesz o parze siwków, którą kupiłeś na Tattersall w zeszłym tygodniu.

Czując ulgę, że zakończyli temat jego miłosnych zamiarów, Ethan z entuzjazmem zaczął opowiadać o swoim najnowszym nabytku.

- Najlepsza para dwulatków, jaką widziałem w ciągu całej dekady. Cóż, mogę powiedzieć tylko: mój zysk, strata Livermoora.

W następny wtorek, wchodząc do sali balowej baronostwa Pendragonów, Lily czuła w całym ciele nerwowe podniecenie, jakby w jej żyłach płynął szampan. To miał być dla niej pierwszy prawdziwy bal, bowiem jej dotychczasowe doświadczenia w tym względzie ograniczały się do wieczorków tańczących odbywających się w pomieszczeniach siedziby kongregacji niedaleko ich domu w Kornwalii.

Jakże różniły się te dwie scenerie. Londyńska rezydencja baronostwa Pendragonów była równie piękna i wytworna, jak zgromadzone w niej towarzystwo. Panie i panowie paradowali w strojnych toaletach, na korytarzach i w salonach tłoczyli się członkowie najlepszych angielskich rodów. Sala balowa, przez którą szła wsparta na ramieniu swego towarzysza, rozbrzmiewała szmerem rozmów i śmiechów. Kryształowe żyrandole pod sufitem skrzyły się blaskiem kilkuset świec, zaś róże stojące w wysokich wazonach z miśnieńskiej porcelany napełniały powietrze słodkim aromatem.

Choć zwykle Lily nie zbywało na pewności siebie, teraz, ku swemu zaskoczeniu, była wdzięczna za możliwość wsparcia się na ramieniu lorda Ottwella. Prawdę rzekłszy, początkowo chciała przyjść sama, lecz Davina, zbulwersowana, szeptem zwróciła jej uwagę, że to nie jest przyjęte, o

czym zresztą Lily doskonale wiedziała. Damie nie wypadało się pokazywać bez przyjaciół, krewnych bądź towarzystwa odpowiedniego dżentelmena.

Ponieważ lord i lady Coates mieli inne plany na ten wieczór, Lily zgodziła się, by na bal zabrał ją lord Ottwell. Zostali sobie wprawdzie przedstawieni zaledwie przed tygodniem na jednym z kameralnych wieczorków muzycznych, ale już wydał jej się miłym, spragnionym sympatii towarzyszem. Może nawet trochę za bardzo spragnionym, jak zaczynała sobie uzmysławiać.

Powitani serdecznie przez Rafe'a i Julianę zaraz po przybyciu, przeszli przez salę i zatrzymali się na jej obrzeżu. Lily natychmiast wysunęła dłoń w rękawiczce spod ramienia lorda.

- Tańce się jeszcze nie zaczęły - zauważył Ottwell, odsłaniając w uśmiechu krzywe siekacze. - Czy mogę liczyć na pierwszy?

- Ależ naturalnie - obiecała Lily, jak nakazywały dobre maniery.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zmierzyć się z walcem - zaproponował, lustrując ją spojrzeniem szarych poważnych oczu. - Chyba że nie chcesz, pani - dodał pośpiesznie. - Wiem, że niektóre damy uważają ów taniec za nieprzyzwoity i gorszący, toteż wolą siedzieć w jego trakcie. To nie znaczy, nie wiem, co pani myśli, po prostu nie chciałbym urazić. Postąpimy wedle pani woli, pani Smythe - chrząknął. - Zatem w czym pani gustuje... to znaczy, jeśli idzie o taniec?

Odczekała chwilę, by się upewnić, że długi ciąg jego słów dobiegł końca, potem odpowiedziała:

- Walc to wspaniały pomysł. Bardzo chciałabym go spróbować.

- Nigdy wcześniej nie tańczyła pani walca?

- Nie - odrzekła szczerze. Ponieważ wyglądało na to, że lord oczekuje dalszych wyjaśnień, postanowiła improwizować. - Przed... ślubem nie miałam okazji, a później... cóż, mąż poległ i ja... po prostu... nie mogłam.

Ottwell zmarszczył piaskowe brwi, na jego twarzy ukazał się wyraz strapienia.

- Błagam, niech pani się nie denerwuje, mówiąc o sprawach tak bolesnych. Dziś wieczór jest pora zabawy, powinna się pani weselić, a ja z ogromną przyjemnością wprowadzę panią w tajniki walca.

- Dziękuję, milordzie.

Zapadła chwila milczenia, w czasie której oboje obserwowali innych gości.

- Lady Coates mówiła, że mieszka pani w Londynie zaledwie od kilku tygodni - odezwał się wreszcie Ottwell, kołysząc się w przód i w tył na piętach. - Czy zdążyła już pani poznać główne atrakcje naszego miasta?

- Tylko kilka. Davina... lady Coates zabrała mnie do cyrku Astleya i choć niektóre numery podobały mi się, żał mi było zwierząt.

- Wydaje się, że mają dobrą opiekę. Jestem pewien, że lubią swoje występy i widownię.

Ciekawe, czy lubią też swoje klatki, do których później wracają, przemknęło jej przez głowę. Wiem, jak to jest żyć za prętami i marzyć, by znaleźć się po drugiej stronie.

- Wie pan, milordzie, na co naprawdę mam ochotę? - oświadczyła raptem, zapominając na chwilę o ostrożności i głośno myśląc.

- Chciałabym się nauczyć powozić.

- Końmi?

Odwróciła głowę i napotkała zdumione spojrzenie swego towarzysza.

- Tak, oczywiście, że koźmi.

Bo choć właściwie nie było jasno sprecyzowanego zakazu, który zabraniałby damie kierowania własnym ekwipażem, Lily uświadomiła sobie, że większość kobiet wołała, całkiem dosłownie, oddać wodze mężczyznom. Ona do nich nie należała. Lord Ottwell zmarszczył czoło, usiłując znaleźć stosowną odpowiedź.

I wtedy poczuła za plecami czyjaś obecność. Zjeżyły się delikatne włoski na jej karku, po ciele przebiegły ciarki, ułamek sekundy nim przy uchu rozbrzmiał ten znajomy głos, aksamitny niczym pieśczęta.

- Dobry wieczór, pani Smythe. Cóż za miłe spotkanie.

W dole kręgosłupa poczuła dreszcz, który zaraz rozszedł się po całym ciele aż po koniuszki palców u stóp i dłoni. Odwróciła się z wolna i spojrzała w górę w świdrujące bursztynowe oczy Ethana Andartona.

Na jego widok zaparło jej dech w piersiach: wyglądał olśniewająco w klasycznym czarnym fraku, sztuczkowych spodniach, białej koszuli i kamizelce, cały strój prezentował się nieskazitelnie niczym na Piękniżu Brummellu w najlepszych latach tego dandysa. Wykrochmalona muszka z białego lnu - precyzyjnie zawiązana w trône d'amour - akcentowała silną kwadratową linię szczęki markiza i podkreślała złoty połysk jego starannie przystrzyżonych włosów.

A więc mnie znalazł, westchnęła w duchu, nie mogąc się zdecydować, czy bardziej się z tego powodu złości, czy cieszy.

- Milordzie - odpowiedziała, dygając - jakże się pan miewa?

- Doskonale, dziękuję... - urwał, potem skinął głową jej towarzyszowi, jakby dopiero teraz go zauważył.

- Ottwell.

- Vessey. O co zatem idzie z tymi końmi? - spytał markiz, najwyraźniej podsłuchawszy urywek ich wcześniejszej rozmowy.

Lilly wyprostowała ramiona.

- Wyznałam lordowi Ottwellowi, że pragnę nauczyć się powożenia, a on właśnie miał mi powiedzieć, czy zgodzi się udzielić mi kilku lekcji.

Z gardła stojącego obok Ottwella dobył się osobliwy pomruk, jakby miał zamiar odmówić, jednak zaskoczył ją.

- Ależ będę czuł się zaszczycony, mogąc pani pokazać, jak obchodzić się z lejcami. Musimy tylko umówić się na konkretny dzień.

- Wyśmienicie, milordzie - powiedziała, nagradzając go uśmiechem, na którego widok Ottwell począł spazmatycznie mrugać, jakby w samo południe zapatrzył się w słońce.

Vessey uniósł brew, wygiął znacząco kącik ust. Lily zignorowała tę minę.

- Lord Ottwell zgodził się także nauczyć mnie walca dziś wieczór. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy razem puścimy się w płasy.

Nie miała pojęcia, co ją skłoniło do wygłoszenia takiej śmiałej deklaracji, czuła tylko, że lord Vessey wyzwala w niej figlarny nastrój. Wiedziała także, że powinna uwolnić się od jego obecności. Jednak jak każdy zakazany owoc stanowił pokusę, której trudno było nie ulec.

- W takim razie proszę, by pani zrobiła mi tę przyjemność i zarezerwowała drugiego walca dla mnie - powiedział.

Uświadamiając sobie, że wpadła we własną pułapkę, przechyliła głowę.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. Drugi walc jest pana.

- Zobaczymy później, co jeszcze.

Zadrzała, wychwyciwszy natychmiast zmysłowy podtekst jego uwagi. Miała tylko nadzieję, że lordowi Ottwellowi to umknęło.

Kilka chwil później w rogu sali zebrał się kwartet i muzycy zagrali kilka taktów, by zasygnalizować gościom, że powinni zająć miejsca do tańca otwierającego bal. Lily stwierdziła z ulgą, że jest to walc.

- Pani - rzekł lord Ottwell, podając jej ramię.

- Wybacz nam pan, lordzie Vessey - powiedziała - ale zaraz zaczniesz się walc.

Markiz skłonił się i odszedł na bok, robiąc im przejście.

Idąc na parkiet, Lily powściągnęła chęć, by się odwrócić i sprawdzić, czy Vessey nadal za nimi patrzy. Ale minutę później, gdy czekali na pierwsze dźwięki muzyki, poddała się i zerknęła przez ramię: już go nie było.

Spuściła głowę.

Z pewnością poszedł szukać swej towarzyszki, pomyślała. I dobrze. Mniejsza z tym. Zdecydowanie już mi lepiej bez ustawicznej uwagi lorda Vessey'a. Dlaczego w takim razie czuję takie rozczarowanie?

Uznała, że zachowuje się śmiesznie, przywołała na twarz pogodny uśmiech i pozwoliła, by partner poprowadził ją do tańca.

W pograżonym w cieniu kąci sali balowej Ethan wypił łyk malagi, patrząc na Lily sunącą po parkiecie w ramionach lorda Ottwella. Tak był

na niej skoncentrowany, że niemal nie zwrócił uwagi na smak i doskonały bukiet wina.

Gdyby choć przez chwilę podejrzewał, że Lilly może serio interesować się Ottwellem, odciągnąłby go od niej jak lew odciąga rywalą od swej zdobyczy. Ale widział, że chciała po prostu się trochę rozerwać, zaś Ottwell jest w jej oczach jedynie dogodnym towarzyszem i partnerem do tańca. Był jednak pewien, że sam lord odbiera całą rzecz inaczej: gdy patrzył na Lily, na jego zwykle spokojnej twarzy malował się zachwyt.

I cóż w tym dziwnego, myślał Ethan, widząc, jaka jest śliczna: promienna niczym piękny letni dzień, w granatowej sukni wirującej dokoła szczupłych kostek, z upiętymi wysoko tycjanowskimi włosami, pięknymi jak ona sama. Przebywanie w tym samym pomieszczeniu co Lily rozpalało mu zmysły, ukazując tylko siłę pożądania, jakie w nim wzbudzała.

Ale namiętność mogła na razie poczekać. Markiz musiał uzbroić się w cierpliwość, by dotrzeć do chwili, gdy tę zabawę w gody doprowadzą do nieuchronnego finału. Przypomniawszy sobie jeszcze raz ich krótką, acz pobudzającą potyczkę na słowa, świadom, że z niecierpliwością wypatruje następnej odsłony.

W oczekiwaniu na walca z Lily, zamiast chować się po kątach, powinien poprosić do tańca inne damy. Julianna będzie domagała się wyjaśnień, jeśli nie będzie ostrożny. Już i tak interesowała się Lily, po cóż jeszcze bardziej rozbudzać jej ciekawość? Nie chciał także ściągać na siebie uwagi reszty towarzystwa.

Ponadto w tańcu łatwiej byłoby mu ją obserwować. Kto wie, może nawet przypadkowo otrzemy się o siebie, gdy będziemy się mijać,

pomyślał z nadzieją. Dopił resztkę wina, odstawił kieliszek i ruszył na parkiet.

Lily przekonała się, że miała rację, podejrzewając, iż Ethan znalazł sobie inne partnerki do tańca. Opuścił tylko pierwszego walca, potem jednak nie schodził z parkietu, tańcząc z kolejnymi pięknosciami.

Gdyby przejmowała się takimi sprawami - co, rzecz jasna, nie miało miejsca - musiałaby przyznać, że utarł jej nosa, zanim rozbrzmiały akordy drugiego walca. Choć sama nie narzekała na brak partnerów, ledwo łapała oddech między końcem jednego tańca a pojawieniem się kolejnego dżentelmena proszącego ją o następny. Przez cały ten czas miała świadomość obecności lorda Vesseya: a to mignęła jej jego wysoka postać z gracją poruszająca się w rytm muzyki, a to do uszu dobiegł gardłowy śmiech kwitujący jakąś zabawną uwagę partnerki.

Teraz nadeszła jej kolej - albo jego, w zależności od punktu widzenia. Czekala na Vesseya, popijając ze szklaneczki chłodną lemoniadę, by zwilżyć usta.

Pojawił się, podchodząc niepostrzeżenie od tyłu, gdy przełykała ostatnie krople.

- Lemoniada, tak? - rzucił. - A szedłbym o zakład, że gustuje pani w mocniejszych trunkach.

Zaskoczona, zakrztusiła się i zaniósła kaszlem. Gdy nie przestawała, położył dłoń na jej plecach i zaczął głaskać, zataczając uspokajające, szerokie koła.

Przeszył ją dreszcz.

- Już dobrze? - zapytał cicho, niemal poufale. Skinęła głową i znowu zakasłała.

- Naprawdę powinien pan przestać tak się do mnie podkradać - wykrztusiła, gdy zdołała odzyskać oddech. - Nie mógłby pan podchodzić do mnie z przodu?

Uspokojony, że nic poważnego się nie stało, uśmiechnął się swobodnie.

- Mógłbym, ale tył podoba mi się bardzo, przynajmniej pani tył. O mały włos znów się nie zakrztusiła, słysząc tę nieprzyzwoitą uwagę, znowu poczuła mrowienie, bo jeszcze raz ją poklepał, przeciągając dłonią po plecach aż do podstawy kręgosłupa. Przytrzymał tam chwilę rękę, jakby chciał przesunąć nią z powrotem ku górze, ale zaraz jak gdyby nigdy nic opuścił ramię.

Sutki jej stwardniały, policzki oblały się pąsem. Powstrzymała nagłą chęć, by skrzyżować ramiona na piersiach, dziękując opatrności, że ma na sobie luźną suknię i gorset, które skryły reakcję ciała. Zerknęła na markiza i przekonała się, że wygląda zupełnie zwyczajnie.

O niebiososa, a jeśli ktoś to zauważył, pomyślała. Jednak szybki rzut oka na salę upewnił ją, że większość gości jest pochłonięta rozmową lub toruje sobie drogę na parkiet; nikt nie patrzył w ich stronę. Z ewidentnie szelmowskim błyskiem w pięknych oczach, podał jej ramię:

- Pójdziemy?

W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale zmieniła zdanie. Pozornie spokojna, położyła rękę na rękawie jego wytwornego fraka.

Minutę później miała okazję po raz kolejny dotknąć eleganckiej tkaniny, kiedy umieściła dłoń w rękawiczce na silnym ramieniu markiza, druga tkwiła pewnie zamknięta we wnętrzu jego dłoni.

Jego ręka znalazła się na jej plecach, nieco niżej niż powinna. Tak samo rzecz się miała z dzielącą ich odległością; znajdowali się o dobre dwa cale bliżej siebie niż pozostałe czekające na parkiecie pary.

Kiedy chciała się odsunąć, nie pozwolił, przytrzymując ją delikatnie.

- Cii, proszę się nie ruszać - wymruczał. - Stoi pani dokładnie tak, jak należy.

Otwierała usta, by zaprzeczyć, kiedy zabrzmiała muzyka. I nagle ani się obejrzała, a już sunęli po sali, jej pantofelki płynęły lekko po błyszczącym parkiecie w takt słodkich dźwięków fletu, skrzypiec i wiolonczeli.

Jej pierwszy walc był upojny, ale drugi wprost boski, czuła, jakby unosiła się w chmurach. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, każdy krok prowadzącego ją markiza był zdecydowany i jednocześnie pełen finezji.

Podczas obrotu przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie, nie odwracając wzroku z jej twarzy.

- Powiedz mi, dlaczego unikałaś mnie przez ostatnie dwa tygodnie? Jej oczy lekko się rozszerzyły, zanim zdążyła ukryć zaskoczenie.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale obawiam się, że nie wiem, co pan ma na myśli - skłamała.

Oczy mu zabłyśły.

- Ależ naturalnie, że pani wie, jednak na razie zapomnijmy o tej kwestii.

- Nie ma żadnej kwestii - obstawała, nie chcąc przyznać mu racji. - Nawet jeśli nasze drogi się ostatnio rozmijały, jestem pewna, że to sprawa zwykłego przypadku.

- Hm... Miło to słyszeć. Zacząłem się już niepokoić, czy z jakiegoś nieznanego powodu nie popadłem w niełaskę. To ogromna ulga słyszeć, że nie mam się czym trapić.

Wprowadził ją w kolejny obrót.

- W imię naszej przyjaźni muszę prosić, byś mi, pani, pozwoliła uczyć cię powożenia, jeśli naprawdę pragniesz takiego instruktazu.

- Owszem. Ale nie mogę skorzystać z pańskiej propozycji, ponieważ, jak pan doskonale wie, już obiecałam lordowi Ottwellowi, że to on będzie moim nauczycielem.

- Tak, ale Ottwell zgodził się tylko dlatego, że nie chciał zrobić pani przykrości. Jestem pewien, że wcale by nie rozpaczał, gdyby pani postanowiła się wycofać.

- Ale nie, postanowiłam - odparowała, posyłając mu uprzejmy uśmiech.

- W takim razie czuję się w obowiązku ostrzec panią, że nie ma najlepszej ręki do koni.

- Jestem pewna, że radzi sobie wystarczająco dobrze. Vessey wzruszył ramionami.

- Nie lubię rozpuszczać plotek, ale ma dwie lewe ręce. Lepiej by pani zrobiła, zatrudniając miejscowego rzeźnika.

Wybuchła śmiechem.

- Z pewnością pan przesadza.

- Zapewniam, że ani trochę - rzucił z poważnym wyrazem twarzy.

Udało mu się wprowadzić w jej umyśle ziarnko wątpliwości, ale nie zmieniła zdania. Ze wszystkich nierozsądnych pomysłów, jaki mogłyby przyjść jej do głowy, zgoda, by lord Vessey uczył ją powożenia, była

jednym z najgorszych. Poza tym, gdy wieczór dobiegnie końca, zamierzała zadbać, by przypadek nadal trzymał ich z daleka od siebie. Dla własnego bezpieczeństwa, nie miała innego wyboru.

- Dziękuję za ostrzeżenie, ale sądzę, że ja i lord Ottwell doskonale sobie poradzimy.

Mocniej ścisnął ją w talii.

- Doprawdy? Pani sobie poradzi? A co z Ottwellem? Doskonale pani wie, że wodzi biedaka za nos.

Zachnęła się.

- Niczego takiego nie robię. Vessey przewrócił oczyma.

- Ależ bez dwóch zdań, robi pani. Biedak już i tak prawie świata poza panią nie widzi, a spędziliście ze sobą zaledwie kilka godzin. Proszę pomyśleć, jakie spustoszenia musiałby wyrządzić dłuższy kontakt...

- Dobry Boże. Robi pan ze mnie jakąś... wszetecznice.

- Bynajmniej. Ale jest pani zniewalająca, choć być może nieświadoma siły własnego czaru.

Serce waliło jej jak młotem.

- Zdziwiał mnie pan, milordzie, bo nie dysponuję żadnym szczególnym czarem, o którym można by mówić. Nie wiem, skąd panu to przyszło do głowy.

- Z obserwacji, rzecz jasna. - Zawirował w tańcu, nie spuszczać z niej wzroku. - Proszę zjeść ze mną dzisiejszą kolację.

Zadrżała i odsunęła myśl, by się zgodzić. Pokręciła głową, kilka luźnych kosmyków rozsypało się jej na karku.

- Nie mogę. Obiecałam już towarzyszyć komuś innemu.

- To spotkajmy się później. Zjemy lody. Lady Pendragon powiedziała, że zamierza podać truskawkowe. Lubi pani truskawki, prawda?

Jego głos oplatał ją i uwodził niczym pieścizota.

- Owszem, bardzo.

- I szampana. Nie ma nic lepszego niż lody i szampan. Najpierw słodycz na języku, a potem seria maleńkich pobudzających zmysły musujących bąbelków. Niech pani przyjdzie na taras od strony ogrodu o pierwszej. Będę czekał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie przyjdę.

Nawet nie zauważyła, kiedy muzyka ucichła, taniec dobiegł końca. Markiz się zatrzymał, ale nie wypuszczał jej z objęć.

- O pierwszej - wyszeptał. - Nie spóźnij się, pani.

I zaraz, zanim zdążyła jeszcze raz odmówić, rozplynął się w tłumie.

Ethan oparł się dłońmi o balustradę, pod palcami czuł chłód gładkiego marmuru. Za plecami miał bujny ogród, świeżo rozkwitłe bzy napępniały powietrze miodową słodyczą, nocne owady brzęczały cicho. Wiał ciepły wieczorny wietrzyk, od czasu do czasu szeleszcząc leniwie młodymi listkami na drzewach. Z wnętrza domu dochodziło światło i spokojna muzyka; kolacja się skończyła i w sali balowej na piętrze znowu zaczęły się tańce.

Tuż przy jego biodrze na balustradzie stały dwa kryształowe kieliszki do szampana i porcelanowa czara pełna truskawkowych lodów.

Nie obawiał się, że deser się roztopi, bo wcześniej namówił jedną z pomocy kuchennych, by umieściła czarę w słomkowym koszu wypełnionym kawałkami lodu.

Brakowało jeszcze tylko jednego elementu, by całość była doskonała - damy, dla której wszystko to przygotowano.

Lily.

Przyjdzie czy nie, zadawał sobie pytanie.

Wcześniej na parkiecie odmówiła, ale nie przyjął tej odmowy do wiadomości, pewien, że zmieni zdanie i spotka się z nim pomimo zaprzeczeń.

Jednak kiedy szedł pustym korytarzem prowadzącym na taras, zegar wskazywał za pięć pierwszą. To było piętnaście minut temu. Może powinien się poddać i przyznać, że poniósł porażkę.

Przynajmniej tego wieczoru.

Dziesięć minut później poważnie zastanawiał się, czy nie wypić szampana - obu kieliszków - kiedy do jego uszu doleciał odgłos lekkich kroków. I oto się zjawiała: w bladym świetle księżyca granat jej sukni zdawał się niemal czarny, miedziane włosy lśniły w jego poświacie. Wiedział, że początkowo go nie dojrzała, jej oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do mroku panującego na tarasie.

Nagle zatrzymała się raptownie i spojrzała prosto na Vessey'a.

- Och, jest pan tu jeszcze...

- Tak, a pani się spóźniła. Jednak wybaczę pani, bo jestem pewien, że coś nieprzewidzianego musiało ją zatrzymać - powiedział, prostując się powoli.

Wziął kieliszek z szampanem i wyciągnął w jej kierunku. Podeszła bliżej i przyjęła wino.

Uniósł kieliszek do ust i wypił łyk. Poszła w jego ślady, śmiało przechylając kieliszek, jakby chciała nabrać kurażu.

- Prawdę mówiąc, nie miałam zamiaru przychodzić, tak jak mówiłam wcześniej. Ale... przykro mi było, że pan sam tu czeka...

- Ogromne dzięki za łaskawość. - Skłonił się elegancko. - Chociaż teraz, gdy słyszę, że pani spóźnienie było rozmyślne, mogę zażądać rekompensaty.

Rozchyliła usta.

- Rekompensaty? Doprawdy, milordzie, jest pan niemożliwy.

- Niektórzy tak twierdzą. Uniosła kieliszek i wypiała łyk.

- Nie chodzi o to, że przystaję na pańską sugestię, ale jaki rodzaj rekompensaty ma pan na myśli?

- Cóż, musiałbym się zastanowić, a pani zgodzić. - Wyciągnął rękę. - Proszę podejść do mnie, żebyśmy mogli swobodnie pogawędzić.

- O? To właśnie zamierza pan robić? Gawędzić?

Spojrzał jej w oczy z wyrazem niewinności malującym się na twarzy.

- Naturalnie. A co innego chodzi pani po głowie?

Uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz niczym słońce wstającego dnia.

Ale już po chwili naszły ją wcześniejsze wątpliwości. Z szelestem spódnicy rzuciła się pośpiesznie do balustrady i odstawiła kieliszek.

- Nic. Obawiam się, że muszę już wracać. Wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

- Ależ nie może pani jeszcze odejść. Przecież dopiero co pani przyszła. Proszę zostać i spróbować lodów. Truskawkowe, tak jak obiecywałem.

Piersi Lily uniosły się w niezdecydowanym westchnieniu, widać było, jak sama się ze sobą zмага.

- Nie roztopiły się jeszcze?

Pokręcił głową.

- Nie, chłodziłem je lodem, by pozostały pyszne i kremowe.

Sprawdzimy, jak przetrwały?

Przyciągnął ją delikatnie i usadowił obok siebie, by nie mogła tak łatwo uciec, i sięgnął po lody.

- Proszę - zachęcił, wysuwając w jej kierunku łyżeczkę. - Niech pani spróbuje.

Z początku ani drgnęła, z oczyma wbitymi w lody i w tego postawnego, pięknego mężczyznę, który ją nimi częstował.

Co mnie opętało, żeby tu przyjść, zastanawiała się, podczas gdy jej tętno galopowało jak ogier ścigany przez sforę. To była idiotyczna decyzja, ryzykowna i nierozsądna. Zanim się zdecydowała, długo biła się z myślami, odrzucając w międzyczasie kilka zaproszeń do tańca. Przez całą kolację myślała tylko o tym.

Iść do ogrodu czy zostać w sali, gdzie było bezpiecznie, ale nudno? Pójść za głosem rozsądku czy wybrać drogę, na której czeka ekscytacja, niebezpieczeństwo i urzekający lord Vessey?

Gdy szła na dół, a potem korytarzem do ogrodu, tłumaczyła sobie, że tylko sprawdzi, czy on tam czeka. Tylko to, Ale wtedy się do niej odezwał, i niczym ćma zwabiona płomieniem świecy, podeszła bliżej.

Zbyt blisko.

Przypomniała sobie o lodach.

Powinnam ich skosztować czy odejść? Przecież to tylko zwykły deser, prawda? Co szkodzi spróbować?

Jednak kiedy się pochyliła i wzięła w usta łyżeczkę, nagle dostrzegła w tym gościu coś nieprzyzwoitego, niemal grzesznego. Choć być może nie miało to nic wspólnego z lodami, a z mężczyzną, który je oferował. Zimne i aksamitne, rozpuściły się na jej języku, budząc zmysły eksplozją smaku i zapachu.

- Dobrze? - spytał, cofając łyżeczkę.

Mrucząc z zadowolenia, skinęła głową i przełknęła.

Nabrawszy kolejną porcję, sam spróbował. Niezdolna odwrócić wzroku, patrzyła, jak wsuwa łyżeczkę w zmysłowe usta, niespiesznie delektując się truskawkowym smakiem.

- Hm... ma pani rację - orzekł. - Proszę jeszcze skosztować.

Uznawszy się za nierozważną i zepsutą do imentu, mimo to pozwoliła, by podał jej kolejną łyżeczkę, wyrzucając sobie jednocześnie, że sprawia jej to taką przyjemność.

- Szampana? - zaproponował nieco niższym tonem. Odstawił czarę z lodami i odchylił się do tyłu, by odszukać jej kieliszek.

W głowie Lily rozdzwoniły się od nowa sygnały ostrzegawcze. Ignorując je, wzięła łyk szampana: był cierpki w smaku, ale przyjemnie musował na języku.

Schylił się do ziemi, podniósł butelkę, by ponownie napełnić jej kieliszek.

Powstrzymała go w ostatniej chwili.

- Wystarczy, milordzie, w przeciwnym wypadku mogłabym zacząć się zastanawiać, czy nie próbuje mnie pan upoić.

Uniósł złotą brew.

- Proszę nie żartować. Wypiła pani tylko jeden kieliszek.

Zsunął jej dłoń, którą przykryła kieliszek, i dolał szampana - piana podpłynęła niebezpiecznie blisko krawędzi. Śmiejąc się, uniosła trunek do ust i upiła trochę, by się nie wylał.

- Proszę mi powiedzieć, pani Smythe, czym się pani zajmowała przez te ostatnie dwa tygodnie? Mam nadzieję, że nie paradowała pani w męskim stroju, aby wygrać kolejny zakład.

Oczy Lily rozbłysły, na moment straciła czujność.

- Prawdę rzekłszy, jeśli musi już pan wiedzieć, z reguły się nie zakładam. Ten jeden raz... był skutkiem... niespodziewanego kaprysu..., który już się nie powtórzy.

- Z uwagi na pani bezpieczeństwo, cieszę się, że postanowiła pani zaprzestać takich ekscentrycznych poczynań. Mam jednak nadzieję, że nie pozbyła się pani męskiego przebrania. - Pochylił się ku niej, jakby chciał zdradzić jakiś sekret. - Bo muszę wyznać, że bardzo mi się podobałaś w tych pludrach. Może założysz je dla mnie jeszcze kiedyś.

Pąs zalał jej policzki niczym fala brzeg, sprawiając, że podziękowała opatrznosci za panujący dokoła półmrok.

- A może, jeśli będzie pan pragnął naprawdę mocno, zjawi się wróżka i sypnie złotym pyłem na pańską głowę, milordzie.

Zapadło milczenie. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem się nie zagalopowała. Ale raptem markiz odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął szczerym śmiechem.

- Chyba nigdy, pani, się nie znudzę tym ciętym językiem ani ślicznymi ustami, w których mieszka. Ciągle czekam, co ta para powie albo zrobi.

- Jeśli pan obieca, że będzie się grzecznie sprawował, może zostanę na tyle długo, byś się przekonał.

Wielkie nieba, pomyślała, ja flirtuję - a przecież nie wiem nawet, jak się to robi. Jednak przy tym mężczyźnie mówię i wyczyniam rzeczy, które normalnie nigdy nie przeszłyby mi przez głowę. A na dodatek udaję wdowę, którą nie jestem. Co by sobie pomyślał, gdyby znał prawdę?

Wiedząc, że nigdy nie pozwoli mu jej poznać, ponownie odstawiła kieliszek.

- Robi się już późno, a lord Ottwell czeka, by odwieźć mnie do domu. Muszę wracać.

Widziała, jak zacisnął szczęki.

- Ottwell może poczekać. A jeśli nie uzna za stosowne, z przyjemnością będę towarzyszył pani do domu. Już raz panią odwoziłem.

Tak, w istocie, pomyślała, i doskonale pamiętam, co zaszło między nami w czasie tej podróży.

Uśmiechnęła się doń słodko.

- Dobranoc, milordzie.

- Ale przecież nie skończyliśmy jeszcze lodów. Z pewnością może pani jeszcze zostać na łyżeczkę lub dwie.

- Chce pan jeść deser? - spytała sceptycznie.

- A czyż nie to właśnie obiecywałem? Lody, szampana i pogawędkę?

Miał rację - dokładnie to obiecał i zapewnił - przynajmniej na razie. Rozwaga walczyła w niej z pokusą: konieczność odejścia z perspektywą pozostania i spędzenia kilku kolejnych minut w niewątpliwie boskim towarzystwie markiza. Mówi się, że szatan często przybiera ujmującą postać. Czy aby lord Vessey nie jest wcielonym diabłem? Jeśli tak, to diabeł wybrał sobie doskonałe przebranie. Bo któraż kobieta nie zaprzedałaby duszy, by go zdobyć - choćby za coś tak prostego jak wspólnie zjedzona porcja lodów.

Zanim się zorientowała, co robi, przystała na propozycję.

- Dobrze, ale tylko na jedną łyżeczkę.

- Lub dwie - dodał, błyskając białymi zębami w uśmiechu, od którego ziemia osunęła się jej spod stóp. Podniósł czarę i zanurzył w niej łyżkę. - Niechże się pani zbliży - rzucił jedwabistym mruknięciem. - Nie dosięgnę.

Choć wiedziała, że powinna wziąć od niego łyżkę i jeść samodzielnie, podsunęła się bliżej, pozwalając, po raz kolejny tej nocy, by

ją nakarmił. Cukierkowa słodycz raz jeszcze wypełniła jej usta, tak samo aksamitna i chłodna jak wcześniej.

Jednak zaszła pewna istotna zmiana. Bo kiedy markiz delikatnie wysuwał łyżeczkę z jej ust, potarł zimnym spodem o dolną wargę Lily ruchem bliskim pieśczości. Dopiero wtedy ją wyjął.

Odruchowo przełknęła ślinę i wysunęła język, by zlizać lepka resztkę, którą lord pozostawił na jej ustach. On zaś śledził to wszystko wzrokiem, w którym skrzył się głód - tak silny, że widziała go mimo panującego zmroku - który bynajmniej nie miał nic wspólnego z jedzeniem.

Poczuła mrowienie w dole brzucha, oddech jej zrobił się nierówny i płytki.

Znowu wyciągnął w jej kierunku łyżeczkę z kuszącym zawijaszem mrożonej masy. Ale gdy się nachyliła, by zjeść, jego ręka zadrżała i kilka zimnych kropli spadło na dekolt.

Kiedy ze stłumionym okrzykiem wyciągnęła rękę, by je zetrzeć, powstrzymał ją.

- Proszę, ja to zrobię - oświadczył, szybko odstawiając naczynie z lodami. Przyciągnął ją do siebie, po czym oplótł mocno w talii silnym ramieniem i zatopił twarz w jej dekolcie.

Krzyknęła po raz kolejny, kiedy dotknął ciepłym językiem jej skóry, by zlizać lepkie krople.

- Pyszne - wymruczał, gdy znalazł pierwszą, potem następną, sunąc od jednej do drugiej wargami i językiem.

Wydała drżące westchnienie i opuściła powieki wśród wstrząsających dreszczy podniecenia.

Przyciągnął Lily bliżej i rozstawiwszy muskularne uda, umieścił ją między nimi, by mieć pełny dostęp do jej krągłości. Serią namiętych pocałunków i powolnych liźnięć, zaczął wędrówkę, poruszając się po piersiach z wprawą wytrawnego podróżnika. Nie miała pojęcia, jak tego dokonał, ale jednym zgrabnym ruchem uwolnił biust z sukni i gorsetu, po czym zamknął usta na stwardniałym sutku i zaczął ssać. Kolana się pod nią ugięły, ale przytrzymał ją, chwyciwszy za pośladki szeroką dłonią.

Zadrżała, a z jej rozchylnych ust dobył się jęk.

Nachyliła się do przodu, wsunęła, mu palce we włosy i pocałowała w policzek, szorstki od wieczornego zarostu.

Teraz on jęknął, drżąc słabo pod jej dotykiem. Oderwał głowę od piersi, poszukał jej ust i wycisnął na nich dziki pocałunek, którym domagał się wszystkiego, co miała do zaoferowania.

Tonąc w ciemnym morzu pożądania, uległa, odpowiadając na jego pocałunki z niecierpliwością i nienasyceniem, o jakie nigdy by się nie podejrzewała. Ale przy tym mężczyźnie wszystko wydawało się możliwe, rozkosz zdawała się nie mieć granic.

Jej zmysły skoncentrowały się wyłącznie na nich dwojgu, rejestrując jedynie ciepłą, wilgotną jedwabistość jego ust, posuwistą finezją dotyku, odurzającą głębię czystego, męskiego zapachu, który upajał ją i pogrążał w letargu. Żeby poczuć go i smakować jeszcze mocniej, zacisnęła pięści na połach jego fraka, oddychając urywanie, gdy ich języki ruszyły w dziki taniec. Nie bardzo świadoma tego, co dzieje się dokoła, pozwoliła, by pociągnął ją w dół, sadzając na jednym ze swych mocnych ud i przytrzymując silnym ramieniem. Coś twardego i dużego rysującego się pod spodniami wpiło jej się w biodro.

O niebiosa, pomyślała, czy to jego męskość...

Słyszała w głowie dochodzący gdzieś z oddali głosik, ostrzegający, że sprawy toczą się zdecydowanie zbyt szybko, że już zaszły za daleko. Zignorowała przestrożę, zbyt zatopiona w morzu doznań, by się wycofać. Przeszył ją dreszcz, kiedy przejechał jej dłonią po plecach i pośladkach, głaszcząc przez ubranie, tak jak pragnął zrobić wcześniej na parkiecie. Zasypany pocałunkami jej policzki i brodę, przebiegł ustami aż po nasadę szyi. Tam zaczął ssać delikatną skórę, co sprawiło, że tętno jej zatrzepotało niczym spłoszony ptak skrzydłami.

Kilka sekund później wsunął wolną rękę pod spódnicę jej sukni i położył na kolanie. Trzymał ją tam przez parę długich, długich chwil, po czym bardzo powoli zaczął przesuwając ku górze, aż dotarł do końca pończochy i nagiej skóry uda rozciągającej się wyżej. Zalało ją gorąco, rozchodzące się po całym ciele z prędkością pożaru, w środku między nogami poczuła bolesne pragnienie. Przesuwając ją lekko, znowu wpił się jej w usta, koncentrując uwagę na cudownej grze warg i języków. Pochłonięta cudownością pocałunku, nie zauważyła, że znowu zaczął przesuwając dłoń ku górze, dopóki nie położył jej w miejscu, w którym pragnienie było najbardziej dojmujące.

Natychmiast otworzyła oczy w odpowiedzi na ten niespodziewany dotyk i wyswobodziła się z jego ust.

- Och. Co pan... - Instynktownie zabrała rękę z jego pleców i przez suknię chwyciła markiza za nadgarstek. - Proszę przestać.

- Przestać? - wydyszał, patrząc jej w oczy wzrokiem, w którym pożądanie mieszało się ze zdziwieniem. - Dlaczego?

- Bo ja... - urwała, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, ani nawet tego, co naprawdę czuje. Każdy jego dotyk był jak dotąd rozkoszą i na pewno byłoby tak dalej.

Jednak nie powinnam tego ciągnąć, prawda, pomyślała. Jego oczy nagle się zwięziły.

- Przecież już cię tam pieścił? Pieścił? Kto?

Odruchowo pokręciła przecząco głową - zgodnie z prawdą, jako że nigdy jeszcze żaden mężczyzna jej tam nie dotykał. Jednak już chwilę później dotarł do niej sens pytania. Zesztywniała. Dobry Boże, pewnie mówi o moim rzekomym mężu! Raptem zaczęła się gwałtownie szamotać, usiłując zejść z jego kolan. Nie puszczał jej jednak, choć zsunął dłoń na udo.

Wielkie nieba, co ja zrobiłam, pomyślała z tłukącym się w piersiach sercem.

- Więc spał z tobą, ale nie robił nic poza tym? - dopytywał się Vessey twardym, acz cichym głosem. Gdy nie odpowiedziała, ciągnął: - Musiał być z niego nie lada prostak.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła zdecydowana bronić swego męża, nawet jeśli był wymyślony. - Był bardzo... dobry i... delikatny. Ale byliśmy... byliśmy oboje... - W ataku paniki pomyślała: Jacy byliśmy?

- Młodzi - podpowiedział markiz. - To chcesz powiedzieć?

- Tak. Byliśmy młodzi. A teraz pozwól mi odejść. Nie powinnam do tego dopuścić, ani w ogóle tu przychodzić. To był błąd, którego żałuję.

- Doprawdy? - bąknął. - Bo ja nie.

Jednak zorientował się, że nastrój chwili prysł nieodwołalnie, i wysunął rękę spod jej spódnicy. Chwyciwszy za skraj sukni, opuścił ją i

wygładził, tak by znowu przykrywała dokładnie jej nogi. Potem delikatnie poprawił górę sukienki i w magiczny sposób przywrócił do porządku jej gorset.

Drżąc, przypomniała sobie, jak poprawiał jej ubranie, kiedy byli razem w powozie. Jak to się dzieje, zachodziła w głowę, że potrafi tak mnie otumanić, że raz po raz znajduję się na jego łasce?

Kiedy skończył, spróbowała jeszcze raz zejść z jego kolan, ale nadal nie chciał jej puścić.

Spojrzała w piękne bursztynowe oczy markiza i spróbowała zagrać w otwarte karty.

- Milordzie, to - przerwała, by zrobić gest ręką - cokolwiek jest między nami, musi się skończyć. Z pewnością sam pan rozumie. Wprawdzie jestem... wdową i przyznaję, iż być może dałam panu podstawy sądzić, że zainteresowaną zdobyciem... - Głos jej się załamał.

- Kochanka - podsunął.

Spłonęła.

- Właśnie. Ale nie jestem. Szczerze, pomimo dzisiejszego wieczoru, nie pragnę mężczyzny w swojej alkowie.

Milczał przez chwilę, przechyliwszy na bok złotowłosą głowę.

- Jest pani pewna? Przytaknęła.

- Najzupełniej.

Uśmiechając się, uniósł dłoń i położył ją zuchwale na piersi Lily, po czym zaczął ją pieścić.

Jej oddech zrobił się płytki, sutek natychmiast stwardniał w zdradziecki gruzełek.

- Nadal jest pani pewna? - szepnęła, pocierając kciukiem wrażliwy punkcik.

Kiedy zadrżała i westchnęła, roześmiał się. Pochylając się w przód, wycisnął na jej ustach pocałunek i postawił ją na ziemi.

- Na dziś wieczór wystarczy. Wrócimy do tego kiedy indziej.

Ściągnęła brwi.

- Nie, ja... nie wrócimy do tego. Nie chcę romansu, milordzie.

- Ethanie. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, nie sądzisz, że trochę za późno na takie formalności?

- Nie, milordzie, nie sędzę.

Roześmiał się ponownie.

- Jesteś rozkoszna. No, już, biegnij... I niech ten biedak Ottwell odwiezie cię do domu. Na szczęście nie muszę się lękać, że zdoła dotrzeć gdzieś dalej niż do twoich frontowych drzwi. - Chwycił jej dłoń, uniósł do ust i wycisnął pocałunek na środku.

Palce stóp natychmiast się zacisnęły. Zdradzieckie palce, pomyślała ni w pięć, ni w dziewięć.

Świadoma, że powinna się oddalić, dopóki jeszcze ma dość siły i woli, by to zrobić, odwróciła się i pobiegła w stronę domu.

Nie ruszając się z miejsca, Ethan odprowadził ją wzrokiem, dopóki nie znikła mu z oczu. Dopiero wtedy sam się podniósł. By nie zaszkodzić jej reputacji, postanowił zostać w pograżonym w mroku ogrodzie jeszcze dłuższą chwilę. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, ulegnie pokusie, by pobiec i zatrzymać Lily.

Jeszcze teraz pulsowały mu łądzwie, domagając się zaspokojenia, którego nie miały dziś w nocy otrzymać. Ani przez wiele następnych, jeśli intuicja go nie myliła.

Więc jej się wydaje, że nie potrzebuje kochanka?

Być może rozum jej tak podpowiadał, ale ciało ewidentnie mówiło co innego. Pomimo nieudolności swego najwyraźniej niedoświadczonego męża, była kobietą wyjątkowo namiętną. Ethan musiał tylko sprawić, by sama też to zrozumiała i dała się prowadzić zmysłom, a będzie jego.

Dopóki to się nie stanie, będzie musiał okazać cierpliwość.

Być może wypadki dzisiejszego wieczoru powinny były go zniechęcić i wyperswadować mu cały pomysł. W końcu wdowy bywały z reguły kobietami doświadczonymi, znającymi się na miłości fizycznej we wszystkich jej formach i odmianach. Tymczasem Lily nie posiadała tego stopnia wtajemniczenia. Jednak mimo tego, co mu wyjawiała - a może właśnie dlatego - pożądał jej jeszcze mocniej. Istniało wiele powodów, dla których powinien postąpić zgodnie z jej prośbą i zrezygnować z tej konkiety. Bóg świadkiem, że z pewnością oboje lepiej by na tym wyszli, Ethan doskonale wiedział, że takie sprawy rzadko kiedy dobrze się kończą.

Ale musiał ją mieć. Inna ewentualność nie wchodziła po prostu w grę.

Dwa dni później, siedząc przy toalecie w sypialni, Lily czekała aż pokojówka, Susan, upnie wysoko jej grube pukle w elegancką, modną fryzurę, zostawiając kilka krótszych loczków, które wiły się w twarzowym nieładzie na skroniach i policzkach. Było to o tyle łatwiejsze, że z wyjątkiem tych rozmyślnie skróconych kosmyków, włosy Lily urosły bardzo przez ostatnich kilka tygodni.

Zmuszając się, by siedzieć prosto, stłumiła ziewnięcie, zmęczona mimo nocnego wypoczynku. Prawie do samego rana nie zmrużyła oka, wiercąc się i kręcąc z boku na bok już drugą noc z rzędu. A wszystko to za sprawą jednego człowieka.

Lorda Vesseya.

Ethana - uwodzicielskim szeptem, który ciągle brzmiał jej w uszach prosił, by tak się do niego zwracała.

Ale nie, zbeształa się w duchu, nawet w myślach nie będę tytułować go tak swobodnie. To tylko skłaniałoby do słabości, na jaką nie mogę sobie pozwolić.

Już teraz było jasne, że jest zbyt podatna na jego zabiegi i komplementy. Myślenie o nim w tak intymny sposób jeszcze pogorszyłoby sprawę. Ale, Bóg świadkiem, trudno było o nim nie myśleć, zwłaszcza po namiętnych pieszczotach, jakim oddawali się w pograżonym w księżycowej poświacie ogrodzie Pendragonów.

Bezwiednie przymknęła powieki, dając się ponieść wspomnieniom. Jak cudownie czuła się w objęciach markiza, jakże drżało jej ciało, gdy

omal nie zatoneła w rozkoszy jego gorących pocałunków i namiętych pieszczot.

Co by się stało, gdybym go nie powstrzymała? Co by wtedy zrobił i jak cudowne by to było?

Otworzyła gwałtownie oczy, czując, ku swemu wielkiemu zażenowaniu, że przez ciało przebiegł jej dreszcz podniecenia. Nie zwracając uwagi na szkody, jakie taki ruch mógł wyrządzić fryzurze, nachyliła się do przodu i uniosła filiżankę z poranną herbatą. Wypiła spory łyk w nadziei, że gorący napój będzie dostatecznym wyjaśnieniem żywych kolorów, którymi spłoneły jej policzki.

- Och, psze pani, proszę jeszcze chwilkę się nie ruszać - powiedziała Susan. - Zaraz kończę.

Lily wróciła do poprzedniej pozycji, pozwalając dziewczynie dokończyć dzieło. Postanowiła przejrzeć w myślach listę rzeczy, które dzisiaj miała w planach - spotkanie z ochmistrzynią w sprawie harmonogramu prac służby, później godzina w gabinecie na sprawdzaniu domowych rachunków, następnie lunch z Daviną. Po kolacji wybierała się na wieczorek muzyczny w nadziei, że kameralne spotkania nie znajdują uznania w oczach takiego człowieka jak lord Vessey.

Kiedy go znowu zobaczę, zastanawiała się.

Wiedziała, że nie da się unikać go w nieskończoność. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie wpadną na siebie przypadkiem przez następnych kilka dni, on i tak ją odszuka. W końcu nie taił przecież swych zamiarów.

Chce, żebym została jego kochanką. A czego chcę ja sama?

Przyjechała do Londynu, by zdobyć niezależność, zacząć samodzielne życie, wolne od wymagań mężczyzn, niespełnane okowami małżeństwa. I jeśli o to idzie, jej pragnienia się nie zmieniły.

Tyle że lord Vessey w ogóle nie wspomniał o ślubie. Prawdę rzekłszy, odniosła nieodparte wrażenie, że szczęście małżeńskie nie jest czymś, czego pożałoby bardziej niż ona. I tu właśnie leżało sedno jej rozterki.

Namiętność.

Na tę myśl jej oddech stał się płytki, a serce zaczęło bić szybciej.

Nim poznała markiza, w ogóle nie rozważała możliwości romansu. Po pierwsze, była dziewicą, nieświadomą takich potrzeb i pokus - przynajmniej do chwili, kiedy Ethan pojawił się w jej życiu. Ich pierwsze pocałunki w karecie były wprawdzie cudowne, ale starała się o nich zapomnieć, wymazać ze wspomnień. Jednak na balu znowu przewrócił jej świat do góry nogami: jego pieszczoty rozbudziły zmysły Lily niczym iskra, która wskrzesza ogień.

I czy spłonę w tym ogniu, jeśli na to pozwolę? Jeśli mu pozwolę?

- Proszę, jaśnie pani - oświadczyła Susan, uśmiechając się pogodnie w lustrze do Lily. - Skończyłam.

Wyrwana z zadumy, Lily przyjrzała się rezultatom.

- Jak zwykle ślicznie. Dziękuję, Susan.

Pokojówka, zadowolona ze swego dzieła, zaczęła porządkować przybory porozstawiane na lśniącym palisandrowym blacie toaletki. Lily wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

- Susan, mogłabyś skończyć to później? Dziewczyna podniosła wzrok.

- Oczywiście. I tak muszę jeszcze wyprasować pani suknię na dzisiejszy wieczór.

Gdy Susan się oddaliła, Lily podeszła do łoża z żółtymi draperiami i narzutą w takim samym kolorze. Spoczęła na miękkim, wypełnionym gęsim puchem materacu i spojrzała na nocny stolik, gdzie honorowe miejsce zajmowała oprawiony w okrągłą ramkę miniaturowy portret matki. Wzięła go do ręki. Został wykonany w czasach, kiedy matka była jeszcze młoda, niewiele starsza niż Lily teraz. Dziewczyna popatrzyła na ukochaną twarz.

Tak mi ciebie brak, pomyślała i serce ścisnęło jej się boleśnie. Ile bym dała za to, abyś była teraz tutaj, abym mogła z tobą porozmawiać i znaleźć pocieszenie w twych radach.

Ale zaraz sobie uzmysłowiła, że nigdy nie byłaby w stanie zwierzyć się matce z pożądania, które czuła do lorda Vesseya. Mimo ogromnej miłości i łączącej je więzi, matka nie zrozumiałaby ani nie zaakceptowała czegoś podobnego. Dobrze wychowane panienki powinny zachować niewinność dla męża - taka byłaby jej opinia.

Ale co z dobrze wychowaną panienką, która w ogóle nie zamierza wychodzić za mąż? Czy ona też pozostanie dziewicą do końca życia? Większość ludzi powiedziałyby, że tak, w tym i jej matka.

A jakie jest moje zdanie?

Z zamyślenia wyrwało ją głośne miauczenie, a po chwili na łóżko wskoczył duży kot w czarno-brązowe pręgi. Stąpając bezgłośnie po narzucie, zbliżył się do Lily i otarł o jej bok. Uniosła dłoń i przejechała nią pieszczotliwie po grzbiecie zwierzęcia, nie przejmując się tym, że przy

okazji na jej ręce pozostało trochę sierści. Najwidoczniej zadowolony, otarł się głową o jej dłoń, zaczął mrużyć i ugniatać łapkami udo Lily.

- A ty, Mouser - wyszeptała - co o tym myślisz? Miauknął ponownie jakby w odpowiedzi. Zachichotała, uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Cóż, dziękuję za opinię, sir. Czyli co? Uważasz, że jego lordowska mość ma rację. Na pewno weźmiesz jego stronę, mimo że jesteś tylko kotem, a on psem na baby, bo wszak obaj jesteście drapieżnikami.

Jeszcze raz pogłaskała Mousera i podrapała go po łebku, w odpowiedzi na co kot zamruczał głośniej. Kilka minut później zwierzak zeskoczył z łóżka i ruszył w kierunku plamy porannego słońca widocznej na wyłożonej dywanem podłodze. Rozłożył się tam i zaczął czyścić futerko.

Z westchnieniem odstawiła portret matki na stolik nocny i powędrowała myślami do domu. Przypuszczała, że ojczym doszedł do wniosku, iż naprawdę utopiła się w morzu i zarzucił już poszukiwania. Była pewna, że zorganizował pogrzeb, przebolawszy nawet koszta, byle zademonstrować przed ludźmi udawany ból. Prawdopodobnie kazał wykopać grób i umieścić w nim trumnę, wprawdzie pustą, i może postawić pomnik. Dziwnie się czuła, wyobrażając sobie wyryte w kamieniu swoje nazwisko: Lily Bainbridege - martwa, dla wszystkich, którzy ją wcześniej znali. Uświadomiła sobie, że naprawdę stała się teraz Lily Smythe: dawne życie i tożsamość zniknęły na zawsze.

Ale gdzie mnie to doprowadziło, jeśli idzie o lorda Vessey'a?

W to samo miejsce, gdzie już była, uzmysłowiła sobie. Był słabością, której ulec w żadnym razie nie mogła. Kiedy spotkają się teraz, jeszcze raz da mu kosza, nie pozostawiając złudzeń, że kiedykolwiek zostaną

kochankami. Bo choć go pożądała, za nic nie da się omamić jego wdziękami. Niewątpliwie byłoby to przyjemne doświadczenie -nawet bardzo przyjemne, uznała, czując w środku dreszczyk - lecz zbyt niebezpieczne. Na pewno nie spodoba mu się jej odmowa, ale jest przecież dżentelmenem i uszanuje życzenie damy.

Teraz musiała już tylko trwać przy swym postanowieniu i przekonać samą siebie, że chce być jedynie jego przyjaciółką.

Następnego dnia z samego rana Ethan z bukietem kwiatów w ręku zastukał dłonią w rękawiczkę do frontowych drzwi rezydencji Lily Smythe.

Zdawał sobie sprawę, że powinien był wysłać liścik, uprzedzając o swej wizycie, ale nie chciał dawać Lily możliwości odwołania jego wizyty. W ten sposób ryzykował, bo równie dobrze mogła wyjść za sprawunkami lub z wizytą do znajomych. Nie sądził jednak, by była z Daviną Coates, ponieważ wiedział z bardzo wiarygodnego źródła, że do Coatesów przyjechała na tydzień z wizytą matka Geoffreya, o której trudnym charakterze krążyły legendy. Swego czasu sam miał okazję spotkać tę wiedźmę i szczerze współczuł Davinie, która teraz musiała być na każde zawołanie teściowej, zupełnie nie mając czasu na osobiste przyjemności.

Drzwi się otworzyły, służący w średnim wieku - z pewnością kamerdyner - zmierzył wzrokiem markiza i jego bukiet z nieskrywaną ciekawością.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry. - Ethan wyciągnął bilet wizytowy, sztywny prostokąt o nieskalanej bieli, i wręczył służącemu.

Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe, gdy przeczytał wytłoczone na kartoniku nazwisko.

- Proszę wejść, milordzie.

Skinąwszy głową, Ethan wkroczył do holu.

Przekładając kwiaty z ręki do ręki, zdjął rękawiczki i poświęcił minutkę, by rzucić okiem na atrakcyjny wystrój pomieszczenia: podłogę z polerowanego marmuru, ściany w ciepłym kolorze karmelu i wytworne meble Hepplewhite'a. Główny element dekoracyjny holu stanowiła ustawiona na blacie intarsjowanego stolika z orzecha włoskiego przepiękna przepuszczająca światło zielona żardiniera z Sevres, w której umieszczone były porcelanowe żonkile o łodygach z połączanego brązu

Lily ma doskonały gust, uznał. Ale tego się właśnie spodziewał.

- Pani w domu? - spytał.

- Zechce pan spocząć w salonie, milordzie, pójde zapytać. Ethan przeszedł więc do salonu. Kamerdyner zaraz się oddalił, chwilę później markiz poszedł za nim, by nie dać się Lily odprawić z kwitkiem. Pokonał schody i ruszył korytarzem, kierując się w stronę dochodzących głosów. Stał przed otwartymi drzwiami bawialni i zajrzał do środka, właśnie w chwili, gdy Lily wydawała służącemu instrukcje.

- Powiedz jego lordowskiej mości, że nie ma mnie dziś w domu.

- Wedle życzenia, jaśnie pani, sądzę jednak, iż lord wie, że jest pani obecna.

- Kamerdyner ma zupełną rację - oświadczył Ethan, otwierając szerzej drzwi i wchodząc do środka. - Witam. Wygląda pani dziś wprost olśniewająco.

I rzeczywiście tak było: miała na sobie spacerową suknię z lekkiego muślinu w zielono-białe prążki, która doskonale podkreślała szmaragd oczu i tycjanowskie pukle Lily.

Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć, wyraźnie zirytowana tym, że usłyszała jej wykręt. Na chwilę zacisnęła usta, ale zaraz, świadoma obecności kamerdynera, rozciągnęła je w uśmiechu.

- Mogłabym to samo powiedzieć o panu, milordzie. Choć w pańskim przypadku słowo „szampańsko” byłoby chyba stosowniejszym określeniem.

W odpowiedzi na ten zawołany przytyk, na ustach Ethana ukazał się wyraz rozbawienia, ale zachował milczenie.

- Dziękuję, Hodges, możesz odejść - oświadczyła Lily cicho, lecz stanowczo.

Kamerdyner, skłoniwszy się, opuścił pokój.

Gdy tylko zniknął, Ethan podszedł bliżej i podał Lily bukiet.

- To dla pani. Z mojej własnej cieplarni, ścięte niecałą godzinę temu.

Minęła dłuższa chwila, zanim wzięła kwiaty.

Bukiet, owinięty w cienką bibułę i przewiązany szeroką wstążką z białego jedwabiu, wydawał się ogromny w jej drobnej dłoni. Ethan z pańskim gestem kazał przygotować trzy tuziny starannie dobranych róż, wszystkie łodygi pozbawić kolców, żeby wyeliminować możliwość zranienia. Jeśli zaś idzie o kolor, wybrał czerwony.

Czerwony jak usta. Jak żar namiętności. Jak wspaniałe, ogniste odcień jej włosów, w których - miał nadzieję - już niedługo zanurzyć palce.

Patrzył, jak wolno unosi kwiaty, chowa w nich twarz i wciąga powietrze, napawając się cudowną wonią. Lily odprężyła się, przymknęła powieki.

Uśmiechnął się, widząc przyjemność malującą się na jej uroczej twarzyczce.

Opuściła bukiet i zerknęła zza niego na markiza ze ściągniętymi brwiami, jakby przyłapano ją na czymś, czego robić nie powinna.

- Mam nadzieję, że nie odmówi pani przyjęcia tego bukietu, jak to miało miejsce z poprzednimi - rzucił od niechcenia. - Lilie mogły nie przypaść pani do gustu, ale mam wystarczająco dobry wzrok, by widzieć, że te róże nie przynoszą mi wstydu.

- Zaiste, nie - odparła pojednawczym tonem. - Są piękne. Dziękuję, milordzie.

- Ethanie - poprawił cicho.

- Milordzie.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Jak pani woli. Na razie.

Odwróciła się i odeszła, by położyć bukiet na pobliskim stoliku.

- A lilie też mi się podobały. Tyle że w zaistniałych okolicznościach przyjęcie ich uznałam za niestosowne.

- A czemuż to? Dżentelmeni często wysyłają damom kwiaty.

- Nie przeczę. Jednak nie chciałam robić panu złudzeń ani dawać fałszywych nadziei tam, gdzie żadnych nadziei nie powinien pan żywić. - Spojrzała mu w oczy znacząco, licząc, że zrozumie aluzję.

Podszedł bliżej i stanął zaledwie kilka cali od niej.

- Och, kiedy wydaje mi się, że mam wiele powodów, by tę nadzieję mieć, szczególnie po naszym ostatnim spotkaniu na balu. Gdy pozna mnie pani lepiej, przekona się, że potrafię być uparty i wytrwały. Nie poddaję się łatwo, przynajmniej nie wtedy, gdy czegoś naprawdę chcę.

Lekki pąs wypłynął jej na policzki, uwydatniając drobne piegi na nosie.

Śliczna jak zawsze, pomyślał i krew zaczęła żywiej krążyć w jego żyłach.

- Może powinniśmy teraz odbyć tę dyskusję - wyszeptał, przebiegając oczyma po jej twarzy. - Tę, na którą umówiliśmy się w ogrodzie, a potem przełożyliśmy na później.

- Nie było czego omawiać ani przekładać na później, milordzie, jak pan doskonale wie. Dałam odpowiedź. Nie uległa zmianie.

- A jak brzmi ta odpowiedź? O ile pamiętam, była pani raczej rozdarta. — Położył dłoń na jej talii, wyciągając palce do góry, tak że znalazły się blisko piersi Lily. - Może powinniśmy lepiej zgłębić tę kwestię, tylko we dwoje, by mogła się pani zdecydować.

Wzięła głęboki oddech, pierś jej zafalowała, co sprawiło, że ręka markiza przesunęła się bliżej miejsca, gdzie chciały spocząć jego palce. Ale w tym momencie Lily się cofnęła, uwalniając od jego dotyku.

- Już zdecydowałam. Odpowiedź jest odmowna - powiedziała głosem lekko zachrypniętym i wystarczająco niepewnym, by markiz się uśmiechnął. - A teraz - rzuciła, unosząc delikatny podbródek - jeśli to był jedyny powód pańskiej wizyty, chyba powinien już pan ją zakończyć.

Uznawszy, że wystarczy perswazji jak na jeden dzień, ustąpił.

- Prawdę rzekłszy, nachodzę panią z innego powodu, poza kwiatami, rzecz jasna.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wyglądało na to, jakby chciała jeszcze tupnąć nogą.

- A jakież to powód? Proszę go wyjawić, milordzie.

- Nauka powożenia. Pomyślałem sobie, że da się pani namówić na przejażdżkę moim faetonem. Jeśli uda nam się znaleźć kawałek pustej drogi, może nawet zastanowię się, czy nie oddać pani lejców na chwilę.

Odprężyła się, w intensywnie zielonych oczach pojawił się błysk entuzjazmu.

- Och, to brzmi wspaniale. - Jednak chwilę później iskierka zgasła. - Ale niestety muszę odmówić.

- Dlaczego? Boi się pani, że nie utrzymam rąk przy sobie, mając panią tak blisko?

Zanim zdążyła odpowiedzieć na tę prowokację, w drzwiach pojawił się kamerdyner.

- Lord Ottwell, jaśnie pani - zaanonsował gromkim głosem. Ethan zacisnął szczękę.

- Oto dlaczego - wyszeptała cicho Lily, tak by tylko Ethan ją usłyszał. - Lord Ottwell zaproponował mi przejażdżkę swoim powozem. Ma udzielić mi dziś pierwszej lekcji powożenia.

Zanim markiz zdążył odpowiedzieć, wkroczył Ottwell, stanął przed Lily i złożył jej zgrabny ukłon.

- Witam pięknie, pani Smythe. Niech będzie mi wolno zauważyć, że pani jaśniejąca uroda raduje oczy niczym promień słońca po burzy.

Roześmiała się i podała mu rękę.

- Wolno panu, milordzie, ale nie wierzę, bym zasługiwała na tak entuzjastyczny opis.

- Ależ zasługuje pani zdecydowanie na wiele więcej.

Kolejny wybuch śmiechu, jaki dobył się z jej ust, sprawił, że Ethan mocniej zacisnął szczękę.

Ottwell obrócił się, jakby dopiero teraz zauważył obecność markiza.

- Vessey.

- Ottwell. - Ethan powstrzymał od rzucenia rywalowi złośliwej uwagi.

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę, w końcu nowo przybyły odwrócił wzrok i głośno odchrząknął.

- Bynajmniej pani nie pospieszam - rzekł Ottwell z jasnym spojrzeniem znów wbitym w Lily. - Możemy jeszcze zabawić tu chwilę i pogawędzić, jeśli taka pani wola, chciałbym tylko zaznaczyć, że mój stajenny trzyma zaprzęg w pogotowiu. Wystarczy, że da pani znak i możemy ruszać. - Zerknął na Ethana, ukradkiem naprężając ramiona i wypinając chuderlawą pierś. - Zabieram panią Smythe na lekcję powożenia.

Ethan oparł na biodrze zaciśniętą w pięść dłoń.

- Słyszałem. Sądzę, że będzie pan ostrożny.

- Naturalnie. Nie pozwolę pani Smythe na żadne ryzyko.

- Nie chodzi mi o nią.

Twarz Ottwella od fularu po nasadę włosów zmieniła kolor, a spód jego podbródka przypominał barwą świeżo wypaloną cegłę.

Lily odwróciła się szybko w jego stronę, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Proszę dać mi chwilę, milordzie, wezmę jakieś okrycie i wychodzimy. - Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się i zrobiła krok w bok. - I każe pokojówce wstawić je do wody - wyjaśniła, schylając się, by wziąć w ramiona bukiet róż.

Ethan trochę się odprężył, na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy ujrzał, jak Lily, idąc przez bawialnię, unosi kwiaty, by chłonać ich woń.

Gdy opuściła pokój, zapadło milczenie. Ottwell wsunął ręce do kieszeni i bąknął coś o pogodzie. Ethan rzucił w odpowiedzi równie obojętną uwagę. Obaj mężczyźni, Vessey i Ottwell, z ulgą odetchnęli na szybki powrót Lily, która wyglądała uroczo w białym spencerku i słomkowej budce, zawiązanej zawadiacko pod brodą wstążką w zielono-białe prążki.

Kiedy wszyscy troje wyszli z pokoju, Ethan tak manewrował, żeby Ottwell szedł pierwszy. Zwolniwszy krok, pochylił się do Lily.

- Postawiła je pani na toaletce czy na nocnym stoliku? - szepnął w pięknie uformowane uszko. - Chciałbym to wiedzieć, by móc sobie wyobrazić, jak się pani nimi napawa.

Odwróciła głowę.

- Co postawiłam?

Popatrzył jej w oczy, podtrzymując za łokieć, kiedy schodzili po schodach.

- Róże, które pani podarowałem, naturalnie. Wszak zaniósła pani bukiet do swojej sypialni, czyż nie?

Błysk w jej oku potwierdził słuszność jego domysłu, przepełniając go radością. Ach, Lily, zabrałaś moje kwiaty do swej alkowy, skonstatował. Jest tylko kwestią czasu, kiedy i mnie tam zaprosisz.

- Kazałam pokojówce ustawić je na zewnątrz w korytarzyku - skłamała. - A skąd pan wie, że mam toaletkę i stolik nocny?

- Tak uważam, ponieważ meble te często się spotyka w buduarach dam.

- Nie wątpię, że tę kwestię zgłębił pan dokładnie - zażartowała szeptem.

Nachylił się jeszcze bliżej.

- Mam nadzieję, że wkrótce zgłębię ją jeszcze dokładniej. Lekki dreszcz przeszył ją, kiedy stanęli w wykładanym marmurem holu.

Delikatnie wysunęła ramię z jego uścisku.

- Niestety, milordzie, obawiam się, że w tym względzie będzie pan musiał nadal ograniczyć się do spekulacji. A teraz, wybaczy pan, czas na lekcję powożenia.

Zrobiła krok do przodu i zawołała. - Lordzie Ottwell, czy możemy już iść?!

Mężczyzna wyprostował się jak struna, wyraźnie zadowolony, że zabiera ją od Vessey'a. Ethan zszedł za nimi po frontowych schodach na trotuar.

- Życzę miłej przejażdżki. Bawcie się dobrze - zawołał, gdy Ottwell pomógł Lily wspiąć się na wysokie siedzenie karykła.

- Z pewnością będziemy się dobrze bawić. - Pomachała mu dłonią. - Żegnam, milordzie.

- Do zobaczenia, madame. Nie żegnam się, bo jestem pewny, że wkrótce się zobaczymy.

Godzinę później Lily szczerze żałowała, że nie wzięła sobie do serca ostrzeżenia markiza co do umiejętności lorda Ottwella w kwestii powożenia.

Znalazła się w samym środku arabskiej awantury, wśród szczekających psów i pokrzykiwań przechodniów. Obok powozu, w którym siedziała, zebrali się gapie obserwujący, jak jego lordowska mość stara się uspokoić dwóch rozwścieczonych przekupniów. Trotuar zaścielały szczątki drewnianych skrzyń i ich zawartość: jabłka, cebule, główki kapusty i gruszki, bochenki chleba, połamane placki oraz pokruszone ciastka. Na domiar złego, mocno uszkodzony karykiel lorda stał teraz w bardzo niewygodnej pozycji: w połowie na chodniku, w połowie na ulicy, zmuszając innych powożących i stangretów do skomplikowanych manewrów, by ominąć zawalidrogę.

Jakby tego było mało, na miejscu katastrofy pojawiła się zgraja uliczników, którzy napełnili puste kieszenie, chwytając tyle rozsypanej żywności, ile zdołali unieść, i czym prędzej uciekli. Lily wzdrygnęła się, kiedy jeden z przekupniów, wymachując rękoma i wygrażając, obrzucił małych szubrawców inwektywami.

Lord Ottwell załamał rękę.

- Bardzo przepraszam. Zupełnie nie wiem, jak do tego doszło.

- Bo pan, do pioruna, nie skręcił na rogu - wydyszał drugi kramarz. -

Wjechał pan prosto w mój stragan.

- Tak, konie się spłoszyły właśnie wtedy, gdym skręcał - bronił się jego lordowska mość - i nie zdążyłem się dostosować do zmiany trajektorii ich biegu.

Kramarz otworzył usta, grube siwe brwi zbiegły się na jego czole, podrapał się po łysinie.

- Dostosować się do czego?

Ottwell z przejęciem ciągnął swoje usprawiedliwienia. Lily westchnęła. Z miejsca, w którym siedziała, wcale nie wyglądało na to, by konie się spłoszyły, przynajmniej dopóki lord nie skierował ich w zbyt wąski zakręt, powodując, że powóz uderzył w stragany z żywnością. Wtedy biedne, zszokowane zwierzęta istotnie się spłoszyły. Stajenny Ottwella zeskoczył na ziemię, by je uspokoić, i teraz stały nieporuszone mimo panującego wokół chaosu.

Właściciel kramu z warzywami wyciągnął palec grubości marchewki w kierunku zniszczonych towarów.

- Interesuje mnie tylko, czy zapłaci mi pan za straty?

- Ależ, naturalnie, pokryję wszystkie. Jedynie musicie obaj przysłać mi szacunek...

- A jak długo będę musiał czekać? Żyję z tego, co zarobię na tym straganie.

- Wygląda na to, że Ottwell jest dziś wprost rozchwytywany - rozległ się jedwabisty, męski głos. - Niezły kram, muszę przyznać.

Lily odwróciła głowę w lewo i zobaczyła stojącego obok lorda Vessey'a. Wysoki i nienagannie ubrany w surdut tabaczkowego koloru, beżową kamizelkę i jasnobrązowe spodnie prezentował się równie

wspaniale, jak nie tak dawno w jej bawialni. Tyle że teraz w jego bursztynowych oczach lśniły iskierki rozbawienia.

- Jakie wiatry pana tu przygnały, milordzie? - spytała.

- Przejeżdżałem niedaleko i zauważyłem wypadek. Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo się zdziwiłem, gdy okazało się, że pani i Ottwell jesteście w to zamieszani.

Przyglądała mu się badawczo, usiłując rozstrzygnąć, czy zawitał tu tylko przypadkiem, czy też dlatego, że ich śledził. Tak czy owak, pojawił się w samą porę.

- Przyznaję, że kiedy wyruszaliśmy na tę przejażdżkę, nie spodziewałam się, że zakończy się ona na ulicznych straganach.

- Mam nadzieję, że nic się pani nie stało?

- Nic zupełnie, nie mam nawet siniaka.

- To dobrze, byłbym bardzo zmartwiony, słysząc coś innego. A skoro pozostawiono panią własnemu losowi, niech będzie mi wolno służyć jej pomocą i odwieźć do domu. Mój powóz stoi niedaleko. - Wskazał ręką na wspaniałą wysoko zawieszony faeton zaprzężony w parę świetnie dobranych siwków, trzymany w gotowości przez stajennego.

Ciemnogrnatowy pojazd na drzwiach miał malowany złotem herb Vesseyów. Nawet jeszcze przed wypadkiem ekwipaż markiza bił na głowę wehikuł lorda Ottwella. Prawdę mówiąc, był jednym z najwspanialszych powozów, jakie Lily widziała w życiu, nie licząc zapierającej dech w piersiach czterokonnej karety markiza.

Zerknęła w kierunku Ottwella i przekonała się, że wciąż jest pochłonięty negocjacjami z właścicielami straganów.

- Bóg jeden wie, ile mu jeszcze zejdzie - zauważył Vessey, jakby czytając jej w myślach. - Kiedy uda mu się udobruchać tych dwóch, będzie musiał jeszcze wezwać nowy powóz oraz załatwić, by stary usunięto z drogi. Może pani tkwić tu jeszcze godzinami.

Choć zasady podpowiadały jej, że nie powinna opuszczać lorda Ottwella, musiała się zgodzić, że lord Vessey przedstawił kilka słusznych argumentów, z których ponura perspektywa spędzenia reszty popołudnia w zepsutej dwukółce szczególnie trafiła jej do przekonania. Skinęła głową na znak zgody.

- Tak, dziękuję. Będę wdzięczna, jeśli odwiezie mnie pan do domu.

- Ottwell! - zawołał markiz głosem, który z łatwością przebił się przez gwar tłumu. - Pani Smythe wraca ze mną.

Lord urwał w połowie zdania i popatrzył w ich stronę, na czole pojawiły mu się bruzdy.

Nie dając Lily czasu, by odezwała się do lorda, markiz wyciągnął rękę, objął ją w talii i zniósł z siedzenia z pewnością siebie i siłą, co natychmiast wywołało reakcję w dole jej brzucha. Gdy tylko dotknęła stopami ziemi, wsunął sobie pod ramię jej dłoń i poprowadził do faetonu. Ledwie zdążyła zerknąć na Ottwella, który wyglądał na bardzo zafrasowanego, a już stanęli przed faetonem. Markiz pomógł jej wejść do środka.

Gdy chwycił ją w talii, oderwał od ziemi i uniósł w górę, poczuła, że jej tętno gwałtownie przyśpiesza. Przez moment unosiła się w powietrzu w jego silnym objęciu, mając oczy na linii jego oczu, a usta cał od jego ust. Zastygł w takiej pozie na ułamek sekundy, jakby zastanawiał się, czy nie przyciągnąć jej bliżej i nie pocałować. Ale zaraz podsadził ją na siedzenie.

Uspokoila się i opanowała chwilowy zawrót głowy, tłumacząc sobie, że zapewne jest skutkiem umieszczonego wysoko siedzenia faetonu, nie zaś faktu, że znowu znalazła się w ramionach markiza. Rozejrzała się i skonstatowała, że powóz naprawdę jest wysoko zawieszony, przez co czuła się jak ptak, który przycupnął na szczycie najwyższego drzewa w lesie. Uśmiechnęła się, z zachwytem oglądając Londyn z zupełnie nowej perspektywy.

Lord Vessey jednym skokiem usadowił się obok niej na ławce, szerokimi ramionami prawie ocierając się o jej ramiona. Chwycił lejce, gwizdnął cicho na konie i skierował je na drogę. Każdy jego ruch świadczył o wysokich umiejętnościach i pełnej kontroli.

Oto człowiek, pomyślała, który zna się na powożeniu.

- Wydaje mi się, że nie tak wyobrażała sobie pani pierwszą lekcję - zagadnął, kiedy już wyjechali na ulicę.

Wyprostowała się.

- Jeśli pyta pan, czy to ja powoziłam, kiedy doszło do wypadku, muszę zaprzeczyć.

Zerknął na nią.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Jeśli pani pamięta, ostrzegałem, że Ottwell jest wyjątkowo nieporadny w powożeniu - urwał i pewną ręką wykonał szybki skręt, który Ottwella zmusiłby do wstania z miejsca. - Czy choć na chwilę oddał pani lejce?

Zacisnęła usta.

- Powiedział, że sposobi się do tego, szuka tylko odpowiednio spokojnego miejsca.

Vessey wybuchnął śmiechem.

- W Covent Garden? Mógłby szukać cały dzień.
- Zaczęło to do mnie docierać - zgodziła się z westchnieniem.
- Rozczarowana?
- Tak, jeśli chce pan wiedzieć.
- Proszę zatem pozwolić, abym ja panią uczył. Moja propozycja jest nadal aktualna.

Poczuła, że zalewa ją fala pragnienia, ale zignorowała je.

- Nie mogę.
- Oczywiście, że pani może.
- Nie - powtórzyła stanowczo. - Nie mogę. A pan doskonale wie dlaczego.

Rozciągnął powoli usta w zmysłowym uśmiechu.

- Dziękuję za komplement, ale nawet mnie byłoby trudno kochać się z panią na oczach ludzi w otwartym faetonie. Jak się pani zdaje, z jakiego powodu na salonach tak żarliwie popiera się te przejażdżki?

Już chciała coś powiedzieć na to zuchwałe stwierdzenie, jednak wiedziała, że markiz ma rację. Nawet nadopiekuńcze matki pozwalały swym córkom jeździć na spacerach w towarzystwie dżentelmena, o ile tylko wehikuł był odkryty. Jednak czy nie dalej jak wczoraj postanowiła, że będzie widywać markiza rzadziej? Długie godziny spędzane razem w małym powozie, biodro przy biodrze, nie były najlepszą drogą do osiągnięcia tego celu. Z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, że lekcje powożenia z Ethanem Andertonem byłyby o niebo skuteczniejsze. Zakładając, rzecz jasna, że myślałaby o koniach, a nie o kierującym nimi mężczyźnie.

Złożyła na podółku dłonie w rękawiczkach i wbrew sobie opierała się dalej.

- Jakkolwiek zgadzam się, że w otwartym powozie nie byłoby miejsca na rzeczy niestosowne, nie myślę...

- Proszę nie myśleć, droga pani - szepnął z naciskiem. - Po prostu proszę się zgodzić. - Zerknął na nią przelotnie. - Widzę po pani minie, że bardzo byś chciała wiedzieć, jak się obchodzić z lejcami. A choć nie lubię się chwalić swoimi umiejętnościami, powszechnie uchodzę za wyśmienitego powożącego. Mogę panią zapewnić, że nigdy nie wjadę w stragan z owocami ani nie dopuszczę, by pani coś takiego zrobiła podczas nauki. Z ust wyrwał się jej śmiech.

- Nie, jeśli o to idzie, jestem całkiem spokojna.

Bo zaiste jestem, uświadomiła sobie, czując się przy nim tak bezpiecznie jak niemowlę w kołysce.

- W takim razie proszę pozwolić, bym był pani nauczycielem - namawiał. - Gwarantuję niezapomniane wrażenia.

Nie wątpię i właśnie dlatego powinnam odmówić.

- Jeśli to uśmierzy pani obawy - zaproponował - obiecuję, że nasze lekcje będą miały czysto platoniczny charakter. Może mnie pani traktować jak zaufanego kuzyna.

Zachichotała.

- Dalekiego kuzyna, który nie cofnie się przed sprowadzeniem krewniaczki na złą drogę. Jeśli zaś chce mi pan powiedzieć, że będzie się zachowywać jak brat....

- To nie ma pani brata - mruknął w odpowiedzi.

- To właśnie chciałam powiedzieć

Rzucił jej spojrzenie tyleż rozbawione, co zirytowane.

- Lily, po prostu powiedz tak.

Jak naturalnie i prosto brzmiało to w jego ustach. Zastanawiała się, czy właśnie tak się czuła Ewa, stojąc przed drzewem poznania dobra i zła? Z drugiej strony, nie zgadzała się przecież wskoczyć mu do łóżka... a jedynie do powozu. Tyle że nawet teraz wystarczyło odchylić się lekko w bok, by niby przypadkiem otrzeć się o atletyczne ciało markiza, albo przechylić tylko troszkę głowę, by poczuć jego wspaniały męski zapach.

Przygryzając zębami dolną wargę, toczyła wewnętrzną walkę, w której serce wiodło zajadły spór z rozumem. Powiedz „nie”, ostrzegał rozsądek. Ale wtedy właśnie markiz posłał jej uśmiech, od którego zrobiła się miękka jak wosk.

- Dobrze, zgoda - rzuciła gorączkowo. - Jak szybko możemy zacząć? Dzisiaj?

Roześmiał się.

- Nie, dzisiaj już nie. Jest późno, nie uda nam się znaleźć niezatłoczonych ulic, zresztą uważam, że na początek najlepszym miejscem byłby któryś z parków. Gdy tam wyjedzie pani kołem z alejki, w najgorszym wypadku zgniecie kilka kwiatów lub wyrwie garść trawy.

Wysunęła podbródek.

- A dlaczego pan zakłada, że zjadę z drogi? Podejrzewam, że pana zadziwię.

Roześmiał się szeroko, maleńkie zmarszczki rozeszły się promieniście od kącików jego oczu.

- Nie wątpię.

Poczuła na skórze przyjemne ciepło, które, jak wiedziała, nie miało nic wspólnego z temperaturą panującą na dworze.

- Co pani powie na dziewiątą trzydzieści jutro rano? - zaproponował.

- A może to za wcześnie?

Pokręciła głową.

- Jestem rannym ptaszkiem, ta godzina doskonale mi pasuje.

- O, kolejny intrygujący strzęp informacji o pani zwyczajach.

Pomyślę o pani jutro rano, kiedy będę się kąpał i ubierał, zastanawiając się, czy już pani wstała i robi to samo.

Przełknęła głośno ślinę w odpowiedzi na prowokacyjne obrazy, jakie wywołały jego słowa.

- Zdawało mi się, że obiecał pan zachowywać się przyzwoicie podczas lekcji.

- Ale teraz nie jesteśmy w trakcie lekcji. Nie mówiłem nic o czasie przed i po nich.

Serce jej mocniej zabiło.

- Zatem rozumiem, że będę musiała starannie unikać pana towarzystwa z wyjątkiem chwil, kiedy będzie mnie pan uczył.

Poruszywszy lekko, prawie niezauważalnie lejcami, łagodnie zatrzymał faeton. Obracając się na siedzeniu, przycisnął swe kolano do jej spowitego w muślin uda.

- Z pewnością możesz próbować, moja droga Lily - wyszeptał. - Prawdę mówiąc, już się cieszę na myśl o przyglądaniu się twoim wysiłkom.

Litości, w co ja się uwikłałam, pomyślała.

- Przyjadę po panią nazajutrz - szepnął. - Proszę się nie spóźnić.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zajęchali już pod jej rezydencję, a kamerdyner trzyma otwarte drzwi. Jeden z lokajów ruszył w jej stronę, by pomóc jej zsiąść, ale markiz skoczył pierwszy, by czynić honory. Zamiast jednak podać jej rękę, objął ją szerokimi dłońmi w talii, uniósł z siedzenia, przytrzymał w objęciach chwilę dłużej, niż to było konieczne, po czym postawił bezpiecznie na ziemi. Nie puścił jej jednak od razu.

- Do zobaczenia jutro - rzucił wreszcie.

Uklonił się zgrabnie, uchylając cylindra, po czym wskoczył na powrót do faetonu. Chwycił lejce i odjechał.

Próbując opanować drżenie nóg, zmusiła się, żeby się odwrócić i wejść do środka.

Ethan zajęchał pod dom Lily następnego ranka punktualnie o wpół do dziesiątej i znalazł ją czekającą na dole i gotową do wyjścia. Bardzo oficjalna, posłała mu uprzejmy uśmiech, naciągając parę gołębioszarych rękawiczek, które idealnie pasowały do jej modnej sukni podróżnej i solidnych, wykonanych z koźlęcej skóry trzewików z krótką cholewką.

- Witam, milordzie. Możemy ruszać?

Z pobłażliwym uśmiechem usłużnym gestem wskazał drzwi. Kiedy wyszli na zewnątrz, sztywna mina trochę jej zrzędła, a na twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

- Och, nie wziął pan faetonu?

Pokręcił głową i wyciągnął rękę, by pomóc jej wsiąść do karykła.

- W rzeczy samej, nie. Jest zbyt wysoki i szybki, by mógł służyć do nauki początkującym. Ten ekwipaż będzie i tak wystarczającym wyzwaniem.

- Wcale nie wygląda mi na wyzwanie - burknęła, przyglądając się sceptycznie eleganckiej, jednak zdecydowanie niżej zawieszanej czarnej dwukółce.

- Zobaczymy, czy pani nie zmieni zdania, gdy już przejmie lejce. No, do góry.

Zanim miała czas odpowiedzieć, umieścił ją w powozie obok siebie i dał koniom sygnał, by ruszyły. Gdy dotarli do parku św. Jakuba, Lily odzyskała dobry nastrój; kiedy przejeżdżali przez bramę, jej twarz promieniała. Ethan wybrał właśnie ten park w nadziei, że nie spotkają tu zbyt wielu powozów i ludzi z towarzystwa. Dużo by się nauczyła, gdyby co chwila się zatrzymywali na pogawędkę. Poza tym chciał mieć ją tylko dla siebie - całą.

Znalazłszy nieuczęszczany odcinek drogi w głębi parku, zatrzymał karykiel.

- Proszę bardzo - oświadczył - czas zacząć lekcję.

- Och, cudownie! - Wyprostowała się z wyrazem wyczekiwania na twarzy. - Zatem, co mam najpierw zrobić?

- Najpierw masz słuchać, pani - powiedział. - Uwaga, ta wielka bestia po twojej prawej to Grzmot. Większość instrukcji będziesz kierowała do niego. Błyskawica, ślicznotka po lewej, jest grzeczną dziewczynką i zawsze robi to, co on.

- Grzmot i Błyskawica, tak? - rzuciła wyraźnie rozbawiona. - Czy są tak nieprzewidywalne jak ich imiona?

- Ani trochę. Ośmielam się nawet twierdzić, że trudno o bardziej oddany i posłuszny zaprzęg. Nieprzewidywalność zostawiają mnie. -

Puściwszy do niej oko, przysunął się bliżej, tak że leciutko otarł się ramieniem o jej ramię.

Popatrzyła na niego i z rozmysłem się odsunęła.

- A co z pańską przyrodzoną skłonnością do niecnego prowadzenia się? Czy znają ten rys pańskiej osobowości?

Roześmiał się.

- Jestem pewien, że mają pełne rozeznanie, jeśli idzie o moje narowy, choć wątpię, by widziały w mym zachowaniu coś nieprzyzwoitego. Konie, bądź co bądź, to zwierzęta, które uwielbiają rozkosz. Gdybyż tak więcej ludzi chciało iść w ich ślady. Chrząknęła i zmieniła temat.

- A propos śladów, wyjaśniał pan właśnie, jak kierować zaprzęgiem.

- A tak, prawda. - Uśmiechnął się szeroko. - Idźmy dalej. Zerkając na niego spod zasłony rzes, Lily zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, zgadzając się na te lekcje. Jak dotąd jego instrukcje miały tyle samo wspólnego z próbą uwiedzenia jej, co z nauką powożenia.

Ale okiełznam go jakoś, przekonywała samą siebie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Obchodź się z lejcami delikatnie i naucz się ufać temu, co sygnalizują konie. Dobrze, w takim razie spróbujmy. Wyciągnij ręce.

- Ręce? - powtórzyła podejrzliwie.

- Tak. Jak inaczej chcesz nauczyć się operowania cuglami? Głos i ręce będą zawsze pani najlepszymi sprzymierzeńcami. To jak w miłości. Trzeba szeptać koniom czule do ucha, pilnować, by dotyk był delikatny i przyjemny, a wszystko się uda.

Uniosła z dezaprobatą jedną brew.

Uśmiechnął się do niej bez cienia skruchy.

Choć rozsądek podpowiadał jej coś innego, wyciągnęła dłonie.

Chwilkę później markiz przysunął się do niej tak, że ich biodra znowu się stykały. Zanim zdążyła zaprotestować, objął ją ramieniem i przykrył jej ręce swoją dłonią. W odpowiedzi na ten niespodziewany dotyk gdzieś głęboko w środku poczuła niekontrolowany dreszcz.

- Milordzie, co pan robi?

Oczy Vesseya promieniowały czystą niewinnością.

- Szkolę panią, nic ponadto. Jak inaczej chce się pani nauczyć powożenia? Proszę się teraz uspokoić, bo jeszcze spłoszy pani zaprzęg.

Uspokoić się! A to paradne. Jak mam to zrobić, jeśli na dobrą sprawę siedzę mu na kolanach? Mimo to spróbowała, nie tracąc zimnej krwi, kiedy wcisnął lejce w jej dłonie, owinał je nimi i przewlókł na koniec miękki rzemień między palcami.

-Proszę się nie denerwować, nie tracić głowy - powiedział, zbliżając usta zdecydowanie zbyt blisko jej ucha. - Musi pani zachować spokój, ale i kontrolę. Grzmot i Błyskawica wyczują każde wahanie czy napięcie i zareagują na nie. Jeśli chcesz, żeby ruszyły, zatnij tak lejcami.

Nie zmieniając uścisku, zilustrował swe słowa odpowiednim ruchem, dodając jeszcze ciche cmoknięcie. Konie natychmiast ruszyły stępa.

- Leciśnieńkie napięcie wystarczy, żeby zasygnalizować kierunek. Delikatne, miękkie, o takie... - powiedział, demonstrując właściwy ruch. - I troszkę mocniejsze, jeśli chcesz skrócić, ale to zostawimy sobie na później. Za pierwszym razem najlepiej jechać prosto.

Nie wypuszczając z dłoni jej rąk, pokazał, zacinając jeszcze raz lejcami, jak nieznacznie zwiększyć prędkość.

- A tak - powiedział po kilku jardach - się je zatrzymuje. - Bez wysiłku, lekko ściągnął cugle i delikatnie zatrzymał zaprzęg. - Wszystko jasne?

Starając się uspokoić serce tłukące się w piersiach, pokiwała głową, choć nie pamiętała prawie nic z jego wskazówek.

- Wyśmienicie - powiedział. - W takim razie może teraz spróbujesz sama?

- Dobrze. - Nachyliła się do przodu, ostentacyjnie zwiększając dzielącą ich odległość. - Powinnam chyba spróbować samodzielnie. Całkiem samodzielnie.

Puścił jej ręce, usunął ramię, po czym oparł się wygodnie na siedzeniu. Na jego twarzy malował się taki sam wyraz, jaki kiedyś widziała na pyszczku Mousera, gdy skończył bawić się ze szczególnie zwawą myszą. Cóż, wprawdzie dziś jestem ubrana na szaro, pomyślała, ale to jeszcze nie czyni ze mnie myszy. Choć markiz naprawdę był teraz uderzająco podobny do kota: dużego kocura o sierści koloru złota, który z lubością śledził wzrokiem swą ofiarę.

Zrobiła głęboki wdech, odpędziła te myśli i popatrzyła z konsternacją na lejce, usiłując sobie przypomnieć, co markiz jej pokazywał. W tej samej chwili Grzmot potrząsnął ciemnym łbem i parsknął cicho, rozdymając chrapy, wyraźnie świadom zmiany powożącego. Błyskawica poszła za jego przykładem, powtarzając ruchy towarzysza, oba konie wyraźnie wymieniały się jakimiś wiadomościami.

- Sprawdzają cię, chcą wiedzieć, kim jesteś - szepnął Ethan. -Zatnij lejcami, tak jak ci pokazywałem, i pokaż im, kto tu rządzi.

Zerknąwszy na niego z ukosa, zrobiła, jak mówił: uniosła lejce i zaraz opuściła w dół, lekko cmokając. Żaden koń się nie ruszył.

- Troszkę mocniej - zachęcił z ledwo skrywanym śmiechem.

Zacisnęła usta. Mocniej, tak? Strzeliła z całych sił lejcami. Tym razem konie zerwały się do przodu z szarpnięciem, wprowadzając powóz w telepiące kołysanie, od którego i ona sama, i markiz ślizgali się na siedzeniu. Ale choć wyciągnął ręce, by jej pomóc, uchyliła się i chwyciła mocniej lejce. Z naprężonymi ramionami usiłowała zapanować nad ważącymi ponad dwie tony końmi, robiąc co w jej mocy, by utrzymać zwierzęta i powóz w linii prostej. Ethan ponownie opadł na oparcie obok, dając jej pole do popisu.

Trawa i drzewa migały w oczach Lily z szybkością, która wydawała się zdecydowanie zbyt duża, koła obracały się, kopyta klapały o bruk. Powietrze ze świstem wchodziło i wychodziło przez jej rozchylone usta, czuła, że robią się coraz bardziej wyschnięte, a wewnątrz rękawiczek wilgotnieje od potu. Czekwała, żeby markiz podjął kolejną próbę interwencji, ale najwyraźniej nie miał takiego zamiaru.

I właśnie wtedy to sobie uświadomiła.

- Naprawdę to robię! - wyrwało jej się. - Ja powożę!

- Tak - zgodził się z rozbawieniem w głosie. - Bez dwóch zdań.

Przed nimi alejka skręcała dwoma łagodnymi łukami. Pewnie trzymając lejce, Lily przeprowadziła zaprzęg przez pierwszy wiraż, a potem następny, oba pokonując tak, jakby powoziła od lat. Poczowała prostą, żywiołową radość, zaśmiała się w głos. Zerknęła na Ethana, popatrzyła mu w oczy i zobaczyła w bursztynowych tęczówkach błysk satysfakcji. Słońce

kładło na jego twarzy cętki, igrało w czuprynie, zamieniając włosy w żywe połyskliwe złoto.

Puls jej podskoczył, nogi miękkie w kolanach. Odwracając oczy, zwalczyła to doznanie, przekonując samą siebie, że było chwilowe i nie ma absolutnie nic wspólnego z mężczyzną siedzącym u jej boku.

Kłamczucha.

Nagle pojawił się inny powóz, jadący w ich kierunku z dużą szybkością. Pociągnęła za cugle, ale ściągnęła je za szybko i pod zbyt dużym kątem, usiłując usunąć się z drogi. Zarzuciło ich mocno, prawe koło zjechało z dróżki na trawę i zaprzęg się zatrzymał, a drugi powóz przemknął obok.

- Wystarczy jak na jeden dzień? - spytał markiz łagodnie. Nabrała powietrza i pokręciła głową.

- Nie.

Uśmiechnął się, a ona nie mogąc się powstrzymać, odpowiedziała uśmiechem.

Chwilę później poczuła przeszywające ukłucie bólu w ramieniu i pomyślała, że może jednak jej deklaracja była przedwczesna.

- Cóż, chyba przydałaby mi się mała przerwa. - Rozejrzała się po okolicy. - Wielkie nieba, wygląda na to, że wjechałam w zarośla.

- Bez obaw. Wyjedziemy raz-dwa. A propos, jak na pierwszy raz, powoziła pani znakomicie. Lepiej niż większość początkujących.

- Początkujących kobiet, chciał pan powiedzieć.

- Nie, większość początkujących płci obojga. Poczła zadowolenie, słysząc te słowa pochwały.

- Ma pani ochotę nas stąd wyprowadzić? - zaproponował. Rozważała przez chwilę to pytanie, po czym przekazała mu lejce.

- Dziękuję, milordzie, ale na razie zostawię takie kwestie w pana kompetentnych rękach.

Przebiegł wzrokiem po jej twarzy.

- Och, gdybym tylko zdołał cię przekonać, byś wszystko zostawiła w moich rękach, bawilibyśmy się wyśmienicie.

- Wystarczy, milordzie - upomniała go. - A może powinnam rzec: kuzynie?

Zachichotał.

- Daleki kuzynie, pamiętasz. A zatem kiedy następna lekcja? Może jutro o tej samej godzinie?

Jutro!

Wiedziała, że powinna odmówić, lecz pokusa była zbyt silna. W końcu jak inaczej miała nauczyć się powożenia?

- Owszem, doskonale - przystała. - Jutro rano.

Z zadowoleniem malującym się w oczach, cmoknął cicho, z wprawą naprostował powóz i wyprowadził go na drogę.

Jakieś dwa tygodnie później, pięknego słonecznego czerwcowego ranka, Ethan stał z obnażoną piersią przed lusterkiem ustawionym na toalecie. Dobrze naostrzoną brzytwą zgolił ostatni rząd pokrytego mydłem zarostu na lewym policzku, odłożył narzędzie i opłukał twarz do czysta w miednicy z ciepłą wodą. Kiedy się wyprostował, w jego polu widzenia pojawił się świeżo wyprany ręcznik. Wziął go i osuszył gładko ogolone policzki.

- Dziękuję, Welk - powiedział, podając włochaty ręcznik pokojowcowi.

Przeszedł na drugą stronę obszernej garderoby i włożył białą koszulę przygotowaną przez służącego. Zapiął ją, wsunął w brązowe spodnie, dodał do zestawu tabaczkową kamizelkę i stanął przed dużym, sięgającym podłogi lustrem, by zawiązać fular. Jakkolwiek niektórzy z jego sfery uznawali ów nawyk za plebejski, markiz wolał ubierać się sam, zamiast stać jak manekin, pozwalając, by służący dokonał dzieła. Z chwilą kiedy przestał nosić krótkie kaftaniki, doszedł do wniosku, że nie potrzebuje asysty przy ubieraniu z wyjątkiem okazjonalnej pomocy w ściągnięciu butów czy szczególnie obcisłego zakietu.

Właśnie uporał się z ostatnim węzłem, kiedy w drzwiach pojawił się Welk.

- Pan wybaczy, milordzie, ale przybył jego książęca mość, książę Wyvern.

- Wprowadź go na górę, oczywiście.

- Już się wprowadziłem - zawołał Tony z przyległej bawialni, najwyraźniej podsłuchawszy cichą rozmowę markiza z Welkiem.

Książę miał świetny słuch, był czujny jak kot. Ethan przekonał się o tym wiele lat temu, kiedy poznali się jako chłopcy w Harrow. Pomimo oczu sennie patrzących spod półprzymkniętych powiek i pozorów spokoju, niewiele rzeczy umykało uwadze przyjaciela.

Wychodząc z garderoby, Ethan zauważył jednak, że tego ranka niebieskie oczy Wyverna są bystre i ożywione.

- Witaj, Tony. Co cię sprowadza tak wcześnie? Książę położył jedną rękę na pasie.

- Dziś na aukcji w Tattersall's mają wystawiać pierwszorzędnego ogiera. Zastanawiam się, czy nie wziąć udziału w licytacji, i pomyślałem sobie, że może miałbyś ochotę mi towarzyszyć.

To była kolejna rzecz, którą Ethan wiedział o Tonym - że jest znakomitym jeźdźcem i świetnie zna się na koniach. Kiedy książę usłyszał o jakimś interesującym wierzchowcu, bez wahania starał się go nabyć do swoich stajni, które powszechnie uchodziły za jedne z najlepszych w kraju.

- Śniadanie? - zapytał Ethan, podchodząc do kwadratowego mahoniowego stolika ustawionego pod przy jednym z trzech wypełnionych słońcem okien bawialni. Lokaj właśnie ustawiał na pokrytym obrusem blacie półmiski. Apetyczny zapach jajek, szynki i tostów sprawiał, że markizowi burczało w brzuchu.

Usadowiwszy się za stołem, nalał sobie filiżankę czarnej mocnej herbaty, potem następną dla przyjaciela.

- Nie obawiaj się, jedzenia jest w bród. Kucharz zawsze przygotowuje więcej, niż mogę zjeść. Czy mam poprosić o talerz dla ciebie?

- Nie, herbata wystarczy, dziękuję. - Tony usiadł na krześle po drugiej stronie stołu. - To jak z tą aukcją? Idziesz czy nie?

- Niestety. - Ethan ukroił kawałek szynki i włożył do ust: delektował się przez chwilę wędzonym smakiem rozpluwającym się na języku. - Już mam inne plany.

Wyvern uniósł ciemną brew.

- Doprawdy? Coś ostatnimi czasy bardzo często miewasz „inne plany”. A czy nie mają one przypadkiem czegoś wspólnego z pewną rudowłosą wdową?

Ethan przełknął kęs jajecznicy, potem kawałek chrupiącej, posmarowanej masłem grzanki.

- To nie żadne rendez-vous, tylko lekcja powożenia.

- O, to tak teraz się nazywa tego typu rzeczy? - przekomarzał się książę.

Ethan zmarszczył czoło.

- Ona nie jest moją kochanką, jeśli to właśnie insynuujesz. - Jeszcze nie jest, pomyślał. Oczywiście zamierzał zmienić ten stan rzeczy w możliwie najbliższej przyszłości.

Jednak z powodów, których sam nie pojmował, na razie dotrzymywał danej Lily obietnicy utrzymania czysto platonicznego charakteru ich lekcji. Flirtował i przekomarzał się z nią, ale poza tym nie czynił żadnych awansów. Oczywiście, widywał ją na balach, zdarzało im się razem zatańczyć albo pogawędzić kilka minut przy winie i ponczu. Ale

choć nadal jej pożądał, nie inicjował żadnych spotkań o północy w ciemnych ogrodach i nie czynił żadnych poważnych prób uwiedzenia.

Nie potrafił wyjaśnić swego postępowania, zastanawiał się tylko, czy ta nagła powściągliwość nie wynika z jakiegoś dziwnego poczucia honoru, potrzeby wywiązania się z danej obietnicy, zanim sumienie pozwoli mu wrócić do prób zwabienia Lily do łóżka. Tak czy inaczej, pragnął jej desperacko. Niejeden już raz budził się w zmiętej pościeli po nocy dzikich pożądlivych snów, spocony, z członkiem sterczącym jak pika, twardym jak granit i bolącym.

Ale ta dobrowolna wstrzeźliwość niedługo się już skończy, być może jeszcze dzisiaj, ponieważ tego ranka miał udzielić Lily Smythe ostatniej lekcji powożenia.

Okazała się bystrą i wyjątkowo zdolną uczennicą, zadziwiając go wrodzoną zręcznością i dobrą ręką do koni.

W ramach ukoronowania swego sukcesu miała zawieźć ich dzisiaj do Richmond Park, gdzie planował uczcić zakończenie nauki specjalnie na tę okazję przygotowanym piknikiem.

A kto wie, co się wydarzy później, myślał.

Niemniej jednak nie miał zamiaru dzielić się swymi nadziejami z Tonym - bez względu na długi staż ich przyjaźni. Zjadł jeszcze jeden plaster szynki.

- Opowiedz mi o tym koniu.

W drodze do Richmond Lily trzymała pewnie lejce, ale popuściła trochę cugli, pozwalając koniom na rogatce przyspieszyć do łagodnego galopu. Obok niej w otwartym powozie siedział markiz: jego długie, silne ciało było rozciągnięte w leniwej i bardzo męskiej pozie, która

przyciągnęłaby jej pełną uwagę, gdyby nie fakt, że tak gruntownie skupiała się na kierowaniu powozem.

Słońce późnego przedpołudnia sączyło się z bezchmurnego lazurowego nieba, ciepły wiaterek owiewał jej twarz, łaskocząc w skórę i wyciągając spod czepka z małym rondem kosmyki starannie upiętych włosów. Jasnolawendowa suknia pasowała do nastroju Lily: radosnego podekscytowania, zaprawionego lekkim niepokojem.

Dzisiaj miała się odbyć jej ostatnia oficjalna lekcja powożenia.

Przynajmniej tak oświadczył lord Vessey dwa dni temu, kiedy zaproponował tę wycieczkę w ramach z jednej strony ostatecznego sprawdzianu, z drugiej zaś uczczenia pomyślnie zakończonej nauki. Stwierdził, że Lily osiągnęła wystarczającą biegłość i już go nie potrzebuje - a jedynie wewnętrznej pewności siebie, którą może zapewnić tylko regularna praktyka.

Obiecał, że po powrocie do Londynu pomoże jej w zakupie własnego ekwipażu i zaprzęgu, by mogła jeździć po mieście gdzie i kiedy tylko zapragnie. Ta wizja wzbudziła w niej treść, ale i mobilizację, marzyła o wolności, jaką by jej dała taka możliwość.

Z konsternacją uświadomiła sobie jednak, że będzie jej brakować codziennego towarzystwa markiza. Przez ostatnie dwa tygodnie przyzwyczała się do pogawędek i jego obecności, zaczęła oczekiwać ich porannych wycieczek z podnieceniem, które powinna była uznać za niepokojące. A niedawno odkryła coś alarmującego: lubiła Ethana Andartona. Czowała jednak instynktownie, że nie jest typem mężczyzny, który mógłby zostać jej przyjacielem, to znaczy tylko przyjacielem. Był

zbyt śmiały, zbyt męski, emanował zbyt jawnym erotyzmem, by kiedykolwiek mogła go odbierać mniej żywiłowo.

Przecież nie chciałabym, aby został mym kochankiem, pośpiesznie zapewniła samą siebie. Bo nie chcę. Nie pragnę kochanka. Jednak kobieta musiałaby być z granitu, by pozostać nieczułą na wdzięki lorda Vessey. Lily wątpiła, by którakolwiek niewiasta przed osiemdziesiątką potrafiła się oprzeć jego powabowi. Markiz był, na dobrą sprawę, chodzącym afrodyzjakiem.

Analizując zachowanie Vessey z ostatnich dni, zastanawiała się, czy nie przestał się nią interesować. Po pierwszej lekcji, kiedy objął ją pod pozorem nauczania, nie czynił już żadnych dalszych umizgów. Nawet nie próbował pocałować, zachowując się przez cały czas jak prawdziwy dżentelmen - niczym kuzyn, zgodnie z tym, co obiecał.

Zatem już jej nie pożąda? Nie chce być już nikim więcej niż przyjacielem? Spuściła głowę na tę myśl. Co, jak wiedziała, było niemądre, ponieważ taka ewentualność powinna raczej przynieść jej ulgę, a nie rozczarowanie. Kątem oka zobaczyła leniwy uśmiech błakający się na ponętnych ustach markiza i błysk w jego złotobrazowych oczach - oba tak zniewalające, że przeszedł ją dreszcz. Przeniosła spojrzenie na drogę.

Natknąwszy się na wolno jadący wiejski wóz załadowany po brzegi zielonożółtą stertą siana, dała sygnał koniom, by go wyminęły. Dwa * żdźbła wzbily się w powietrze, wirując krótko, nim wylądowały: jedno na spódnicy Lily, drugie na odsłoniętej dekoltem skórze. Mając ręce zajęte lejcami, nie mogła strząsnąć łaskoczących słomek. Poruszyła się lekko w nadziei, że same spadną.

- Pozwól, pani - mruknął Vessey.

Nachylił się do przodu i od niechcienia strzepnął jedno źdźbło, po czym sięgnął ręką do góry po drugie. Oddech Lily zrobił się płytki, serce zaczęło walić jak oszalałe pod żebrami, gdy zawisł palcami nad jej dekoltem. Otarł się ciepłymi opuszkami o pokryte gęsią skórą piersi, wyciągając cienkie źdźbło tkwiące między nimi. Poczwała ciarki na całym ciele. Litości, pomyślała, modląc się, by wziął jej drżenie za rezultat kołysania powozu, nie zaś za reakcję na jego dotyk.

- Jak daleko jeszcze do Richmond? - spytała w desperackiej próbie odwrócenia uwagi.

- Jeśli ostatni słupek nie kłamał, zostało nam jeszcze niecałe dwie mile do pokonania. - Obracając słomkę siana między palcami, opadł z powrotem na siedzenie. - Pomyślałem, że możemy się zatrzymać w parku i trochę posilić. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale poprosiłem kucharza, by zapakował kosz z prowiantem. Na pewno znajdzie się wśród nich coś, co zadowoli pani podniebienie.

Piknik? Myślała, że zatrzymają się w jakiejś gospodzie w Richmond, gdzie przekąszą coś z markizem, podczas gdy konie dostaną wody i odpoczną przed powrotną drogą do Londynu. Ale wypad do parku wydawał się uroczą perspektywą, zwłaszcza w taki piękny, przyjemny dzień. I na pewno był tam jakiś staw, w którym Grzmot i Błyskawica będą mogły się napić.

- Rozkoszny pomysł! - odpowiedziała z nieskrępowaną szczerością. - Naprawdę cudowna niespodzianka!

- Cieszę się, że się pani podoba. - Uśmiechnął się i znów obrócił w palcach słomkę. - Skoro nasza nauka oficjalnie dobiegła końca, uznałem, że należy się nam specjalna nagroda.

- Wcale nie musi się skończyć... mam na myśli lekcje - wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć. - Radzę sobie z karyklem, ale musi mi pan pozwolić zmierzyć się z pańskim faetonem, milordzie. A może uważa pan, że nie jestem jeszcze gotowa?

W jego oczach pojawił się błysk.

- Jest pani jak najbardziej gotowa i zmierzy się z faetonem w najbliższych dniach. Co do lekcji, uważam, że to już przerobiliśmy. Pora, byśmy oboje przeszli do czegoś nowego. Nie sądzi pani?

Patrzyła na niego badawczo przez długą chwilę, zastanawiając się, co dokładnie ma na myśli. Podsunął nogi niebezpiecznie blisko jej własnych, posłał szelmowskie spojrzenie i jeszcze raz obrócił w palcach źdźbło siana.

Czy on ze mną flirtuje? Spojrzała na markiza uważnie, ale gdy po chwili znów na niego zerknęła, miał zupełnie normalny wyraz twarzy, więc uznała, że ponosi ją wyobraźnia.

Półtorej godziny później, siedząc na miękkim kocu, który lord Vessey z galanterią rozłożył na trawie w cieniu rozłożystych starych dębów, doszła do wniosku, że z jej wyobraźnią jest jednak wszystko w porządku.

Wycieczka do parku zaczęła się całkiem niewinnie. Choć teraz, z perspektywy czasu Lily uzmysłowiła sobie, że to markiz zaproponował, by zawiozła ich do uroczego, ustronnego zakątka na drugim brzegu niebieskozielonego stawu.

Zgodził się, że kopiec króla Henryka i Queen's Ride to piękne miejsca, ale twierdził, że roi się tam od hałaśliwych turystów. Obiecał, że

zawiezie ją tam, by mogła podziwiać roztaczające się z nich widoki, lecz zrobi to później, kiedy już w spokoju spożyją lunch.

Vessey napoił i nakarmił konie, w czasie gdy Lily wyjmowała z kosza jedzenie i naczynia. Wróciwszy, ułożył się wygodnie na kocu niedaleko Lily.

Sięgnął po butelkę wina. Wprawnie wyciągnął korek, następnie odszukał kieliszki i nalał szampana.

- Gratuluję sukcesu - wzniósł toast. - Za twoje zdrowie, pani! Najlepszej uczennicy, jaką kiedykolwiek miałem.

- Jedynej uczennicy, jaką pan miał, jak mniemam - odparła ze śmiechem. - Niemniej dziękuję za komplement.

Wypiła łyk wina i poczuła w nosie łaskotanie musujących bąbelków, a chłodny, orzeźwiający trunek przypomniał jej wieczór, kiedy ostatni raz piła szampana z Ethanem Andartonom. Na to wspomnienie zmysłowy dreszcz przebiegł jej po skórze i naszło ją osobliwe wrażenie déjà vu, mimo że to otwarte, zalane słońcem miejsce w niczym nie przypominało pogrążonego w mroku ogrodu, gdzie kilka tygodni temu raczyli się lodami i szampanem.

Vessey przerwał jej te rozmyślania, podając porcelanowy talerz pełen prawdziwych przysmaków: znalazł się tam pieczony kurczak z chrupiącą skórką, sałatka z młodego zielonego groszku i ziemniaków, pikle i kromki świeżego chleba posmarowane grubo świeżym masłem ubitym tego ranka.

Obok nich przeszedł jeden z licznych w tym parku jeleni, który przystanął na chwilę, przyglądając się Lily, Vesseyowi i koniom. Potem

odszedł, dumnie wznosząc poroże, jakby jasno dawał do zrozumienia, że znajdują się na jego terytorium.

- Nigdy mi nie mówiłaś, pani, gdzie spędziłaś dzieciństwo - zagadnął markiz, gdy to wspaniałe zwierzę znikło.

- Doprawdy? - odpowiedziała, racząc się sałatką. - Wydaje mi się, że pan również nie wspominał o rodzinnym domu.

- Hm... chyba ma pani rację. Znajomi z reguły o to nie pytają, ponieważ znają już moją rodzową posiadłość. Nazywa się Andarley i leży w pięknej okolicy w Suffolk. Większość ziem stanowią tam grunty uprawne, ale są także lasy, stawy, a nawet rzeka, która płynie opodal domu. W tym roku razem z zarządcą postanowiliśmy wypróbować dwie nowe odmiany kukurydzy i odmłodziliśmy stary sad, na co już była pora; posadziliśmy kilkaset jabłoni, grusz i czereśni.

- Brzmi to bardzo pięknie.

- Jest piękne. - Przeżuł kęs chleba i przełknął, popijając winem.

- A pani? Ja wyznałem wszystko jak na spowiedzi. Teraz jest pani moralnie zobowiązana do rewanzu.

Czy to aby konieczne? W tej chwili zachowanie daleko posuniętej dyskrecji nie wydawało się jej już tak ważne. Co szkodzi, jeśli markiz pozna kilka szczegółów, oczywiście niezbyt wiele. Ciągłe ukrywanie własnej przeszłości zaczynało ją już bardzo męczyć.

- Pochodzę z Kornwalii - rzuciła, zanim zdążyła się zastanowić.

- Dorastałam nad morzem. Był pan tam kiedyś?

Raptem ścisnęło ją w żołądku, lunch podjechał jej prawie do gardła. Boże wielki, a co jeśli był? Jeśli zna mój dom? Ale zaraz pomyślała, że przecież Kornwalia jest duża, a ona nie musi opowiadać zbyt dokładnie.

Jednak zaraz przekonała się, że niepotrzebnie się martwiła. Pokręcił głową.

- Nie, zawsze chciałem wybrać się kiedyś na zachód, ale okazja jakoś nigdy się nie nadarzyła. Słyszałem, że to bardzo malownicza kraina, choć surowa i dzika.

- Potrafi być i taka, i taka jednocześnie - zgodziła się - bo niewątpliwie jest surowa i nieposkromiona. Większość mieszkańców ledwo wiąże koniec z końcem, żyją z górnictwa, rybołówstwa i mleczarni, ale sama ziemia jest niepodobna do innych okolic, które znam, ma w sobie szczególny czar. - Odprężyła się i pozwoliła myślom płynąć swobodnie. - W pogodne popołudnie, gdy się stanie na szczycie jednego z klifów okalających brzeg morza, jak na dłoni widzi się całą okolicę na mile. Wiatr podnosi fale, przesycone solą powietrze ma moc i słodycz najlepszych perfum. Ale kiedy nadchodzi sztorm, wszystko staje się czarne, woda kipi i człowiek ma wrażenie, że rozpętało się prawdziwe piekło.

Moja matka bała się burzy, ja nigdy. Chyba pod tym względem wdałam się w ojca. Im gwałtowniejsza, tym lepsza, mawiał. Uwielbiałam błyskawice i grzmoty, widok ściany deszczu, odgłos kropeł bębniących o dach. Burze bywają czasem prawdziwym darem niebios. Niekiedy przynoszą wolność.

Urwała, uświadomiwszy sobie raptownie, co mówi, i dostrzegłszy zaciekawienie malujące się na przystojnej twarzy lorda Vessey'a. Zapadło milczenie, w którym trzask ptaka siedzącego na gałęzi opodal zabrzmiał osobliwie głośno.

- Na Jowisza - powiedziała, podszywając swoje zakłopotanie śmiechem. - Nie wiem, jak to się stało, że zaczęliśmy na ten temat rozmawiać.

- Tęskni pani za tym - raczej stwierdził, niż zapytał markiz. Skrzywiła się, żałując, że nie może cofnąć ostatnich pięciu minut.

Powiedziałam o wiele więcej, niż powinnam. Źle, że przestałam się mieć na baczności.

- Może. Czasami.

Wzruszyła ramionami i wzięła do ust kolejny kęs kurczaka. Sięgnęła po kieliszek i popiła szampanem.

Po dłuższej chwili odstawiła na bok talerz, podniosła wzrok i napotkała baczne spojrzenie Vessey'a.

- Teraz Londyn jest moim domem - oświadczyła. - Już nie wyobrażam sobie życia poza nim.

- Nie wyobraża sobie pani?

- Nie - powiedziała dobitnie.

- Zrobił się więc z pani rasowy mieszczuch...

- Właśnie.

- Jak na mieszczucha - myślał na głos - czuje się pani bardzo swobodnie na wsi.

- Potrafię się przystosować, milordzie.

Markiz wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Czy w tamtej puszcze jest marcepan? - spytała, desperacko próbując zmienić temat.

Unióś złotą brew, odsunął na bok swój kieliszek i talerz, po czym sięgnął po pudełko, o którym mówiła.

- W tej niebieskiej? - Uniósł wieczko i zajrzał do środka. - Marcepan, zgadza się. Ma pani ochotę na kawałek?

- Tak, proszę.

Ze wszystkich słodczy najbardziej lubiła te z masy migdałowej.

Ale zamiast podać jej puszkę, sam wybrał dla niej marcepan: miał kształt dorodnej truskawki, która wyglądałaby jak prawdziwa, gdyby tylko była czerwona.

Markiz wyciągnął dłoń, trzymając smakołyk w palcach.

- Proszę - szepnął. - Niech pani skosztuje.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Naprawdę chce, żebym jadła mu z ręki? Najwyraźniej tego właśnie oczekiwał. Znowu poczuła ucisk w żołądku, tym razem przyjemny, a po kończynach rozeszło się jej ciepło.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że wcześniej miała rację, myśląc, że markiz z nią flirtuje. Nie tylko zresztą flirtował - uwodził ją i to bardzo skutecznie.

- Śmiało, Lily - kusił głębokim, melodyjnym głosem. - Wiem, że masz ochotę.

Zanim zdążyła się powstrzymać, zatopiła zęby w marcepanowej truskawce. Poczuła w ustach smak migdałów, marcepan rozpuszczał się na języku, a słodczy zalała zmysły.

Gdy przełknęła, zaproponował następny kawałek.

Jak zaczarowana, posłuchała i przymknąwszy powieki, delektowała się przysmakiem.

- To już ostatni - wymruczał po długiej chwili.

Otworzyła gwałtownie oczy, serce zabiło jak na alarm. Jeśli chciała oprzeć się markizowi, wiedziała, że musi zrobić to teraz, że musi położyć kres jego podstępnyim zabiegom, póki jeszcze ma siłę.

Pomna na to, pokręciła głową.

Jakaż byłam naiwna, wyobrażając sobie, choćby przez chwilę, że zaprzestał swoich polowań! Przez ostatnie dwa tygodnie tylko się czaił. Czekał, żeby nauka się skończyła, by z jeszcze większą energią podjąć próby zwabienia mnie do łóża.

Miała tylko chwilę, by ocenić sytuację, bo markiz przysunął się jeszcze bliżej.

- Jeśli nie ma już pani ochoty na więcej - powiedział - w takim razie ja się teraz uraczę.

Ale zamiast zjeść ostatni marcepan z pudełka, przechylił głowę i wpił się ustami w jej usta. Zaparło jej dech w piersiach, a zmysły w jednej chwili ogarnął płomień. Bezwiednie rozchyliła usta pod naporem warg markiza, który wsunawszy do środka język, natychmiast rozpoczął grę.

- Hm... pycha - wymruczał, odsuwając się od niej na tyle, by móc się odezwać. - Migdały, cukier i Lily, czy istnieje lepszy smak?

Twój własny, pomyślała, rozkoszując się ciemnym, męskim smakiem: cudownym jak czekolada, smakowitszym od najbardziej wymyślnych deserów.

Markiz mruknął coś i ponownie złączył z nią swe usta. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że powinna się odsunąć - a w razie potrzeby nawet go odepchnąć. Ale kiedy uniosła ręce, chcąc się oswobodzić z jego objęć, pogłębił pocałunek, zalewając jej zmysły rozkoszą tak intensywną, że całkiem zapomniała o niedawnym postanowieniu. A nawet, niejako wbrew

niemu, przyciągnęła markiza jeszcze bliżej, wpijając paznokcie w surdut, jakby chciała unieruchomić go w miejscu. Ale markiz wcale nie zamierzał kończyć pocałunku, igrał w jej ustach namiętymi pchnięciami języka, od których kręciło jej się w głowie. Przeszył ją gwałtowny dreszcz, biegnący w dół kręgosłupa, robiło jej się na przemian zimno, potem gorąco.

Spuściła powieki, splotła język z jego językiem w pieszczocie tyleż zuchwałej, co bezwstydnej. Zmysły Lily zawirowały, kiedy pocałował ją jeszcze mocniej. Potem, lekko chwyciwszy jej dolną wargę zębami, markiz ugryzł ją delikatnie. Potem zaczął pieścić jej usta, na przemian podniecająco szczypiąc zębami i muskając delikatnym pociągnięciem języka, łagodzącym poprzednią brutalność.

Drżąc, odpowiedziała na jego pocałunek z pełnym uniesienia żarem, w tej chwili głucha i ślepa na wszystko poza markizem. Powędrował do góry ręką i chwycił koniec zawiązanej pod brodą wstążki, przytrzymującej czepek Lily. Gdy go zdejmował, usłyszała przy uchu bzyczenie.

Przez chwilę nie mogła określić źródła tego nagłego odgłosu. Zaraz jednak dźwięk przybliżył się i przybrał na sile, aż raptem uświadomiła sobie, że słyszy owada: pszczołę, która krążyła dokoła niej i markiza.

Vessey przerwał pocałunek, rozejrzał się i odgonił ręką skrzydlatego natręta. Potem odwrócił się, zdjął Lily czepek z głowy i zaraz objął z powrotem, zanim zdążyła oprzytomnieć. Otoczył ją ramionami i przytulił mocniej do piersi. Potem ponownie zajął się jej ustami, wzniecając kolejną falą rozkoszy.

Westchnęła i zamruczała z wyraźnym zadowoleniem. Uległa, odpowiadała namiętnie na wszystkie wyrafinowane pieszczoty Vessey'a.

Raptem markiz zeszywniał, wypuścił Lily z objęć i gwałtownie usiadł. Oparłszy się na łokciach, widziała, jak uderza się po szyi, potem ciągnie za fular. Nie mogąc go zdjąć dość szybko, wsunął dłoń pod tkaninę.

Klepnął jeszcze raz, potem zacisnął palce, jakby coś w nich miażdżył. Wyciągnął rękę i cisnął martwą pszczołę w trawę.

Lily ukłękła, nie zwracając uwagi na płaczącą się spódnicę.

- Ethan, jak się czujesz? Mocno użądliło cię to paskudztwo? W odpowiedzi pokręcił głową.

- Nie. Nic mi nie jest. - Potarł ręką szyję. - Przeklęta pszczoła.

- Jesteś pewien? Boli cię? Może powinnam to obejrzeć? Pokręcił głową.

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby. To zwykłe użądlenie. Uwierz, zdarzały mi się dużo gorsze rzeczy.

- Możliwe, lecz jednak...

- Nie trap się, Lily. Za pięć minut nie będę już o tym pamiętał. - Ujął ją za rękę i zaczął delikatnie do siebie przyciągać. - Hm... - zastanawiał się - gdzie to byliśmy? Chodź i odśwież moją pamięć.

Tym razem jednak zdołała się mu oprzeć, uchylając się, gdy próbował wziąć ją w objęcia. Atak pszczoły skutecznie wybił ją z wywołanego przez pocałunki zamroczenia. A ponieważ znajdowali się w parku publicznym, gdzie w każdej chwili ktoś mógł przejść obok, nie mogła ryzykować dalszych pieszczot, bez względu na to, jak były upojne. Lord Vessey miał w sobie jakąś uwodzicielską magię, która sprawiała, że już lekkie muśnięcie jego palców zupełnie wystarczało, by ją całkowicie otumanić.

Nigdy więcej nie pozwoli mu się dotknąć.

Przesunęła się w bok na kolanach.

- Nie będzie żadnego odświeżania. Żadnych pocałunków więcej, milordzie. Chcę, by pan przestał.

- Nie mówisz poważnie. Poza tym przed minutą byłem jeszcze Ethanem.

Boże, czy nazwałam go Ethanem? Matko święta, chyba tak.

Zdecydowana, by odzyskać kontrolę nad sytuacją, sięgnęła po pierwsze z brzegu naczynie i zaczęła pakować kosz.

- Możliwe, że byłeś... jest pan... ale wszystkie moje poprzednie powody, by nie wchodzić z panem w bliskie kontakty, nie straciły na aktualności.

- Wydaje mi się, że już byliśmy ze sobą w całkiem bliskim kontakcie - wycedził wolniej niż zwykle. - Jeśli pamiętasz... nie jestem twoim... bratem.

Przykryła kolejne naczynie, ułożyła obok pozostałych i zaśmiała się ironicznie.

W rzeczy samej, nie jest pan. I dlatego uważam, że powinniśmy pozostać przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi.

Co ja robię? Twierdzę, że chcę przyjaźni, choć to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Ale co innego mam powiedzieć?

Vessey milczał. Kiedy skończyła pakować naczynia, uniosła głowę zaniepokojona i zobaczyła, że siedzi z zamkniętymi oczyma, a na jego policzki wystąpiły czerwono-białe plamy.

- Milordzie? Co się dzieje?

Otworzył oczy, teraz koloru intensywnego brązu.

- Nic - zaprzeczył. - Nic mi nie jest... Co mówiłaś?

- Spytałam, czyś niezdrow. - Poczwała w sercu lekkie ukłucie niepokoju. Zebrawszy spódnicę, podeszła do markiza i przyłożyła mu dłoń do czoła, zapominając zupełnie, że obiecała sobie już nigdy go nie dotykać. - Ciepłe.

- Jest czerwiec i świeci słońce - wymamrotał. - Naturalnie, że jest ciepłe.

- To nie ma nic wspólnego z temperaturą na zewnątrz. Czy boli pana szyja?

- Nie bardziej niż wcześniej.

- Proszę zdjąć fular.

Uśmiechnął się z trudem.

- Cóż za zuchwałość, pani Smythe.

Ponieważ nie zrobił nic, żeby spełnić jej prośbę, cmoknęła z niezadowoleniem i pochyliła się lekko, po czym sprawnie i szybko rozwiązała węzeł. Wydała stłumiony okrzyk na widok purpurowoczerwonej, rozognionej plamy, jaka wykwitła na jego skórze.

- Boże, twoja biedna szyja!

- Może powinnaś ją pocałować - powiedział nieco sennym głosem. - To mogłoby pomóc.

- Bardziej pomoże usunięcie żądła, jeśli, jak sądzę, ciągle tam tkwi. Proszę się nie ruszać.

Starając się zachować jak największą delikatność, przeciągnęła opuszkami palców po obolałej skórze, szukając maleńkiej, podobnej do igły wypukłości. Znalazła niemal natychmiast, chwyciła ją czubkami paznokci i szybko wyciągnęła żądło.

- Chyba powinien pana zobaczyć lekarz. Przez twarz markiza przebiegł zacięty grymas.

- Nie potrzebuję lekarza. Już kiedyś, gdy byłem jeszcze chłopcem, przydarzyło mi się coś podobnego. Szybko doszedłem do siebie. To tylko zwykłe użądlenie, nic więcej.

Reakcja jego organizmu wskazywała na coś poważniejszego, jednak oddychał lekko. A co z sercem? Bez zastanowienia odpięła kilka górnych guzików jego kamizelki i wsunęła dłoń pod koszulę.

- Co robisz? - spytał przeciągle.

- Tylko sprawdzam. - Przesunęła wolno ręką po muskularnej piersi, znalazła to, czego szukała, i przekonała się, że serce bije silnym i równym rytmem.

- Wyjdę z tego? - zażartował.

- Tak sędzę. Choć nie wygląda pan dobrze.

- Potrzebuję tylko... kilku minut odpoczynku... - mówił coraz bardziej niewyraźnie. -I zaraz... będę zdrów... jak ryba.

Widziała, że powieki zaczynają mu opadać, marszczył czoło, jakby ze wszystkich sił starał się nie stracić przytomności.

Nie mogę pozwolić, by zemdłał, uświadomiła sobie. Przynajmniej nie tu, w parku. Jeśli straci przytomność, sama nigdy nie zdołam go przenieść.

Wiedząc, że każda minuta jest na wagę złota, otoczyła jego tors ramieniem i zaczęła namawiać, by wstał.

- Chodźmy, milordzie. Zaprowadzę pana do powozu i odwiozę pana do domu.

Jęknął.

- Do domu? Dobry pomysł. Albo może... zdrzemnąłbym się tutaj...

- Nie, nie, to zły pomysł. - Spróbowała go podnieść raz jeszcze. -

Może tu być więcej pszczół. Chodźmy.

- Lily - odezwał się stanowczym głosem, odwracając głowę, by popatrzeć jej w oczy.

- Słucham?

- Nie jestem kaleką.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc mnie puść. Potrafię wstać i dojść do powozu bez twojej pomocy.

Zawahała się, lecz cofnęła rękę.

- Dziękuję.

Przybrał pełen godności wyraz twarzy i podniósł się chwiejnie.

Trzymając się na nogach tylko dzięki swej wytrzymałości i determinacji, ruszył do powozu, po czym z trudem wgramolił się do środka. Odetchnął, oparłszy głowę na siedzeniu.

- Lily - zawołał cicho.

Zjawiała się natychmiast: szła za nim w czasie jego krótkiej wędrowki do powozu i teraz stała nieopodal.

- Tak? O co chodzi? Nie otworzył oczu.

- Chciałem tylko powiedzieć, że w przyszłości możesz mnie obejmować, kiedy ci się żywnie spodoba.

Zakaszłała, by ukryć śmiech, i tylko pokręciła głową, słysząc tę oburzającą uwagę.

- Tak, dobrze, będę pamiętać. Tymczasem niech pan trochę odpocznie, a ja zawiozę nas do domu.

Skinał głową.

- Jak dobrze, że umiesz powozić.

- Prawda?

Szybko zapakowała kosz i koc do kufra bagażowego, wskoczyła do powozu i chwyciła lejce.

Grzmot i Błyskawica, wypoczęte, chętnie wróciły na drogę i gdy tylko znaleźli się poza granicami parku, przeszły do spokojnego kłusa.

Markiz siedział obok cicho. Zbyt cicho, pomyślała. Dostrzegła białoczerwone plamy na odsłoniętej szyi oraz niezdrową bladość jego twarzy.

Stwierdziła, że chyba powinien obejrzeć go lekarz.

Od Londynu dzieliła ich jeszcze ponad godzina drogi. Co będzie, jeśli oboje mylnie oceniają reakcję organizmu markiza na uządlenie? Co będzie, jeśli ona zlekceważy jego stan, który może znacznie się pogorszyć, nim dotrą do miasta?

Poczuła skurcz w żołądku, ogarnął ją niepokój.

Opuścili już Richmond, ale Lily zastanawiała się, czy nie rozsądniej byłoby zawrócić, kiedy w odległości kilku jardów zauważyła dwupiętrowy, porośnięty bluszczem budynek oberży. Wyglądał ładnie i czysto, na dziedzińcu stało dwóch zajętych stajennych, postanowiła więc, że tam się zatrzymają. Choć, prawdę mówiąc, teraz zadowoliliby ją najpodlejsza nawet austeria, bowiem najważniejsze było zdrowie Ethana.

Kilka chwil po tym, jak zatrzymała powóz, z zajazdu wyszedł szwajcar, witając ją pogodnie.

- Jesteśmy na miejscu? - wymamrotał Vessey, uniósłszy i zaraz opuściwszy powieki. - Dojechaliśmy do Londynu?

- Nie - odparła. - Jesteśmy w oberży. Pomyślałam, że może chciałby pan zatrzymać się i odpocząć w bardziej komfortowych warunkach.

Stęknąwszy cicho, skinął głową, nie protestował. Teraz miała już pewność, że instynkt jej nie zawiódł.

Nie czekając na pomoc szwajcara, zeskoczyła na ziemię i obesła powóz.

Przez frontowe drzwi wybiegł siwowłosy mężczyzna, zapewne właściciel gospody.

- Witam i zapraszam. Czym mogę państwu służyć?

- Jego lordowska mość źle się poczuł, więc chcemy wynająć pokój, najlepszy, jaki macie. Potrzebujemy także lekarza.

- Już mówiłem... nie chcę żadnego konowala - sprzeciwił się Ethan najwyraźniej dość przytomny, by zrozumieć treść rozmowy.

- Tak, pamiętam. Może najpierw rozlokujemy się w pokoju, a wtedy swobodnie omówimy tę kwestię.

Wydawało się, że jej słowa go uspokoiły. Niezbyt pewnie trzymając się na nogach, wstał i wysiadł z powozu, potknąwszy się tylko raz.

Obawiała się, że może będzie chciał samodzielnie pokonać schody, ale na szczęście zgodził się wesprzeć na ramieniu oberżysty. Co tylko stanowiło kolejny dowód, jak bardzo źle się czuje.

Kiedy już znaleźli się w pokoju, natychmiast podszedł do łóżka i padł jak długi na materac. Zamknął oczy i odetchnął zmęczony.

Lily zwróciła się do oberżysty, pamiętając, by ściszyć głos.

- Proszę wezwać medyka.

Starszy mężczyzna obrzucił markiza zaniepokojonym spojrzeniem.

- Tak, milady.

Zawahała się, czy go nie poprawić, bo najwyraźniej wziął ją za żonę Ethana. Ale stwierdziła, że nie warto. Gdyby wyszło na jaw, że ona i jego lordowska mość nie są małżeństwem, pojawiłyby się niepotrzebne komentarze i głosy dezaprobaty. Poza tym, wyjaśnianie prawdziwego stanu rzeczy jest w tej chwili po prostu zbyt kłopotliwe, uznała.

Gdy tylko oberżysta wyszedł, Lily pośpieszyła do Ethana. Nachyliwszy się, delikatnie odgarnęła potargane wiatrem włosy. Przyłożywszy dłoń do czoła, sprawdziła, czy nie ma gorączki, ale skóra była chłodna, choć trochę lepka od potu. Chcąc pocieszyć i jego, i samą siebie, jeszcze raz pogłaskała go po włosach.

- Wszystko będzie dobrze, Ethanie - wyszeptała. - Wszystko będzie dobrze.

Kilka minut później lekarz wtoczył się do środka z ciężką torbą z czarnej skóry w rękę. Na nosie miał okulary, w których przypominał sowę. Przywitawszy się, od razu podszedł do markiza, który oprzytomniawszy, wyszeptał do niego parę słów. Lily obawiała się, że nie pozwoli się zbadać, jednak się zgodził, a nawet sam odpiął resztę guzików przy kamizelce i koszuli.

Kiedy lekarz osłuchiwał mu serce i płuca, Lily starała się nie patrzeć, choć niełatwo było odwrócić wzrok od gołej piersi Ethana i gąszczu porastających ją złotych kędziorów.

Lekarz starannie zbadał uszy i oczy chorego, zajrzał mu także do ust. Kiedy Lily zaczynała się już trochę niecierpliwic, przyjrzał się obrażeniom na szyi.

Cmoknął kilka razy językiem i zaczął grzebać w torbie. Splótłszy przed sobą dłonie, postąpiła kilka kroków do przodu.

- I co z nim, doktorze?

- O, wszystko dobrze, milady, to znaczy będzie dobrze, gdy trochę odpocznie.

- A nie mówiłem? - mruknął Ethan, nie otwierając oczu. Puściła tę uwagę mimo uszu.

- Ale jego szyja...

- Tak, teraz nie wygląda najlepiej, lecz szybko się zagoi. Jad pszczeli może powodować silny ból i złe samopoczucie, czasami nawet konsekwencje mogą być tragiczne. Miała pani rację, że mnie wezwała.

- Dziękuję, doktorze - odpowiedziała zadowolona, że jej ostrożność i niepokój okazały się w pełni uzasadnione.

Ethan milczał, jakby drzemał.

- Tak, tak - ciągnął medyk, wyjmując najróżniejsze fiołki, torebki oraz moździerz i tłuczek i stawiając to wszystko na małym stoliku. - Znam przypadek niewiasty, która zmarła od użądlenia pszczoły...

Lily wydała stłumiony okrzyk.

- Ale to była drobniutka kobietka - pospieszył z wyjaśnieniem jej rozmówca - a nie taki chłop na schwał, jak pani małżonek.

- Nie jest... - zaczęła, ale natychmiast urwała.

Lekarz rozgniał w moździerzu garstkę jakichś nasion, całą uwagę poświęcając tym aptekarskim czynnościom.

- Słucham?

- On... hm... Kamień spadł mi z serca, gdy powiedział pan, że wyzdrowieje.

- O, na pewno. - Wsypał sproszkowane nasiona do szklanki z wodą, dodał kilka kropli jakiegoś przejrzystego płynu, laudanum, jak

podejrzewała, i wyciągnął z torby cynową łyżeczkę z długą rączką, którą zamieszał miksturę. - Proszę, wasza lordowska mość. Niech pan to wypije - polecił cicho.

Ethan odrzucił propozycję pomocy lekarza i sam oparł się na łokciu. Ręce trzęsły mu się lekko, gdy brał szklanke.

Co to jest? - zapytał, przyglądając się zawartości podejrzliwie.

Lek. Śmiało, proszę wypić. Ethan wahał się jeszcze chwilę, wreszcie opróżnił szklanke jednym haustem. Skrzywił się, oddał naczynie doktorowi i bezceremonialnie zwał się z powrotem na łóżko.

- To powinno sprawić, że zaśnie, a sen jest dla niego teraz najlepszym lekarstwem - rzekł medyk, zwracając się do Lily. - Przyłożę gorący kompres na miejsce uzadlenia, by zmniejszyć stan zapalny. Proszę go usunąć po godzinie.

- Oczywiście.

Lily podeszła do jedyne w tym pokoju fotela i osunęła się nań, podczas gdy lekarz kończył zabiegi. Pomógł jej jeszcze zdjąć markizowi buty i okrył jego wielkie ciało kocem. Kiedy wychodził, Ethan spał już kamiennym snem.

Lily przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. Przebiegała wzrokiem po twarzy Ethana i doszła do wniosku, że teraz, rozluźniony i swobodny, jest jeszcze ładniejszy, ma wygląd niemal chłopięcy.

Zwinęła dłoń w pięść, opierając się chęci wsunięcia palców w jedwabiste włosy i pogłaskania pięknych policzków.

Po godzinie usunęła okład i stwierdziła z zadowoleniem, że zaogniona skóra zbladła, a obrzęk wyraźnie się zmniejszył.

Kiedy nadszedł zmierzch, a Ethan nadal spał, uświadomiła sobie, że tego wieczoru nie zdążą już wrócić do Londynu.

Przyzwoitość nakazywała, by, nawet będąc wdową, wzięła osobny pokój, ale Lily nie chciała odchodzić od boku markiza. Mógł jej potrzebować w nocy. Poza tym służba z pewnością zaczęłaby wtedy powątpiewać w charakter łączącego ich związku.

Wkrótce potem rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła pokojówka. Zapalając świece, spytała, czy goście nie mają ochoty na lekką kolację. Aż do tej chwili Lily nawet nie pomyślała, że może być głodna, lecz na samą wzmiankę o jedzeniu jej żołądek zaczął się domagać o swoje prawa.

Nie było szans, by Ethan teraz się do niej przyłączył, ale przecież mógł obudzić się w nocy i chcieć coś przekąsić. Zamówiła więc porcję sycącego bulionu na wołowinie z warzywami dla siebie, a także chleb, owoce i ser w ilości wystarczającej dla nich dwojga na wypadek, gdyby Ethan miał ochotę coś zjeść później.

Kiedy przyniesiono potrawy, posiliła się, a następnie korzystając z miednicy, którą odkryła za parawanem, umyła twarz i dłonie oraz wyszorowała zęby szczoteczką i proszkiem, o które wystarała się dla niej pokojówka. Po zakończeniu toalety wróciła do Ethana, by dalej czuwać przy jego wezglowiu. Położyła mu dłoń na czole i stwierdziła z uśmiechem, że skóra jest ciepła i nabrała zdrowego kolorytu.

Z pewnością wyzdrowieje, odetchnęła z ulgą. Napięcie opadło. Przekonywała sobie, że równie mocno jak stanem markiza, przejęłaby się chorobą każdej innej osoby. Ale w głębi serca wiedziała, że to nieprawda.

Upływały kolejne minuty, wskazówki małego kominkowego zegara zbliżała się do północy. Lily zaczęła odczuwać coraz większe znużenie i coraz większą niewygodę fotela, w którym siedziała już od wielu godzin.

Zerknęła na pustą połowę łóżka.

Powinam? Nie, strofowała samą siebie, nie mogę spać z nim w jednym łóżku.

Jednak w miarę jak mijały minuty, powieki jej stawały się coraz cięższe, a stanowczość słabła.

Cóż złego się stanie, jeśli wyciągnę się na pościeli? Markiz jest chory i śpi. Najpewniej nie obudzi się aż do rana.

O pierwszej, padając z nóg, poddała się i podeszła cicho do wolnej połowy łóżka. Zdjęła trzewiki, położyła się na pościeli, plecami do markiza i natychmiast zasnęła.

Gdy Ethan otworzył oczy, pokój był pogrążony w mroku. Słaba poświata księżycy wpadała do środka przez źle rozmieszczone okna.

To nie moja sypialnia, uświadomił sobie, to nie moje łóżko. Materac, na którym leżał, był nierówny. Potarł dłońmi twarz, próbując się zorientować, gdzie się znajduje. Wspomnienia wolno napływały mu do głowy, fragmenty wcześniejszych wydarzeń stopniowo układały się w całość.

Zajazd. Jestem w jakimś zajeździe na drodze między Richmond a Londynem.

Stwierdził, że musi być już dobrze po północy, i zastanawiał się, jak długo spał. Ostatnie, co pamiętał, to obrzydliwy smak jakiegoś naparu, który wmusił weń lekarz. Wtedy miał nadzieję, że mikstura zawiera tylko zioła i wodę, ale przekłety łapiduch dodał tam jeszcze laudanum. Nie wątpił w to, bo czuł na języku lepka słodycz narkotyku, a głowę miał otępiałą, jakby owinięto mu mózg bawełnianą gazą.

Ale przynajmniej szyja przestała boleć, a jak się przekonał, przejechawszy dłonią po skórze, zniknął także obrzęk. Przesunął się na łóżku i nagle znieruchomiał, trąciwszy biodrem o jakiś miękki kształt, skulony obok.

Lily.

Pomimo ciemności i nie najlepszego stanu umysłu, bez trudu rozpoznał osobę śpiącą u jego boku. Zresztą Lily rozpoznałby zawsze i wszędzie, nawet jeśli byłby ślepy i głuchy.

Przechyliwszy głowę, poczuł słodki waniliowy zapach jej skóry; mimo panującego mroku był w pełni świadom bliskości kuszących krągłości leżącej tuż obok kobiety. Gdyby nie dzieliła ich pościel, podsunąłby się bliżej, a wtedy mógłby jej dotknąć. Ale Lily ułożyła się na pościeli, on zaś był skutecznie skrepowany kołdrą.

Prawdziwa ironia losu, pomyślał. Znalazłem się wreszcie razem z nią w łóżku, ale czuję zbyt wielkie zmęczenie, by to wykorzystać!

Westchnął bezgłośnie i długo leżał nieruchomo. W tym czasie uświadomił sobie trzy rzeczy: że jest głodny, chce mu się pić i musi opróżnić pęcherz.

Postanawiając, że zajmie się najpierw sprawą najpilniejszą, wstał z łóżka i rozejrzał się w półmroku w poszukiwaniu nocnika. Kiedy załatwił potrzebę fizjologiczną, wyszedł z za parawanu, uważając, by nie zbudzić dziewczyny.

Znalazł jedzenie na stole i w myślach przesłał Lily modlitwę dziękczynną za tę troskę. Oderwał pajdę chleba oraz kawałek żółtego sera i zrobił sobie małą, ale sycącą przekąskę. Zjadł także garść świeżych truskawek, potem ugasił pragnienie szklaneczką lemoniady. Zaspokoivszy głód, poczuł, że znikają także resztki otumanienia i mętlik panujący w jego głowie.

Gdybym mógł jeszcze pozbyć się z ust tego okropnego smaku laudanum.

Nie był pewien, ale wydawało mu się, że na małej toaletce za parawanem widział szczoteczkę do zębów. Poszedł sprawdzić i istotnie tam ją znalazł razem z pudełeczkiem proszku do czyszczenia. Miał

nadzieję, że Lily nie będzie miała nic przeciwko temu, że i on skorzysta z tych dobrodziejstw.

Czując się bardziej świeżo po wyszorowaniu ust i języka oraz umyciu rąk i twarzy, wrócił na palcach do łóżka. Zawahał się przez chwilę, potem szybko zdjął koszulę i kamizelkę, powstrzymał się jednak od ściągnięcia spodni, bowiem rano mogłoby to wzbudzić w Lily zgorszenie.

Oparł kolano na materacu, mając szczyry zamiar położyć się i z powrotem zasnąć. Zauważył jednak, że Lily po drugiej stronie łóżka leży zwinięta na boku, obejmując się rękoma, jakby było jej zimno.

Nie mogę jej tak zostawić. Poza tym to absurd, byśmy nie mogli korzystać z jednej pościeli.

Mając na względzie tylko wygodę dziewczyny, zaczął powolutku wyciągać spod niej kołdrę i prześcieradło. Był pewien, że lada chwila się zbudzi, ale Lily nawet nie drgnęła, tylko westchnęła głośno z zadowolenia, kiedy ją przykrywał.

Wyciągnął się już po swojej stronie łóżka, kiedy nowa myśl zaczęła mu kołatać w głowie: Czy ona śpi w gorsecie? Miała na sobie suknię, więc najprawdopodobniej ma też i gorset, zwłaszcza że tu nie mogła skorzystać z pomocy pokojówki, która zwykle asystowała przy jego rozsznurowywaniu. Od swoich byłych kochanek słyszał nieraz, że kobiety z reguły uznają tę cześć stroju za krepującą i zawsze z ulgą u kresu dnia pozbywają się sztywnego, wzmocnionego fiszbinami pancerza.

Leżała zwrócona do niego plecami, jednak mimo panujących ciemności bez trudu znalazł guziki jej sukni. Odpiął je szybko, po czym spokojnie i z wprawą zaczął rozwiązywać sznurówkę. Gdy skończył,

włożył rękę pod gorset i przesunął na środek, by go poluzować. Wtedy jego dłoń otarła się o miękką, jędrną pierś, zakrytą batystową koszulką. Sutek stwardniał natychmiast, przez cienki materiał przebijał naprężony czubeczek, jakby prosił o dotknięcie.

Jego fallus stanął na baczność z szybkością szeregowca salutującego generałowi, wtulając spragnioną główkę w pełne gracji wygięcie dolnych partii pleców dziewczyny. To tyle, jeśli idzie o chorobę powściąającą moje seksualne żądze, skonstatował. Choć jego umysł nie był jeszcze kryształowo jasny, a ciało domagało się snu, dolna połowa była czujna i świadoma, czego chce - a chciała tego przez długie tygodnie.

Jęknął cichutko. W myślach nakazał sobie zostawić ją w spokoju. Lily spała i nie była w stanie podejmować świadomych decyzji.

Ale choć starał się zakończyć tę przypadkową bliskość, jego dłoń otuliła jędrną krągłość, a kciuk całkowicie z własnej inicjatywy odruchowo zaczął pieścić brodawkę.

Sutek Lily stwardniał jeszcze bardziej, a maszt Ethana leżący na plecach dziewczyny zaczął pulsować pragnieniem.

Och, dobry Boże, jak mam się powstrzymać?

Ogarnięty żądzą, pieścił Lily, rozsunąwszy wiązanie gorsetu, by czuć pod palcami ciepłą, jedwabistą skórę.

Dotyk nagich piersi tylko pogorszył sprawę. Vessey długo i delikatnie skubał jej sutek palcami, zanim jakimś cudem wreszcie znalazł w sobie dość siły, by się oderwać.

Z drżącymi rękami odsunął się i padł na plecy. Zasłonił twarz ramieniem i leżał, cierpiąc katusze; całe ciało płonęło z pragnienia, by

chwycić Lily w ramiona i posiąść. Ale niezależnie od męczarni, jakie teraz przeżywał, takie postępowanie byłoby nieuczciwe i niegodne dżentelmena.

Idź spać, nakazał sobie. Ale czy może się udać, gdy Lily leży obok...

Chwilę później poruszyła się i przewróciła na plecy, tak że teraz leżała twarzą do Ethana, choć widocznie jeszcze nie dość blisko, bo zaraz wtuliła się w niego, przrzuciwszy ramię przez jego obnażoną pierś.

Vessey zadrżał na całym ciele.

Musiał przy tym głośno jęknąć, bo Lily znów się poruszyła, lekko unosząc głowę.

- Ethan? - wyszeptała.

W odpowiedzi na ów cichy, zaspany dźwięk jego fallus drgnął i zapulsował.

- Tak, to ja.

- Dobrze się czujesz?

Co za pytanie. Chciał jej powiedzieć, że czułby się pierwszorzędnie, gdyby tylko przrzuciła nogę przez jego biodro.

- Dobrze - powiedział przez zaciśnięte zęby. Oprzytomniała troszkę bardziej.

- Nie wydaje mi się. Mówisz tak, jakby cię coś bolało. Pokaż, sprawdzę. - Uniosła rękę i przesunęła dłonią po jego policzku.

Zadygotał, myśląc, że eksploduje.

- Jesteś trochę rozpalony. Napalony. Jestem napalony. Jak diabli.

- Czy boli cię głowa?

Nie, penis, pomyślał, a tkwiący w nim psotny chochlik podpowiadał, żeby objęła dłonią tę część jego ciała, która naprawdę potrzebowała pieczyoty.

- Nie - rzucił.

- Hm... to dobrze. Martwiłam się o ciebie - wyszeptała. - Tak bardzo się martwiłam.

- Naprawdę?

- Tak. - Opuściła głowę na jego ramię i zamilkła. Po jakiejś minucie zaczął się zastanawiać, czy nie zasnęła z powrotem. I wtedy ponownie się odezwała, jej palce muskały lekko jego obojczyk. - Czy ja śnię?

Z całych sił spróbował uspokoić oddech, krew zatętniała dziko pod jej dotykiem.

- Nie.

- Hm... Bo to mi przypomina jeden z moich snów. Zamarł, zaintrygowany.

- Doprawdy?

- Mhm, mhm - wymamrotała. - Choć zwykle w tym śnie mnie całujesz.

Uśmiechnął się.

- Całuję?

- I dotykasz... Tak jak tamtej nocy w ogrodzie - urwała. - Podobała mi się ta noc w ogrodzie.

- Naprawdę? - zapytał chrapliwym, niskim głosem. - Mnie też. A to? Też ci się podoba?

Przerzucił jej rękę przez plecy i wsunął dłoń pod na wpół rozpiętą sukienkę. Przesuwając ją, przebiegł zmysłowo palcami po skórze wzdłuż kręgosłupa.

Wygięła się, a z ust wydobył jej się osobliwy jęk.

- Wnoszę z tego, że tak.

Przysuwając ją bliżej, pochylił głowę i wpił się jej w wargi w gorącym, lecz niespiesznym pocałunku: jej usta były słodsze od poziomek z bitą śmietaną.

Ethan postanowił podjąć jeszcze jedną próbę zdjęcia gorsetu: delikatnie uniósł Lily i, nie przestając całować, powoli zdjął sznurówkę, po czym tryumfalnie rzucił go w nogi łóżka. Gorset odbił się i ześlizgnął na drewnianą podłogę z głuchym pacnięciem.

Wsunąwszy palce we włosy Lily, zaczął wyciągać szpilki. Czerwone pukle opadły jedwabistą kaskadą na ich twarze niczym kurtyna. Kolor miały tak intensywny, że wydawało mu się, iż widzi go nawet w księżycowej poświacie. Zamknął oczy i pogłębił pocałunek, wikłając ich języki w rozpustny taniec, który oboje pozbawił tchu.

Jęknęła, kiedy kolistym ruchem zaczął głaskać jej plecy pod koszulą, druga ręka powędrowała w dół w poszukiwaniu odsłoniętej skóry. Chwytał palcami skraj sukni i powolutku podsuwał do góry, zanim nie natrafił na to, czego szukał: palce mu zadrżały, kiedy spoczęły tuż nad podwiązką na ciepłym, atlasowym zgięciu kolana. Prześlizgując się wyżej, błędził po uroczej powierzchni jej uda, aż wreszcie dotarł do ponętnych krągłości pośladków.

Nie mogąc się powstrzymać, uścisnął delikatnie jeden z nich.

Oderwała się od jego ust ze stłumionym okrzykiem.

- Och, tego nigdy nie robiłeś w moich snach.

- Nie robiłem? - wymruczał, znowu ściskając ją lekko i zataczając dłonią niespieszne kręgi. - Cóż za zaniedbanie z mojej strony. Spróbujemy jeszcze raz?

Zsunął rękę na dół po udzie i kolanie i tą samą trasą wrócił na górę. Ciałem Lily wstrząsnął dreszcz tak silny, że i Ethan go poczuł.

- Ethan - westchnęła, prawie łkając. - Co my robimy?

- To, co powinniśmy byli robić od tygodni. To, do robienia czego razem zostaliśmy stworzeni. - Wpił się w jej w usta gwałtownie.

- Tylko nie mów, że tego nie chcesz.

- Ja... chcę. Ale nie powinnam.

- Dlaczego nie? Czy to nie cudowne? Czy niedobrze się czujesz?

Przesuwając dłoń po górnej części jej uda, palcami znalazł wejście do jej kobiecości. Nie sięgając głębiej, od razu wiedział, że jest mokra z pożądania.

Lily zadrżała, ogarnięta palącą potrzebą, czując gdzieś wewnątrz głębokie, niemal bolesne pragnienie, które domagało się zaspokojenia - by Ethan je zaspokoił.

Ma rację, przyznała. Jego dotyk naprawdę jest cudowny. Tak cudowny, że musiała w końcu porzucić złudzenie, że tkwi pogrążona we wspaniałym, na wpół realnym śnie. Ale ja wcale nie śpię. Ethan rzeczywiście mnie dotyka i, o niebiosy, podoba mi się to. Zachwyca, jeśli mam być szczerą.

Wiedziała, że natychmiast by przestał, gdyby nalegała. Ale czy naprawdę chciała nalegać? I co by odczuła, gdyby jej posłuchał.

Przywołując wszystkie wcześniejsze obawy i przestrogi, usiłowała otrząsnąć się z tego otumanienia, odzyskać rozsądek i rozwagę. Ale tym razem sumienie pozostało nieme, najwyraźniej nie zamierzając choćby kiwnąć palcem w jej obronie.

Wtedy Ethan ponownie zaczął ją pieścić w miejscu, którego żaden mężczyzna jeszcze nie dotykał.

Rozum jej się zupełnie zmacił.

- Tak - wyszeptała, niezdolna uformować żadnego innego słowa. -
Tak.

Pochyliła się do przodu i przyłgnęła ustami do jego ust.

Tak jakby ta ochocza reakcja wyzwoliła w nim jakąś długo więzioną bestię, wydał gardłowy pomruk i z furią zaatakował, uległość Lily najwyraźniej przerwała ostatnią powstrzymującą go zaporę. Wsunął palce w jej włosy, otoczył dłonią głowę i przechylił, tak by móc penetrować jej usta głębokimi pocałunkami, które przyprawiały ją o zawrót głowy.

Chwycił drugą ręką jej lewe udo i przełożył przez swój brzuch. Sterczało tam jakieś grube, twarde wybrzuszenie, usiłujące wydostać się ze spodni, które poruszyło się z wyraźnym podnieceniem, kiedy otarła się o nie kolanem.

Jęknął i mocniej wpił się w jej usta.

Czy to, to? - zastanawiała się zdumiona - jego... męskość?

Sekundę później przestała w ogóle myśleć, kiedy wsunął w nią palec. Nieoczekiwane doznanie wstrząsnęło nią niczym dreszcz gorączki, świat raptem skurczył się do jego dłoni i niewiarygodnej intymności tej pieśczoły.

Jej ciało, mokre i gorące, przyjęło z ochotą to wtargnięcie, pragnienie, które czuła wcześniej, zwiększyło się w trójnasób. Kiedy wysunął palec i powrócił z dwoma, pomyślała, że oszaleje.

Nie myśląc, ugryzła go w dolną wargę. Oderwał usta i wolno polizął małą ranę. Potem znowu zaczął ją dziko całować, podczas gdy niżej jego palce wsuwały się w nią i wysuwały, wsuwały i wysuwały.

Jęknęła, przerwała pocałunek i wtuliła twarz w jego szyję, nie mogąc złapać tchu. Ale nie był zadowolony z tej pozycji. Nie wyciągając z niej palców, uniósł ją do góry, położył na sobie, przesuwając tak, że piersi znalazły się przy jego twarzy. Drugą ręką ściągnął poluzowaną górę sukienki i zamknął usta na nagim sutku.

Jego palce zaczęły poruszać się w niej w tej samej chwili, kiedy usta zaczęły ssać: gorące, wilgotne pociągnięcia zdawały się łączyć bezpośrednio z miejscem pulsującym między nogami.

Usłyszała swój jęk, dochodzący jakby z oddali, uniosła ręce, objęła dłońmi twarz markiza i wplotła palce w jego włosy, podczas gdy on rozkoszował się nią od zewnątrz i od środka.

Kiedy przesunął zębami po sutku, cała zadygotała. Jak zaczarowana, leżała bezwolna i tylko czuła, jak przesunął dłoń między jej nogami i zrobił coś niewiarygodnego opuszkami palców.

Rozkosz eksplodowała w jej wnętrzu, pozbawiając tchu. Krzyknęła, każdy nerw iskrzył się ekstazą i spływał błogością.

Przez długą chwilę miała w głowie kompletną pustkę.

- Założę się, że nigdy nie czułaś czegoś takiego ze swoim mężem - powiedział, na moment puszczejąc jej sutek.

- Z kim?

Głośny, pełen zadowolenia chichot dobył się z jego przepony. Objął dziewczynę ramionami i odwrócił na plecy.

- Nigdy mnie nie zapomnisz, droga Lily. Kiedy skończymy się kochać, moje imię wryje ci się głęboko w duszę.

Już się wryło, uświadomiła sobie, wiedząc, że ta myśl powinna ją zatrwożyć. Ale w chwili obecnej mogła tylko leżeć bezwładnie, pozwalając, by zdjął jej suknię i koszulę, zostawiając całkiem naga, jeśli nie liczyć pończoch i podwiązek. Jednak zamiast także je zsunąć, usiadł i kciukiem rozpiął swoje spodnie.

W ciemnościach nie mogła widzieć szczegółów, ale dostrzegła dość, by zaparło jej dech. Jeśli tylko oszukany zwodniczą poświatą księżyca wzrok jej nie mylił, Ethan był potężny, a jego członek sterczał między udami długi, gruby i sztywny.

Jak udaje mu się zmieścić go w spodniach? I dlaczego jakoś nigdy wcześniej ta okolica nie zwróciła mojej uwagi? Policzki ją paliły, ale nie z namiętności tym razem. Przeszła jej zaraz przez głowę kolejna myśl. Chyba nie zamierza włożyć tego we mnie? Rozedrze mnie na pół!

Ethan wcale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, odrzucił spodnie na bok i podpełzł w jej stronę. Ułożył się nad nią ostrożnie, aby tylko część ciężaru spoczęła na niej, i przycisnął usta do jej ust.

Lily próbowała się odprężyć i skoncentrować na bezsprzecznie hipnotyzującym pocałunku, ale twarda, gorąca część ciała Ethana wbijała jej się w brzuch, lekko podrygując, zupełnie jakby żyła własnym życiem.

Muskał wargami jej policzek, nos i skroń, potem zsunął usta po szyi aż do obojczyka, gdzie przez chwilę ssał fragment skóry w sposób, który, jak podejrzewała, zostawi ślad. Szerokie dłonie wędrowały po jej ciele, bawiły się piersiami, ześlizgnęły na biodra i uda, a potem jeszcze niżej, by popieścić powleczoną jedwabiem łydkę.

Między nogami znowu poczuła bolesne, przyprawiające o niepokój i głód pragnienie. Jego maszt przesunął się niespokojnie i teraz ocierał się o ich ciała, mocno tym razem podrygując.

Zesztywniała.

- O co chodzi ? - wymruczał Ethan, chwytając płatek jej ucha zębami. - Coś się stało?

Przejechał ciepłym, wilgotnym czubkiem języka dokoła jej ucha, potem miejsce za nim zasypał pocałunkami, od których tętno na moment zamarło i zaraz poszybowało w górę.

- Nic - zaprzeczyła.

- Hm... jesteś pewna? - Ciepły oddech owionął jej policzek. - Kochankowie mogą sobą mówić o wszystkim.

Naprawdę? Cóż za nęcąco niebezpieczny pomysł? Co by sobie pomyślał, gdybym mu powiedziała, że jestem dziewicą? Przelotnie rozważała tę ewentualność, ale uznała, że lepiej, jak zachowa ten sekret dla siebie, ponieważ taka rewelacja mogłaby wymagać wyjaśnień, których wolałaby uniknąć. A co, jeśli się sam dowie? Czy mężczyźni potrafią to poznać? Mając nadzieje, że nie, powstrzymała się od zwierzeń. Myśli się jej zmaciły, kiedy objął dłonią jej piersi i zaczął leniwie pieścić kciukiem otoczkę sutka.

- Śmiało - namawiał. - Powiedz...

Co mam powiedzieć? Może to. Uznała, że tym spostrzeżeniem może się z nim podzielić.

- Jesteś duży - wyszeptała.

Na moment znieruchomiał i zaraz zaczął się podnosić.

- Jestem zbyt ciężki?

- Nie - powiedziała, wyciągając rękę, by go zatrzymać. - Wszystko jest w porządku, jeśli o to idzie. Tyle że... wiesz... twój... twoja... - Boże, jak ma to nazwać... - Ta rzecz... jest duża. Ogromna...

- Moja rzecz? Ach... - wymruczał w przyływie zrozumienia. Rzecz też odpowiedziała, jeszcze mocniej twardniejąc. Uśmiechnął się kącikami ust. - Owszem, w tej mierze natura mi nie poskąpiła. Panie na ogół zachwyca ten widok. - Jego ręka przestała ją pieścić.

Lily chrząknęła i głośno dała wyraz swoim obawom.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, nie sądzę, by się zmieścił. Ethan omal nie wybuchnął śmiechem, zdusił go jednak na czas, uświadomiwszy sobie, że Lily jest na wskroś poważna - i pomimo bez wątpienia namiętnej natury, trochę wystraszona. Przez ostatnich kilka minut - od chwili, gdy odkrył, jak mała i wąska jest w środku - z rozmysłem się powstrzymywał, spowalniając swoje działania i narzucając im taki rytm, by była w pełni gotowa, kiedy w nią wejdzie.

Z reakcji na jego nagość zgadywał, że mąż Lily nie tylko był niedoświadczonym i nieporadnym kochankiem, ale jeszcze miał maleńki penis. Nic dziwnego, że nie była wcześniej zaspokojona.

- Nie obawiaj się - obiecał szeptem. - Zmieszczę się. Opatulisz mnie jak rękawiczka dłoń.

Sapnęła cicho.

- Chciałabyś mnie dotknąć?

- Gdzie? Tam?

- Tak.

- Nie!

Zapadła cisza.

To przecież tylko ja- tłumaczył - część mojego ciała, taka sama jak każda inna.

No, niezupełnie taka sama jak każda inna, przyznał w duchu, ponieważ jego „rzecz”, jak ją ochrzciła, popędzała go, by skończył rozmowę i zatonął w wilgotnym, elastycznym ciepłym gniazdku między miękkimi udami, czekającym na jego przyjęcie. Ale Ethan potrafił kontrolować swój popęd i pragnienie - przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Właśnie kiedy pomyślał, że nie zmieni zdania, Lily uniosła dłoń, ocierając się o niego. Zagryzł wargi, by powstrzymać jęk. Czubkami palców muskała go niczym piórkiem, powodując, że serce zaczęło mu walić w piersiach jak oszalałe, a oddech zrobił się płytki i urywany.

Starając się nie ruszać, pozwolił jej badać teren w ten sposób przez kolejną minutę. Wtedy, doprowadzony na skraj szaleństwa delikatnym dotykiem, chwycił wreszcie jej rękę i zdecydowanie umieścił palce dokoła swego masztu.

Jęknął cicho.

Przestała ruszać dłonią i zamierzała ją cofnąć. Delikatnie ją przytrzymał.

- Nie przerywaj.

- Jesteś pewien?

- Tak - potwierdził przez zaciśnięte zęby. - Dam ci znać, kiedy masz przestać.

Ośmielona, pieściła go dalej, przesuwając palce z góry na dół i z dołu do góry aksamitnymi, posuwistymi pociągnięciami.

- Och - westchnęła - jesteś taki twardy, gorący i gładki.

- A ty jesteś miękka, gorąca i gładka. Sprawdźmy, czy przypadkiem nie mokra.

Nie czekając na zgodę, rozchylił jej uda i wsunął w nią dwa palce.

Jęknęła i zacisnęła dłoń na jego berle.

Delikatnie wyswobadzając się z uścisku, zaczął ją pieścić palcami od środka w takim rytmie, by dać jej jak największą rozkosz.

Oddech Lily stał się urywany, jej głowa opadła na poduszkę.

Chcąc, by stała się najwilgotniejsza, ponieważ penetracja mogła nie być tak łatwa, jak zakładał, zaczął ssać jej pierś, pracując przy tym językiem i zębami w sposób, który doprowadzi ją na szczyt.

Kiedy wiała już się pod nim z dłońmi wczepionymi w prześcieradło i powiekami zaciśniętymi z rozdzierającego pożądania, cofnął usta, wyjął palce i usiadł.

Rozsunął szeroko jej nogi i usadowił się między nimi. Rozchylił je maksymalnie własnymi kolanami, aby móc ją wziąć kilkoma głębokimi, przesywającymi pchnięciami.

Ustawił się i natarł.

Zmarszczył brwi, zdziwiony oporem, na jaki natrafił. Pchnął raz jeszcze i posunął się o cal, potem kolejny. Krzyknęła i cała się napięła. Pot wystąpił mu na czoło, ciało zalało pożądanie, nad którym nie potrafił zapanować. Wykonał jeszcze dwa pchnięcia, ale wszedł jedynie do połowy. I wtedy zrozumiał problem.

W jego oczach pojawił się błysk zdumienia, już chciał coś powiedzieć, ale wtedy znowu poruszyła się pod nim i w jednej chwili zapomniał o wszystkim poza przemożnym pragnieniem, by ją osiąść.

Drgnęła, szarpiąc się lekko, jakby próbowała go z siebie usunąć, ale tylko nieświadomie pomogła mu wślizgnąć się głębiej.

Z gardłowym pomrukiem wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł je lekko do góry, na skutek czego objęła go nogami w pasie. Ta zmiana pozycji i jeszcze jedno silne pchnięcie sprawiły, że wszedł do końca.

Po policzku Lilly spłynęła łza.

Scałował ją delikatnie i zaraz z zapamiętaniem zaczął się w niej poruszać.

Zacisnęła zęby, usiłując ukryć ból, jaki sprawiała jej penetracja. Zagryzła wargę i modliła się, by szybko skończył. Przez prawie minutę pchnięcia były płytkie, jak gdyby przyzwyczajają ją do swej obecności. Po chwili coś zaczęło się zmieniać, mięśnie, które jeszcze kilka sekund wcześniej protestowały przeciwko wtargnięciu, rozluźniły się i odprężyły, otulając go ściśle niczym rękawiczka dłoń.

Między nogami pojawiła się jej wilgoć, dzięki której łatwiej poruszał się w niej w przód i w tył. Pożądanie rozpostarło się niczym wachlarz w dole jej brzucha, promieniując w górę, i wkrótce całe ciało ogarnął ogień.

Ethan jęknął, pchnięcia stały się mocniejsze i szybsze, penetracja głębsza. Zaciskając mocniej dłonie na prześcieradle, dała się ponieść temu ruchowi, rozkosz rozchodziła się po niej niczym odgłos bębna, mącąc myśli. W tym chaosie jedyną ostoją był Ethan.

Powtórzyła jego imię w myślach, potem na głos, rozchyliła wargi w poszukiwaniu powietrza. Objąwszy ramionami śliskie od potu plecy markiza, dała się ponieść jego żądzy i odnalazła swoją własną, chłonąc słodycz doznania wielkimi chciwymi haustami.

Jak poprzednio, poczuła wszechogarniającą rozkosz. Jednak teraz, gdy szczytowała, ekstaza omal nie przełamała jej na pół: gdy ją zalała, z ust wydarł się jęk uniesienia.

Zakręciło jej się w głowie, ciało przeszył dygot, Ethan tymczasem poruszał się w niej coraz szybciej i mocniej, z coraz większym zapamiętaniem, aż raptownie zeszywniał. Chrapliwy krzyk dobył się z jego piersi, ekstaza trysnęła do jej wnętrza.

Oboje znieruchomieli, z trudem starając się odzyskać oddech i jasność myślenia. Leżeli wyczerpani i nasyceni, podczas gdy świat, wirując coraz łagodniej, wracał do normy. Wtuliła twarz w jego szyję i pozwoliła odpłynąć myślom.

Po dłuższej chwili wysunął się z niej i sturlał na bok. Milczała, zadowolona w ciemności i ciszy, senność zaczęła sklejać jej powieki. Ethan jednak najwyraźniej nie miał ochoty na sen, bo usiadł, materac zafalował pod jego ciężarem. Wyciągnął rękę, po omacku poszukał na nocnym stoliku zapalek i zapalił świecę.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy odwrócił się i spojrzał jej w twarz wzrokiem niewiele cieplejszym od lodowatego.

- No więc, pani Smythe - zażądał nieustępliwym tonem - może mi pani wyjaśni, jak to się stało, że byłaś dziewicą.

Lily sięgnęła po prześcieradło i naciągnęła je na siebie, zakrywając nagość, jak gdyby cienka warstwa materiału mogła zapewnić jakąś ochronę.

Do licha! - zaklęła w duchu. Najwyraźniej mężczyźni potrafią poznać takie rzeczy, a przynajmniej Ethan potrafił. Kładąc się z powrotem na poduszce, starała się powściągnąć panikę.

- No, nie masz mi nic do powiedzenia? - naciskał. Wygładziła palcami górny brzeg prześcieradła.

- Co chcesz, żebym powiedziała? Świdrował ją wzrokiem.

- Możesz zacząć od sprawy najbardziej oczywistej. Jak to się stało, że twoje małżeństwo nie zostało skonsumowane?

Cały Ethan, pomyślała, od razu do sedna.

Więc, co mam powiedzieć? Nie mogę przecież wyjawić, że w ogóle nie miałam męża.

Choć lubiła Ethana, a nawet mu ufała - na tyle, by oddać mu swoje dziewictwo - wiedziała, że nie może ryzykować całkowitej szczerości. Nie była w stanie przewidzieć, jak zareaguje na informację, że cały jej aktualny byt oparty jest na oszustwie. Gdyby się na to zdecydowała, mógłby z łatwością zniszczyć życie, o które tak walczyła. A na to nie mogła pozwolić. Nie, musi dalej w to brnąć i starać się utrzymać jak najwięcej ze swej opowieści, nawet jeśli wiązałoby się to z wymyśleniem kolejnego steku kłamstw, by go udobruchać.

Więc, co powiedzieć? Rusz głową, on czeka!

- Nie było czasu - powiedziała. - Zaraz po ceremonii zaślubin został wezwany, musiał się stawić w pułku i razem z innymi z miejsca wsadzony na okręt płynący do Hiszpanii.

To brzmiało wiarygodnie. Ethan ściągnął złote brwi.

- Pobraliście się w takim pośpiechu, że nie mogliście spędzić ze sobą nawet jednej nocy?

Pokręciła głową.

- On... oświadczył się mi, gdy był na przepustce, i zanim przeczytano zapowiedzi, już otrzymał rozkazy stawienia się w jednostce. Pobraliśmy się... ostatniego dnia i mieliśmy czas tylko na kilka pocałunków.

Zacisnęła palce na skraju prześcieradła, zamknęła oczy, przygotowując się do sfinalizowania blagi, czując jednocześnie, jak w piersiach rośnie jej wielka gula poczucia winy.

- Myśleliśmy, że wróci za kilka miesięcy, ale zanim to się stało, poległ.

Po chwili Ethan przykrył swą wielką ręką jej dłoń i lekko uściśnął.

- Przykro mi.

Ciężar w piersiach wzrósł jeszcze bardziej. Okłamywała go przecież już wcześniej. Dlaczego teraz nagle tak się tym przejmuje? Oczywiście, wcześniej nie dzieliła z nim łoża. Nie знаła piękna jego dotyku, nie wiedziała, jak bardzo jest prawy.

Kochankowie mogą mówić sobie wszystko...

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - spytał. Otworzyła oczy.

- O czym?

- Że jesteś dziewicą. Nie pomyślałaś, że może chciałbym wiedzieć?

Że powinienem wiedzieć?

Wzruszyła ramionami, by zyskać na czasie.

- To... hm... niezręczny temat, o tym się zwykle nie rozmawia.

Uniósł rękę i przesunął dłonią po jej policzku w czulej pieśczoście.

- Dziś wieczór omówiliśmy wiele niezręcznych tematów. Powinnaś była ten także poruszyć. - Grymas wściekłości przebiegł mu przez twarz. - Na Boga, Lily, mogłem zrobić ci krzywdę.

Odwróciła dłoń i splotła palce z jego palcami.

- Ale nie zrobiłeś. Wiedziałam, że w twoich ramionach jestem bezpieczna.

Resztki chłodu znikły z bursztynowych oczu Ethana, ich miejsce zajął błysk pożądania. Jednak już po kilku sekundach zastąpił go wyraz troski.

Usiadł, przeciągnął dłonią przez rozwichrzone włosy i potarł kciukiem o czoło.

- Boli cię głowa? - spytała. - Chyba zupełnie zapomniałam o twojej chorobie, kiedy... - urwała, nagle zawstydzona słowami, które miała powiedzieć. - Jak twoja szyja? Jeszcze ci doskwiera?

- Nie, już prawie w ogóle nic nie czuję. Lekarstwo tego łapiducha okazało się zadziwiająco skuteczne. Jak widać, jestem dość zdrów, by móc się z tobą kochać. - Wbił w nią spojrzenie, brwi miał spuszczone, czoło zafrasowane. - Lily, naprawdę powinnaś była mi powiedzieć.

- Powiedzieć... Chodzi ci o moją niewinność... Cóż, nie powiedziałam, a teraz to już chyba nie ma znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie.

A może on pragnął, by to się nie stało, żałował, że zaślepiiony żądzą pozbawił ją wianka, jakkolwiek bezwiednie? Serce zabiło jej niepewnym rytmem.

- Nie martw się, nic się nie stało. Gniewny mars powrócił na twarz Ethana.

- Nic? Zabrałem ci coś, czego zabrać nie miałam prawa. Jej ramiona zeszywniały.

- Miałeś prawo. Dałam ci je, kiedy zgodziłam się leżeć w twoich ramionach. Nie wziąłeś nic, czego z własnej woli ci nie udostępniłam.

- Może teraz ci się tak wydaje, ale prawda jest taka, że cię uwiodłem.

- O ile zauważyłam, uwodziłeś mnie przez kilka ostatnich tygodni. Nigdy wcześniej nie dałeś poznać, byś żywił choć cień skrupułów w tym względzie. A może tylko żartowałeś, twierdząc, że chcesz mnie w swoim łóżu?

- Czy dziś wieczór wyglądało na to, że żartuję? - spytał retorycznie.

- Cóż, zatem osiągnąłeś swój cel. Myślę, że powinieneś być zadowolony - urwała, bo przyszła jej do głowy myśl, którą niełatwo było wypowiedzieć. - A może kłopot leży gdzie indziej? Może chodzi o to, że nie dałam ci rozkoszy i teraz szukasz eleganckiego wyjścia z sytuacji?

Uświadomiwszy sobie swą nagość i słabość, którą nagle, ku swemu niezadowoleniu poczuła, usiadła i sięgnęła po koszulę. Nie patrząc na Ethana, pospiesznie wsunęła ubranie przez głowę.

- Skąd ci przyszły do głowy takie niedorzeczności?

Położył dłoń na jej ramieniu, delikatnie próbując odchylić ją w swoją stronę. Kiedy nie chciała podnieść wzroku, wsunął pod brodę Lily palec i uniósł podbródek.

- Dałaś mi wielką rozkosz, bardzo wielką. Nie wątp w to ani przez chwilę.

- No to...

- Zhańbiłem cię, Lily, a tego nie chciałem.

Zamilkł na długą chwilę, jak gdyby ważąc następne słowa. Wziął głęboki, pełen determinacji oddech i jeszcze raz popatrzył jej w oczy.

- Wyjdź za mnie. Pozwól mi przywrócić ci twoją cześć. Rozchyliła usta osłupiała. Poślubić go! Wielkie nieba, wśród wszystkich możliwych reakcji markiza, jakie rozważała, ta nawet nie przeszła jej przez głowę. Zalała ją fala ciepła, rycerskość Ethana, a także - tak - myśl o zostaniu jego żoną sprawiły jej wyraźną przyjemność. Ale te emocje równie szybko opadły, jak się pojawiły, rozum zaraz przypomniał, że te oświadczenia nie wynikały z czułego afektu markiza, ale z poczucia obowiązku i - jakkolwiek poniżająca była ta myśl - winy. Cóż, żadna z tych rzeczy nie była jej potrzebna. Poza tym wcale nie miała ochoty wychodzić za męża. Ani za Ethana, ani za żadnego mężczyznę w ogóle.

- Uważasz zatem, że małżeństwo przywróci mi cześć? - stwierdziła. - I kto tu jest niedorzeczny?

Ściągnął brwi w nachmurzony grymas.

- Chcę postąpić honorowo.

Tak, wiem, pomyślała, tłumiąc ziewnięcie. - A ja ci mówię, że nie ma takiej potrzeby. Moja cześć nie doznała uszczerbku, przynajmniej ja żadnego nie widzę. Zacisnął szczęki.

- Pozbawiłem cię dziewictwa.

- Tak, nie da się zaprzeczyć - odparowała i poruszyła się, bo obolałe wnętrze zaczynało dawać się we znaki. - Ale to jeszcze nie znaczy, że musimy połączyć się na wieki.

- Nie patrzysz na to z właściwej strony... Wyrwała się z jego objęć i uniosła rękę.

- Nie, to ty nie patrzysz na to z właściwej strony. Nie przyszło ci do głowy, że może ja wcale nie chcę wychodzić za mąż?

- Nie masz teraz wyboru.

- Oczywiście, że mam. Nikt nie wie, że jesteśmy tu razem...

Roześmiał się drwiąco.

- O tak, nikt oprócz twojej służby, która widziała, jak wyjeżdżaliśmy dzisiaj rano, mojej służby, którą poinformowałem, gdzie się udaję, i wszystkich przyjaciół i znajomych, którym zwierzyliśmy się z naszych planów. Poza tym zupełnie nikt.

Wydeła wargi nadąsana.

- Nie musisz być złośliwy.

- Jedyne wskazuję fakty.

Sięgnął za siebie po poduszkę, uderzył pięścią w jej środek i położył się, umieszczając głowę w powstałym wgnieceniu. Wyraz znużenia odmalował się na jego twarzy.

- Wystąpię o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, gdy tylko wrócimy do miasta. Pobierzemy się z końcem tygodnia.

Z końcem tygodnia! Panika ścisnęła jej żołądek.

- Nie.

- Połóż się, Lily i prześpij trochę.

Zamknął oczy, jakby wszystko zostało postanowione,

- Nie wyjdę za ciebie.
- Rano zmienisz zdanie.
- Może ujmę to inaczej: nie chcę wyjść za ciebie.

Otworzył szeroko oczy, przez chwilę zamigotała w nich iskierka jakby urazy, ale zaraz zgasła.

- Nie wiedziałem, że ślub ze mną może stanowić taką przykrą perspektywę. Ale jestem pewien, że gdy już zostaniesz markizą, twoje wątpliwości znikną.

- Proszę, nie złość się. Nie chodzi mi o to, że mam coś przeciwko poślubieniu właśnie ciebie. Sęk w tym, że w ogóle nie chcę wychodzić za mąż.

Uniósł brew.

- Dlaczego? Wdowy na ogół chętnie biorą sobie nowego małżonka.
- Ale nie ja. Nie zostałam stworzona do małżeństwa.
- Skąd wiesz? Sądząc po twojej nocy poślubnej, prawie nie byłaś zameżna.

- Wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie chcę być ponownie - skłamała. - A gdybyś zastanowił się nad tym wszystkim logicznie, wiedziałbyś, że nie ma potrzeby, byśmy zawierali związek. Związek, pozwól, że dodam, na który wcale nie masz większej ochoty niż ja.

Zapadła cisza.

- Kto mówi, że nie mam ochoty?
- Twoja propozycja mówi. Trudno byłoby ją określić wyznaniem dozgonnej miłości i oddania.
- Więc pragniesz miłości? Jeśli to jest przyczyna twojej odmowy...

- Nie, Ethanie. Chcę po prostu zachować swój obecny status: osoby samotnej i niezależnej. I nie widzę powodu, dla którego nie miałabym tego zrobić. Jestem... wdową i aż do dzisiaj myślałeś, że spałam z co najmniej jednym mężczyzną. Reszta ludzi sądzi tak samo i jeśli tylko nie postanowisz wyprowadzić ich z błędu, nadal będą widzieć we mnie kobietę, której miłość cielesna nie jest obca.

- Tak, ale...

- Nie ma „ale”. Dopóki nie odkryłeś, że byłam dziewicą, nie miałeś żadnych skrupułów, by mnie uwodzić. A może od początku miałeś zamiar poprosić mnie o rękę, gdy już zwabisz mnie do łóżka?

Skutecznie trafiony, rzucił jej żalostne spojrzenie i odwrócił wzrok.

- Tak podejrzewałam. Moim zdaniem to hipokryzja: czujesz, że honor nakazuje ci mnie poślubić, bo byłam dziewicą, ale z radością i zupełnie bezkarnie cieszyłbyś się moimi względami, gdybym była tak doświadczona, jak zakładałeś.

- Nigdy nie myślałem, że jesteś doświadczona, to znaczy prócz zupełnych podstaw.

Postanowiła zignorować tę uwagę.

- Romanse wdów są na porządku dziennym, Ethanie. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Nawet jeśli powstaną jakieś plotki, nikogo specjalnie nie zbulwersują, zwłaszcza gdy nie będzie bezpośrednich dowodów.

- Masz na myśli takie jak przyłapanie na chędożeniu w bibliotece pana domu podczas przyjęcia? - Wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

- Właśnie takie. I nie chcę wiedzieć, czy zaczerpnąłeś ten przykład z własnego doświadczenia.

Pokazał zęby w uśmiechu.

- Nie. Jednego z przyjaciół.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, ale to nie miało znaczenia.

- Tak czy owak, rozumiesz już mój punkt widzenia, a przedstawia się on następująco: jakkolwiek miła i honorowa jest twoja propozycja i choć doceniam twoje dobre intencje, żadne z nas nie pragnie małżeństwa.

W jego spojrzeniu zaświeciła jakaś odległa iskierka, rodzaj melancholii, której nie rozumiała.

- Nie - wymruczał. - Tu masz rację.

- Dobrze. Pozwól zatem, że podziękuję ci za propozycję, milordzie, i wybaczyć, że z niej nie skorzystam. I na tym zakończmy sprawę.

Milczał przez długą chwilę.

- Dobrze, jeśli jesteś pewna.

- Tak, absolutnie.

Ale choć ustąpiło z niej napięcie, jego miejsce zajął całkowicie niewytłumaczalny smutek. Przepędziła go czym prędzej bez cienia litości.

- Zatem, co teraz? - Głaskał ją po gołym ramieniu. Właśnie, co teraz?

Wiedziała, czego pragnie: jego. Ale ciągnięcie tego, co zaczęło się dziś wieczorem, z pewnością okazałoby się błędem. A może nie?

- Teraz powinniśmy się trochę przespać, rano wrócimy do Londynu.

- A potem?

- Nie uważam, by musiało być jakieś potem. Dzisiejszy wieczór był uroczy, nawet więcej niż uroczy, ale to nie powinno wykroczyć poza ściany tej gospody.

Jego dłoń się zatrzymała i zacisnęła na jej skórze.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Poproszę, byś zmienił zdanie.

Świdrował ją wzrokiem. Nagle, jakby podjął decyzję, pochylił się i wciągnął ją pod siebie.

- Dobrze - warknął. - Jeśli tylko dziś wieczór mogę się tobą cieszyć, to chcę go wykorzystać jak najpełniej. - Sięgnął w dół i ściągnął z niej koszulę, potem objął rękoma piersi. - Na razie jesteś nadal moja.

Wpił się w jej wargi i pocałował z namiętnością domagającą się całkowitej kapitulacji. Wsunęła palce w jego włosy i chętnie uległa.

Następnego popołudnia Lily wbiła widelec w kawałek gotowanego łososa i uniosła do ust.

- Zajrzałam do ciebie wczoraj - zagadnęła Davina, siedząca po drugiej stronie stołu w mniejszej jadalni Coatesów. Lord Coates już wiele godzin wcześniej udał się do parlamentu, obie kobiety przebywały same w rodzinnym skrzydle rezydencji. - Twój kamerdyner powiedział, że udałaś się na przejażdżkę. Znowu z markizem, jak sądzę?

Lily ucieszyła się, że zdążyła już przełknąć, co miała w ustach, inaczej mogłaby się zakrztusić. Sięgnęła po wino i wypila spory łyk. Bez pośpiechu odstawiła kieliszek na stół przykryty lnianym obrusem.

- Tak, na kolejnej lekcji. Chyba wspominałam, że mnie nie będzie.

Davina włożyła do ust kawałek pieczonego ziemniaka i, oczywiście, najpierw przełknęła, a potem odpowiedziała.

- Wspominałaś. Zakładałam po prostu, że przed szesnastą będziesz już w domu. Chciałam ci pokazać, jakie piękne guziki wypatrzyłam w jednym ze sklepików na Bond Street.

Lily poczuła się zażenowana.

- Szkoda, że mnie nie zastałaś. Żałuję, że nie zobaczyłam tych guzików. A może teraz mi je pokażesz?

- Pójdę po nie, jak zjemy.

Lily nadzieiała na widelec krążek świeżego ogórek w nadziei, że Davina zrozumie aluzję i zmieni temat.

- Więc gdzie pojechałaś?

Jeszcze raz dziabnęła zielone warzywo, zostawiając w nim rząd maleńkich dziurek, identycznych jak poprzednie.

- Kiedy?

- Z markizem, naturalnie. Bo chyba nie jeździliście po mieście przez ten cały czas.

Tym razem dźgnęła kawałek pomidora.

- Pojechaliśmy do Richmond.

Davina zamarła z widelcem w powietrzu i oczyma rozpalonymi ciekawością.

- Naprawdę? Jak się udała wycieczka?

- Wyśmienicie. Ja powoziłam.

- Całą drogę? Lily skinęła głową.

- To była moja ostatnia lekcja powożenia karyklem.

- A gdy już przyjechaliście na miejsce?

Spędziliśmy noc w gospodzie, gdzie markiz udzielił mi pierwszej lekcji miłości fizycznej, powinna odpowiedzieć Lily. Jednak tłumiąc lekki dreszcz, odsunęła na bok wspomnienia, co nie było łatwe, bo przecież tego ranka obudziła się w ramionach Ethana. Teraz te chwile wydawały się już tak odległe, jakby minęła cała wieczność.

- Pojechaliśmy do Richmond Park.

- I?

- I urządziliśmy sobie piknik... Naprawdę uroczy, dopóki nie przyleciała pszczoła.

- Pszczoła?

Przeklęty, niewyparzony język, zaklęła w duchu Lily, obawiając się, że powiedziała za dużo.

- Właściwie osa - sprecyzowała. - Wstrętne paskudztwo wpełzło pod fular i użądliło markiza. Pojawił się silny odczyn zapalny i jego lordowska mość bardzo źle się poczuł.

Oczy Daviny się rozszerzyły.

- To straszne! Jakże się on teraz czuje?

- Och, teraz już zupełnie dobrze, choć jestem pewna, że byłby wdzięczny, gdybyś zachowała to dla siebie.

- Bez obaw, będę milczeć jak grób. Więc odwiozłaś go od razu do miasta?

Lily przekroiła na pół pomidora i położyła widelec na talerzu.

- Nie, zatrzymaliśmy się w zajeździe, gdzie wezwano lekarza.

- Mój Boże. To wyjaśnia twój późny powrót - orzekła Davina.

- Tak. - Lily złożyła dłonie na kolanach, modląc się, by przyjaciółka nie zaczęła się dopytywać, o której dokładnie pojawiła się w domu, ponieważ Ethan wysadził ją przed rezydencją dopiero kilka minut po ósmej dzisiejszego ranka.

- To ci dopiero przygoda, przyznaję - skomentowała Davina, racząc się jeszcze jednym kąskiem ryby. - Podejrzewam, że właśnie dlatego nie pojawiłaś się na wczorajszym wieczorku u Islingów.

Lily wbiła wzrok w kieliszek, przypatrując się złotawej barwie trunku i myśląc znowu o Ethanie.

- Owszem, to był męczący dzień i wołałam się przespać.

Z markizem, dodała w myśli, zdumiona własnym cynizmem.

- Nie dziwię się. Musisz być jeszcze zmęczona.

- Trochę - przyznała Lily.

Była, prawdę mówiąc, znużona i obolała. W rzeczywistości omal nie odwołała tego lunchu z Daviną, ale wołała przyjść niż się później usprawiedliwiać. Teraz jednak zastanawiała się, czy wymówienie się nie byłoby łatwiejsze.

Wróciła myślami do dzisiejszego ranka. Otworzyła oczy, gdy na niebie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Zobaczyła, że Ethan przygląda się jej wzrokiem, w którym tlił się żar namietności.

- Domyślam się, że jesteś obolała - powiedział tonem, który zabrzmiał jak warknięcie.

Poruszyła ostrożnie nogami i czując ukłucie bólu, skinęła głową; na wspomnienie przyczyny oblała się rumieńcem.

Po pierwszym razie wziął ją jeszcze dwukrotnie, z siłą i satysfakcją doprowadzając do szczytowania więcej razy, niż zdołała policzyć. Był jeszcze w niej, kiedy w końcu zapadła w sen.

Rozumiejąc, że nie ma co liczyć na poranną powtórkę z rozrywki, usiadł i odrzucił pościel.

- Ubieraj się zatem. Wyjeżdżamy w ciągu godziny.

I wyjechali. Powoził Ethan. Przez całą drogę nie odezwał się do niej słowem, Lily także milczała. Co zostało jeszcze do powiedzenia po tym wszystkim, co sobie wyznali i omówili wczorajszej nocy?

Kiedy przyjechali na miejsce, rozstali się bez pożegnalnego pocałunku z uwagi na obecność Hodgesa i jednego z lokajów, przyglądających się im z ledwo skrywaną ciekawością. Ethan wysiadł jednak z powozu, odprowadził ją do drzwi i jak gdyby nigdy nic pochylił nad jej ręką, tak jakby wrócili ze zwykłej wycieczki. Potem zniknął: głośno trzasnął lejcami i zaraz rozległ się stukot kopyt Grzmotu i Błyskawicy uderzających o kocie łby.

Służba, niech jej to Bóg wynagrodzi, mówiła niewiele, wyrażając jedynie zadowolenie z powrotu pani i pytając, jakie ma życzenia.

Najpierw poprosiła o kąpiel: kilka minut spędzonych w głębokiej miedzianej wannie wypełnionej gorącą wodą postawiło ją na nogi, przynajmniej fizycznie. Potem zjadła śniadanie i przespała się do południa, kiedy musiała wstać, by się przygotować do wyjścia na umówiony na czternastą lunch z Daviną.

Czy już o mnie zapomniał? - zastanawiała się teraz. Zwróciłam mu wolność. Czy czuje ulgę, że udało mu się tak łatwo wywinąć?

Bez wątpienia.

Czy głupio postąpiłam, odrzucając go?

Zrozumiała, że chciała w ten sposób chronić samą siebie. Jednak czy aby nie za późno na taką ostrożność? Czy gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby inaczej?

Nie w kwestii małżeństwa, tu jej zdanie nie uległo zmianie. Z takim związkiem wiązało się zbyt wielkie ryzyko, zbyt duże prawdopodobieństwo rozczarowania i bólu, zwłaszcza że Ethan oświadczył się powodowany poczuciem winy i honorem.

Tylko byśmy się unieszczęśliwili, czyż nie?

Jednak wczorajszej nocy bynajmniej nie czuła się nieszczęśliwa. Ethan dał jej najbardziej zdumiewającą rozkosz, jaką można było poznać. Nadal mogłaby cieszyć się jego bliskością i pieścizotami, gdyby tylko zgodziła się, by pozostali kochankami.

Ale lepiej, by to się skończyło, mówiła sobie. Nie chciała, żeby Ethan Andarton pokrzyżował jej starannie przygotowane plany ani nękał pożądaniem i pragnieniem, jakie wzbudzała nadzwyczajna moc jego dotyku.

Chyba łatwiej mi będzie rozstać się z nim teraz niż później... Wzdychając, wzięła z koszyczka na pieczywo małą bułeczkę i rozerwała na trzy kawałki, nie próbując żadnego.

- Czy coś się stało? - spytała Davina łagodnie.

Lily zerknęła na przyjaciółkę, zła na siebie, że uciekła myślami tak daleko. Opanowała wiele mówiący pas, już wpełzający na jej policzki.

- Nie, skąd. Tylko się zamyśliłam.

Davina milczała przez chwilę.

- Jest bardzo przystojny, prawda?

- Kto?

- Twój markiz.

- Nie jest mój. Skąd ci to przyszło do głowy? - Znowu chwyciła widelec i zaczęła rozdłubywać łososia. - Zresztą wczorajsza wycieczka była prawdopodobnie naszą ostatnią. Wątpię, bym teraz często widywała lorda Vessey'a.

Przyjaciółka posłała jej sceptyczne spojrzenie, najwyraźniej nieprzekonana.

- Skoro tak mówisz...

- Owszem. To może przyniesiesz mi te guziki, które chciałaś mi pokazać.

- Czy mogę służyć czymś jeszcze, milordzie? Ethan uniósł głowę znad książki.

- Nie, Welk, dziękuję. Nie będziesz mi już dziś potrzebny. Służący się uklonił.

- Życzę spokojnych snów, milordzie.

- Dobranoc.

Kiedy pokojowiec się wycofał, Ethan wrócił do książki, ale przeczytał zaledwie trzy linijki i dał sobie spokój. Rzut oka na stojący na kominku w jego sypialni niebieski zegar z miśnieńskiej porcelany uświadomił mu, że jest dobrze po pierwszej.

Ziewnął. Jego organizm też się domagał snu, przypominając o późnej porze. Poprzedniej nocy nie zasnął zbyt wiele odpoczynku, nie mówiąc o tym, że został użądłony przez pszczołę, a później uśpiony laudanum. Mimo to w odruchu jakiejś buntowniczej przekory przemęczył się przez cały ten dzień, szerokim łukiem omijając łóżko.

Kiedy rano wrócił do domu, wykapał się, przebrał i zjadł okazałe śniadanie. Później ignorując prośby ciała o sen, spędził kilka godzin na przeglądaniu korespondencji z sekretarzem i załatwianiu innych spraw związanych z interesami.

Następnie włożył strój wieczorowy i udał się do Klubu Brooks'a na drinka i kilka partyjek kart z Tonym, lordem Howardem i dwoma innymi znajomymi. Cała grupa przeszli do innego lokalu na St. James, gdzie spożyli solidny obiad: befsztyk i pieczone kuropatwy. Niedługo potem Tony wymknął się na schadzkę ze swoją aktualną lubą, podczas gdy Ethan

i inni zdecydowali udać się na bal do miejsca znanego z najdzikszych harców i obecności skorych do tańca i igraszek dam z półświatka.

Towarzyszył kilku z nich na parkiecie: miały rozmemłane suknie, przepastne dekolty, twarze pomalowane proszkiem antymonowym i barwiczką, mdlący zapach ich perfum prześladował jego nozdrza niczym woń gnijących kwiatów.

W głowie snuło mu się wspomnienie świeżej, pachnącej wanilią skóry, gładkich, czystych policzków i naturalnie różowych ust, ciało zapragnęło niedoświadczonych objęć pewnej młodej kobiety, która nie wiedziała nic o grzechu i hańbie i w niczym, poza płcią, nie przypominała niewiast zgromadzonych w tej sali.

Ogarnięty nagłym obrzydzeniem do obecnych tam dam i do samego siebie, wyszedł, wracając do domu dużo wcześniej, niż przystało modnemu dżentelmanowi.

W sypialni raz jeszcze umył się od stóp do głów, by pozbyć się odoru tych kobiet, włożył czysty szlafrok i przewiązał się w pasie. Z półki z beletrystyką w przyległej bawialni wybrał sobie obyczajną książkę, nalał małą szklaneczkę porto i usadowił się na szeszlunku niedaleko kominka, by poczytać.

Nie doszedł jednak daleko, słowa zlewały się mu w niezrozumiałe linie, widział tylko szeregi czarnych atramentowych znaków pozbawionych znaczenia.

Tylko jedno słowo, jedno imię miał wciąż w głowie.

Lily.

Już na samą myśl o niej robił się twardy z pożądania, ciało natychmiast ogarnęły gorączka i żądza. Gdyby miał choćby cień nadziei,

że ucieszy się na jego widok, ubrałby się, pojechał do jej domu i załomotał do drzwi, domagając się, by go wpuściła do swego łóżka.

Jednak ona wyraziła swe zdanie, dając mu kosza i jako potencjalnemu mężowi, i jako kochankowi. Choć może trąciło to zarozumiałstwem, ale jeszcze żadna kobieta mu nie odmówiła. Nie potrafił zliczyć tych, które usiłowały zwabić go w swe sidła, niektóre z nich pragnęły jego ciała i bogactw, inne obrączki.

Wczoraj w nocy był gotów dać to wszystko Lily, gotów złamać wstępne przyrzeczenie poślubienia innej, z którą związek usatysfakcjonowałby jego rodzinę i przyniósł zaszczyt rodowi. Amelia była pod każdym względem lepszą partią: miała to wszystko, co powinna mieć markiza. Zatem dlaczego nie potrafił nawet przypomnieć sobie jej twarzy? I dlaczego gdy o niej myślał, czuł się tak, jakby zdradzał Lily...

Co było niemądre, ponieważ Lily postanowiła zakończyć ich romans, zanim tak naprawdę się zaczął.

Nawet teraz nie mógł pojąć dlaczego, bo wiedział, że go pragnie. Żadna kobieta nie potrafiłaby udawać tego rodzaju nieokiełznanej namiętności i płomiennej reakcji, kiedy była w jego objęciach, zwłaszcza nie taka, która była nietknięta. Gdyby miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości - a nie miał - widok plam krwi na prześcieradle rano jawnie dowodził jej prawdomówności.

Dlaczego zatem chce się go wyrzec teraz, gdy już zniknęła bariera dziewictwa? Czyżby aż tak kochała zmarłego męża? Czy związek z nim był aż tak drogi jej sercu, że nie chce kłaść wspomnienia nawet za cenę własnego szczęścia i rozkoszy?

Jeśli zaś idzie o niego samego, powinien był wyleczyć się z niej tego popołudnia. Ta jedna noc powinna była ostudzić jego apetyt na tyle, by dał sobie spokój, zapomniał o Lily, rozglądając się za jakimś nowym celem.

Jednak okazało się, że zdobycie jej tylko zaostrzyło pragnienie, chciał jej teraz mocniej niż przedtem. Z wściekłym warknięciem zamknął książkę i odrzucił na bok oprawne w skórę tomiszcze.

Sen mi dobrze zrobi.

Podszedł do łóżka, usiadł na kołdrze, wcześniej odwinętej z myślą o jego wygodzie. Nachyliwszy się, by zdmuchnąć świecę, zauważył źdźbło siana leżące na nocnym stoliku - tę słomkę, którą wyciągnął spomiędzy piersi Lily, gdy wiozła ich do Richmond. Rano znalazł ją w kieszeni i położył przy łóżku.

Teraz przez długą chwilę obracał w palcach. Uniósł trawkę do ust, a potem powąchał - czując zapach ziemi, myślał o Lily i czasie, który razem spędzili.

Wyzwawszy siebie od głupców, już chciał wyrzucić źdźbło, jednak schował je do szuflady szafki nocnej. Zdmuchnął światło.

Położył się pod kołdrą pewien, że natychmiast zaśnie. Minęła jednak godzina, zanim pomimo zmęczenia wreszcie ogarnął go sen.

Trzy dni później Lily wyszła z domu o dziewiątej rano na przechadzkę po pobliskich uliczkach, kilka kroków za nią, z uwagi na przyzwoitość i bezpieczeństwo, człapała pokojówka.

Choć tego typu rozrywka nie uchodziła za szczególnie wyrafinowaną, Lily nadal lubiła spacerować i robiła to, gdy tylko czas na to pozwalał. Przez całe życie chodziła regularnie na spacer i nie wiedziała, dlaczego miałyby nagle przestać tylko dlatego, że teraz zamieszkała w mieście.

Choć nie było tu urwistych, targanych wiatrem klifów ani pofałdowanych trawiastych łąk czy zarzuconych kamieniami wrzosowisk, Londyn zapewniał mnóstwo ciekawych widoków. Każdego rana mleczarki i przekupki z pomarańczami zachwalały głośno swoje towary, później kramarze wszelkiej maści oferowali niemal wszystko od pierwszorzędnym atramentów i herbat przez świeże kwiaty, na śpiewających ptakach kończąc.

Lily czasami kupowała jakiś bukiet za kilka pensów, raz nawet była bliska nabycia pary ślicznych żółtych kanarków. Ostatecznie jednak rozmyśliła się w obawie, że Mouser z pewnością by na nie zapolował.

Mogła udać się do jednego z parków i przechadzać się tam w towarzystwie innych dam i dżentelmenów. Ale wolała zostać sam na sam z własnymi myślami, a nie zatrzymywać się co chwilę, trawiając czas na pustych pogawędkach.

Tego ranka szczególnie czuła potrzebę ruchu i wyrwania się z domu. Nie spała dobrze w nocy, ciało i umysł nękały dręczące, zapadające w

pamięć zmysłowe sny z Ethanem w roli głównej, po których zostały jej zapuchnięte oczy i uczucie niezaspokożenia.

Wczoraj wieczorem widziała go na raucie.

Sączyła sherry ze szklaneczki, czekając, aż następny partner poprosi ją do tańca, kiedy odwróciła głowę i ujrzała Ethana stojącego w drugiej części pokoju. Konwersował z zachwycającą blond pięknnością i śmiał z czegoś, co mówiła.

Gdy uniósł głowę, ich oczy się spotkały, a uśmiech opadł z jego twarzy. Przez długą, niemal bolesną chwilę nie zdejmował z niej wzroku, wreszcie pochylił głowę w ukłonie. Potem wrócił do przerwanej rozmowy i już więcej na nią nie spojrzał.

Godzinami czekała w panice na to, co się wydarzy, zastanawiając się, jakby zareagowała, gdyby do niej podszedł. Czy poprosiłby ją do tańca? Próbował zwabić do alkowy albo do ciemnego ogrodu, by skraść jeszcze kilka pocałunków?

Ale wieczór ciągnął się i ciągnął, a on nie uczynił żadnej z tych rzeczy, w ogóle nawet nie próbował się do niej zbliżyć. Dostała już zatem odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie, czy o niej zapomniał. Najwyraźniej jedna noc w oberży zaspokoila jego nieskrywane żywiołowe pożądanie. Sama sobie winna, myślała, bo odrzuciła jego propozycję.

A jednak...

Kiedy prosiła o płaszcz, poprzysięgła sobie, że z markizem koniec. Raz na zawsze. Ale gdy znalazła się w pościeli i opadły powieki sklezione snem, pojawiły się zdradzieckie marzenia.

Zaprzatając umysł. Dręcząc ciało.

Obudziła się wcześniej, czując, że musi wstać i jak najszybciej opuścić dom.

Teraz odwróciwszy twarz do słońca, kroczyła przed siebie w nadziei, że każdy kolejny krok poprawi jej nastrój i rozwieje smutek. Przeszła już prawie pół kwartału i zbliżała się do domu Pendragonów, kiedy otworzyły się frontowe drzwi rezydencji.

Pojawiła się baronowa z małym synkiem na rękach i idącą z tyłu piastunką. Za nimi kroczył wysoki, łysy, zwalisty mężczyzna, trzymając w muskularnych ramionach elegancki drewniany wózek, jakby ten ważył nie więcej niż zapalka. Łatwo pokonawszy frontowe schody, postawił spacerówkę na chodniku, i odsunął się, pozwalając kobietom ułożyć w środku berbecia. Ciemnowłosy chłopczyk chichotał, klaskał i wymachiwał nóżkami, wyraźnie podekscytowany wycieczką.

Lily poczuła się jak intruz i uznała, że powinna coś powiedzieć.

- Dzień dobry, milady - zawołała, podchodząc do stojącej na chodniku grupki. - Widzę, że zabiera pani synka na przechadzkę. Ma na imię Campbell, prawda?

Julianna odwróciła głowę, spacerowa suknia z muślinu w kolorze indygo eksponowała jej nieco egzotyczną urodę, zaś powłóczysta spódnica nie ukrywała wyraźnie zaokrąglonego brzucha, w którym rósł kolejny potomek. Baronowa wyprostowała swą drobną postać liczącą sześćdziesiąt cali, żywy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Zgadza się. Witam, pani Smythe. Jakże się pani miewa? Proszę mi wybaczyć, ale dopiero teraz panią zauważyłam. Mam nadzieję, że nie stoi tu pani długo.

Lily pokręciła głową.

- Nie, ale na tyle długo, by stwierdzić, że jest pani zajęta. Lady Pendragon zaśmiała się pogodnie.

- Ostatnimi czasy wyjście z Camem z domu bywa prawdziwym wyzwaniem.

- Cam! - oświadczył chłopiec, wyrzucając w powietrze ramionka i zanosząc się chichotem. Jego żywe zielone oczy stanowiły wierną replikę oczu ojca.

Na ustach Julianny zamigotał pobłażliwy uśmiech.

- Bardzo mu się ostatnio spodobało własne imię i używa go przy każdej okazji. Pozostałe ulubione słowa to: mama, tata i Ben-Ben, czyli ukochany króliczek maskotka.

- Ben-Ben - powtórzył Cam, uśmiech zamarł na jego twarzy, gdy sekundę później rozejrzał się dokoła i nie zobaczył zabawki.

- Czasami nie wiem, kogo kocha bardziej, mamę, tatę czy Ben-Bena - żartowała Julianna.

Pochyliła się i sięgnęła do kieszeni wózka za plecami małego i wyciągnęła miękkiego króliczka z brązowego aksamitu z wyszywanymi niebieskimi oczyma, różowym nosem i wąsami.

- Proszę, kochanie - powiedziała pieszczotliwie, podając synkowi podniszczoną maskotkę.

Chłopiec mocno przytulił króliczka.

- Mama.

Lily zaśmiała się, pochyliła bliżej i zamachała przed oczyma małego palcami.

Nagle onieśmielony, ukrył twarz za królikiem, zerkając na nią zza długich zwisających uszu zwierzaka. Jednak po chwili odzyskał rezon i wystawił głowę.

- Cam! - zawołał.

Zachwycająco, pomyślała Lily. Jak by to było mieć własne dziecko? Zapewne nigdy się tego nie dowiem, zważywszy, że nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

W głowie mignął jej obraz dziecka: malutkiego chłopczyka o włosach blond z domieszką czerwieni i twarzą Ethana.

Dobry Boże!

Serce jej mocniej zabiło i czym prędzej przegnała tę fantazję.

- Cóż - powiedziała pełnym napięcia głosem. - Proszę kontynuować przechadzkę. Nie chciałabym przeszkadzać.

- Ależ wcale pani nie przeszkadza. Zamierzamy po prostu przejść się ulicą. Idzie pani w jakimś konkretnym kierunku?

Lily pokręciła głową.

- Nie, po prostu spaceruję.

- To może przejdziemy się razem, jeśli nie przeszkadza pani nieco wolniejsze tempo... Idziemy do cukierni trzy przecznice dalej. Właściciel sprzedaje najlepsze toffi w mieście, a ja ostatnio zapewniam mu spore wpływy. - Julianna położyła dłoń na wydatnym brzuchu. - Te potworne zachcianki, rozumie pani. Rafe radzi, bym wysyłała służącego po zakupy, ale obawiam się, że stanę się okrągła jak jabłuszko, jeśli nie będę zażywać ruchu. W ten sposób nie czuję się winna, jeśli pochłonę całą torebkę.

Lily uśmiechnęła się. Uzmysłowała sobie, że z miejsca polubiła sąsiadkę. Poza tym w towarzystwie łatwiej pozbyć się myśli o Ethanie, co, zważywszy na ostatnie przemyślenia, było jak najbardziej pożądane.

- Tak, dziękuję - przystała. - Będzie mi bardzo miło. Julianna sama pchała wózek, Lily dostosowała się do jej kroku.

Służące szły z tyłu, rozmawiając cicho, a wielki pochód zamykał łyśy osiłek. Lily rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i stłumiła dreszcz: nie widziała tak strasznych oczu.

Julianna najwyraźniej zauważyła minę Lily.

- Proszę się nie przejmować Hannibalem. Wygląda groźnie, ale jest łagodny. Przynajmniej na ogół.

Dosłyszawszy tę uwagę, Hannibal zrobił ponurą minę, zmarszczył gniewnie brwi.

- Rafe czuje się lepiej, wiedząc, że nie chodzę sama - dodała lady Pendragon. - Zwłaszcza teraz, kiedy znów jestem przy nadziei. A ja wolę ustąpić, niż się z nim sprzeczać. Zresztą, kiedy Rafe nie może mi towarzyszyć, obecność Hannibala dodaje otuchy. Kiedyś... ale to nie ma już teraz znaczenia.

Szły dalej, baronowa pchała przed sobą wózek.

- Proszę powiedzieć, jak lekcje? Słyszałam, że lord Vessey uczy panią powożenia.

To świetna uwaga, jeśli idzie o wyrzucenie Ethana z myśli, skwitowała w duchu Lily, po czym odparła:

- Już się skończyły, milady. Lord Vessey uznał, że jestem już gotowa do samodzielnej jazdy.

- Moje gratulacje! Mieć talent dający takie poczucie swobody.

Koniecznienie musi mnie pani zabrać kiedyś na przejażdżkę. Mogłybyśmy wybrać się na zakupy.

- Wspaniały pomysł, ale nie nabyłam jeszcze własnego zaprzęgu.

- Och, jestem pewna, że Ethan z największą przyjemnością pomoże pani w tym.

Lily rzuciła w odpowiedzi jakąś niezobowiązującą uwagę i zmieniła temat rozmowy na bardziej neutralny.

Cukierenka okazała się przyjemnym miejscem - zważywszy na wczesną porę, panował tu duży ruch. Cała grupka, obładowana słodyczami po uszy, w doskonałym humorze ruszyła z powrotem.

Kiedy dotarli do rezydencji Pendragonów, Julianna zaprosiła Lily do środka.

- Proszę wejść. Zaprowadzę tylko Cama do jego pokoju, potem będziemy mogli napić się herbaty i skosztować tych łakoci.

Lily zawahała się na myśl o rachunkach, które powinna teraz przejrzeć w domu. Wzruszywszy w duchu ramionami, uznała, że może uporać się z nimi później.

- Dziękuję, wejdę z przyjemnością.

- Jeszcze herbaty?

- Tak, proszę - odrzekła Lily, podając filiżankę lady Pendragon czy raczej Juliannie, jak teraz już o niej myślała.

Od czasu pierwszej wspólnej przechadzki przez ostatnie dwa tygodnie ich poranne spacerowanie stały się już zwyczajem, któremu oddawały się, gdy tylko czas na to pozwalał. Często towarzyszyli im mały Cam i

reszta świty. Później Julianna zawsze proponowała Lily filiżankę herbaty, a Lily chętnie przyjmowała zaproszenie.

Lord Pendragon dwukrotnie odłożył zajęcia, by do nich dołączyć, urzekając Lily interesującą rozmową i inteligentnymi uwagami. Jeszcze bardziej zachwycał ją sposób, w jaki traktował żonę, każdym spojrzeniem i gestem wyrażając bezmiar swej miłości. I było widać, że Julianna czuje to samo do męża, jej oczy promieniowały szczęściem za każdym razem, gdy wymieniała jego imię.

Poza miłością, Lily widziała też łączącą ich silną więź lojalności, zaufania i przyjaźni. Ten widok dawał jej do myślenia i spowodował, że zaczęła się zastanawiać, czy nie była przypadkiem zbyt surowa w swojej wcześniejszej ocenie stanu małżeńskiego. Może nie wszystkie małżeństwa są takim koszmarem, jaki widziała, dorastając.

Ale nie, Rafe i Julianna zapewne byli tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę. Fakt, że mieli szczęście znaleźć prawdziwą miłość, nie oznaczał, że takie cuda przydarzają się też innym. Autentyczna, niekłamana miłość uderza w ludzi nie częściej niż piorun. A jednak, mimo unikalności ich przykładu, za każdym razem, gdy widziała Pendragonów razem, jej myśli biegły w końcu do Ethana, przez głowę przepływało tysiące „co by było gdyby”.

Ale dziś, choć też myślała o Ethanie, nie mogła zasłaniać się nimi dwojgiem: siedziały z Julianną same, lord Pendragon pracował w gabinecie.

Gaska, skarciła się w duchu.

Lord Vessey najwyraźniej bez trudu zepchnął ją w przeszłość, więc postąpiłaby mądrze, czyniąc to samo. Pewnie był jednym z tych

mężczyzn, którzy raz skorzystawszy z względów jakiejś damy, przechodzą do następnej jak koliber skaczący z kwiatka na kwiatek, który nigdy nie wraca dwa razy do tego samego.

Na myśl, że Ethan mógłby kochać się z kimś innym, czuła taki ból w piersiach, że przez chwilę nie mogła oddychać.

Przestań, udzieliła sobie kolejnej reprimendy. Nie jest mój i nigdy nie będzie. Co nie znaczy, że w ogóle chciałabym, by był, bo wcale nie chcę.

- Lily? - przerwała jej rozmyślania Julianna.

Podniosła głowę i zobaczyła, że przyjaciółka podaje jej napełnioną ponownie filiżankę: nad powierzchnią cieczy unosiły się małe spiralki pary.

- Dziękuję - powiedziała Lily i odebrała z rąk gospodyni naczynie. Uważając, by nie poparzyć ust, wzięła niespieszny łyk.

- O czym przed chwilą myślałaś? - spytała Julianna.

- O niczym ważnym. - Posłała jej uśmiech. - Opowiadałaś mi o waszym domu w West Riding.

- Zgadza się, opowiadałam - potwierdziła Julianna i z pełnym dumy uśmiechem przystąpiła do opisu wiejskiej posiadłości Pendragonów.

Dwadzieścia minut później wymieniały się najnowszymi ploteczkami na temat sekretnego romansu Caro Lamb z lordem Byronem, kiedy rozległo się pukanie. Siedząc w fotelu, którego wysokie oparcie zasłaniało widok na wejście, Lily nie mogła dostrzec, kto przyszedł. Sekundę później już nie musiała próbować.

- Dzień dobry, Julianno. Rafe powiedział, że tu cię znajde - oświadczył Ethan swoim głębokim, charakterystycznym głosem,

wchodząc do pokoju. - Pomyślałem sobie, że zajrzę do ciebie i przywitam się, zanim... Och, nie wiedziałem, że masz towarzystwo.

Lily poczuła napięcie, gdy stanął blisko, zbyt blisko.

- Proszę wybaczyć to najście - powiedział i zrobił krok, by stanąć do niej twarzą. - Ja... Lily!

Starając się uspokoić szalejący puls, uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Milordzie.

Złożył elegancki ukłon, brązowy żakiet wspaniale eksponował złoty kolor jego włosów i oczu.

- Pani Smythe, witam. Jakże się pani miewa? Skłoniła lekko głowę.

- Doskonale, dziękuję.

Nie spytała, jak on się miewa. Sama mogła to doskonale ocenić.

Wydał jej się jeszcze piękniejszy, niż pamiętała. Śmieszna rzecz, zważywszy, że nie minął tydzień od chwili, kiedy widziała go przelotnie na kolejnym balu. Tak czy owak, prezentował się wystarczająco uroczo, by roztopić serce Królowej Lodu. Wzięła się w garść, starając się ze wszystkich sił zachować się w stanie stałym.

Julianna spojrzała na nich oboje.

- Zapraszamy - powiedziała. - Usiądź i dotrzymaj nam towarzystwa.

Zmarszczył brwi, ale zaraz wygładził czoło.

- Właśnie byłem u Rafe'a. Nie mogę zostać długo.

- Z pewnością zdążysz napić się z nami herbaty. - Julianna naala napar do filiżanki, dodała łyżeczkę cukru i podała całość markizowi.

Grzeczność nie pozwalała odmówić. Po chwili wahania wziął filiżankę i spodeczek, następnie usiadł na sofie, dokładnie naprzeciwko Lily.

Spuściła oczy. Zamieszał herbatę. Julianna chrząknęła.

- Zatem, o czym panowie rozmawialiście?

Z cichutkim brzękiem odłożył na talerzyk srebrną łyżeczkę.

- O tym, co zwykle. Interesach, polityce, ostatnim milionie, jaki Rafe zarobił na giełdzie.

- Hm... - powiedziała Julianna z uśmiechem. - To rzeczywiście zwykła rzecz. Rafe ma wyjątkowy talent do robienia pieniędzy.

- Zawsze miał szczęście w tym względzie. A teraz jeszcze los mu sprzyja w miłości.

Lily uniosła wzrok i zobaczyła, że Ethan wcale nie patrzy na Julianę, tylko na nią. Poczowała na skórze delikatne mrowienie. Zaciskając palce, ukryła je pod fałdami muslinowej sukni w zielonobiałe pasy.

- Jak się czujesz, Julianno? - spytał markiz, przenosząc wzrok na drugą kobietę. - Widzę, że wprost kwitniesz.

Zachichotała i położyła dłoń na brzuchu.

- To bardzo miły sposób stwierdzenia, że przytyłam kilka funtów, ale Rafe mnie zapewnia, że to wszystko przez dziecko. Słodczyce, którymi się ostatnio zajadam, podpowiadają mi coś innego.

- Nonsens. Wyglądasz wspaniale. I masz prawo do łakoci oraz innych zachcianek. W końcu jesz teraz za dwoje.

Julianna uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona i podniesiona na duchu jego słowami.

Ethan odwrócił głowę.

- A co u pani, pani Smythe? Zdaje się, że sezon pani służy.

- Owszem, chyba tak.

- Z tego, co słyszę, nie narzeka pani na brak partnerów do tańca. -

Ton tego stwierdzenia złagodził, uśmiechając się samymi ustami.

- To samo można by rzec i o panu, milordzie - odpowiedziała -choć nigdy bym nie sądziła, że ma pan czas, by zaprzętać sobie głowę śledzeniem moich poczynąń.

- Pani tycjanowskie włosy rzucają się w oczy. Wydaje mi się, że pani i panna Mockingham jesteście jedynymi rudowłosymi damami w tym sezonie.

- Może zatem to pannę Mockingham pan obserwował. Pokręcił wolno głową.

- Nie. Ona jest o całą głowę niższa od pani i siłą rzeczy znika w tłumie. - Wypił łyk herbaty. - Słyszałem, że w ostatnią środę wybrała się pani na przejażdżkę do Hyde Parku.

Uniosła brew.

- Ma pan doskonałe źródło informacji, milordzie. Owszem, lord Pedlam był tak miły i zabrał mnie swym faetonem. Pozwolił nawet przejąć lejce, abym mogła zdecydować, czy wolę wysoko zawieszony ekwipaż od karykla. Właśnie mówiłam Juliannie, że nadal nie mogę się zdecydować, co kupić. Nieprawdaż, moja droga?

Julianna popatrzyła na nią, potem zerknęła na Ethana, na jej twarzy malował się wyraz nieskrywanej ciekawości. Kiedy przeniosła znowu wzrok na Lily, na jej czole pojawiła się jej maleńka zmarszczka.

- Hm... w istocie, mówiłaś coś w tym rodzaju.

- Karykiel będzie doskonały na pani potrzeby - orzekł Ethan autorytarnym tonem. - Faeton jest frywolnym powozem przeznaczonym do zabawy.

Napreżywszy się, postanowiła bronić swego i przechyliła głowę w geście nieświadomej kokieterii.

- A co każe panu zakładać, że nie mam ochoty na trochę zabawy, milordzie?

Wielkie nieba, czy to zabrzmiało tak, jak mi się wydaje, przeszło jej przez głowę.

Wpatrywał się w nią pociemniałymi nagle oczyma.

- No cóż - wycedził. - Ostatnio miałem podstawy myśleć, że jest inaczej. Może zmieniła pani od tego czasu zdanie.

Zaschło jej w ustach, serce zakołatało w piersiach. Dlaczego mam wrażenie, że wcale nie mówimy o powozach, pomyślała.

- Może. A może nie - odparła wymijająco, uznawszy, że lepiej skierować rozmowę na bardziej neutralny grunt. - Tak czy owak, muszę wybrać odpowiedni powóz i konie.

- Już mówiłem pani wcześniej, że chętnie jej w tym pomogę.

- Tak, ale ostatnio bywał pan taki zajęty.

- Wystarczy, że szepnie pani słowo, a zmienię plany.

- Nie chciałabym nadużywać pana uprzejmości - powiedziała i dodała z uśmiechem. - Jestem pewna, że lord Pedlam rad będzie służyć mi wskazówkami.

Ethan mocno zacisnął szczęki, w oczach pojawił się złowróżbny błysk.

- Nie wątpię, że byłby rad, ale muszę panią ostrzec, iż mało prawdopodobne, by panią zadowolił. Postąpiłaby pani znacznie rozsądniej, wybierając sobie bardziej doświadczonego nauczyciela.

Ledwo powstrzymała rumieniec, który już wpełzał na jej policzki, ale nie odważyła się spojrzeć na Juliannę, by sprawdzić, czy ta zdaje sobie sprawę z aluzji i podtekstów, które niczym elektryczne iskry przebiegały przez pokój.

W desperackiej próbie ucieczki spojrzała raptem na wiszący na ścianie zegar z tarczą w kształcie księżyca.

- Och, spójrzcie państwo tylko, która godzina. Czy naprawdę zrobiło się już wpół do dwunastej? Zupełnie straciłam rachubę czasu. Wybaczcie mi, proszę, Julianno, milordzie, ale muszę już wracać do domu.

Podniosła się. Ethan również.

- Na mnie też pora. Jak mówiłem, nie mogę zostać długo. Odwrócił się gładko do Julianny i złożył jej wytworny ukłon.

- To była prawdziwa przyjemność, jak zawsze. Dziękuję za herbatę.

- Mnie też było miło, Ethanie.

Zerknął na Lily.

- Odprowadzę panią.

- Och, to nie jest konieczne. Przyszłam na piechotę, a jak pan wie, do domu mam stąd dwa kroki.

- Tym niemniej dama zawsze potrzebuje ochrony. Pójdę z panią.

Dlaczego nie wzięłam ze sobą pokojówki? Ale wcześniej ciągnięcie Susan wydawało się zbędne, bo wiedziała, że będzie z Julianną i jej służbą, włączając w to budzącego respekt Hannibala.

Widząc jednak upór malujący się na twarzy markiza, zdała sobie sprawę, że nie ma sensu oponować.

- Doskonale. Ruszył do drzwi.

Lily objęła Julianę, która też wstała i przyciągnęła przyjaciółkę bliżej do siebie.

- To dobry człowiek, ale uważaj - wyszeptała baronowa. - Nie chciałabym, żebyś cierpiała.

- Nie obawiaj się. Nie będę. - Gdybym tylko miała w tej kwestii taką pewność, jaka brzmi w moim głosie, pomyślała. - Tylko odprowadzi mnie do domu.

- Naturalnie. Pamiętaj, że jutro nie możemy się spotkać, bo idę na prośzone śniadanie. Chyba że chciałabyś mi towarzyszyć. Zdobicie drugiego zaproszenia nie będzie żadnym problemem.

- To bardzo miło z twojej strony, ale mam kilka spraw do załatwienia. Zatem do zobaczenia.

Rzuciwszy te słowa pożegnania, przeszła przez pokój i położyła dłoń na ramieniu Ethana.

Kiedy wyszli z rezydencji, opuściła rękę.

- Nie musisz mnie odprowadzać, milordzie. Sama świetnie dam sobie radę. Jeśli się pan obawia, może pan poczekać i patrzeć, póki nie dojdę do drzwi.

Sięgnął po jej rękę, położył ją na powrót na swoim ramieniu i przytrzymał.

- Wtedy byłbym za daleko, by służyć pomocą na wypadek jakiegoś nieszczęścia. A tak mam pewność, że jesteś bezpieczna.

Jak doskonale wiesz, milordzie, nie spotka mnie w tej okolicy żadna krzywda.

Są inne niebezpieczeństwa oprócz złodziei i złoczyńców. Mogłaby pani na przykład upaść i się zranić. Roześmiała się.

- To raczej mało prawdopodobne, a nawet gdyby tak się stało, jestem pewna, że sama zdołałabym wstać.

- Ale cierpiałyby pani, a tego bym nie chciał. Przez jakieś pół minuty szli w milczeniu.

- Co u ciebie słyhać, Lily?

- Wszystko dobrze, dziękuję, milordzie.

- Ethanie. Byłem Ethanem, gdy widzieliśmy się ostatni raz.

- Gdy widzieliśmy się ostatnio, wydarzyło się wiele różnych rzeczy - stwierdziła spokojnie - które teraz należą do przeszłości.

Jego ręka zeszywniała na jej dłoni.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

- Tak, całkowicie.

- Nie wyglądało na to w bawialni Julianny przed chwilą. Uniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie? Coś musiało się panu przywidzieć.

- O, słyszałem i widziałem wszystko doskonale - szepnął, opuszczając wzrok na jej usta.

Nagle zabrakło jej powietrza w płucach. Uznała, że może to na skutek zbyt szybkiego marszu i poczuła wyraźną ulgę, gdy kilka chwil później dotarli do jej drzwi.

- Jesteśmy na miejscu - rzuciła. - Życzę miłego dnia, lordzie Vessey. Wiem, że pan się śpieszy i nie może wejść, więc go nie zatrzymuję.

Spodziewała się, że zgodzi się z nią, tymczasem on postawił nogę na pierwszym stopniu frontowych schodów.

- Hm... mam jeszcze kilka minut. Możemy swobodnie ustalić dzień i godzinę, kiedy spotkamy się, by wyszukać dla pani jakiś odpowiedni karykiel i zaprzęg.

- Faeton - odparowała. -I nie sędzę, by mój terminarz pozwolił na taką eskapadę, nie w najbliższej przyszłości.

- Może zatem wejdźmy do środka, by mogła pani sprawdzić. Głowę daję, że znajdzie pani trochę czasu.

Świadoma obecności kamerdynera i lokaja stojących w drzwiach i bez wątpienia słuchających każdego słowa, skinęła głową. Nie wypadało sprzeczać się z lordem na schodach.

- Zgoda, ale tylko na kilka minut. Mam dziś po południu umówione spotkanie i muszę się na nie przygotować.

Skłonił głowę.

- Kilka minut wystarczy.

Wręczywszy kapelusz i rękawiczki służącemu, poszedł za nią na górę do gabinetu. Lily z ociąganiem podeszła do biurka z orzecha włoskiego: nie musiała zaglądać do terminarza. Jej wcześniejsze wymówki były kłamstwem, które Ethan na pewno z miejsca przejrzał.

Drzwi zamknęły się za jego plecami z donośnym trzaskiem.

Zaskoczona, uniosła głowę.

- Co pan robi, milordzie? Wszedł głębiej do pokoju.

- Uznałem, że przyda nam się trochę prywatności, byśmy mogli porozmawiać swobodnie i by nikt nam nie przeszkadzał.

- Nie będzie pan tu na tyle długo, żeby ktoś zdążył. - Zrobiła krok i stanęła na wprost markiza. - Zdecydowałam, że wolę, by ktoś inny pomógł mi przy zakupie powozu.

Pokręcił głową.

- Nie, to muszę być ja. Tylko ja wiem, czego pani pragnie, co panią zadowoli i sprawi przyjemność. Żaden inny mężczyzna nie będzie wiedział.

I raptem znowu nie rozmawiali już o środkach lokomocji. Serce zatrzepotało jej w piersi jak wróbel sfruwający z gałęzi.

- Odejdź, Ethanie. Nie chcę cię.

Podszedł bliżej.

- Nie chcesz?

- Nie.

Spojrzała mu w twarz: jego bursztynowe oczy płonęły teraz pożądaniem. Oddech Lily zrobił się płytki, jakby w pokoju nie było dość tlenu. Krew tętniła jej w skroniach i pulsowała dziko u nasady szyi.

Nie była w stanie odwrócić wzroku. Minęła sekunda, potem dwie.

W trzeciej rzuciła się do przodu, a on zamknął ją w miażdżących objęciach, unosząc nad podłogę.

Trzymając się go kurczowo, odpowiadała żywiołowo na zniewalające pocałunki markiza. Z zachłannością, która ongiś by ją zszokowała, objęła go za szyję i dała pełny wyraz namiętności, odpowiadając na każde aksamitne pociągnięcie jego języka płomiennym tańcem swojego.

Wydał gardłowy pomruk, chwycił zębami jej dolną wargę i pieścił, żartobliwie podszczypując i przygryzając przez długą podniecającą chwilę, po czym wdarł się z powrotem w jej usta.

Odpowiedziała ochoczo na pieszczotę, przeczesując palcami jedwab włosów markiza. Potem pogładziła jego policzki i przytrzymała nieruchomo głowę, by wpić się w jego usta całą mocą płomiennego pożądania. Sprostął wyzwaniu, powodując, że straciła panowanie nad zmysłami.

Jęknęła i znowu pogłaskała go po policzkach, poruszona kontrastem między ich wygoloną powierzchnią a gładkim jak atlas wnętrzem, które badał jej język.

Przesuwając pieścotliwie dłonie po plecach Lily, pocałował ją jeszcze głębiej, sprawiając, że jej sutki stwardniały na dwa małe gruzełki, a ciało przeszył dreszcz. Dała się ponieść namiętności. Zapach, smak i dotyk Ethana były jak afrodyzjak, jak tajemny eliksir zmysłów, który wymiół wszystko z jej umysłu poza pierwotną, żywiołową żądzą. Zdesperowana uniosła nogi i objęła go nimi w pasie, nie zwracając uwagi na spódnice, zmiętą w kłęb między nimi.

Wsunął ręce pod pośladki Lily, uniósł ją wyżej i umieścił naprzeciw fallusa ze wszystkich sił starającego wydostać się ze spodni. Nie odrywając warg od jej ust, zrobił krok do przodu i położył na biurku.

Oczyścił blat jednym ruchem, wszystkie księgi rachunkowe, dokumenty i pióra zrzucając na dywan.

Powinny były ją zaniepokoić te zniszczenia, ale teraz interesował ją tylko on i desperacka potrzeba, by poczuć go w sobie. Ciągłe ją całując, rozsunął jej nogi i wszedł pomiędzy nie.

Sutki Lily znowu boleśnie zapulsowały, błagając o jego dotyk. Wyczuł tę potrzebę i zaczął manipulować przy jej plecach, luzując gorset na tyle, by oswobodzić piersi. Objął je dłońmi i zaczął wprawnie pieścić.

Powieki jej opadły, z ust dobył się jęk, kiedy wygiął ją w łuk i wziął jedną pierś do ust. Zaczął ssać, słodkie wilgotne ciepło jego języka sprawiło, że zadrżała w jego ramionach. Kiedy już całkowicie zaspokoił pierwszą, zajął się drugą, racząc się nią łapczywie, ssąc i drapiąc zębami, by zaraz uspokajająco pogładzić językiem.

Po jakimś czasie sięgnęła w dół, by przyciągnąć go do siebie, ale on zamiast posłuchać, opadł na kolana, podciągnął do góry jedwabną spódnicę i rozsunął szeroko jej nogi.

Nie miała pojęcia, co zamierza zrobić, mimowolnie skrzywiła się, kiedy poczuła jego wargi między udami. Instynktownie spróbowała je zacisnąć, ale jej nie pozwolił, przesuwając ją bliżej krawędzi blatu, gdzie wiała się bliska szaleństwa.

Wygięła się w łuk, rozpląszczyła dłonie na biurku, by nie spaść i zaczęła głośno dyszeć, wydając niekontrolowane jęki, kiedy obsypywał ją pocałunkami tam, gdzie do niedawna jeszcze nikt jej nawet nie dotykał. Nie miała pojęcia, że można w tym miejscu całować kobietę. Odbierająca zmysły przyjemność niemal jej nie rozerwała, gdy pieścił ją językiem, a przeraźliwie silny dreszcz wstrząsnął całym ciałem, kiedy wsunął go do środka.

Jęknęła i zatrzęsła się cała, rozkosz przeszła ją niczym oślepiająca burza. Ale on jeszcze nie skończył, delektując się nią dalej, aż po jej policzku spłynęła łza, i zalały ją, jedna po drugiej fale nieziemskiej ekstazy, pozbawiając tchu i wyrywając z gardła głęboki jęk.

Wtedy wstał, rozpiął spodnie i uwolnił wybujały wzwód. Położył ją delikatnie na plecach na biurku i wszedł w nią bez żadnych dalszych wstępów. Nie były potrzebne: jej ciało powitało go, jakby dla niego właśnie stworzone.

Inaczej niż za pierwszym razem, nie poczuła żadnego bólu, a on nie miał trudności z wejściem, choć jego męskość wypełniła ją całkowicie. Na nalegania markiza uniosła nogi i złączyła je na jego plecach, co umożliwiło mu głębszą penetrację.

W oszłamiającym rytmie ruszał się szybko i mocno, oparłszy ręce po obu stronach jej głowy, tak by mógł ją całować, porywając w świat, gdzie nie istniało nic oprócz upojenia jego bliskością. Zastanawiała się, czy serce jej nie pęknie - tak wielkie czuła pragnienie, tak ogromną rozkosz.

I raptem znowu osiągnęła szczyt: w uszach usłyszała stłumiony huk przelewającej się wody, zupełnie jakby tonęła, i zaraz eksplozja ekstazy uniosła ją wprost do nieba.

Stłumił ustami jej okrzyk, a kilka sekund później sam wykrzyczał w jej usta własne spełnienie.

Dyszząc, opadł na nią i wtulił twarz w jej szyję, ale po chwili wstał.

Ona leżała dalej z zamkniętymi oczyma, zbyt zmęczona i syta, by się ruszyć. Bała się spojrzeć na niego w obawie przed tym, co zobaczy w jego oczach. Ale kilka minut później okazało się, że denerwowała się niepotrzebnie.

- Lily - wyszeptał - nie pozwolę ci odejść, więc nawet nie próbuj. Nie chcesz wychodzić za mąż, zgoda, ale nie dam się już więcej odsunąć od twego łóżka.

Zerknęła na niego spod uniesionych rzęs.

- Nie jesteś w moim łóżu.

- Nie, skorzystaliśmy z biurka. I to powinno dać ci do myślenia.

Chodź, pomogę ci się podnieść, zanim zupełnie zeszywniejesz.

Zerknęła w dół i szeroko otworzyła oczy.

- Coś mi się zdaje, że to raczej tobie coś zeszywniało. Jak to możliwe, że tak szybko?

Posłał jej zmysłowe spojrzenie.

- Obchodziłem się bez ciebie wiele tygodni. Przez wiele ciągnących się w nieskończoność dni i to napełniło mnie silnym pożądaniem.

- Nie było innych kobiet?

- Nie. I nie będzie, przynajmniej póki namiętność między nami nie wygaśnie.

A jeśli to się stanie - zaniepokoiła się w duchu.

Chwilę później postanowiła zignorować i pytanie, i samą obawę.

Ciesz się dniem dzisiejszym, powiedziała sobie, i nie martw przyszłością. Będiesz miała jeszcze mnóstwo czasu, by stawić czoło rzeczywistości i wszystkim jej przyziemnym aspektom.

Patrząc głęboko w piękne oczy koloru whisky, uśmiechnęła się i podała mu dłoń.

Opierając się o filar, Ethan patrzył, jak Lily sunie po sali balowej w ramionach innego mężczyzny. Nie zniósłby takiego widoku, ale trzymał swoje prymitywne instynkty na wodzy, mając pewność, że to on odwiezie ją do domu i on spędzi tę noc w jej łóżku.

Minęły trzy dni od popołudnia, kiedy dziko i gwałtownie kochali się na biurku w jej gabinecie, co na zawsze już miało zmienić jego stosunek do tego konkretnego mebla i biurka w ogóle.

Tego pierwszego dnia, gdy już zgodziła się zostać jego kochanką, poprowadziła go do sypialni, wyznając po drodze, że skłamała, mówiąc, iż ma zajęte popołudnie. Przyparł ją do ściany i wycisnął jej na ustach gorący pocałunek, od którego obojgu zapało dech w piersiach. Z najbardziej swawolnym uśmiechem obiecał, że zapewni jej zajęcie na następnych kilka godzin.

I dotrzymał słowa.

Zamknęli się w pokoju, rozebrali do naga i spędzili resztę dnia na zaspokajaniu namiętności, jaka ich łączyła. Kilkakrotnie, kiedy myślał już, że wyżeła go do ostatka, pożądanie budziło się w nim na nowo niczym wygłodniały tygrys domagający się pożywienia. Z wielką lubością oboje robili wszystko, co w ich mocy, by zaspokoić bestię.

Kilka minut przed osiemną tamtego popołudnia z trudem oderwał się od Lily. Ubrał się i opatulił ją pościelą, zostawiając wyczerpaną i pogrążoną w śnie z uśmiechem błakającym się na różanych wargach.

Sam też paradował z uśmiechem przyklejonym do twarzy, który nie chciał zniknąć, nawet kiedy pojawił się w stajniach Pendragonów, by

odebrać swój powóz. Z ulgą stwierdził, że służący Rafe'a i Julianny są dyskretni i w ogóle nie dają po sobie poznać, że widzą coś dziwnego w jego ponad sześciogodzinnej nieobecności.

Choć byłoby naiwnością wyobrażać sobie, że uda się ukryć romans z Lily, uznał, że trzeba przynajmniej spróbować - dlatego postanowił iść do domu, zamiast spędzić tę noc w jej łóżku, jak by wolał.

Te dobre intencje nie przetrwały jednak nawet doby, wyglodniały tygrys obudził go z płytkiego snu nieco po pierwszej w nocy. Leżąc w ciemnościach, próbował zapanować nad pożądaniem i zasnąć. Ale okazało się to niemożliwe. I choć zakrawało to na szaleństwo, ubrał się, wyszedł z Andarton House, zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć do rezydencji pani Smythe.

Stróż nocny ogłosił właśnie trzecią godzinę, kiedy Ethan stanął przed drzwiami Lily. Nie chcąc budzić służby, obszedł dom dokoła i przeskoczył przez otaczający niewielki ogródek mur z cegieł. Za pomocą nader praktycznego zestawu narzędzi, które otrzymał od Rafe'a wiele lat temu, otworzył tylne drzwi. Skradając się cichutko po schodach, odnotował w pamięci, że koniecznie musi kazać zainstalować tu nowe zamki i przygotować klucz dla siebie. Ale gdy tylko znalazł się w sypialni, wszystkie myśli uleciały mu z głowy, pozostała tylko świadomość, że pragnie Lily.

Zdjął szybko ubranie i wsunął się obok niej do łóżka. Czując, że się budzi, przytknął dłoń do jej ust, by powstrzymać krzyk i przysunął usta do jej ucha.

- To ja - wyszeptał. - Nie bój się.

Kiedy poczuł, że się uspokoiła, cofnął dłoń.

- Dobry Boże, Ethan - powiedziała. - Wystraszyłeś mnie śmiertelnie.
- Przepraszam.
- Co tu robisz? Która godzina?
- Wczesna. I jestem tu, bo nie mogłem spać. Znowu cię pragnę.

Wydała cichy odgłos, który bardzo mu przypominał kocie mruczenie.

- O, nieba. Jak dostałeś się do środka?
- Później ci powiem.

Mając dość rozmowy, wsunął ręce pod pościel i przekonał się, że Lily ma na sobie nocną koszulę. Z niecierpliwością zdarł z niej tę osłonę.

- Mogłabyś dać sobie spokój z wkładaniem podobnych fatalaszków. Wykończysz mnie ich ściąganiem.

Westchnęła z zadowolenia i przeczesała mu palcami włosy.

- Naprawdę?
- Naprawdę - obiecał, przykrywając jej ciało swoim.
- Zgoda.

Chwilę później nie liczyło się już nic prócz boskiego piękna i błogości jej pocałunków.

Nawet teraz, gdy patrzył, jak tańczy, niemal czuł dotyk jej drobnych dłoni na swej skórze, kielkującą biegłość niewprawnych jeszcze pieszczot. Okazało się, że jest bardzo pojętną uczennicą, a on chciał ją nauczyć jeszcze tylu rzeczy. Ale najpierw musiał jakoś przetrwać najbliższe godziny, potem, pal sześć dyskrecją, zabierze ją do domu.

Poza tym jutro i tak musieli wcześniej wstać, by pojechać na aukcję, gdzie zamierzał znaleźć jej doskonałą parę koni. Później rozejrzą się za powozem.

Uśmiechnął się na myśl o czekającej ich wycieczce.

Uśmiech nadal błąkał się na jego ustach, gdy wspominał rozmowę, jaką prowadzili wczorajszej nocy. Poinformowała go, że chce mieć faeton błękitny niczym piękne czerwcowe niebo.

- Chyba karykiel, chciałaś powiedzieć.

- Nie, faeton. Cudny, lazurówbłękitny faeton.

Zaśmiał się, postanawiając podokuczać jej trochę, że wybrała taki bardzo kobiecy odcień.

- Cudny, zaiste. Takich kolorów raczej się nie spotyka. Nie jestem pewien, czy w ogóle produkują farbę do powozów w takim odcieniu. Prawdopodobnie będziesz musiała przystać na ciut ciemniejszą barwę, na przykład granat.

Zmarszczyła nos.

- Nie podoba mi się granat, przynajmniej na moim powozie.

- Albo czern. Znalezienie ekwipażu w tym kolorze nie powinno nastęczać trudności.

- Brr... żadnej czerni. Tylko błękit. Wytwórca powozów może chyba wystarać się o odpowiednie farby, by uzyskać taki odcień?

- Cóż, zobaczymy. Nie jestem pewien, czy to się uda. Chwyciła jego twarz w swe dłonie, pocałowała go słodko i długo-

- Uda się - wyszeptała. - Znajdziemy sposób.

W tamtej chwili, patrząc na jej pełną entuzjazmu, podekscytowaną twarz, przysięgł sobie, że będzie miała swój błękitny jak niebo powóz, nawet jeśli musiałby wynająć do jego pomalowania jakiegoś artystę.

Teraz w sali balowej taniec dobiegł końca, muzyka ucichła, zgromadzone na parkiecie pary zaczęły wracać na miejsca. Wsparta na ramieniu partnera Lily spojrzała na Ethana, prześlizgując się po nim

nieśmiałą, choć niespieszną pieśczętą. Poczł w dole brzucha gwałtowny przyplłw požądania. Patrzył na nią jeszcze przez dlugą chwilę, potem odwrócił wzrok, zaciskając na boku dłonie w pięści i próbując się uspokoić.

Do licha, zaklął. Zapowiada się bardzo dlugi wieczór.

Znowu utkwil w niej wzrok: stała teraz pogrążona w rozmowie z przyjaciółką, Daviną Coates.

Ale przecież wcale nie musi tak dlugo trwać.

Wyszedł z sali balowej, wyciągnął pióro i kawalek papieru i szybko skreślił kilka słów. Znalazł lokaja, podał mu złożoną kartkę razem z monetą, mającą zagwarantować szybkie doręczenie wiadomości. Poczekał jeszcze chwilę, potem odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

Pół godziny później Lily wymknęła się frontowymi schodami z rezydencji, w której odbywał się bal i podeszła do czekającej opodal karety. Lokaj otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść do środka.

Z ciemnego wnętrza wyłoniła się czyjaś ręka. Lily chwyciła za tę dłoń. Drzwiczki zamknęły się w tej samej chwili, w której powóz ruszył. Lily, pociągnięta do przodu, opadła na parę silnych, męskich ud.

Czując znajomy dotyk i zapach mężczyzny, na którego kolanach siedziała, uspokoiła się. Jednocześnie jej serce zaczęło bić szybciej.

- Ethan? - wyszeptała. - Co ty wyprawiasz?

Nie siląc się na wstępy, zebrał spódnice jej wieczorowej sukni. Podciągając w górę liliowy jedwab, zaczął zmysłowo gładzić nagą skórę jej nóg.

- A jak ci się wydaje? - Nachylił się do przodu i zaczął muskać ustami jej szyję z taką wprawą, że z miejsca instynktownie wygięła się w łuk z rozkoszy. - Kocham się z tobą.

- Więc po to przysłałeś mi ten liścik? Myślałam, że coś się stało. Odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Stało się. Jesteś mi potrzebna.

- Cieleśnie. Ale przecież możemy poczekać. Przyjęcie niedługo się skończy.

- Nie dość szybko. Chcę cię teraz - prawie warknął.

- Będiesz mnie tyranizował?

- Pod tym względem, owszem. Jesteś moją kochanką i będę cię brał. Gdzie i kiedy tylko obojgu nam przyjdzie do głowy.

Wpił się w jej usta i porwał w królestwo uniesienia, domagając się całkowitego poddania się i niczym nieskrępowanej odpowiedzi. Ani przez moment nie zamierzała się opierać, każda jego pieszczota była doskonała, uścisk palił płomienną namiętnością, pod której żarem rozpływała się w jękach. Dopiero kiedy leżała pod nim cała drżąca, a z rozchylnych ust dobywał się urywany, spazmatyczny oddech, dał jej chwilę wytchnienia.

Ale niedługo. Przesunął szerokie dłonie wyżej, na skutek czego spódnica zrolowała się wokół jej talii. Podciągnął Lily i posadził okrakiem na swoich udach, tak że jej nogi ułożyły się swobodnie po obu stronach jego bioder, a kolana wbijały się w obite aksamitem siedzenie.

Włożył rękę między jej uda i rozpiął swe wieczorowe spodnie z czarnego jedwabiu. Jego fallus natychmiast wyskoczył do przodu, gruby i w pełnej gotowości.

- Ależ jesteśmy w twojej karecie - wyszeptała, tonem po części zgorszonym, po części podekscytowanym.

- Siedzieliśmy już w niej kiedyś, jeśli pamiętasz, ale wtedy nie dokończyliśmy sprawy. Od tego czasu czekałem na drugą okazję.

- Przecież nie możemy.. Błysnął zębami w ciemnościach.

- Oczywiście, że możemy. Stangret będzie jeździł dokoła parku, dopóki nie każę mu się zatrzymać. Poczekaj chwilę, kochanie, obiecuję, że spodoba ci się ta przejażdżka.

Rozchylił szeroko swoje uda, tym samym rozsuwając i jej, tak że znalazł się między jej nogami. Poczula żądzę kłębiącą się w dole jej brzucha i delikatne drżenie w kończynach. Nie miała czasu zareagować na te doznania, bo chwyciwszy ją za biodra, nasadził na swój naprężony, rwący się do akcji członek.

Krzyknęła, miała wrażenie, że jeśli to możliwe, wszedł w nią jeszcze głębiej niż zazwyczaj. Przytrzymując się, odpowiadała na jego pełne wigoru pchnięcia ochoczymi suwami, a kołysząca się i podskakująca na trotuarze kareta wzmagała efekt każdego ich ruchu.

Spragniona pocałunku, wsunęła mu palce we włosy i wpiła się w jego wargi w gorącym i gwałtownym akcie zespolenia. Jęknął i zaczął energiczniej ruszać lędźwiami, wchodząc w nią jeszcze mocniej i przyspieszając rytm.

Bliska spełnienia, wiedziała, że za moment spadnie w otchłań ekstazy. Chwilę później kareta wjechała w koleinę, a wstrząs sprawił, że oboje podskoczyli i zaraz opadli mocno na siedzenie. Na skutek tego mimowolnie wszedł w nią jeszcze głębiej, poczuła cudowny suw i zaraz boski orgazm, który dosłownie pozbawił ją tchu. Przycisnąwszy twarz do

jego szyi, drżała, gdy rozkosz rozchodziła się jej po całym ciele niczym narkotyk i wypełniła lekkością tak bezbrzeżną, jak gdyby unosiła się na obłoku.

Zsunąwszy swe muskularne ramiona na jej plecy, Ethan odchylił ją trochę i przyspieszył rytm, żgając głębiej i mocniej i coraz szybciej poruszając lędźwiami. Chwilę później on także eksplodował w długiej, sycącej oboje ekstazie.

Opadł na siedzenie, objął Lily ramionami i zaczął głaskać po plecach, przesuwał jednocześnie ustami po gorącej, zaróżowionej skórze jej policzka.

Minęło kilka minut, zanim podniósł ją, ramieniem przyciskając do swego boku, tak że zwinęła się na siedzeniu.

- Do końca balu została jeszcze jakaś godzina - wyszeptał. - Jeśli masz ochotę, mogę cię tam zawieźć.

- W tej wymiętej sukni? Gdybym się w niej pojawiła, nikt nie miałby wątpliwości co przed chwilą robiliśmy. - Uniosła głowę i pocałowała go. - Zawieź mnie do domu, prosto do łóżka, Ethanie. To jedyne miejsce, w którym chcę teraz być.

- O, jaki ładny ogier - oświadczyła Lily nazajutrz, gdy przechadzali się rano z Ethanem po podwórzu przed stajnią jednej z posiadłości niedaleko Londynu.

Właściciel niedawno zmarł i jego syn - pewien lord znany z zamiłowania do hazardu - wyprzedawał zwierzęta chętnym oferującym najwyższą cenę.

Ethan spojrzał na nią z pobleżaniem.

- Ten wałach może jest i ładny, ale podejrzewam, że nie sprawdzi się jako koń zaprzęgowy. Z tego, co mi mówiono, wystawiono tu też kilka zaprzęgów, w tym parę świetnie dobranych siwków.

- To brzmi obiecująco, zwłaszcza że siwki pasowałyby kolorystycznie do błękitnego jak niebo faetonu, który zamierzam kupić. - Posłała mu szeroki uśmiech.

Roześmiał się.

- W istocie pasowałyby, ale jak doskonale wiesz, w koniach liczy się coś więcej niż maść. Kiedy już ocenimy budowę i temperament koni, to wtedy dopiero zastanowimy się, czy ich maść będzie się komponować z czernią twojego nowego karykla.

Pacnęła go lekko po ramieniu za nieustanne przekomarzanie się, co tylko wywołało kolejną salwę śmiechu. Ciągłe chichocząc, chwycił jej dłoń, wsunął pod swoje ramię i poprowadził ją dalej.

Pół godziny później zawężili wybór do dwóch zaprzęgów: pary długonogich gniadoszy z pięknymi czarnymi skarpetkami na pęcinach oraz pary koni siwojabłkowitych, których maść była równie spokojna, jak temperament. Nie chcąc okazywać zainteresowania żadnym z zaprzęgów, by sprzedający nie podbił ceny, Lily i Ethan byli bardzo powściągliwi w komentarzach, szepcząc między sobą i uważając, by nie wychwalać otwarcie którejkolwiek z par.

Poszli dalej i stanęli właśnie niedaleko dwóch czarnych jak atrament wałachów, których królewskie sylwetki i zachowanie wzbudzały spore zainteresowanie przybyłych, kiedy podszedł do nich wysoki dżentelmen o wyglądzie arystokraty.

- Witam, jakże idzie polowanie na konie? - Książę Wyvern przystanął i skłonił się elegancko. - Vessey. Pani Smythe, co za przyjemność.

Lily spojrzała na księcia, jak zwykle poruszona posępnym pięknem jego oblicza i seksapilem, który emanował z niego niczym upajający zapach wody kolońskiej. Naturalnie osobiście wołała złote loki Ethana i jego bursztynowe oczy, których spojrzenie sprawiało, że serce zaczynało tłuc się w jej piersi. To jednak nie znaczyło, że nie była w stanie dostrzec i podziwiać urody innego oszałamiająco przystojnego mężczyzny, nawet jeśli jej zainteresowanie miało charakter czysto platoniczny.

Na dobrą sprawę nie znała księcia, choć zostali sobie przedstawieni podczas sezonu. Niemniej wiedziała, że Ethan i Wyvern są bliskimi przyjaciółmi. Aż do dziś nie poświęcała specjalnej uwagi znajomym Ethana. Teraz, czując na sobie badawcze spojrzenie księcia, zastanawiała się, czy Ethan mu o niej powiedział. Czy wyznał, że została jego kochanką? Na tę myśl lekko zeszywniała.

Najwyraźniej świadom jej skrepowania, markiz położył dłoń na jej ręce, przytrzymując na swym ramieniu. Chwilę później Lily napotkała spojrzenie Wyyerna i odprężyła się, nie znajdując w uśmiechu arystokraty niczego oprócz serdeczności.

- Przypuszczam, że zastanawiacie się nad gniadoszami i jabłkowitymi, które stoją na drugim końcu boksów - powiedział książę przyciszonym głosem.

- Dlaczego wasza książęca mość tak sądzi? - spytała, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie zdradzili z Ethanem jakoś swych preferencji.

Uniósł kruczoczną brew.

- Są najlepsze ze wszystkich wystawionych na sprzedaż, a Ethan potrafi odróżnić owies od plew. Żaden z pozostałych zaprzęgów nie jest wart kupna, zaś tworzenie par z poszczególnych koni jest w najlepszym razie przedsięwzięciem mocno ryzykownym. Czasami kończy się powodzeniem, czasami zupełnym fiaskiem. W tym ostatnim przypadku raptem może się okazać, że zamiast dwóch, trzeba kupić trzy lub cztery konie w sumie, a wątpię, by chciała pani wyłożyć takie fundusze, nawet jeśli mogłaby później odsprzedać zwierzęta.

Zrobiła wielkie oczy, sama nigdy nie rozważała kupna koni od tej strony.

- Osobiście, gdybym był na pani miejscu, wziąłbym siwojabłkowite. Rodzeństwo z Pegaza, konia o doskonałym rodowodzie - zasugerował Wyvern. - Ale obie pary się sprawdzą.

Uśmiech zarysował się na ustach Ethana.

- Lily wolałaby siwki. Twierdzi, że ich umaszczenie będzie pasowało do koloru jej powozu.

Książę się roześmiał.

- Wszystkie sprawiają wrażenie doskonałych wierzchowców - broniła się. - Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Ale było widać, że chce siwki.

Czy książę zauważył, że Ethan użył mojego imienia, zastanawiała się. Jeśli tak, nie dał tego po sobie poznać. Jednak już choćby po sposobie, w jaki markiz trzymał jej rękę, każdy na ich widok musiał podejrzewać, że łączy ich zażyłość.

A jeśli ludzie istotnie domyślą się prawdy?

Postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. Nie miała ochoty kluczyć i konspirować, próbując ukryć związek z Ethanem. Chciała z nim być, więc będzie. Ludzie z towarzystwa mieli ją za wdowę, więc będą patrzeć przez palce na ten romans, nawet jeśli od czasu do czasu poszepczą za jej plecami.

Podejrzewała, że pogłoski już i tak musiały krążyć, bo Ethan znowu spędził noc w jej domu, rano zjedli wspólnie śniadanie, zanim udali się na wyprzedaż. Jeśli jej reputacja miała doznać uszczerbku, już to się stało.

- A który z koni wpadł w oko waszej książęcej mości? - spytała.

- Hm, jeden czy dwa - rzucił lakonicznie Wyrem, wyraźnie nie chcąc odkrywać kart. - Może przejdziemy na miejsce aukcji? Zdaje się, że zaraz się zacznie licytacja.

Idąc w towarzystwie najprzystojniejszych mężczyzn na wyprzedaży - i prawdopodobnie w całej Anglii - z uśmiechem ruszyła do przodu.

Dwie godziny później także się uśmiechała: para siwków była teraz za cenę, którą Ethan i Wyvern uznali za okazijną. Książę także wziął udział w aukcji i wylicytował trzy konie, w tym jednego z czarnych wałachów, które podziwiali wcześniej, oraz dwie klacze zarodowe, w nadziei że wniosą wkład w program hodowlany jego stajni w Rosemead.

Jeśli idzie o Ethana, zaskoczył Lily, licytując parę gniadoszy, podbijając stawkę na samym końcu, by wziąć je za ułamek ich prawdziwej wartości. Kiedy licytator ogłosił go zwycięzcą, rzuciła mu pytające spojrzenie, na które odpowiedział tylko wzruszeniem ramion.

- Grzechem byłoby pozwolić, by takie dobre konie poszły w obce ręce - wyjaśnił. - Jeśli uznasz, że wolisz je od siwków, wystarczy, że dasz mi znać.

Popatrzył jej w oczy, a zmysłowe usta ułożyły się w niewymuszony uśmiech prawdziwej bliskości.

Poczuła, jak zalewają ją fale ciepła, rozchodząc się niczym promienie słońca, nogi i ręce zrobiły się miękkie. Nachyliła się leciutko w jego stronę i widziała, jak bursztynowe tęczęwki rozpalają się i pojawiają się w nich wyraz, który już teraz dobrze знаła. I choć znajdowali się w miejscu publicznym, wiedziała, że nie cofnęłaby się przed jego pocałunkiem. Ale był dżentelmenem z krwi i kości, zadowolony więc lekkim uściśnięciem jej dłoni.

Niedługo potem Wyvern przeprosił ich i pożegnał się, odchodząc, by zająć się nowo nabytymi końmi.

Lily i Ethan szli spacerkiem przez dziedziniec.

- Jeśli masz jeszcze siłę - zaczął - może udalibyśmy się do wytwórcy powozów i wybrali ten karykiel dla ciebie?

Zmrużyła oczy, bawiąc się tym przekomarzaniem.

- Zgoda, doskonały pomysł. Chodźmy wybrać mój nowy faeton.

- Dobrze. Potem będziesz mogła zabrać mnie na przejażdżkę.

- Ale przecież powóz nie będzie gotowy tak szybko.

- Nie tego rodzaju przejażdżkę mam na myśli.

Zrobiła okrągłe oczy.

- Ethan!

Zaniósł się rubasznym śmiechem.

- Czy ktoś ci już mówił, Lily, że jesteś pyszna?

Znowu poczuła ciepło rozchodzące się w dole brzucha, krew żywiej zapulsowała w żyłach i zrozumiała, że czekające ją dni z Ethanem w

niczym nie będą przypominały wcześniejszych. Uśmiechnęła się i pozwoliła, by ją poprowadził.

RS

Trzy miesiące później Ethan siedział przy biurku w Andarton House: gęsie pióro, którym pośpiesznie przesuwiał po leżącym przed nim papierze, zostawiało za sobą zawyły szlaczek czarnego atramentu.

Skończył list, osuszył i wręczył młodzieńcowi, który pełnił funkcję jego sekretarza. Sprawny i dobrze wykształcony Cooksey opieczętował pismo woskiem, następnie umieścił na nim adres i pieczęć Vessey'a, umożliwiając Ethanowi zajęcie się resztą korespondencji.

Chcąc jak najszybciej uporać się z obowiązkami, jakie nakładał na niego tytuł, markiz pracował w pośpiechu, by czym prędzej wrócić do rozkosznego towarzystwa Lily.

Od kiedy zostali kochankami, bardzo szybko ułożyli sobie wygodny plan dnia. Początkowo markiz starał się ograniczyć do spędzania jedynie kilku godzin wieczorem z Lily, towarzysząc jej na bal albo proszony obiad, gdzie zwykle rozstawali się na jakiś czas, by nie prowokować zbyt wielu komentarzy. Później odwoził ją do domu, z reguły wchodził do środka i szedł za nią na górę do jej sypialni. Po kilku godzinach niechętnie wychodził i jechał do swego domu nad ranem, kiedy na ulicach nie widać było jeszcze nikogo poza znużonymi ulicznymi latarnikami i od czasu do czasu jakąś nadgorliwą mleczarką.

Ale skończył się czerwiec, a wraz z nim sezon towarzyski, większość członków socjety porzuciła miejski skwar, szukając wytchnienia w wiejskich posiadłościach. Kiedy w początkach sierpnia w parlamencie ogłoszono przerwę wakacyjną, wyjechało jeszcze więcej bywalców

salonów, szeregi pozostałej w mieście arystokracji znacznie się przerzedziły.

Nawet Rafe i Julianna, którzy większość roku spędzali w mieście, zdjęli z drzwi kołatkę, zapakowali małego Cama i razem ze służbą pojechali do West Riding, gdzie zamierzali spędzić resztę jesieni. Rafe zapowiadał, iż niewykluczone, że zostaną na północy aż do lata, bo dziecko miało przyjść na świat za jakiś miesiąc.

Tony natomiast krążył między Rosemead a Londynem, trzygodzinna podróż nie stanowiła wielkiej przeszkody. Ale choć pojawiał się w mieście, Ethan nie spodziewał się widywać często przyjaciela: wiedział, że księżę przyjął już dwa zaproszenia na pobyt w wiejskich rezydencjach u innych przyjaciół.

Ethana także zapraszano, ale wymówił się, wolał pozostać w mieście z Lily. Ona sama też miała okazję wyjechać. Davina Coates prosiła ją, by spędziła resztę lata w Middlesex. Lily jednak odmówiła i pożegnała przyjaciółkę kilka tygodni temu.

W opustoszałym mieście Ethan i Lily zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu, aż doszło do tego, że markiz bardzo rzadko opuszczał kochankę. Dziś zjawił się w Andarton House po raz pierwszy od tygodnia, zresztą tylko po to, by zabrać świeżą odzież, przybory toaletowe oraz zająć się kilkoma niecierpiącymi zwłoki sprawami, takimi jak stos czekających nań listów, na które właśnie odpowiadał.

Jego zarządca, z którym w normalnych okolicznościach już dawno spotkałby się w Andarley, zwracał się w liście o szczegółowe instrukcje dotyczące dosłownie wszystkiego: od zakupu nowej pościeli dla służby po zgodę na obsadzenie północno-zachodnich pól nową odmianą pszenicy

ozimej. Szybko uporawszy się z wszystkimi pytaniami, Ethan osuszył papier i podał sekretarzowi, by przygotował list do wysłania.

Niedługo potem młodzieniec wstał i zaczął zwięźle omawiać pozostałe pisma, notując odpowiedzi Ethana, tak by móc później wystosować właściwe odpowiedzi. Ethan stłumił westchnienie, uświadomiwszy sobie, że niedługo będzie musiał znowu się tu pojawić, by podpisać przygotowane przez sekretarza listy.

Usiłował nie przejmować się zbyt faktem, że jeszcze nigdy dotąd nie chciał spędzać tyle czasu z kobietą. A już na pewno nie zostawał w mieście na lato, by nie rozstawać się z którąś ze swoich kochanek. Ale Lily była kimś znacznie więcej niż tylko kochanką, była przyjacielem.

Wcześniej dałby głowę, że łączący ich ogień namiętności szybko się wypali, buzując mocno i wysoko, i gasnąc naturalną śmiercią. Tymczasem mijały tygodnie i nic się nie zmieniało.

Samego go zdumiewało, że teraz pragnie Lily jeszcze mocniej niż przed ich pierwszą nocą. Kochał się z nią z ekstatycznym uniesieniem, które wcześniej uznałby za niemożliwe. O ile mógł osądzić, ona czuła to samo, drżąc z rozkoszy w jego ramionach, a po akcie uśmiechając się z rozmarzeniem.

Jednak poza fizyczną żądzą pojawiła się też zwykła radość z codziennego z nią przebywania, co prawdopodobnie powinno go zaniepokoić, ale, rzecz dziwna, nie niepokoiło. Niezmiennie go urzekała, w łóżku i poza nim, już sam uśmiech Lily wystarczał, by rozjaśnić najbardziej ponury dzień.

Pamiętał, jak przed kilkoma tygodniami dostarczono jej błękitny faeton. Podekscytowana niczym dziecko w Boże Narodzenie, wyciągnęła

go z domu na pierwszą przejażdżkę, nie zważając zupełnie na osobliwy widok, jaki musieli stanowić: ona rozparta wysoko na siedzeniu stangreta, on u jej boku w mknącym przez miasto lazurowym powozie.

Owa eskapada wzbudziła swego rodzaju skandal, odbijając się szerokim echem na salonach; barwną relację przekazywano sobie z ust do ust z rozbawieniem, ale też z podziwem. Wielu mężczyzn nie umiało kierować tak niebezpiecznym i mało stabilnym powozem jak faeton, a fakt, że robiła to kobieta, był naprawdę niesłychany. Nie chodziło tylko o sam wyczyn, lecz również styl, w jakim go dokonała: pełen gracji i lekkości, który wyróżniał ją na tle większości powożących. Ethan był z niej wtedy naprawdę dumny. I to się nie zmieniło, z przyjemnością pozwalał jej błyszczeć, sam pławiąc się w jej blasku. W całym swoim życiu nie spotkał drugiej takiej kobiety jak Lily. Myśląc teraz o niej, wiedział, że takiej drugiej już nigdy nie spotka.

Ocknąwszy się z zamyślenia, zobaczył, że sekretarz ciągle czeka z przygotowanym piórem na wypadek, gdyby markiz miał jeszcze jakieś dalsze polecenia.

- Sądzę, że na tym zakończymy pracę na dzisiaj, Cooksey - oświadczył. - Chyba że jest jeszcze coś, co wymaga mojej pilnej uwagi.

Młodzieniec odłożył pióro.

- Nie, milordzie, nic palącego. Przywieziono już popołudniową pocztę. - Wstał i podał Ethanowi list. - Pozwoliłem sobie przejrzeć resztę, większość to korespondencja biznesowa i rachunki, ale to, zdaje się, jest list od markizy.

Ethan przeniósł wzrok na kremowy welin z herbem Vesseyów i jego londyńskim adresem wykaligrafowanym ozdobnym, mało czytelnym charakterem pisma matki. Po chwili wahania wyciągnął rękę po list.

Cooksey wrócił do biurka.

Zatem mama postanowiła napisać kilka słów, pomyślał. Zapewne zachodzi w głowę, dlaczego nie jestem teraz w Andarley czy choćby w gościnie u kogoś na wsi.

Już dostał od niej jeden taki list. Wtedy skreślił krótką odpowiedź, pisząc, że postanowił zostać w mieście jeszcze przez jakiś czas.

To było kilka tygodni temu.

Powinien znów do niej wysłać kilka słów, że zostanie w Londynie na całą jesień. Jeśli idzie o zimę, to podejrzewał, że nie wymiga się od wizyty w domu w czasie świąt Bożego Narodzenia. Był głową rodziny i oczekiwano jego obecności.

Na myśl o opuszczeniu Londynu, na jego czole pojawił się mars, a na myśl o opuszczeniu Lily poczuł nieprzyjemny ucisk w piersiach. Może mógłbym ją zaprosić? I przedstawić jako kogo? Przyjaciółkę? Na święta do Andarley zjeżdżała się tylko rodzina, a Lily do niej nie należała.

Należałaby, gdyby była moją żoną.

Zatrzymał się na chwilę przy tej myśli, ale zaraz przegnał ją szybko niczym uprzykrzonego owada. Lily bardzo wyraźnie określiła swoje życzenia w tym względzie i od tego czasu nie zrobiła nic, co by wskazywało, że zmieniła zdanie. Poza tym oboje przecież tylko dobrze się bawili, spędzając przyjemnie czas, dopóki wzajemny urok i czar namiętności nie pryśnie, jak to zawsze się działo z tego typu fascynacjami.

W przyszłym miesiącu mogą mieć się już serdecznie dość. Do listopada z pewnością już zdążą się dokumentnie sobą znudzić i oboje będą tylko patrzeć, jakby tu się rozstać. Będzie mógł swobodnie pojechać do domu na Boże Narodzenie ze świadomością, że ich romans był tylko miłym epizodem, którego wspomnienie będzie bladło z każdym dniem.

Zmarszczył czoło, spoczywająca na biurku dłoń zwinęła się w pięść. Starając się opanować, powściągnął emocje. To były tylko spekulacje, które mogły się potwierdzić lub nie. Na razie Lily była i pozostanie jego do dnia, kiedy nie będzie już życzył sobie jej obecności w swoim życiu.

Jeśli zaś idzie o matkę... Powie jej, że zamierza zostać w Londynie trochę dłużej. W końcu nie musi się jej opowiadać i tłumaczyć z motywów swego postępowania, tak jak nikt nie oczekiwał, że będzie się z nią dzielił szczegółami swego życia seksualnego.

Uwaga na temat życia seksualnego od razu skierowała jego myśli ku Lily uświadomił sobie, że siedzi w Andarton House od wczesnych godzin porannych. Chcąc jak najszybciej wrócić do kochanki, odłożył list na bok. Przeczyta epistołę matki później.

Odsunął krzesło i wstał.

- Cóż, skoro skończyliśmy, wychodzę. Zobaczymy się za kilka dni.

Jeśli sekretarz miał jakieś zdanie na temat przeciągających się ostatnio nieobecności pryncypała w domu czy tego, gdzie ów spędza noce, niczym się nie zdradził.

- Życzę miłego dnia, milordzie. Przygotuję resztę dzisiejszej korespondencji do pana przeglądu i akceptacji po pańskim powrocie.

Skinąwszy głową, Ethan wyszedł z pokoju.

Głosy aktorów rozbrzmiewały donośnie na scenie, recytowane przez nich ustępy Snu nocy letniej niosły się po całym teatrze, docierając do prywatnych łóż umieszczonych na górze.

Kiedy Puk psocił i brykał na swój szelmowski sposób, Lily oderwała wzrok od rozgrywającej się w dole akcji, by spojrzeć na siedzącego u jej boku mężczyznę. Był pełen czaru przewyższającego magię postaci spektaklu, siedział z wytworną pewnością siebie. Złote włosy błyszcząły mimo panującego półmroku; piękno rysów jego twarzy zapierało dech.

Czując na sobie jej badawcze spojrzenie, podniósł wzrok na Lily. Oczy mu zabłyśły, kącki ust uniosły w leniwym, niewymuszonym uśmiechu, zarezerwowanym wyłącznie dla niej. Momentalnie krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, w całym ciele poczuła przyjemne mrowienie, rozchodzące się aż do koniuszków palców u rąk i nóg. Wiedziała, że gdyby nie byli w miejscu publicznym, Ethan by ją pocałował. Albo ona pocałowałaby Ethana.

Od chwili, gdy zaczęli ze sobą sypiać, dojrzała pod jego doświadczonego okiem, nie krępując się już wyrażać swoich zmysłowych pragnień i zachcianek. Powiedział jej kiedyś, że kochankowie nie powinni mieć przed sobą tajemnic, i kiedy znajdowała się w jego ramionach, żadnych nie miała: każda jej pieszczota była szczera, każdą jego pieszczotę przyjmowała z rozkoszą. Pokazał jej, że w szaleństwie zmysłów wszystko jest dozwolone, jeśli tylko daje przyjemność obu stronom. A przekonała się, że jego objęcia zawsze dają jej przyjemność. Ostatnio nawet nie musiał jej dotykać, by już była gotowa - samo jego spojrzenie rozpalało w niej żądzę i sprawiało, że chciała go mieć natychmiast.

Teraz też ćwiczył na niej siłę swego czaru, opuszczając wzroki wodząc oczyma po konturze ust Lily w taki sposób, że jej wargi z miejsca zaczęły żywo pulsować, tak jakby naprawdę ją pocałował.

Potem z powrotem przeniósł uwagę na scenę, słuchając i patrząc, jak aktorzy tańczą, podskakują i robią z siebie zabawnych błaznów. Publiczność zanosiła się śmiechem. Ethan też zachichotał, rozbawiony jakimś żartem.

Wiedząc, że także powinna oglądać sztukę, utkwiała wzrok w występujących. Jednak nie minęła minuta, a znów skierowała uwagę na Ethana. Zapragnęła go gwałtownie i chcąc mieć z nim kontakt choćby przez chwilę, położyła dłoń na udzie w miejscu, gdzie spoczywał jego maszt.

Nie odwracając oczu od sceny, przekreślił dłoń i splótł swoje palce z jej palcami, wtulając jej dłoń we wnętrze swojej w ciepłym i niezwykle czułym uścisku.

Uspokoila się, bezpieczna w jego objęciach.

Nie powinnam czuć się w ten sposób, pomyślała. Nie powinnam tak bardzo lubić jego towarzystwa, ale, dobry Boże, uwielbiam je. Jak żyję, nie byłam jeszcze tak zadowolona i... tak, przyznaję, szczęśliwa.

Kilka miesięcy temu, gdy zaczynał się ich romans, uważała, iż potrwa najwyżej kilka tygodni. Ethan miał doświadczenie i bogatą przeszłość, ona w żadnym razie nie była pierwszą kobietą w jego łóżu. Przewidywała, że szybko się nią znudzi, a ona nim.

Ale tak się nie stało. Wprost przeciwnie. Bliskość nie przerodziła się w pogardę, czas spędzany razem jedynie jeszcze silniej ich połączył - im

lepiej się poznawali, tym bardziej zaczęli lubić. Przynajmniej ona tak czuła.

Najbardziej lubiła ranki, kiedy budziła się w jego ramionach, obojgu było tak ciepło i błogo w pościeli. Później przewracała się na brzuch i patrzyła, jak on się goli, zachwycał ją ten męski rytuał, to, jak Ethan usuwał z policzków nocny zarost z nieomylną wprawą, która ją nieodmiennie zdumiewała.

Przez ostatnich kilka tygodni regularnie spożywali razem śniadania, gawędząc nad jajkami i grzankami niczym stare małżeństwo. Tyle że nie byli małżeństwem i nigdy nie zostaną.

Jak długo to będzie trwało, zastanawiała się. Jak długo chce, żeby trwało?

Zawsze, wyszeptał jakiś cichutki głosik w jej głowie, ale zagłuszyła go bezlitośnie.

Nie kocham go. Nie pozwolę sobie pokochać.

Matka kochała ojca i gdzie ta miłość ją zawiodła? Choć musiała przyznać, że Ethan w niczym nie przypomina Timothy'ego Bainbridge'a. Przede wszystkim nie zauważyła w jego charakterze skłonności do nienasyconej żądzy przygód. Jeśli idzie o samą nienasyconą żądzę... to nie mogę narzekać, pomyślała, uśmiechając się w duchu. Niemniej i Ethan, i jej ojciec byli mężczyznami, a mężczyźni z reguły przynosili kobietom same rozczarowania. Lily nie chciała czuć rozczarowania ani cierpieć z powodu złamanego serca.

Gdyby miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, z miejsca zakończyłaby ten romans. Już teraz zachowywała się z gruntu nieodpowiedzialnie, ustawicznie ryzykując, że znajdzie się przy nadziei.

Zaraz po utracie dziewictwa obawiała się możliwych konsekwencji. Kiedy period pojawił się na czas, wiedziała, że jej się upiekło. Ale nie dało jej to do myślenia na tyle, by nie pozwoliła ponownie uwieść się Emanowi czyby nie zgodziła się zostać jego kochanką. Wiedziała jednak, że musi w końcu zadbać o jakieś środki ostrożności.

Zastanawiała się, czy nie zwrócić się po radę do Daviny, ale nie wyobrażała sobie, jak ma rozmawiać o tak intymnych sprawach, choćby z przyjaciółką. Potem pomyślała o Juliannie, ale szybko wybiła sobie z głowy ten pomysł: myśl, że miałyby omawiać z ciężarną kobietą sposoby zapobiegania poczęciu, trochę ją kępowała, zwłaszcza że Ethan był dla Pendragonów przyjacielem rodziny.

Koniec końców postanowiła zwrócić się o pomoc do, by tak rzec, źródła i poruszyła tę kwestię z Ethanem. Bądź co bądź, to on mógł wpędzić ją w ten kłopot, zdawało się zatem jak najbardziej na miejscu, by pomyślał o jakichś środkach zaradczych.

Wysłuchał jej opatrzonego rumieńcem pytania zupełnie spokojnie, przepraszając, że sam nie podniósł wcześniej tego zagadnienia. Prezerwatywy, powiedział, raczej się nie nadadzą, bo, jak mówiono, są zbroją przeciw rozkoszy, a pajęczyną przeciwko ciąży. Jeśli zaś idzie o tak zwany stosunek przerywany, słyszał o dwóch dżentelmenach, którzy go praktykowali, według swych zapewnień skrupulatnie przestrzegając nakazów metody i skończyli, niańcząc więcej niż jedno nieplanowane dziecko. Najlepsza będzie prewencja ziołowa, zdecydował, w połączeniu z ostrożnością z ich strony w pewne dni miesiąca.

Dwa popołudnia później pojawił się z obiecany specyfikiem - gorzką tynkturą, którą trzeba było pić każdego ranka. Uwarzona przez

staruszkę znajdującą się na starodawnych miksturach i nalewkach, miała być niezawodna.

Jak dotąd była.

Tym niemniej romans z Ethanem był ryzykowny nie tylko z uwagi na możliwość niechcianego potomka. Choć podtrzymywali pozory i udawali, że żyją osobno, Ethan na dobrą sprawę u niej mieszkał. Do Andarton House wpadał tylko, by załatwić najpilniejsze sprawy, przestał także pojawiać się w londyńskich klubach, wszystkie wieczory spędzając z nią. Twierdził niby, że i w Klubie Brooks'a, jak i White'a towarzystwo mocno się w ostatnim okresie przerzedziło, ale ona wiedziała, że po postu woli być z nią.

W tym tylko tygodniu byli już razem w operze, na wykładzie z ornitologii, który, jak sądził, ją zaciekał, a dziś wieczór wybrali się tu, do teatru.

Siedząc teraz obok niego z dłonią umoszczoną wygodnie w jego dłoni, znowu zadała sobie pytanie, co tak naprawdę wyprawia. Zakochuję się?

I to właśnie najbardziej ją przerażało: bardzo realna możliwość, że straci dla Ethana rozum. Prawdę mówiąc, właściwie już to zrobiła.

Ale nie zakocham się tak do końca, uspokajała samą siebie. Po prostu miło spędzamy czas razem, jeszcze kilka tygodni rozkoszy i będzie po wszystkim. Po romansie.

Co wtedy?

Raptem zabrakło jej w płucach powietrza, jakby dostała cios w brzuch, z ust wyrwał jej się mimowolny stłumiony okrzyk. Ethan odwrócił się i uniósł pytająco brew.

- Wszystko dobrze? - wyszeptał.

Patrząc mu w oczy, zmusiła się do uśmiechu.

- Wręcz cudownie.

I tak jest, pomyślała. Na razie.

RS

Za oknem jadalni Lily na tle czystego, październikowego nieba ściagały się dwa rdzawoczerwone jesienne liście. Niezainteresowany wynikiem wyścigu, Ethan skupił się na jedzeniu, zatapiając zęby w chrupkiej, posmarowanej dżemem truskawkowym złotej grzance. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, Lily złamała czerwoną woskową pieczęć na liście, doręczonym zaledwie przed chwilą.

- O, jaka wspaniała wiadomość! - zawołała. - Rafe pisze, że Julianna wydała na świat dziecko, dziewczynkę, tak jak chciała – urwała na chwilę, uśmiech wykwitł na jej ponętnych wargach. - Poród przebiegł gładko, bez komplikacji, o wiele łatwiej niż pierwszy, a matka i córka czują się doskonale.

- To naprawdę wspaniale - zgodził się Ethan, biorąc do ręki nóż i widelec, by pokroić plasterki szynki na talerzu. - I jakież dali jej imię?

Pokręciła głową.

- Zdaje się, że na razie żadnego. Ciągle jeszcze się nie zdecydowali, ale wahają się już zaledwie między trzema.

- Nie zgłaszam żadnych obiekcji, pod warunkiem że nie będzie to Harriet.

Pod stołem o nogawkę spodni otarł się mu Mouser. Zerkając w dół, Ethan zobaczył parę kocich oczu. Malutki ceglastoczerwony nosek i czarne wąsy czworonoga poruszały się, węsząc zapachy szynki i bekonu. Ethan odkroił mały kawałek wędliny, rzucił go na dywan i został niemal natychmiast nagrodzony głośnym mrużeniem.

- A cóż złego jest w Harriet? - spytała Lily, kładąc list obok talerza.

- Tak miała na imię jedna z moich kuzynek, która znęcała się nade mną w dzieciństwie. Za każdym razem, gdy przyjeżdżała z wizytą, zmuszała mnie, bym nosił jakąś idiotycznie wyglądającą czapkę, którą dla mnie wyhaftowała. Pewnego razu wyszyła na jednej majowe kwiecie. - Przewrócił oczyma. - Pytam się, czy to jest prezent odpowiedni dla ośmioletniego chłopca? Jedynym plusem był fakt, że moi bracia też musieli paradować w swoich czapkach. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Szczególnie Arthur ich nie znosił, twierdził, że wystawiają na szwank jego godność dziedzica. Matka jednak nie chciała słyszeć na ten temat ani słowa, zmuszając go, a także mnie i Fredericka, do noszenia tych przeklętych czapek, by nie ranić delikatnych uczuć kuzynki Harriet. A co z naszymi delikatnymi uczuciami? Osobiście uważam, że wyszywała te cholerstwa tylko po to, by patrzeć, jak się skręcamy ze wstydu.

- Jestem pewna, że nie - zaproponowała Lily z rozbawieniem w głosie. - Przypuszczalnie spędzała mnóstwo czasu na ich przygotowaniu i zapewne była niezwykle dumna z efektów swej pracy. Sądzę, że byłaby zdruzgotana, wiedząc, że wam się nie podobały.

- Och, wiedziała. Starą megierę po prostu radowało nasze cierpienie - podsumował Ethan na wpół żartem.

Lily uniosła do ust filiżankę z herbatą, by ukryć uśmiech.

Rozległo się proszące miauknięcie. Po krótkiej chwili wahania Ethan odkroił kolejny kawałek szynki. Lily posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

- W ten sposób tylko go rozpuszczasz. Jeśli będziesz tak dalej robił, zupełnie przestanie łowić myszy.

- I zrezygnuje ze swojej ulubionej zabawy? Nigdy. Ale masz rację, Mouser jest rozpuszczony.

Kiedy sięgnęła po słoik z miodem, Ethan wykorzystał jej nieuwagę, by rzucić kotu ostatni kąsek. Uniósł wzrok i zobaczył, że Lily na niego patrzy.

Pokręciła głową, ale nie skomentowała tego wykroczenia.

- Wiesz, wiele bym dała, by zobaczyć którąś z tych czapek. Ethan przekroił ostatni plasterek szynki i zjadł połowę.

- O dziwo, chyba jeszcze możesz. Wydaje mi się, że mama ciągle przechowuje wszystkie zabawki i ubrania z czasów naszego dzieciństwa. Kiedy Arthur i Frederick zginęli, kazała zebrać i zabezpieczyć wszystkie ich rzeczy, choć nie mam pojęcia, w jakim celu. Moim zdaniem, to zwykłe marnotrawstwo.

Wyciągnęła rękę, położyła swoją dłoń na jego dłoni i uściśnęła w geście pocieszenia.

- Bardzo ci ich brakuje.

Było to po części stwierdzenie faktu, po części wyraz szczerego współczucia. Rozumiała przecież ból i pustkę po stracie bliskich. Ethan zamarł i odłożył na bok widelec.

- Byli moimi braćmi. Oczywiście, że mi ich brakuje. Tak samo jak tobie brakuje rodziców i męża.

Spuściła rzęsy, małeńka zmarszczka przecięła gładkie czoło Lily.

- Oczywiście.

Cofnęła rękę, zawahała się przez chwilę, po czym zabrała się na powrót do jedzenia, skubiąc mały kawałek bekonu i resztkę jajecznicy, która zdążyła tymczasem wystygnać.

Idąc w jej ślady, Ethan dokończył grzanekę z dżemem, gryząc powoli i czekając, czy Lily jeszcze coś powie.

Jadła jednak w milczeniu, posłała mu tylko niewyraźny półuśmiech, gdy sięgała po imbryk z herbatą. Ostrożnie napełniła obie filiżanki.

- Nigdy o nim nie mówisz - stwierdził, werbalizując głośno myśl, która przez ostatnich kilka tygodnie uwierała go jak bolący ząb.

Imbryk zadrżał jej przez moment w dłoni, zanim odstawiła go bezpiecznie na ocieplacz.

- O kim?

- O swoim mężu. Jeśli myślisz, że miałbym coś przeciwko temu, nie bój się. Rozumiem, że był częścią twojego życia, tak samo jak moi bracia byli częścią mojego. Możesz o nim mówić bez obawy, że wprawisz mnie w zakłopotanie.

Spuściła wzrok na obrus. Po dłuższej chwili uniosła filiżankę i w zamyśleniu wypła łyk, potem z cichym stuknięciem odstawiła porcelanowe naczynie na spodeczek.

Usiłował wyczytać coś z jej twarzy, ale nie mógł: miała spokojną, niezwykłą u niej zagadkową minę.

- Dziękuję, Ethanie - wyszeptała. - To bardzo ładnie z twojej strony.

Czekał w nadziei, że wreszcie się otworzy i zacznie mówić, ale tylko zjadła kolejny kęs grzanki i przyłożyła serwetkę do ust.

Minutę później do jadalni wkroczył lokaj i na znak Lily zaczął zbierać naczynia.

Ethan zastanawiał się, czy samemu nie wypytać jej później, nagle bowiem poczuł potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej o mężczyźnie, który zajmował tak ważne miejsce w jej życiu. Jeszcze niedawno cieszył

się z faktu, że obchodzili się bez szczegółowego omawiania przeszłości obojga, ale duch męża Lily coraz wyraźniej kładł się cieniem na ich związku, jego wspomnienie, choć nieprzywoływane głośno, było ciągle obecne.

Znał jego imię i nazwisko -John Smythe - i pamiętał, że był oficerem piechoty, który poległ na polu chwały w bitwie pod Vitorią. Poza tym nie wiedział zupełnie nic o swym nieżyjącym rywalu: ani jak wyglądał, ani ile miał wzrostu, gdzie dorastał, co lubił, a czego nie, ani jak poznał i poślubił Lily.

Sądził, że bardzo go kiedyś kochała, a jednak nigdy o nim nie wspominała, choćby mimochodem.

Dlaczego?

Czy dlatego, że okres, jaki spędziła z Johnem Smythe'em był tak krótki i ulotny, że jego szczegóły już zaczynały się zacierać? A może dlatego, że ból po jego stracie nadal był zbyt wielki, by mogła go udźwignąć, pogrzebany zbyt głęboko, by go przywołać bez zniszczenia osłony, za którą się chowała?

Bo naprawdę dzieliła ich, Lily i Ethana, jakaś bariera - cienki, niemal przezroczysty mur, przywodzący na myśl szybę, przez którą mógł zajrzeć do środka, ale nic więcej. Oddała mu swe ciało, lecz myśli i najgłębsze emocje zachowała tylko dla siebie. Być może był to z jego strony egoizm, ale chciał więcej. Pragnął mieć ją całą.

Myśli, ciało i duszę.

Co ukrywa i dlaczego nie chce mi tego wyjawić?

Gdyby mocne potrząśnięcie mogło dać efekt, zapewne by nią potrząsnął. Ale Lily była najbardziej niezależną kobietą, jaką znał, i nic na

świecie nie zmusiłoby jej do wyjawienia czegoś, czym nie chciała się dzielić. Będzie zatem musiał uciec się do innego sposobu. Jakiego -jeszcze się zastanowi.

Tymczasem chciał, by przestała myśleć o Johnie Smysie i skoncentrowała się na nim.

Lokaj się oddalił razem z Mouserem, który pobiegł za służącym zapewne w nadziei, że w kuchni dostanie mu się smaczny kąsek.

Gdy tylko zniknęli, Lily wstała. Wiedział, że zamierza udać się w południe na zakupy, więc będzie musiała przed wyjściem zmienić poranny strój na suknię spacerową.

Miała właśnie go przeprosić i wyjść, kiedy odsunął swoje krzesło i wyciągnął rękę, delikatnie otaczając palcami jej nadgarstek.

- Chodź tu - wymruczał.

- Ethanie! - wykrzyknęła. - Co ty wyprawiasz? Uśmiechnął się, przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach.

- Chcę tylko całusa.

- To wszystko, czego chcesz? - Posłała mu uśmiech, w którym rozbawienie mieszało się z pretensją, nachyliła się i szybko cmoknęła go w usta. - Proszę. Dostałeś całusa.

Splótł ręce na jej plecach.

- To nie był pocałunek. Musisz się sprawić lepiej.

- Muszę, powiadasz?

- Mhm, stanowczo. Pocałuj mnie, tylko nie żałuj języka. Otworzyła szeroko oczy, potem się roześmiała.

- Ty zboreźniku. Jesteś obsceniczny.

- A ty to uwielbiasz.

Wtuliła się w niego, zerkając w stronę drzwi.

- Co ze służbą? Ktoś może wejść.

- Jeśli wejdzie, zaraz wyjdzie. Podejrzewam, że twoim służącym już przeszło przez głowę, że się całujemy. A teraz przestań gadać i zabierz się do rzeczy. - Rozpłaszczoną dłonią klepnął ją w pośladki.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale zaraz się rozluźniła, przysunęła bliżej i objęła go za szyję. Chwilę później wpiła się w jego usta, poczynając sobie tak śmiało, że od razu zrobił się twardy i gotowy.

Zamknął oczy i dał się ponieść przyjemności, delektując się smakiem jej ust upojnym niczym wino. Niezwykle wprawnie poruszając zwinnym językiem, z nawiązką spełniła wcześniejsze życzenie markiza. Krew w nim zaszumiała.

Po dłuższej chwili oderwał się od Lily, cały rozpalony. Napotkał jej wzrok i zauważył rozmarzoną, szklistą mgiełkę pożądania w szmaragdowych oczach, delikatny uśmiech na różanych ustach, pąs na policzkach.

Rozważał przez chwilę, czy nie wziąć jej tam i od razu, i był bliski urzeczywistnienia tego zamysłu, pomimo miejsca, w którym się znajdowali. Wtedy przesunęła ustami po policzku i wycisnęła mu całusa tuż za uchem.

Poczuł rozkoszny dreszcz na plecach.

- Zabierz mnie do naszego łóża, Ethanie - wyszeptała. - Kochaj się ze mną tam, gdzie będziemy sami.

Coś drgnęło w okolicy jego serca w odpowiedzi na te słowa, rodzaj gwałtownego poruszenia, które nie miało nic wspólnego z namiętnością. Kocham ją? To pytanie wywołało euforię, ale i lęk.

Czy kocham Lily?

Zrozumiał w tym momencie, że gdyby tylko sobie na to pozwolił, mógłby ją pokochać z siłą, która - jak się bał - albo wyniosłaby go pod niebiosa, albo rzuciła w otchłań czarnej rozpacz.

A jeśli ona nie kocha mnie albo, co gorsza, nie może mnie pokochać?

Postanowił, że nie będzie teraz tego roztrząsał i przegonił precz rozterki. To, co ich łączyło, było wspaniałe, niemal zbyt wspaniałe. Po co to burzyć kłopotliwymi pytaniami?

Powinienem cieszyć się chwilą. Radować tym, że trzymam ją w objęciach i słyszę, jak mnie prosi, bym ją zaniósł do łóża - naszego łóża.

- Tak - powiedział, stawiając ją na podłodze. - Chodźmy tam, gdzie będziemy tylko we dwoje.

Objęci wpeł wyszli z jadalni.

Markiz pochylił głowę, by nie uderzyć w nadproże, kiedy dwa dni później wchodził do pewnej londyńskiej tawerny. Przystanął w progu i przeczesał wzrokiem grono obiadujących: grupki urzędników i funkcjonariuszy rządowych, którzy zgromadzili się tutaj, by wykorzystać popołudniową przerwę na lunch, zanim powrócą do swych obowiązków.

Sala tonęła w półmroku, rozjaśniały ją jedynie wpadające przez obrośnięte dzikim winem szybki okienne, promienie słońca tworzące plamy cienia i światła. Wyteżając trochę bardziej wzrok, Ethan zlokalizował obiekt swoich poszukiwań - szczupłego mężczyznę o włosach koloru piasku, niewiele starszego niż on sam. Schowany w odległym kącie, siedział przy małym drewnianym stoliku z otwartą, oprawną w skórę księgą leżącą przy łokciu. Zjadł kąsek czegoś, co

wyglądało z daleka na potrawkę z mięsa, po czym przewrócił stronę i czytał dalej.

Po cichutku Ethan wślizgnął się na krzesło naprzeciwko.

- Niełatwo cię znaleźć, wiesz?

Mężczyzna wzdrygnął się i uniósł głowę. Z cichym prychnięciem odłożył widelec na cynowy talerz.

- Niech to szlag, Vessey, nie powinieneś tak się podkradać do ludzi, zwłaszcza kiedy jedzą. Zapewne dostanę przez ciebie niestrawności.

- Też cię witam, Ross. A jeśli dziś wieczór żołądek będzie ci się dawał we znaki, zrzuć raczej winę na kufel piwa, którym się raczysz, i na tę potrawkę z mięsa.

- Z gołębia - poprawił Ross - i zawsze powtarzałem, że powinieneś pozwolić mi wciągnąć cię do służby i zrobić z ciebie zwiadowcę podczas wojny. Marnotrawstwo. Naprawdę szkoda tych twoich kocich umiejętności, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Z tego, co pamiętam, wykonałem kilka interesujących zadań w tym czasie bez konieczności wstępowania w wasze szeregi. Jak doskonale wiesz, mam tytuł i nie mogłem ryzykować bliższego spotkania z bagnetem czy nożem. Moja matka straciła już dwóch synów, po co miała odchodzić od zmysłów z lęku, że starci trzeciego.

Ross machnął ręką i zjadł kęs potrawki.

- Racja, racja. - Uniósł kielich, wypił spory łyk, po czym otarł usta serwetką. - Cóż zatem sprowadza cię na tę stronę Whitehall? I co, jeśli już przy tym jesteśmy, w ogóle robisz o tej porze w Londynie? Nie powinieneś teraz polować gdzieś na bażanty albo oddawać się podobnym zajęciom?

- Mógłbym o to samo zapytać ciebie, ale domyślam się, że sprawy Foreign Office są ważniejsze.

- Dobrze się domyślasz. Więc czego chcesz? - Ross odchylił się na krześle, opierając się o wytarty ślad na ścianie.

- Czy muszę zaraz czegoś chcieć? - spytał Ethan z miną niewiniątka. Ross zarechotał.

- Gdybyś nie chciał, przysłałbyś mi liścik z zaproszeniem na obiad. No, gadaj.

Ethan uśmiechnął się i nachylił się nad stołem.

- Jest pewien mężczyzna, oficer, o którym chciałbym się czegoś dowiedzieć. Miałem nadzieję, że mógłbyś mi pomóc.

- Dlaczego po prostu nie pójdziesz do kwater pułku i sam nie spytasz?

- Mężczyzna, o którego chodzi, nie żyje. Sądziłem, że tobie łatwiej będzie dotrzeć do jego akt. - Ethan potarł kciukiem jeden ze złotych guzików u kamizelki. - Poza tym to raczej sprawa osobista i wolałbym, żeby taką pozostała. Ty jesteś człowiekiem, któremu mogę zaufać.

- Bierzesz mnie pod włos, co?

- Tak, jeśli potrzebujesz przeczesania.

Ross zaniósł się gromkim, gardłowym śmiechem i wyprostował krzesło.

- Nie wygląda mi to na strasznie trudne zadanie, zobaczę, co da się zrobić. - Sięgnął do wnętrza surduta i wyciągnął cienkie srebrne puzderko zawierające papier i mały ołówek. - To jak się nazywa ten jegomość?

- John Smythe - powiedział Ethan i na wszelki wypadek przeliterował nazwisko.

- Stopień?

Ethan zmarszczył czoło, uświadamiając sobie, że nie wie.

- Nie jestem pewien, zgaduję, że porucznik albo kapitan.

- Jednostka?

- Był w piechocie, poległ w bitwie o Vitorię. Nic więcej nie wiem.

Wdowa po nim pochodzi z Kornwalii, więc może 32. Pułk Piechoty, choć tak naprawdę mógł wykupić patent oficerski gdziekolwiek.

Ross przestał notować, spojrzał na Ethana z błyskiem zaciekawienia w szarych oczach.

- Doszły mnie słuchy, że ostatnio zajmujesz się pewną urodziwą młodą wdową. Czyżby żoną tego człowieka?

- Po prostu dowiedz się tyle, ile zdołasz, a będę wdzięczny. - Ethan wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Cóż, dam ci zjeść i poczytać w spokoju - powiedział Ethan, wstając. - I rzeczywiście, koniecznie musimy się spotkać któregoś wieczora na obiedzie.

- Z przyjemnością.

Skinąwszy przyjacielowi głową, Ethan odwrócił się, wyszedł na ulicę i zmieszał się z popołudniowym tłumem przechodniów.

Kilka dni później Lily uśmiechała się, idąc z Ethanem przez kłębiącą się ciżbę. Przyjechali na jarmark, który odbywał się kilka mil na północ od Londynu i przywodził na myśl wyrosłe nagle spod ziemi miasteczko. Dziesiątki farmerów, kupców i straganiarzy stało wzdłuż prowizorycznych alejek, oferując swoje towary, podczas gdy obok przygrywali grajkowie, zonglerzy i mimowie zabawiali zgromadzonych, zaś naganiacze krzyczeli, starając się przywabić ciekawskich i naiwnych. Ożywcze zapachy ziół i jabłek mieszały się z ciężką wonią pieczonego mięsiwa, piwa oraz sporej liczby nie umytych, brudnych ciał. Zdaniem Lily cały ten zapachowy wachlarz stanowił integralną część żywego i ekscytującego widowiska.

Świadoma, że u boku Ethana jest bezpieczna, nie zważała na mijane grupki podpitych mężczyzn czy złoczyńców o zimnych oczach, tu i ówdzie prześlizgujących się przez tłum w nadziei, że uda im się buchnąć kilka mieszkań i zegarków niczego niepodejrzewającym właścicielom. Wiedziała, że Ethan potrafi unikać podejrzanych typków.

- Poczęstuj się - zaproponowała i wyciągnęła w stronę Ethana brązową papierową torebkę prażonych w cukrze migdałów, które jej kupił.
- Są przepyszne.

- Muszą być - zażartował. - Zważywszy, ile już ich pochłonęłaś.
- Jeśli będziesz wygłaszał tego typu uwagi, chyba nie poczęstuję cię wcale - odpowiedziała niby naburmuszona.

Mrugnął przepaszająco okiem, wsadził rękę w torebkę, wyjął dwa migdały i włożył do ust.

- Smaczne - zgodził się, sięgając ponownie do torebki. Cofnęła ją w żartach.

- Powiedz „proszę”. Inaczej zjem wszystkie sama.

- Chcesz, żebym błagał? - Spojrzał jej w oczy. - Nie ma sprawy.

Proszę, czy mógłbym jeszcze się poczęstować?

Zamrugła zaskoczona tą nagłą uległością.

- Oczywiście, skoro tak ładnie prosisz.

Zamiast jednak sięgnąć do torebki, objął ją w pasie, przyciągnął bliżej i przysunął usta do jej ucha.

- Zdajesz sobie sprawę, że teraz będę się domagał rewanżu.

- Co masz na myśli? - wyszeptała.

- Tylko tyle, że dopilnuję, byś i ty błagała mnie o łaskę - oświadczył z lekką chrypką w głosie. - Kto wie, może już dziś w nocy. W łóżu, jak mniemam. Z wielką przyjemnością będę cię trzymał płonąca z pożądania, dopóki nie zaczniesz błagać, bym cię zaspokoił. Już teraz słyszę jak krzyczysz: „proszę, Ethanie, proszę!”

Poczuła, jak w dole brzucha formuje się gorący gruzełek, a niemające nic wspólnego z palącym słońcem ciepło rozchodzi się po całym ciele, zabarwiając policzki zdradliwym rumieńcem.

- Nie odważysz się.

Mrugnął do niej, frywolnie zapewniając, że dotrzyma słowa. Na samą myśl o tym zaschło jej w ustach i poczuła wilgoć między nogami.

Śmiejąc się, zabrał rękę z jej talii. Sięgnął do torebki po kilka migdałów, potem ująwszy Lily pod ramię, poprowadził ją wśród podekscytowanego tłumu.

Lily starała się odzyskać panowanie nad sobą, zerkając przez rzęsy na Ethana, który spokojnie chrupał prażone przysmaki, zupełnie jakby nie szeptał jej przed chwilą do ucha sprośności. Zdołała się uspokoić i odzyskać normalny puls, kiedy zatrzymali się, by popatrzeć na występy z udziałem zwierząt.

Trzy małe pieski w kapeluszach arlekinów w pomarańczowo--czerwoną kratkę i takich samych maleńkich pelerynkach tańczyły na tylnych łapach, obracając się, podskakując i poszczekując w odpowiedzi na komendy swego pana. Lily z Ethanem śmiali się i klaskali razem z resztą widzów, zachwyceni harcami czworonogów. Potem pojawiły się cztery koty, które chodziły po linie i skakały przez płonące obręcze. Kiedy występ dobiegł końca i rozległy się brawa i wiwaty, Ethan wrzucił kilka monet do kapelusza właściciela.

Spacerując po terenie, przystanęli, by kupić gorące paszteciki z wołowiną i dwa kubeczki chłodnego cydru. Kiedy skończyli się posilać, usiedli na jednej z drewnianych ławek przed namiotem trupy aktorskiej i obejrzelikomiczną farsę, w której padło kilka ostrych żartów pod adresem Kościoła i rządu, a nawet samego księcia regenta. Jak zauważyła, Ethan wcale nie był oburzony, lecz śmiał się z tych dowcipów, bardzo zresztą zabawnych.

Sztuka dobiegała końca, kiedy wzrok Lily przykuł nagły błysk światła, jakby od połyskującego w słońcu metalu. Zerkając przez ramię, zauważyła przy znajdującym się niedaleko wózku kramarza mężczyznę stojącego do niej plecami. Z grubym karkiem, przysadzisty, przywodził na myśl byka, na źle przystrzyżone czarne włosy miał wciśnięty jedwabny cylinder, strój wskazywał na arystokratę.

Po skórze przeszły jej nagle ciarki, było w tym mężczyźnie coś znajomego. Przypominał Edgara Faylora.

W jednej chwili zaschło jej w gardle, serce zaczęło walić tak mocno, że sama słyszała jego szybki łomot. To nie mógł być on. Mężczyzna, którego widziała, z pewnością nie był Faylorem, tylko kimś bardzo podobnym do nieokrzesanego prostaka, którego swego czasu ojczym wybrał jej na męża.

Kuląc się na siedzeniu, przeszzyta zimnym dreszczem, przysunęła się bliżej Ethana i zamknęła oczy, próbując znaleźć pokrzepienie w jego ciepłe i sile.

To nie jest Faylor, przekonywała samą siebie. Prawdziwy Faylor przebywa setki mil stąd w Kornwalii. Skąd nagle by się wziął na tym zaimprovizowanym jarmarku na przedmieściach Londynu? To nie on. Och Boże, spraw, by to nie był on.

Minęły długie sekundy, zanim zebrała się na odwagę, by spojrzeć jeszcze raz w tamtą stronę. Powoli, osłaniając twarz rondem kapelusza, z trudem podniosła oczy. I zobaczyła tylko wózek kramarza.

Krępy mężczyzna zniknął.

Pośpiesznie przeczesła wzrokiem tłum, szukając nieznanego, ale nie dostrzegła nikogo podobnego. Kimkolwiek był ten mężczyzna, wyglądało na to, że zniknął.

Może tylko uroiłam sobie, że wyglądał tak jak Faylor, pomyślała. Tak czy owak stał tyłem, zatem jej nie widział. Nadal była bezpieczna.

Odwróciła się i napotkała zaniepokojony wzrok Ethana.

- Lily, co się stało? Zbladłaś jak kreda.

- Nic mi nie jest. Ja...

Chciała mu powiedzieć, ale nie mogła. Zwierzyć się z lęku związanego z pojawieniem się Edgara Faylora oznaczałoby wyjawić wszystko: wszystkie sekrety, wszystkie kłamstwa. Jak zareagowałby Ethan, gdyby poznał prawdę?

Ścisnął jej dłonie i zaczął rozcierać.

- Masz lodowate palce. Może się podziębiłaś?

Świadoma, że musi jakoś wytłumaczyć swe zachowanie, chwyciła się tej wymówki.

- Niewykluczone. Chciałabym wrócić do domu.

- Oczywiście. Już jedziemy. Dasz radę sama iść?

Boże drogi, pomyślała, uzmysławiając sobie, że niósłby ją na rękach, gdyby poprosiła. Serce jej się ścisnęło i zalała ją fala ciepła z powodu jego dobroci i troski. Pojawiło się jeszcze inne uczucie, ale wiedziała, że do niego nie odważy się przyznać.

- Mogę iść - szepnęła. Chodźmy, Ethanie. Zabierz mnie do domu.

„Choroba” Lily nie trwała długo - ciepła kąpiel, lekki posiłek i noc spędzona w bezpiecznym schronieniu objęć Ethana szybko przegnały jej lęki.

Do śniadania następnego ranka zdążyła już przekonać samą siebie, że musiała się mylić co do tożsamości osiłka z jarmarku. Zgoda, przypominał Faylora, ale nic więcej. W Anglii z pewnością żyje wielu przysadzistych, ciemnowłosych mężczyzn z byczym karkiem, tłumaczyła sobie. Faylor nie jest jedynym. Wyciągnęła zbyt pochopne wnioski, pozwalając, by strach przyćmił zdrowy rozsądek. Ów mężczyzna na jarmarku był tylko nieznanym i najlepiej zrobi, jeśli wyrzuci z pamięci cały incydent.

Przez resztę dnia starała się to zrobić, pozwalając Ethanowi, który ciągle bał się o jej zdrowie, by ją rozpieszczał. Przystając na jego propozycję, została w domu i spędziła dzień na sofie. Kiedy nie chciała zdrzemnąć się w południe, przyniósł talię kart i rozegrali kilka partyjek. Wygrała, choć podejrzewała, że Ethan kilka razy sam jej to umożliwił.

Zjadł z nią wczesny obiad: pieczonego kurczaka z okraszonym masłem pasternakiem i delikatną pomarańczowożółtą marchewką. Na deser kucharz przygotował przepyszny placek z jabłkami, który podano z bitą śmietaną z dodatkiem brandy.

Później udali się do bawialni, gdzie ułożyli się na szerokim, wygodnym fotelu przed kominkiem. Ethan czytał jej wybraną wcześniej książkę, wprowadzając Lily swym aksamitnym, melodyjnym głosem w stan relaksacji.

Kiedy zapadała w sen z półprzymkniętymi oczyma, odłożył tom i zaniósł ją do łóżka. Rozebrał ją, potem sam zrzucił ubranie. Gorącym piecem położył się obok niej i opatulił ich pościelą.

Kilka godzin później otworzyła oczy i zobaczyła, że sypialnia pogrążona jest w ciemnościach, a w kominku dogasają ostatnie, jarzące się czerwienią węgielki. Odwróciła się i wtuliła w Ethana, upajając się dotykiem jego ciała. Chłonąc piżmowy zapach, potarła policzkiem owłosioną pierś i zaraz przyłożyła usta do tego miejsca, a potem przesunęła się wyżej, obsypując niespiesznymi pocałunkami obojczyk, szyję i na końcu szorstki od zarostu policzek.

Obudził się i przeciągnął odruchowo dłonią po jej gołych plecach.

- Dobrze się czujesz? Czemu nie śpisz?

- Nie wiem. Właśnie się obudziłam. A czuję się wspaniale. Więcej niż wspaniale, pomyślała, muskając ustami jego szczękę.

Poczuła, jak budzi się w nim pożądanie, które sama już czuła.

Wsunął palce w jej włosy, przytrzymał głowę i zamknął usta ciepłym i rozpalającym zmysły pocałunkiem. Westchnęła z rozkoszy i zaraz jęknęła w proteście, kiedy się lekko odsunął.

- Żadnej migreny? - spytał, masując skórę jej głowy.

- Ani śladu - odpowiedziała lekko.

- Katar?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nic z tych rzeczy.

- Dobrze, skoro doszłaś do siebie...

Silnymi rękoma uchwycił jej biodra i delikatnie uniósł, kładąc na sobie. Bez dalszych wstępów rozsunął jej nogi, wślizgnął się w nią jednym gładkim suwem.

Przygryzła wargi zachwycona cudownym poczuciem pełni, natychmiast zwilgotniała, gotowa na jego przyjęcie. Ale on kochał się z nią nieśpiesznie i spokojnie, z czułością, która sama w sobie była rozkoszą. Nie wiedziała nawet, że zbliża się do finału, kiedy wstrząsnęła ją eksplozja i całe jej ciało zalała błogość: gorąca i słodka jak miód, przyprawiająca nogi i ręce o drżenie.

Wzdychając wśród dreszczy, obejmowała go mocno, kołysząc się w rytm jego ruchów, aż i on dobił do brzegu. Ekstatyczny jęk, jaki wyrwał się z ust Ethana, sprawił, że się uśmiechnęła. Leżąc na nim bezwładnie, wiedziała, że nie istnieje miejsce, w którym czułaby się cudowniej niż w

jego ramionach. Ze nie istnieje mężczyzna, którego obecności pragnęłaby mocniej. Ani teraz, ani w przyszłości.

Jej serce wezbrało miłością - miłością, której nie powinna czuć, której nie chciała, a której nie była w stanie dłużej się opierać. Zamknęła oczy i wtuliła się w Ethana, chowając twarz w ciepłym łuku jego szyi.

- O co chodzi? - wymruczał po dłuższej chwili.

Słowa uwięzły jej w gardle, nie potrafiła, a może nie chciała, powiedzieć na głos tego, co przed chwilą odkryła. Kocham cię, pomyślała. I nie wiem, co robić. Pokręciła głową i milczała, ucałowała tylko jego szyję i policzek.

- Śpij - powiedział Ethan, głaszcząc jej włosy długimi, uspokajającymi ruchami.

Nazajutrz po południu Vessey wkroczył do Andarton House, gdzie miał się spotkać z sekretarzem, by zająć się interesami. Po załatwieniu najpilniejszych spraw zamierzał pójść do swoich pokoi i przebrać się w strój wieczorowy: wybierali się dzisiaj z Lily do opery.

Wcześniej przy śniadaniu była niezwykle milcząca i nieswoja, zaproponował nawet, by darowali sobie wyjście i zostali w domu. Ale jej uśmiech i zapewnienia, że to niepotrzebne, przekonały go w końcu.

- Nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli przegapić dzisiejsze przedstawienie - powiedziała, uśmiechając się.

Zastanawiała go jej zmienne nastroje. Coś złego wydarzyło się na jarmarku, choć nie mógł pojąć, co to mogło być, bo przecież ani na chwilę się tam nie rozstawali.

Najpierw myślał, że to początek przeziębienia. Później zaczął się zastanawiać, czy jej zachowanie nie ma innego źródła. Wczoraj

kilkakrotnie usiłował delikatnie ją wysondować, ale Lily zbywała wszystkie pytania. Doszedłszy do wniosku, że lepiej jej zrobi odpoczynek niż scysja, dał temu na razie spokój. Może istotnie, tak jak początkowo zakładał, kłuło się jakieś przeziębienie, a on niepotrzebnie robił z igły widły.

Teraz, przywitawszy się z White'em, kamerdynerem, podał mu cylinder i płaszcz, i ruszył marmurowym holem w stronę korytarza prowadzącego do gabinetu. Zdażył zrobić kilka kroków, kiedy stary sługa się odezwał, zatrzymując go w miejscu.

- Milordzie - zawołał White - jeśli mogę coś powiedzieć, to chciałbym nadmienić, że przyjechała markiza wdowa.

Ethan obrócił się na pięcie.

- Moja matka jest tutaj? Od jak dawna? Kiedy przyjechała?

- Będzie już dwa dni, milordzie. Spodziewaliśmy się pana wczoraj i dlatego nie zawiadaniałem pana listownie.

Ethan przypomniał sobie, iż istotnie przebąkiwał wcześniej, że wpadnie do domu wczoraj, ale zmienił zdanie, kiedy Lily się źle poczuła.

- Nic się nie stało, White. Gdzie markiza jest teraz?

- W salonie - odpowiedział spokojny, doskonale ustawiony kobiecy głos z korytarza drugiego piętra.

Ethan odwrócił się, zadarł głowę i napotkał spojrzenie niebieskich oczu stojącej na podeście matki.

- Witaj, mamó.

Posłała mu uśmiech.

- Witaj, mój drogi. Zdawało mi się, że słyszę twój głos, więc przyszedłam sprawdzić. Okazuje się, że słuch mnie nie zawiódł. Piłam

właśnie herbatę w salonie. Może wejdiesz na górę i się do mnie przyłączysz?

Ethan zawahał się chwilę, potem uznał, że może poświęcić kilka minut i wszedł na schody. Jeśli będzie uważał na czas, powinno mu się udać porozmawiać z matką, spotkać z sekretarzem, zmienić strój i nie spóźnić się po Lily.

- White, bądź tak dobry i przynieś herbatę - zawołała markiza wdowa do kamerdynera. - I jeszcze kilka racuszków oraz krem cytrynowy, za którym jego lordowska mość tak przepada.

- Wedle życzenia, milady. - Kamerdyner uklonił się i oddalił, by spełnić jej życzenie.

Kiedy Ethan dotarł na podest, matka rozłożyła szeroko ramiona.

- Chodź i ucałuj mnie.

Podszedł i przycisnął usta do pachnącego lawendą policzka, zauważając w przelocie kilka nowych siwych pasm w wytwornej blond koafiturze oraz kilka nowych zmarszczek. Mimo że skończyła wiek średni już dobrych kilka lat temu, markiza wdowa pozostała bardzo atrakcyjną kobietą: szczupłą, elegancką, o przenikliwym i bystrym spojrzeniu.

- Powinnaś była dać mi znać, że przyjeżdżasz do miasta, mamó - stwierdził, kiedy przeszli korytarzem do bawialni. - Zadbałbym, by być w domu na twoje powitanie.

- Zawiadomiłabym cię, gdybym wiedziała, że cię nie będzie, gdy przyjadę. - W uprzejmych słowach matki bez trudu wychwycił ukrytą przyganę.

Zajęła miejsce naprzeciwko niego, sięgnęła po filiżankę i naląła mu herbaty. Chwilkę później rozległo się delikatne stukanie do drzwi.

- O, są i racuszki - oznajmiła matka.

Kiedy pokojówka postawiła na stole srebrną tacę i zniknęła, wypełniła jego talerzyk.

- Mówiliśmy zatem - ciągnęła, podając mu łąkocie - że byłam zaskoczona, nie zastając cię w domu. Może jednak gdzieś wyjechałeś? Zmęczyłeś się wreszcie miastem, bo przecież nie byłeś latem w Anderley?

Postanowił zagrać w otwarte karty i odstawił na bok nietknięte słodycze.

- Nie, miasto mnie nie zmęczyło i nigdzie nie wyjechałem, jak zapewne doskonale wiesz.

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Owszem. Mówiąc zupełnie szczerze, dochodziły do mnie pewne plotki i to na tak dzikim odludziu jak Suffolk.

Powstrzymał się od komentarza, że Suffolk z trudem może uchodzić za odludzie, tym bardziej dzikie.

- Czyżby? - powiedział przeciągle. - Jakież plotki? Ściągnęła jasne brwi.

- Że tu w mieście żyjesz z wdową, jakąś rudowłosą kreaturą, która ewidentnie cię omamiła.

Zacisnął szczęki i odpowiedział ostrym tonem:

- Lily nie jest kreaturą i nigdy więcej tak o niej nie mów.

Matka położyła dłoń na piersi, jakby ją zranił.

- Tak ma na imię? Lily? Miałam jeszcze cień nadziei, że te pogłoski są fałszywe, ale widzę, że nawet nie próbujesz zaprzeczać. Dalibóg, Ethanie, choć niełatwo mi to powiedzieć, jesteś bliski okrycia się hańbą.

- Doprawdy? - rzucił zimno, postukując palcem wskazującym w poręcz fotela. - Wydaje mi się, że moje życie prywatne jest tylko i wyłącznie moją sprawą i nie powinno nikogo interesować.

- W normalnej sytuacji zgodziłabym się z tobą, czuję się bardzo niezręcznie w ogóle poruszając ten temat - spuściwszy wzrok, milczała dłuższą chwilę. - Rozumiem, że mężczyźni miewają kochanki i tej kwestii nie będę rozwijać. Jednak większość dżentelmenów zachowuje daleko posuniętą powściągliwość i ostrożność w kontaktach z kobietami tego rodzaju. Nie lekceważą konwenansów, wyprowadzając się z rodzinnej rezydencji i spędzając całe dnie i noce w jakimś miłosnym gniazdku.

- Rezydencja pani Smythe jest przyzwoitym, szanowanym domem, w żadnym razie nie jest „jakimś miłosnym gniazdkiem”. I choć nie przebywam tu już tak często, jak dawniej, nie wyprowadziłem się z Andarton House.

Choć, praktycznie rzecz biorąc, tak, przyznał sam przed sobą. Zaglądał tu z rzadka i tylko w celu dopilnowania spraw związanych z prowadzeniem domu i interesami. Prawdę mówiąc, nie bardzo mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spał we własnym łóżku. Zważywszy na jego nieobecności i fakt, że matka spędziła tu samotnie dwie noce, rozumiał, że mogła pomyśleć, iż się wyprowadził. Rozumiał także, jak to musi być interpretowane na salonach. Zacisnął leżące na udzie palce w pięść. Licho niech porwie salony, pomyślał. Chcę być z Lily i będę z nią.

Ale co z jej reputacją? Czy aby nie szkodzi jej pozycji, nie rujnuje dobrego imienia? Lily była przyzwoitą kobietą, nie obcowała nigdy z żadnym mężczyzną poza nim. Choć, rzecz jasna, prócz nich dwojga, nikt

nie miał o tym pojęcia. Nie mógł jednak pozwolić, by matka źle o niej myślała.

- Lily Smythe jest wspaniałą niewiastą i prawdziwą damą, a ty ewidentnie niesprawiedliwie ją oceniasz - powiedział. - Jest mądra i piękna, w dodatku bardzo niezależna, co zasługuje na najwyższy podziw. Myślę, że polubiłabyś ją, gdybyście się poznały.

Matka posłała mu ironiczne spojrzenie, ale odprężyła się trochę i przestała być tak sztywna.

- Niewykluczone... Ale co o niej wiesz? Co to za rodzina, Ethanie? Jakie jest jej pochodzenie? Z tego, co słyszałam, niewiele o niej wiadomo, poza tym, że jest posażną wdową, która jakoby pochodzi z Kornwalii. Co więcej powiedziała ci o sobie?

Raczej niewiele, uzmysłowił sobie. Znał ją jako osobę, kobietę i kochankę, wiedział, jaką pije herbatę rankiem, że jej ulubionym kolorem jest błękitny i że woli komedie od tragedii. Ale jeśli idzie o konkretne informacje dotyczące pochodzenia i rodziny... cóż, te szczegóły pozostawały w dużej mierze zagadką, nawet teraz. Nawet dla niego.

Zobaczył, że matka patrzy na niego wyczekująco, spodziewając się odpowiedzi,

- Wiem, że pochodzi z dobrej rodziny - zapewnił. - Można to wyczytać z jej ruchów, z każdego słowa. Jest wykształcona i dobrze wychowana, ma doskonałe maniery, ale, co ważniejsze, jest słodka, dobra i wspaniałomyślna aż do przesady. Doświadczyła przy tym wiele bólu w swym krótkim życiu. Co do jej rodowodu, nie rozmawialiśmy o tym, ponieważ takie kwestie się nie liczą.

- Tak, domyślam się, że nie, zważywszy na okoliczności. Ale w tym właśnie rzecz, jak twój związek z tą kobietą jawi się światu, niezależnie od tego, jak bardzo jest słodka i dobra. Żyjecie ze sobą i ów fakt nie stawia żadnego z was w korzystnym świetle.

- Może nie dbam, w jakim to nas stawia świetle.

- Czy ona jest tego samego zdania? A co z lordem Sutleigh i lady Amelią? Podejrzewam, że poczują się bardzo dotknięci, jeśli informacja o was dotrze do ich uszu. Przecież musisz mieć wzgląd na zaręczyny, chyba o nich nie zapomniłeś.

Nie zapomniał, przynajmniej nie całkiem. Ale ostatnio nie poświęcał wiele uwagi dawno zawartemu porozumieniu z ojcem Amelii.

- Nie jestem zaręczony, mam - oświadczył głosem, w którym znowu pojawił się ostry ton. - Rozmawiałem wprawdzie z lordem Sutleigh o możliwości poślubienia jego córki, ale nic jeszcze ostatecznie nie zostało postanowione, nic nie ogłoszono publicznie. Nie ma między nami żadnego oficjalnego porozumienia, nie jesteśmy z Amelią po słowie, a to, co zostało powiedziane, nie może w żadnym razie uchodzić za zaręczyny.

Otworzyła usta zszokowana i jęknęła.

- Ale Amelia Dodd jest doskonałą kandydatką na markizę. Chyba nie zamierzasz wycofać się z decyzji o jej poślubieniu?!

Zawahał się.

- Nie jestem pewien.

- To przez nią, przez tę Lily Smythe. Wielkie nieba, chyba nie zamierzasz jej poślubić?!

Poślubić Lily?

Już kiedyś ją prosił, by została jego żoną, ale odmówiła. Wtedy go to nie zmartwiło, bo jego oświadczenia płynęły tylko z poczucia honoru i faktu, że odebrał jej dziewictwo. Ale teraz...

Czy ją kocham?

Tak, uświadomił sobie z nagłą pewnością. Z miejsca i bez wahania poślubiłby Lily, gdyby tylko go zechciała. Ale czy zechce? Mimo miesięcy spędzonych razem, nic nie wskazywało, by zmieniła zdanie w kwestii małżeństwa, najwyraźniej zadowolona z układu, który się między nimi wytworzył.

A gdybym oświadczył się ponownie? Ale co będzie, jeśli ona znów się nie zgodzi?

Przełknął, usiłując stłumić druzgocącą falę emocji, jaką wywołała ta myśl. Musi najpierw usłyszeć, co Ross ustalił na temat Johna Smythe'a. Jeśli ma walczyć z duchem - zwłaszcza tak ważnym dla Lily jak jej zmarły mąż - postąpi rozsądnie, nie podejmując żadnych akcji, dopóki nie dowie się wszystkiego o tym mężczyźnie.

- Więc? - naciskała markiza wdowa z głęboką troską malującą się na pięknej twarzy.

- Nie zamierzam poślubić Lily Smythe. Przynajmniej nie natychmiast, pomyślał. Matka odetchnęła głośno.

- Hm... to dobrze. Nie będziesz musiał rozwiewać nadziei lady Amelii.

- Mamo, nie powiedziałem, że...

Podniosła dłoń.

- Tak, wiem, ale poczekaj jeszcze. Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Obiecuj mi, że na razie nie będziesz rozmawiał z

lordem Sutleigh czy z lady Amelią bez względu na to, co postanowisz ostatecznie.

Nie chciał poślubić Amelii Dodd. Teraz już to wiedział, podobnie jak to, że sam się oszukiwał, myśląc, że będzie mógł związać się z dziewczyną, której nie kocha i nigdy nie pokocha. Ale uznał, że tymczasem powinien udobruchać matkę. Póki nie podejmie ostatecznych decyzji co do przyszłości z Lily.

- Zgoda, marno. Obiecuję nie mówić nic lordowi jeszcze przez kilka tygodni, jeśli sobie tego życzysz.

Uśmiechnęła się do niego, zadowolona.

- Tak. - Nachyliła się i poklepała go po dłoni. - Dziękuję, mój drogi. Skinął głową i odwzajemnił uśmiech.

- Słuchaj - rzuciła rażno - skoro już jesteś w domu, może zjemy razem kolację dziś wieczorem. Kucharz z pewnością zdąży przygotować przynajmniej jedno twoje ulubione danie. Na przykład pieczeń wołową, co ty na to?

- Brzmi wspaniale, ale obawiam się, że mam już inne plany. Teraz muszę spotkać się z sekretarzem, a później idę do opery.

- Z nią, jak mniemam? - spytała. Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Tak. Z Lily. - Zawahał się, potem zaryzykował mimo pewnej niestosowności tej propozycji: - Możesz wybrać się z nami, jeśli tylko chcesz.

Pokręciła głową.

- Dziękuję, ale nie. A propos, Ethanie, jutro wyprowadzę się do domu po ojcu.

- Nie musisz...

- Ależ tak. Postanowiłam zostać w mieście aż do świąt. Wkrótce zacznie się karnawał i mam ochotę na trochę towarzystwa. Poza tym będę się czuła znacznie swobodniej we własnym domu. Do Andarton House przyjechałam tylko dlatego, że kazałam odnowić swój salon. Jutro prace powinny się zakończyć.

- Dobrze, mamó. Bardzo chętnie zjem z tobą obiad przy najbliższej okazji. - Zerknął na zegar i uświadomił sobie, że minęło znacznie więcej czasu, niż mu się zdawało. - Naprawdę, muszę już iść.

- Jesteś zajęty. Rozumiem. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Nie martw się, mamó. Wszystko będzie dobrze. Na jej ustach pojawił się dziwny uśmiech.

- Masz rację. Wszystko będzie dobrze. No to już zmykaj.

Przyglądał się matce badawczo, zastanawiając się nad sensem jej ostatniej uwagi. Na ogół była spokojną, rozsądną kobietą, która żyła własnym życiem i nie wtrącała się w sprawy innych. Jednak jeśli chodziło o rodzinę, nie zawsze trzymała się tej zasady. Jej zdaniem, jeśli kochana osoba potrzebowała „ochrony”, nawet przed samą sobą, każdy środek był dobry, by ją zapewnić.

Kiedyś, wiele lat temu, publicznie dała po uszach jednemu z zalotników jego siostry, kiedy usłyszała z jego ust dwuznaczną uwagę. Na oczach połowy Londynu markiza wdowa trzepnęła młodego lorda, po czym dosłownie wyciągnęła go na zewnątrz za ucho, nie zwracając uwagi ani na śmiech gości, ani na jęki potykającego się młodzieńca.

Ethan zmarszczył czoło i pomyślał jeszcze raz o życzeniu matki, by poślubił Amelię Dodd. Ale nic nie może zrobić, rozumował. Nie zmusi mnie przecież do poślubienia tej dziewczyny. Uznając, że nie ma się czym

niepokoić, pożegnał się. Wchodząc do gabinetu, nie pamiętał już o całej sprawie.

RS

Ostatnie dni października odfrunęły z kalendarza niczym jesienne liście. W listopadzie rozpoczęła się nowa sesja parlamentu, socjeta wracała do Londynu. Choć jej szeregi nie były tak liczne jak podczas pełni sezonu wiosennego, zgromadziło się dość towarzystwa, by londyńskie salony znowu otworzyły szerzej podwoje.

Lily i Ethan znaleźli się wśród wybrańców mogących liczyć na zaproszenia - choć od czasu do czasu jakiś świętoszek postanawiał skreślić panią Smythe z listy gości na znak dezaprobaty dla jej obecnego „wszetcznego prowadzenia się”. Generalnie jednak arystokracja lubowała się w podniecających ploteczkach, a cóż mogło być bardziej fascynującego od publicznych karesów kochanków? Zwłaszcza jeśli romans był tak namiętny, że para niemal w ogóle się nie rozstawała - choćby, szeptano, na jedną noc.

Lily była tylko w części świadoma zainteresowania, jakie oboje z Ethanem wzbudzali: za bardzo pochłaniały ją własne troski, by mogła martwić się wścibstwem innych. Od chwili gdy tamtej pamiętnej nocy uświadomiła sobie, że kocha Ethana, była w rozterce. Ta myśl nie dawała jej spokoju nawet teraz, kiedy siedziała w gabinecie i usiłowała sprawdzić domowe rachunki. Ethan wyszedł na kilka godzin, co dało jej okazję do zajęcia się konieczną buchalterią. Ale szło jej to jak po grudzie, pióro co chwilę zastygało w rękę, zapominała o księdze i stosiku rachunków leżących na stoliku.

Powinnam mu powiedzieć, co czuję, czy nie?

To pytanie krążyło bez ustanku w jej głowie niczym wirująca planeta. Stanowczo zbyt często przyłapywała się na roztrząsaniu tej kwestii, milknąc nagle i zaraz musząc wynajdywać dla swego uchybienia jakąś wymówkę. Nocą też nie miała wytchnienia: śniło jej się, że mówi do Ethana: „Kocham cię” - i wpatruje się w jego twarz w oczekiwaniu na odpowiedź, której ten jednak nigdy nie udzielał. I tu leżał kolejny problem.

A jeśli on nie czuje tego samego do mnie?

Pomimo czasu, jaki spędzili razem, i niekwestionowanej bliskości, jaka się między nimi narodziła, nie była pewna, czyjego zainteresowanie wykracza poza zwykłą przyjaźń. Lubił ją, co do tego nie miała wątpliwości. Ale miłość? Związek? Rodzina? Czy myślał o niej w tych kategoriach? I czy ona tego wszystkiego chciała?

Kiedy sfingowała własną śmierć i uciekła z domu, zmieniając nazwisko i tożsamość, by zerwać wszystkie związki z przeszłością, była przekonana, że nigdy nie będzie chciała wyjść za mąż. Małżeństwo było więzieniem, klatką ustawioną po to, by zwabić kobiety do środka i zamknąć w środku pogrążone w łzach i żalu nad utraconą wolnością. Ale ostatnio coraz częściej przyłapywała się na kwestionowaniu tej wizji. Jej matka przeżyła dwa związki, które nie dały jej nic oprócz bólu. Jednak czy jej - Lily - los musiał być taki sam?

Przez ostatnich kilka tygodni na dobrą sprawę żyła razem z Ethanem. Jedli razem posiłki. Każdego dnia spędzali ze sobą długie godziny. Wieczorami chodzili na przyjęcia lub do teatru. Nocą dzielili łóżko, kochając się z intensywnością i zapamiętaniem, które za każdym razem dawały jej rozkosz. A w te rzadkie noce, kiedy nie uprawiali miłości, tylko spali,

leżeli wtuleni w siebie pod kołdrą w błogim zadowoleniu, które ciągle ją zdumiewało.

Bo życie z Ethanem naprawdę dawało jej radość i zadowolenie: każdy dzień u jego boku był nową przygodą, każda noc w jego ramionach ekstazą.

Ale co z przyszłością? Czy w ogóle ich związek miał przyszłość? A może po prostu snuje fantazje i karmi się złudzeniami, które najlepiej stłumić w zarodku? Nie wspominając już o tym, że jej całe obecne życie oparte było na kłamstwie.

Jak Ethan przyjąłby te rewelacje, gdyby postanowiła wyjawić mu prawdę o swojej przeszłości? Bo raz powiedzianych słów nie dałoby się cofnąć.

Czy odważę się zaryzykować, zastanawiała się, wystawić siebie i swoje życie na takie ryzyko? Powierzyć Ethanowi wszystko, w tym również własne serce?

Ale jaki miała wybór? Jakkolwiek bardzo pragnęłaby, by było inaczej, nie mogli z Ethanem ciągnąć obecnego układu w nieskończoność. Nie żyli w kokonie, odcięci od rzeczywistości, wiedziała, że w towarzystwie krążyły o nich najdziksze plotki i spekulacje. W którymś momencie będą musieli podjąć jakąś decyzję: albo zakończyć ten romans i przestać się widywać - na tę myśl poczuła w piersiach bolesny skurcz - albo pójść krok dalej. A tym krokiem jest małżeństwo.

Ale czy chcę zostać jego żoną? Odpowiedź, której sobie udzieliła, zaskoczyła ją, pióro wypadło jej z dłoni. Chcę, uświadomiła sobie. Chcę nią zostać. Ale czy on mnie chce?

Już raz dała mu kosza, z brutalnością wykpiwając jego konkury. Podówczas oboje radzi byli wywinąć się od małżeństwa. A teraz? Czy Ethan nadal widział ich związek w tym samym świetle, czy może, tak jak ona, zmienił zdanie i uczucia?

Och, gdybym tylko wiedziała.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, osuszyła spocone dłonie i zaraz zmięła chustkę. Zdała sobie sprawę, że będzie musiała mu powiedzieć nie tylko to, co do niego czuje, ale także prawdę o swej przeszłości. I choć nie potrafiła przewidzieć, co z tego wyniknie, rozumiała, że w ten sposób przynajmniej zyska jakąś pewność.

Zatem kiedy? Kiedy zdobędę się na to, by rzucić wszystko na jedną szalę?

Wiedziała, że powinna mu powiedzieć natychmiast - choćby dziś wieczorem. Ale wybierał się na proszony obiad do księcia Wyverna, który właśnie zjechał do miasta, ona zaś zgodziła się towarzyszyć na jakiś wykład Davinie, która również niedawno wróciła ze wsi. Mogła wprawdzie powiedzieć mu w łóżku, ale nie miała śmiałości. A jeśli sytuacja rozwinęłaby się nie po jej myśli? Nie, może to zrobić tylko w dniu, kiedy żadne z nich nie będzie miało umówionych wyjść i oboje będą mogli zostać w domu.

Nazajutrz po balu u Mossgrovesów, postanowiła. Wtedy mu powiem.

Podjąwszy decyzję, chwyciła za pióro i zaczęła wpisywać cyfry do księgi rachunkowej.

W powietrzu czuć było niemal zimowy chłód, kiedy trzy dni później wieczorem Ethan podał rękę Lily, by pomóc wysiąść z karety. Zlustrował

szybko otoczenie: wrzawa i atmosfera radosnej ekscytacji unosiły się niczym płatki śniegu przy wejściu do rezydencji lady i lorda Mossgrovesów, odziani w aksamity i atłasy goście wchodzili do środka. Światło tryskało ze wszystkich drzwi i okien, woń topiącego się wosku ze świec, wina i perfum mieszała się ze słodkim jak miód zapachem dochodzącym z porozstawianych w całym domu dużych wazonów ze szklarniowymi różami.

Nie minęło jeszcze dziesięć minut od ich przybycia, kiedy podszedł do nich pewien młody lord, z którym Ethan czasami dyskutował o polityce. Starał się być miły, skomplementował najpierw nader twarzową suknię Lily z liliowego atłasu, i dopiero wtedy wdał się z Ethanem w dyskusję o ostatnich pracach legislacyjnych parlamentu. Najwyraźniej liczył, że uda mu się nakłonić markiza do poparcia jakiejś ważnej dla niego kwestii. Kiedy pojawiła się Davina Coates, Lily przeprosiła obu dżentelmenów i oddaliła się, by porozmawiać z przyjaciółką. Markiz wiedział, że i tak wkrótce się zobaczą.

Wysłuchawszy młodego polityka, nie składając mu przy tym żadnych wiążących obietnic, ruszył w kierunku Lily. Jednak po drodze co chwilę był zatrzymywany lub sam przystawał, by zamienić parę słów z przyjaciółmi bądź pozdrowić znajomych. Minęła niemal godzina, zanim zlokalizował wreszcie Lily. Jak się okazało, tańczyła, jak żywe srebro, wirując w ramionach jednego ze swych dawnych adoratorów. Powstrzymał chęć, by wkroczyć między tych dwoje i tym samym dostarczyć wody na młyn zgromadzonym plotkarzom. Zadowolił się możliwością obserwowania dziewczyny.

Nie miał powodu do zazdrości, zwłaszcza po ostatniej nocy, którą spędzili razem. Jeszcze teraz krew zaczynała w nim wrzeć na samo wspomnienie pełnych uniesienia westchnień, okrzyków i jęków, jakie Lily wydawała, gdy raz za razem doprowadzał ją do ekstazy. W sen zapadali zupełnie wyczerpani, ale szczęśliwi. A dziś rano, kiedy się obudziła, uśmiech błąkał się na jej zmysłowych wargach, które aż prosiły się o pocałunek. Zanim się ubrali, raz jeszcze uległ pokusie, rzucając się na jej usta - i coś jeszcze - ku obopólnej przyjemności.

Później jednak sprawiała wrażenie dziwnie spiętej, nerwowo przygryzając zębami koniuszek paznokcia, kiedy myślała, że on nie widzi. Już miał spytać, Czy coś się stało, ale zerknął na zegar i uświadomił sobie, że musi natychmiast wyjść z domu, jeśli nie chce się spóźnić na umówiony lunch z matką.

Jak gdyby myśl o matce wywołała ją spod ziemi, zobaczył markizę wdowę sunącą w jego kierunku. Przybrał obojętny wyraz twarzy, by zamaskować zaskoczenie: nie miał pojęcia, że matka może się pojawić na dzisiejszym balu.

- Ethan, kochanie - powiedziała, unosząc głowę, by ucałować go w policzek. Nachylił się posłusznie. - Wiedziałaś, że w końcu cię znajdę - ciągnęła. - Takie tu dzisiaj tłumy. Lady Mossgroves musi być zachwycona frekwencją, zważywszy na porę roku.

- Ludzie zawsze są skorzy do zabawy - mruknął. - Powinnaś była mi powiedzieć, że zamierzasz się tu pojawić, mamó. Powitałbym cię wcześniej.

Być może nie chciała spotkać Lily, pomyślał, ani też narażać się na konieczność odmowy, gdyby poprosił, by im towarzyszyła w powozie.

Niewykluczone, że oczekiwał zbyt wiele, w końcu Lily była jego metresa, a mężczyźni nie przedstawiali swych kochanek matkom. Tyle że Lily była damą, a nie kurtyzaną, a jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, pewnego dnia zostanie jego żoną. Zanim jednak to się stanie, podejrzewał, że sprawy ułożą się bardziej gładko, jeśli nie będzie na siłę starał się ich sobie przedstawić. Matka przypuszczalnie uznałaby to za grubiaństwo, zaś Lily mogłaby się poczuć niezręcznie, a nawet zażenowana, zwłaszcza gdyby została chłodno potraktowana.

- Nie byłam pewna, czy przyjdę - odrzekła markiza wdowa. - Ale potem stała się rzecz wspaniała. Tylko zobacz, kto niespodziewanie przyjechał do miasta.

Odwróciła się w bok i gestem dłoni przywołała dwie osoby, których wcześniej nie zauważył w panującym ścisku. Natychmiast poznał lorda Sutleigh, u którego boku stało szczupłe dziewczę o policzkach białych jak śnieg i szaroblond włosach.

Amelia Dodd. Święci pańscy, co ona tu robi? - Na jego twarzy ukazał się grymas niezadowolenia.

- Czyż to nie wspaniała niespodzianka, Ethanie? - ciągnęła matka. - Lord Sutleigh i lady Amelia przyjechali dopiero wczoraj i odwiedzili mnie dziś po południu, wkrótce po twoim wyjściu. Przekonałam ich, by przyszli na dzisiejszy bal, abyście mogli odnowić znajomość.

Etan rozchmurzył czoło, przybrał uprzejmy wyraz twarzy i złożył pełen szacunku ukłon.

- Milordzie. Lady Amelio. Jak miło państwa widzieć. Sutleigh wyciągnął dłoń w rękawiczce, Ethan ją przyjął i obaj mocno uścisnęli

sobie ręce. Dziewczyna tymczasem posłała markizowi szybkie, spłoszone spojrzenie i zaraz przeniosła wzrok na swe białe wieczorowe pantofelki.

Mój Boże, pomyślał, sprawia wrażenie struchlałej. Czyba się mnie nie boi? Choć wszystko wskazuje, że tak. Pomyśleć tylko, że kiedyś zamierzałem poślubić to dziecko.

Postanowił, że jutro porozmawia z lordem Sutleigh o odwołaniu planowanych zaręczyn. Wiedział, że nawet gdyby nie spotkał Lily, on i ta wymizerowana sierotka nigdy nie daliby sobie szczęścia. Czując ogromną ulgę, że w ostatniej chwili udało mu się ujść przed tą katastrofą, przez następne kilka minut starał się być miły i przechodził samego siebie, by okazać uprzejmość pannie Dodd, która prawie nie odezwała się słowem.

Próbował uwolnić się w końcu od tych dwojga w nadziei, że wreszcie uda mu się dołączyć do Lily, kiedy matka powiedziała coś, co sprawiło, że zamarł.

- Ethanie, może zabierzesz lady Amelię na kolację? Jestem pewna, że wy młodzi radzi będziecie rozmawiać swobodnie bez obecności nas starych.

Bładoniebieskie oczy Amelii zrobiły się wielkie jak talerze i zaraz potem dziewczyna wbiła wzrok w czubki butów. Dłonie trzymała ciasno splecione przed sobą.

Ethan rzucił matce krzywe spojrzenie, ale w mgnieniu oka się opanował, pomny na dobre maniery.

- Ależ naturalnie. Będę zaszczycony. - Zręcznie wmanewrowany, postąpił tak, jak nakazywała grzeczność i podał dziewczynie ramię.

Amelia, wyraźnie zażenowana i skrepowana, położyła drobną dłoń na jego przedramieniu, drząc na całym ciele tak mocno, że było to widoczne.

Jeszcze kilka godzin, uspokajał samego siebie markiz, i wróć z Lily do domu. Jeszcze kilka godzin i rozstanę się z tą dziewczyną raz na zawsze.

Kim jest ta dziewczyna u boku Ethana, zastanawiała się Lily w drugiej części pokoju. I dlaczego on prowadzi ją na wieczerzę? Dziewuszka wyglądała na pensjonarkę wycierającą jeszcze szkolne ławki, nie zaś na kogoś, kto mógłby się zadawać z mężczyzną w wieku Ethana i o jego reputacji. W dodatku, jeśli oczy Lily nie myliły, była półżywa z przerażenia. Chyba jakaś kuzynka, domyśliła się na widok kroczącej za nimi pary: obok mężczyzny w średnim wieku szła niemłoda już kobieta, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa matka Ethana.

Rodzinne podobieństwo między tym dwojgiem rzucało się w oczy. Byli niemal jak dwie krople wody - ten sam kształt oczu, ten sam zgrabny nos - różnili się jedynie płcią i wzrostem. Tak, skonstatowała Lily, ta elegancka starsza dama to markiza wdowa. Jak dotąd, Ethan nie wykazywał chęci przedstawienia jej matce, choć Lily sama przyznawała, że zważywszy na obecny charakter ich związku, takie spotkanie mogłoby być dla wszystkich krępujące. Jednak jeśli jutro wszystko dobrze pójdzie, ta sytuacja wkrótce może się zmienić.

Ogarnął ją niepokój pomieszany z nadzieją. Jutro zamierzała wszystko wyznać markizowi. Choć jeśli tylko zdobędzie się na odwagę, może już dziś wieczorem powiem mu, że go kocham i chcę, byśmy byli już zawsze razem. Ale czy on mnie kocha? Na pewno. Żaden mężczyzna

nie potrafiłby pieścić kobiety tak intensywnie i czule, jak Ethan ją, gdyby jego serce pozostawało obojętne. Jak mógłby spędzać wszystkie dni i noce u jej boku, na dobrą sprawę dzieląc z nią życie, gdyby niczego do niej nie czuł?

A kiedy się już upewni, że Ethan ją kocha, opowie mu szczerze, dlaczego przyjechała do Londynu i jak została wojenną wdową Lily Smythe. Na początku będzie zły, ale gdy weźmie pod uwagę jej straszliwą sytuację w domu rodzinnym, zrozumie, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

Czekał teraz z dziewczątkiem na wejście do sali jadalnej, a ona wodziła po nim wzrokiem i czuła, jak miłość wzbiera w niej spienioną falą. Życie z pewnością byłoby łatwiejsze, gdybym nie kochała Ethana, ale, dobry Boże, kocham go.

- Proszę wybaczyć, pani Smythe, zastanawiam się, czy mógłbym mieć zaszczyt towarzyszenia pani w czasie wieczery?

Pytanie przerwało jej rozmyślenia. Podnosząc wzrok, zobaczyła obok lorda Ottwella, na jego sympatycznej twarzy malował się wyraz nadziei. Licząc na asystę Ethana, odmówiła już dwóm dżentelmenom proszącym o możliwość dotrzymania jej towarzystwa podczas wieczery. Ale skoro markiz miał już inną kompanię - ponownie zerknęła w jego kierunku ze zmarszczonymi brwiami - uznała, że rozsądnie będzie przyjąć propozycję Ottwella. Nie był ani lubieżnikiem, ani nudziarzem, a ponieważ mieli wieczerzać, a nie jechać powozem, zakładała, że będzie przy nim bezpieczna.

Posłała mu łaskawy uśmiech, skinęła głową i przyjęła jego ramię.

- Dziękuję, milordzie, bardzo jestem rada.

Uśmiechnął się szerzej i poprowadził ją do stołu. Po chwili milczenia odchrząknął.

- Eee... widzę, że lord Vessey asystuje dziś panie Dodd.

Zesztywniała na moment. Więc tak się nazywa, myślała. Panna Dodd!

- Ale chyba niepotrzebnie o tym wspomniałem - ciągnął Ottwell.

- Nie - zmusiła się do odpowiedzi. - Wszystko jest w absolutnym porządku. Zatem zna pan tę młodą damę?

- Och, nie, nie osobiście. Ale znam trochę jej ojca, lorda Sutleigh. Ma, podobnie jak Vessey, rozległe włości w Suffolk. Zdaje się, że ich rodziny od dawna się przyjaźnią.

Są zatem starymi przyjaciółmi, a nie kuzynami. Może panna przyjechała z wizytą do miasta, zaś Ethan starał się być po prostu uprzejmy, spełniając życzenia matki. To by przynajmniej wyjaśniało zdenerwowanie dziewczyny.

Wchodząc do zatłoczonej jadalni, Lily natychmiast pobiegła wzrokiem do Ethana siedzącego samotnie z panną Dodd. Wolna ręka zwinęła jej się w pięść. Prostując palce, pozwoliła, by lord Ottwell poprowadził ją do niezajętego stolika i odsunął dla niej krzesło.

- Wystaram się dla nas o talerze i w oka mgnieniu będę z powrotem.

Zapomniawszy o nim, gdy tylko zniknął jej z oczu, Lily jeszcze raz zerknęła w kierunku Ethana, potem odwróciła wzrok. Westchnęła, uświadamiając sobie, że będzie to bardzo długi wieczór.

Boże miłosiwy, myślał Ethan, czyż ta noc nigdy się nie skończy?

Ostatnią godzinę spędził, znosząc towarzystwo panny Dodd, która potrafiła powiedzieć tylko „dziękuję”, „nie, dziękuję” i „tak, przepiórka jest wyborna”.

Wprawdzie teraz posiłek dobiegł końca, ale grzeczność wymagała, by odprowadził Amelię do ojca. Kiedy dopełni tego obowiązku, będzie mógł wreszcie odszukać Lily. Wyobrażał sobie, co ona musi myśleć o tej sytuacji. Miał tylko nadzieję, że nie będzie za bardzo się gniewała. Niezależnie od tego, obiecał sobie, że jej to wynagrodzi, gdy tylko zostaną sami.

Znalezienie lorda Sutleigh powinno być nietrudnym zadaniem, ale co rusz byli zatrzymywani z lady Amelią przez jakichś znajomych, którzy chcieli z nimi pogawędzić. Cichły właśnie dźwięki pierwszego kadryla, kiedy Ethan wreszcie zobaczył lorda, co było o tyle łatwe, że starszy pan stał na schodach sali balowej dobrą głowę nad resztą zgromadzonych. U jego boku tkwiła markiza wdowa. Ethan zmarszczył czoło, zastanawiając się, co tych dwoje porabia tam razem.

Właśnie wtedy jego matka uniosła ręce, prosząc o ciszę.

- Panie i panowie - zawołała donośnym głosem - proszę łaskawie o uwagę.

W jednej chwili wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku, sala ucichła.

- Dzisiejszy wieczór jest dla mnie wielkim wydarzeniem - zaczęła - takim, którym matka cieszy się jedynie kilka razy w życiu, jeśli ma szczęście.

Do czego zmierza, zastanawiał się Ethan i nagle puls mu przyspieszył.

- Jak niektórzy z was zapewne wiedzą, ja i lord Sutleigh od dawna się przyjaźnimy. Jego zmarła żona była moją ukochaną towarzyszką i powierniczką, zanim nie zgasła przedwcześnie.

Zaczęło mu dzwonić w uszach, w płucach zabrakło powietrza.

- Od chwili kiedy zostaliśmy matkami, jedno wiedziałyśmy na pewno: że naszym rodom pisane jest któregoś dnia się połączyć.

Niech to szlag, chyba nie zamierza... - pomyślał Ethan. Nie odważyłaby się. Muszę ją powstrzymać. Teraz!

Strząsnął dłoń Amelii, by rzucić się do przodu, ale matka mówiła dalej.

- Dlatego też z ogromną radością i zadowoleniem informuję wszystkich zgromadzonych o zaręczynach mego syna Ethana z piękną córką mego przyjaciela lorda Sutleigh, Amelią.

Przez salę przebiegł szmer, rozległy się okrzyki. Gdyby matka wzięła ze stołu jeden z noży do mięsa i wbiła go w pierś markiza, nie byłby bardziej zszokowany. Ani bardziej wściekły.

- Serdeczne powinszowania dla mego syna i przyszłej synowej. - Markiza wdowa i hrabia uśmiechnęli się szeroko, podnosząc dłonie do oklasków. - A oficjalne zawiadomienie ukaże się w jutrzejszym „Morning Post” - dodała na koniec.

To się nazywa postawić kogoś przed faktem dokonany, pomyślał, zaciskając zęby i zgrzytając nimi tak mocno, że cud, iż szczęka mu nie pękła. Wyglądało na to, że matka pomyślała o wszystkim i złapała go w zręcznie zastawioną pułapkę.

Zaraz ruszyła lawina komentarzy i gratulacji, obstąpili go znajomi, z których każdy chciał uścisnąć mu dłoń czy klepnąć po plecach. Stojąca

obok Amelia też znalazła się w centrum uwagi, wyglądając trochę jak piórko na porywistym, sztormowym wietrze. Ale nią się nie przejmował, myślał tylko o Lily. Odwrócił głowę, przeczesując wzrokiem tłum, słowa stojących dokoła ludzi zlewały się mu w uszach w głuchy, niezrozumiały szum.

I raptem ją dostrzegł: stała w drugiej części sali balowej, samotna i zagubiona. Przyciskała dłoń do szyi, jakby nie mogła swobodnie oddychać, twarz miała bezkrwistą, białą niczym pierwszy śnieg. Nawet wargi straciły kolor.

Ich spojrzenia się skrzyżowały: jej oczy pełne łez połyskiwały niczym szkło, z jaskrawozielonych tęczówek biło niedowierzanie i ból. Odwróciła się raptownie na pięcie i szybko ruszyła przez salę.

Plwając na dobre maniery i to, jak zostanie zinterpretowane jego zachowanie, rzucił się za nią. Jednak matka położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ethanie, co wyprawiasz, gdzie idziesz? - rzuciła cicho. - Nie możesz opuścić panny młodej. Ludzie patrzą.

Spiorunował ją lodowatym wzrokiem.

- Niech patrzą. Amelia na razie nie jest jeszcze panną młodą pomimo twoich najlepszych wysiłków. A teraz mnie puść.

Zadrzała, ale nie cofnęła ręki.

- Zrobiłam tylko to, co uważałam za słuszne. Co było konieczne dla twojego własnego szczęścia.

- Gdybyś choć trochę dbała o moje szczęście, nie wtrącałabyś się. Niewykluczone, że udało ci się zrujnować mi życie i w chwili obecnej ledwo mogę ścierpieć twój widok.

Krzyknęła cicho i go puściła.

Ruszył dalej, przedzierając się przez tłum i ignorując kilku osobników, śmiałych czy głupich na tyle, by próbować wejść mu w drogę. Popędził przez hol, wypadł przez frontowe drzwi i zbiegł po schodach. Przez długą chwilę myślał, że już odjechała, ale potem mignęła mu jej liliowa atlasowa suknia łopocząca na przejmująco chłodnym wietrze. Nie zatrzymała się, by zabrać swą pelerynę i zbliżając się teraz do niej, widział, że drżała z zimna, ze skrzyżowanymi ramionami.

- Lily, dzięki Bogu, jeszcze nie odjechałaś. To, co się stało przed chwilą w sali balowej, to nie jest to, co myślisz.

Ignorując go, patrzyła prosto przed siebie.

- Przemarznieś na śmierć. Chodź, wrócimy do środka. Tam jest ciepło i będziemy mogli spokojnie porozmawiać. - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała, wyrywając się z jego uścisku. Wciągnął powietrze i uzbroił się w cierpliwość.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale jeśli tylko pozwolisz mi wyjaśnić...

Napadła na niego.

- Co wyjaśnić? Że zaręczyłeś się po cichu i to najwyraźniej już jakiś czas temu? Jak dawno, Ethanie? Od jak dawna wykorzystujesz mnie i zwodzisz?

Ściągnął ramiona, a powieka zaczęła mu drgać w nerwowym tiku.

- Niczego takiego nie robiłem i nie robię. Ogłoszenie tych zaręczyn dziś wieczór to był pomysł mojej matki.

- I ty, oczywiście, nie miałaś z tym absolutnie nic wspólnego - rzuciła.

- Nie, nie miałem - wycedził dobitnie każde słowo. - Daj mi szansę...

- Szansę na co? Wymyślenie kolejnych kłamstw i wykrętów? Cóż, jeśli o mnie idzie, nie mam ochoty ich wysłuchiwać. A ty chyba powinieneś wracać, tęskni za tobą twoja mała narzeczona.

Położył rękę na biodrze.

- Porozmawiamy o tym.

- Nie, nie porozmawiamy. Odejdź, Ethanie i... - głos jej się załamał. - Zostaw mnie samą.

Przyłożyła szybko dłoń do oka, jej usta drżały. Kiedy dorożka zatrzymała się przy krawężniku, ruszyła w jej stronę.

Chwycił ją za łokieć.

- Chyba nie chcesz nią jechać? Pozwól, że każę podstawić swój powóz, pojedziemy do domu i porozmawiamy spokojnie.

- Nie chcę twego powozu. Prawdę mówiąc, niczego już od ciebie nie chcę. A jeśli przez „dom” rozumiesz moją rezydencję, nie jesteś już w niej mile widziany. Wracaj do Andarton House, Ethanie. Tam jest twoje miejsce. - Wyszarpnęła rękę, wsiadła do dorożki i z trzaskiem zamknęła drzwiczki. Powóz ruszył.

- Lily! - krzyknął. - Lily, wracaj! - Ale gdy to mówił wiedział, że jest już za późno: dorożka pędziła ulicą, skręciła zaraz na rogu i zniknęła mu z oczu.

Niech to szlag, zaklął i uderzył pięścią w udo. Zastanawiał się, czy za nią nie pojechać, każąc sobie podać najszybszego konia. Lily musi przecież w końcu posłuchać głosu rozsądku, musi zrozumieć prawdę. Ale jak wyglądała teraz ta prawda? Chciał czy nie, w oczach towarzystwa był

teraz zaręczony. Dopóki nie wymyśli sposobu na wywikłanie się z tej kabały, mógł zaoferować Lily co najwyżej swoje wyjaśnienia i słowo.

Bolała go świadomość, że tak łatwo w niego zwątpiła, uznał jednak, że miała po temu wszelkie podstawy, zważywszy na dzisiejszy skandaliczny postępek matki. Choć kusilo go bardzo, by popędzić do domu ukochanej i zmusić ją, by go wysłuchała, wiedział, że w tym nastroju nie da się udobruchać ani zmusić do czegokolwiek. Chyba powinien dać jej trochę czasu, kilka godzin na ochłonięcie, zanim spróbuje ponownie z nią porozmawiać.

Przeciagnął ręką po włosach i zaklął cicho. Pogodzony z perspektywą spędzenia samotnej, frustrującej nocy, ruszył do budynku i kazał sobie podstawić powóz, by wrócić do domu.

Lily myślała, że będzie płakać, że gdy tylko zostanie sama, zaleje się łzami. Ale łzy nie chciały płynąć: rana była zbyt głęboka, by ulgę mógł przynieść taki prosty lek.

Nie pamiętała drogi do domu, dotarła na miejsce cała dygocząca, do środka wprowadził ją wyraźnie zaniepokojony Hodges. Potem zajęła się nią pokojówka, Susan: zaprowadziła ją na górę, przebrała w najgrubszą wełnianą koszulę nocną i szlafrok, przyniosła gorącą herbatę. Tylko raz spytała, czyjego lordowska mość przyjedzie później.

- Nie - odpowiedziała Lily beznamiętnym tonem, który nawet w jej uszach zabrzmiał dziwnie. - Jego lordowska mość w ogóle nie przyjedzie. Już nigdy tu się nie pojawi.

Wyszczotkowawszy Lily włosy i schowawszy biżuterię, Susan cicho życzyła pani dobrej nocy i wymknęła się z pokoju.

Skulona pod kołdrą Lily usiłowała zasnąć, ale sen nie przychodził: łóżko było zdecydowanie zbyt duże i puste. Dołączył do niej Mouser, mruczenie rozlegające się w ciemnościach i ciszy działało na nią uspokajająco. Zsunęła palce na futerko kota i pogłaskała go, przytulając policzek do jedwabistej sierści, wdzięczna za tę próbę pocieszenia.

Mijały godziny, przez głowę nieustannie przelatywały te same obrazy: Ethan spożywający wieczerzę i tańczący z Amelią Dodd, jego matka zwołująca wszystkich, by z szerokim uśmiechem wygłosić to koszmarne oświadczenie.

Zaręczony. Ethan i ta dziewczyna się pobiorą. Od jak dawna to planował, zastanawiała się.

Czy związał się słowem z inną, kiedy sypiał z nią? A może było to zobowiązanie znacznie starsze? Powzięte jeszcze nad jego kołyską, być może, zanim Amelia Dodd została w ogóle poczęta? Czy to dlatego niewiele sobie z niego robił? Dlatego nie spodziewał się, że matka ogłosi zaręczyny dziś wieczorem?

Co w takim razie z propozycją małżeństwa, którą wtedy mi złożył?

Kłamstwa. Wszystko kłamstwa. Chciał ją zwabić do swego łóża i zrobił wszystko, by cel ów osiągnąć. Zapewne nawet oświadczył się wtedy tylko dlatego, że znał jej stosunek do małżeństwa i wiedział, że mu odmówi. Może chciał w ten sposób przekonać ją, jak bardzo jest „honorowy”, tak by zmniejszyła czujność.

Co istotnie zrobiła, otwierając przed nim serce, choć wcześniej nie wyobrażała sobie, by mogła zaufać jakimukolwiek mężczyźnie. Położyła dłonie zaciśnięte w pięść na piersiach i patrzyła w ciemność.

Kiedy do pokoju zajrzały pierwsze promienie wschodzącego słońca, wstała i rozsunała zasłony. Włożyła szlafrok i weszła do garderoby po puste pudło na kapelusze. Wróciła z nim do sypialni, podeszła do szafki, której Ethan używał w charakterze toaletki, i zaczęła wrzucać do środka jego rzeczy.

Na pierwszy ogień poszła brzytwa, zaraz za nią pas do jej ostrzenia. Potem w pudle wylądowały pędzel do golenia, mydło, grzebień z kości słoniowej i para okrągłych szczotek do włosów z wygrawerowanymi inicjałami EEA na srebrnym grzbiecie. Następnie przyszła kolej na puste etui na bilety wizytowe oraz szczoteczkę i proszek do czyszczenia zębów, dewizkę do zegarka i breloczek na klucze. Do kolekcji dołączyła też garść monet, które brzęczały, kiedy Lily kładła na wierzchu małe puzderko z

dwiema wysadzonymi klejnotami szpilkami do fularu, lak do pieczęci oraz pudełko zapalek.

Uporawszy się z przyborami toaletowymi, podeszła do wysokiej komody i wysunęła szufladę. Zebrała stos świeżo wypranych fularów i wepchnęła je do pudła. Za nimi poszły chusteczki, pończochy i para sprzączek do butów. Znalazło się jeszcze miejsce na trzy pary rękawiczek i koszulę nocną, w której ani razu go nie widziała. Ponieważ pudło było już wypełnione po brzegi, odstawiła je na bok i zaczęła wyrzucać resztę ubrań na swoje łóżko.

Kiedy kładła tam stos lekkich wełnianych kalesonów, otworzyły się drzwi sypialni.

- Już pani wstała? - spytała pokojówka, cicho wchodząc do środka, deski podłogi lekko zaskrzypiały pod jej stopami. - Usłyszałam jakieś odgłosy i pomyślałam, że sprawdzę... Święci Pańscy!

Lily zerknęła szybko przez ramię, schylając się po narecze koszul.

- O, doskonale, dobrze, że przyszedłeś. Pomożesz mi pakować te rzeczy. Wygląda na to, że będziemy potrzebowały jeszcze jednego pudła. Albo dwóch.

Zamknęła jedną szufladę i otworzyła kolejną, znajdując w środku starannie złożone dwa surduty i trzy pary spodni. Zgarnęła je i rzuciła na wierzch rosnącej sterty ubrań zaścielającej łóżko.

Pokojówka zamarła ze zdumienia na środku pokoju.

- Pudła, Susan, proszę.

Spokojne upomnienie Lily wywołało pożądany skutek: dziewczyna dygnęła i wypadła z pokoju. Wróciła szybko, niosąc dwa duże, prostokątne kartony, doskonale nadające się na odzież.

Podczas jej nieobecności sterta na łóżku wzbogaciła się o dwa cylindry z jedwabną podszewką, parę wieczorowych spodni i mahoniową laskę z rączką w kształcie łba ryczącego lwa.

Kiedyś nawet wygłosiła uwagę na temat tej laski, mówiąc Emanowi, że uważa ją za doskonale do niego pasujący emblemat, ponieważ on jest jej silnym, złotym lwem. Teraz z zaciśniętymi ustami wrzuciła laskę do pudła, odwróciła się na pięcie i zaczęła przeczesywać pokój w poszukiwaniu rzeczy, które mogły umknąć jej uwadze.

Dwadzieścia minut później łóżko było puste, wszystkie ubrania i przedmioty należące do Ethana w pudłach. Pierwszy wypełniony po brzegi karton został przepakowany, bo nie dawał się zamknąć.

- Co mam zrobić z rzeczami jego lordowskiej mości? - spytała pokojówka.

Lily chciała powiedzieć dziewczynie, by wyrzuciła je przez okno, albo jeszcze lepiej, zabrała nad Tamizę i cisnęła do rzeki. Ale przecież gdyby chciała je zniszczyć, nie pakowałyby ich. Poza tym uznała, że tak dramatyczny gest pokazałby tylko Ethanowi, jak głęboko zraniła ją jego zdrada. Postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji. Spokojne odesłanie rzeczy będzie znacznie lepszym i wymowniejszym komunikatem.

- Każ jednemu z lokajów zawieźć je dwukółką do rezydencji lorda Vessey'a.

- Oczywiście, proszę pani.

- I poproś Hodgesa, by do mnie przyszedł.

Po wyjściu pokojówki Lily zmieniła szlafrok na suknię i przeszła do bawialni, kiedy dwóch lokajów zabierało pudła z jej sypialni i znosiło je po schodach.

Ktoś zapukał krótko do drzwi i na progu stanął Hodges.

- Chciała mnie pani widzieć?

Stojąc przy oknie, popatrzyła na niego przez pokój i skinęła głową.

- Owszem. Chcę, żebyś posłał po ślusarza. Niech do dzisiejszego wieczora zmieni wszystkie zamki i klucze w domu. Powiedz mu, że dobrze mu zapłacę.

Kamerdyner zrobił na chwilę wielkie oczy, ale poza tym nie dał po sobie poznać, by jej polecenie go zdziwiło.

- Oczywiście. Zajmę się tym natychmiast.

Kiedy się oddalił, przeszła do sypialni i wtedy to zobaczyła: oprawną w skórę księgę leżącą na stoliczku niedaleko kominka. Ethan czytał ją zaledwie dwa dni temu, rozparty na fotelu ze szklaneczką porto w dłoni.

Podeszła wtedy i wtuliła się w niego, prosząc, by przeczytał jej na głos kilka akapitów. Zgodził się chętnie i pokój wypełnił jego niski, melodyjny głos. Ale zaraz przerwał rozproszony pieścotami jej dłoni. Odłożył książkę na bok i zaniósł Lily do łóżka, gdzie się kochali. Nie miała wtedy pojęcia, że po raz ostatni.

Chwyliła oprawną w skórę tom i odwróciła się na pięcie w nadziei, że złapie jeszcze lokaja. Jednak po zaledwie trzech krokach, zatrzymała się, niezdolna iść dalej. Powoli uniosła książkę do góry i przytuliła do piersi, uświadomiwszy sobie nagle, że to wszystko, co jej zostało po Ethanie.

Gwałtowny szloch wydarł się z jej ust. Zaniósła się płaczem.

Ethan odrzucił kołdrę po bezsennej nocy, wstając wcześnie, by się ubrać i ogolić. Bez śniadania lub choćby porannej filiżanki herbaty ruszył prosto do gabinetu, gdzie skreślił list do Amelii Dodd, z prośbą o

możliwość złożenia jej wizyty w najbliższym terminie. Nawet jeśli nie chciała go widzieć, udzieli mu posłuchania. Kiedy już znajdzie się w jej domu, będzie domagał się rozmowy w cztery oczy, podczas której miał nadzieję przekonać ją do zakończenia całej tej farsy. Po tym, jak ubiegłego wieczoru opuścił ją w poszukiwaniu kochanki, tuż po ogłoszeniu zaręczyn, jego prośba o zwolnienie go z danego słowa nikogo nie zdziwi. A zważywszy na jej wyraźne skrepowanie jego obecnością, zakładał, że w tej sytuacji zerwanie przyjmie z prawdziwą ulgą.

W towarzystwie z pewnością aż huczało od plotek, ale nie dbał o to, znacznie bardziej przejmując się naprawieniem stosunków z Lily. Wciąż miał w oczach szok i zgrozę malujące się na jej twarzy. Gdy tylko rozmówi się z Amelią, pójdzie do Lily, aby ją poinformować o zerwaniu zaręczyn, zanim poprosi o wybaczenie. Kiedy wyjaśni, co tak naprawdę zaszło, ona z pewnością wszystko zrozumie i mu wybaczy.

Rozległo się stukanie do drzwi. Podniósł głowę i zobaczył, że na progu pokoju stoi kamerdyner z dziwną miną na zwykle beznamiętnym obliczu.

- O co chodzi, White? - spytał Ethan, odkładając na bok pióro.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie, ale właśnie przybył lokaj z pudłami.

Markiz uniósł brew.

- Z jakimi pudłami?

- Na kapelusze, milordzie. O ile zrozumiałem, zawierają pańskie... rzeczy osobiste. Ubrania i tym podobne z... pańskiego ostatniego miejsca... pobytu w Bloomsbury.

Bloomsbury! Jezu, odesłała moje rzeczy.

A więc postanowiła usunąć go ze swego życia, nawet nie wysłuchawszy. Choć może uznała, że już to zrobiła podczas wczorajszej krótkiej rozmowy.

Zacisnął pięści, zalała go nowa fala wściekłości i frustracji. Jeszcze raz przeklął w duchu matkę za jej karygodną, arogancką ingerencję. Miałby ochotę ją udusić. I nie wahałby się, gdyby mogło to poprawić sytuację. Ale przemoc nic by nie dała, ale gdy tylko będzie mógł znieść jej obecność, powie, co o niej myśli. Tyle że koszmarnych wypadków z wczorajszej nocy nie da się cofnąć. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to próbować naprawić szkody, jakie spowodowały.

Wstał, minął kamerdynera, wyszedł z pokoju i ruszył do holu. Znalazł tam stertę pudeł. Uniósł pokrywę jednego z nich i popatrzył na swoje rzeczy, mignęła mu brzytwa i grzebień, a także kilka poniewierających się luzem pensów i szylingów, które mrugały do niego szyderczo ze środka.

W nerwowym tiku zadrgał mu mięsień przy oku, w gardle narastał wściekły ryk. Stłumił go, uświadomiwszy sobie nagle pewien przytłaczający fakt. Odzyskanie Lily będzie zadaniem nawet nie tyle niełatwym, pomyślał, co arcytrudnym.

Jeszcze tego samego dnia po południu przekonał się, że miał absolutną rację. Przemierzał salon lordostwa Sutleigh tam i z powrotem, podczas gdy Amelia Dodd siedziała na sofie opodal ubrana w skromną biel.

- Co to znaczy, że nie zerwiesz zaręczyn? Amelia wzdrygnęła się, twarz jej pobladła.

- Proszę na mnie nie krzyczeć.

- Nie krzyczę - odparował, uświadamiając sobie jednocześnie, że chyba jednak podniósł głos. Zamknął oczy na chwilę, wziął głęboki oddech, starając się zachować spokój. - Przepraszam, jeśli się uniosłem - ciągnął już opanowany. - Panno Dodd... Amelio... Rozumiem, że ta sytuacja jest dla pani bardzo przykra. Szczerze mówiąc, dla mnie również, ponieważ żadne z nas nie wyraziło zgody na to niespodziewane ogłoszenie zaręczyn przez moją matkę. Zakładam, że była pani tak samo zszokowana, jak ja.

Przysłoniła oczy rzęsami, na ładnej twarzy pojawił się wyraz skruchy. Najwyraźniej jednak coś wiedziała o planach markizy wdowy.

Może dlatego właśnie wczoraj wieczorem była tak zdenerwowana w jego towarzystwie.

- Papa powiedział, że prosił pan o moją rękę już wiele miesięcy temu - wyjaśniła pośpiesznie, niemal połykając słowa. - Wczorajszy wieczór był jedynie czystą formalnością.

- Powiedziałem pani ojcu, że rozważam taką możliwość. - stwierdził. - Ale nic nie zostało ustalone. Planowałem konkury na wiosnę, by się wprawdzie upewnić, czy do siebie pasujemy. Czy nie wydało się pani dziwne, że zgodziłem się na zaręczyny, nie omówiwszy wcześniej tej kwestii z panią? Nie oświadczywszy się jej osobiście?

W milczeniu opuściła głowę i wbiła wzrok w splecione dłonie.

Zrobił kilka kroków do przodu, stając naprzeciwko niej.

- Amelio, pomówmy otwarcie. To, co wydarzyło się wczoraj, było pomyłką, manipulacją ukartowaną przez moją matkę i pani ojca w celu zmuszenia nas do zawarcia małżeństwa. Jest mi ogromnie przykro z

powodu wstydu i bólu, na jaki naraziła panią ta intryga. Jednak nie jest jeszcze za późno i możemy wszystko naprawić.

Westchnęła cicho.

Uznając ten dźwięk za zachętę, mówił dalej.

- Nie pobraliśmy się jeszcze i w ogóle nie musimy. Ale to pani musi położyć kres temu nieporozumieniu. Pani może zerwać zaręczyny, to pani przywilej. Ja, jako dżentelmen, nie mam prawa. Mnie nie przystoi.

Pokręciła głową.

- Ale zostaliśmy sobie oficjalnie przyrzeczeni.

- To jeszcze nic nie znaczy - naciskał. - Nie słuchała pani? Twoja odmowa załatwi sprawę. Wystarczy, że mnie odprawisz.

Otworzyła usta z cichym jękiem.

- Nie mogę.

- Czemuż to? Na miły Bóg, prawie się nie znamy, więc nie może być mowy o jakichś uczuciach między nami. Przecież nie pragniesz mnie zaślubić.

- Papa sobie tego życzy - rzekła, podnosząc wreszcie głowę, by spojrzeć mu w oczy. - Nie mogę mu się sprzeciwić. Strasznie by go to zagniewało.

- A mnie strasznie zagniewa, jeśli pani tego nie zrobi.

Oczy jej się rozszerzyły i zadrżała lekko, ale obstawała przy swoim.

- Przykro, milordzie, lecz już dałam papie słowo. Nie mogę go złamać.

Ethan zaczął znowu przemierzać pokój, uderzając pięścią w udo. Jeśli prosta perswazja nie trafia do niej, może przekonają ją bardziej bezpośrednie argumenty.

- I nie dba pani o to, że kocham inną kobietę?

Skuliła się w milczeniu.

- Ma pan na myśli swoją kochankę? - spytała wreszcie. - Tę, za którą, jak mówią, wybiegł pan wczoraj na zewnątrz?

- Tak, tę kobietę chcę uczynić swą żoną. Zaklinam panią na wszystko, byś nie stawała na drodze do naszego szczęścia.

- Papa mówi, że wszyscy mężczyźni mają kochanki.

Stłumił cisnący mu się na usta ryk.

- Papa dużo mówi, prawda? A co mówi o pani szczęściu? A może nie ma pani prawa do przyjemności i zadowolenia z życia? Prawa do miłości?

Po tych słowach na twarzy Amelii ukazał się wyraz cierpienia, dolna warga zaczęła drgać.

- A więc tak to wygląda - powiedział, siadając na sofie obok niej. - Czyli jest ktoś inny. Kto?

Pokręciła głową.

- Nikt. Niepotrzebnie o tym wspomniałam.

- Nic nie mówiłaś. Twoja twarz powiedziała wszystko. Jest waszym sąsiadem?

Uniosła oczy w zdumieniu.

- Skąd pan wie?

Stąd, że masz lat siedemnaście i wszystkie te lata spędziłaś w domu. Któż inny mógłby wchodzić w rachubę, pomyślał. Ale zamiast powiedzieć to na głos, tylko wzruszył ramionami.

- Po prostu zgadłem. Jak się nazywa?

- Robert - powiedziała, jej głos się ożywił, gdy wymawiała bliskie sercu imię. - Robert Hocksby. Jest synem naszego pastora, tylko o dwa

lata ode mnie starszy. Uczyliśmy się razem na plebanii jako dzieci. - Uśmiech pojawił się na jej ustach, policzki poróżnowiały. - Rozmawialiśmy o tylu sprawach - ciągnęła. - Zwierzaliśmy się z najśmielszych pragnień i marzeń. Robert chce zostać lekarzem i zaczął pomagać miejscowemu doktorowi. Pragnąłby wstąpić do szkoły medycznej, a potem prowadzić własne badania i zgłębiać przyczyny chorób. Ale papa mówi... - urwała, jakby raptem zdała sobie sprawę, że za wiele już wyznała.

- Tak? - spytał łagodnie. - Co mówi twój ojciec?

- Mówi, że lekarze, nawet wykształceni, są tylko zwykłymi łapiduchami i szarlatanami, żerującymi na innych za śmiesznie niskie honoraria. Robert wywodzi się ze zubożałej arystokracji, a ubogi młodzieniec nie ma co marzyć o poślubieniu hrabiowskiej córki, bez względu na to, co do siebie czują. - Uniosła głowę i jeszcze raz popatrzyła mu w oczy. - Przykro mi, milordzie, ale nie mogę postąpić wbrew woli ojca. Pan i ja musimy się pobrać, czy tego chcemy, czy nie. - Przesunęła palcami po wstążce u sukni. - Jednak możesz ją, panie, zatrzymać, jeśli taka twa wola. Mam na myśli pańską kochankę. Rozumiem to i nie będę ingerować w wasz związek.

Ona rozumie? Nie sądził, by Lily okazała się równie wspaniałomyślna. Już sobie wyobrażał jej wybuch, gdyby tylko wystąpił z propozycją takiego układu. Z miejsca natarłaby mu uszu i jak amen w pacierzu wyrzuciłaby go z domu na zbity pysk. Co, gdy się nad tym zastanowić, poniekąd już zrobiła, odsyłając mu ubrania i przybory toaletowe. Nie, Lily nie była kobietą skłoną dzielić się mężczyzną - zresztą on sam też nie zniósłby myśli, że mogłaby wziąć sobie do łóża

innego. Poza wszystkim po prostu nie chciał mieć Amelii Dodd za żonę, nawet jeśli godziła się, by „zatrzymała” Lily.

Cały gotował się z bezsilnej irytacji, mięsień przy oku znowu zaczął drgać. Miał ochotę mocno potrząsnąć Amelią i ryknąć tak, by wreszcie wrócił jej rozsądek i zgodziła się zwolnić go z danego słowa. Ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób niewiele wskóra.

Oczywiście, mógł z nią zerwać. Ale taki postępek nie tylko przyniósłby mu opinię łajdaka, ale także nieodwołalnie zniszczyłby reputację Amelii. Choć trąciło to myszką, wiedział, że na salonach pokutuje jeszcze przekonanie, iż zaręczyny są niemal równie wiążące jak przysięga małżeńska. Gdyby porzucił niedoszlą żonę, pozycja Amelii doznałaby poważnego uszczerbku, jej szanse na zawarcie dobrego małżeństwa zmalałyby drastycznie. Nie mógł jej czegoś takiego zrobić - a przynajmniej nie chciał, dopóki nie okaże się, że taki krok stanowi jedyne wyjście. Musiał przecież istnieć inny sposób zaradzenia katastrofie, przekonania Amelii, by sprzeciwiła się ojcu i zerwała zrzekowiny. Podejrzewał jednak, że dopóki go nie znajdzie, będzie musiał grać rolę narzeczonego.

A co z Lily?

Kiedy tego popołudnia przybył do rezydencji lorda, sądził, że opuści ją jako wolny człowiek. Zaraz potem zamierzał udać się do Lily, wszystko jej wyjaśnić, a następnie klęknąć na jedno kolano i poprosić, by została jego żoną. Ale teraz ten plan stracił aktualność. Nie mógł przecież proponować małżeństwa jednej kobiecie będąc zaręczonym z drugą! Uznał, że jedynie prawdą uda mu się coś zwojować. Kiedy wyjaśni już całą sytuację Lily, ona z pewnością mu wybaczy i zgodzi się poczekać.

Zerknął na swoją „narzeczoną” i postanowił jeszcze raz spróbować przemówić jej do rozsądku.

- Amelio - rzekł. - Nie wierzę, by ojciec nie pozwolił zerwać tych zaręczyn, jeśli mu wyznasz, że tego właśnie pragniesz. Powiedz, że nie możesz znieść mojego widoku i że po wczorajszym wieczorze masz mnie za kanalię. Będzie trochę sarkał, wyrzekał i utyskiwał, ale w końcu się z tym pogodzi. A do wiosny wszyscy zdążą zapomnieć o tym incydencie i będziesz w najbliższym sezonie mogła znaleźć sobie innego wartościowego kawalera.

Posłała mu pełne współczucia spojrzenie.

- Milordzie, najwyraźniej nie zna pan mojego ojca. Od chwili gdy pan z nim rozmawiał, mówi tylko i wyłącznie o naszym nadchodzącym ślubie.

Zmarszczył czoło w grymasie niezadowolenia.

- Prosiłem, by nic ci o tym nie wspominał.

- Cóż, wspominał... I to nie raz. Może pan nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ojciec od lat czekał, by nasze rodziny połączył związek małżeński. Pan i ja jesteśmy jego jedyną nadzieją na urzeczywistnienie tego marzenia, i teraz, kiedy jesteśmy po słowie, nie pozwoli odwołać ślubu tylko dlatego, że rzekomo zapałałam do pana niechęcią. Obawiam się, że ten pomysł nie ma szans. - Westchnęła. - Przykro mi, milordzie.

Ale nie dość przykro, pieklił się w myślach. Nie na tyle, by zerwać te straszliwe zaręczyny.

- Dobrze, panno Dodd. Widzę, że muszę przyjąć pani odmowę. - Wstał i uklonił się zdawkowo, a w duchu dodał: Przynajmniej dopóki nie znajdę jakiegoś wyjścia.

- Do widzenia, milady.

- Do widzenia, milordzie.

Z zaciśniętymi pięściami opuścił pokój.

RS

Lily odsunęła na bok nietknięty lunch, a także stojącą na tacy filiżankę herbaty. Wszystko już dawno wystygło. Wiedziała, że powinna czymś się zająć, by nie siedzieć beczynn timer w fotelu, gapiąc się w ogień. Gdybyż tylko znalazła w sobie dość sił.

Później, postanowiła. Zabiorę się do czegoś później, ale nie teraz. Miała ochotę na długą popołudniową drzemkę. Bądź co bądź ubiegłej nocy nie zmrużyła oka. Sen dobrze jej zrobi. Co więcej, pozwoli oderwać się od rzeczywistości, zapomnieć o cierpieniu, skulić się w ciepłym kokonie niepamięci

Wstała z fotela i ruszyła do sypialni, ale zdążyła przejść zaledwie kilka kroków, kiedy rozległo się pukanie do drzwi bawialni. Nie odezwała się, mając nadzieję, że intruz odejdzie. Jednakże, gdy mimo braku zaproszenia drzwi się uchyliły, westchnęła i odwróciła się twarzą do natręta.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam - rzekł kamerdyner, przepraszającym tonem - przyszedł lord Vessey. Wiem, że wyraźnie poleciła pani go nie przyjmować, ale on nalega, by się z panią zobaczyć.

Natychmiast wyparowało z niej zmęczenie. Wyprostowała się gwałtownie jak smagnięta batem.

- Zakładam, że powiedziałaś mu, że nie ma mnie w domu.

- Owszem. Lecz... on... mówi, że potrafi poznać, kiedy kręcę, i że mam panią poinformować, iż nie odejdzie, dopóki z panią nie porozmawia.

Lily zagotowała się ze złości. Nie odejdzcie! Paradne. Doskonale, może sobie czekać na dole tak długo, aż śnieg zacznie padać w Egipcie, pomyślała, a głośno powiedziała:

- Poinformuj jego lordowską mość, że wszystko, co ma do powiedzenia, może przekazać mi w liście. - Który z radością spałę zaraz po otrzymaniu, dodała w myślach. - Zakomunikuj mu też, że albo dobrowolnie opuści ten dom, albo zostanie wyrzucony. Ty i lokaje się tym zajmiecie.

Na twarzy Hodgesa odmalował się niepokój.

- Och, proszę pani... Nie sądzę, by to było rozsądne. Lord nie podda się tak łatwo, a jest przecież markizem. Podniesienie ręki na członka arystokracji może skończyć się więzieniem.

Prychnęła ironicznie i pokręciła głową.

- Lord Vessey nie wtrąci was do więzienia. Poza tym będzie wiedział, że wykonujecie tylko moje polecenia.

- Święte słowa - rozległ się z progu donośny głos. - Nie pociągnąłbym cię do odpowiedzialności, Hodges, choć spralbym ciebie i lokajów na kwaśne jabłko. Umiem użyć pięści i podejrzewam, że ciężko by wam przyszło wyrzucić mnie za próg.

Lily spiorunowała Ethana wzrokiem.

- Miałeś czekać na dole.

Uniósł wyzywająco brew i wszedł do pokoju.

- Ale wszedłem na górę.

- Cóż, możesz już zejść. - Wskazała mu palcem drzwi. - Zejdź mi z oczu, milordzie. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Doskonale. Może zatem tym razem uda ci się zachować milczenie i wysłuchać mnie. - Spojrzał wymownie na czekającego kamerdynera. - Możesz już odejść, Hodges.

Wzięła się pod boki.

- Nie rozkazuj mojej służbie. Nie masz prawa. Zwłaszcza że już nie jesteś tu mile widziany.

Ethan zacisnął szczęki.

- To jedna z wielu rzeczy, które musimy omówić. - Markiz wszedł do pokoju i stanął przy kominku. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał jej w oczy zuchwale.

Sfrustrowana Lily powściągnęła chęć tupnięcia nogą. Jej służący nie mieli dość odwagi, by siłą wyrzucić markiza z domu, a więc nie mogła się go pozbyć. Przynajmniej zanim nie wysłucha tego, co chciał jej powiedzieć.

- Hodges - powiedziała cicho - możesz się oddalić. Kamerdyner popatrzył na nich oboje.

- Wedle życzenia, proszę pani. - Wycofał się do korytarza i zamknął za sobą drzwi, zostawiając ich samych.

- Zatem mów - rozkazała. - Tylko szybko, abyś za chwilę stąd zniknął.

Opuścił ręce.

- Musimy być ze sobą na noże?

Rzuciła mu spojrzenie twarde jak diament, zdolny ciąć szkło.

- Owszem. Musimy i tylko siebie możesz za to winić. Oto do czego prowadzą kłamstwa i próby zwodzenia.

- Nie okłamywałem cię ani nie zwodziłem - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze sobie! I pewnie mi powiesz, że zawiadomienie o twoich zrękowinach w dzisiejszej gazecie tylko mi się przyśniło! Jesteś zaręczony z tą kobietą czy nie?

Ściągnął usta.

- W tej chwili tak, ale...

- A więc usłyszałam wszystko, co miałam usłyszeć. - Żółć się w mej zagotowała. - Tam są drzwi. Zamknij je za sobą.

Warknął chrapliwie.

- Nie wyjdę, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia.

Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać?

Bo nie chcę ryzykować, że zapomnę o gniewie i znowu pozwolę ci się do mnie zbliżyć. Zbyt głęboko mnie zraniłeś.

- Bo mierzą mnie twoje wymówki i nie mam ochoty wysłuchiwać kolejnych wykrętów! - powiedziała głośno. - Ile razy mam to powtarzać?

W przyływie furii rozejrzała się po pokoju, jej wzrok padł na małą porcelanową figurynkę przedstawiającą pasterkę z owieczką. Niewiele myśląc, chwyciła bibelot i z całej siły cisnęła nim w głowę markiza. Uchylił się, a statuetka roztrzaskała się o obramowanie kominka, rozpryskując się na tysiąc kawałeczków. Przerażona własnym zachowaniem, poczuła, że łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugowała szybko, by się nie rozplakać i nie pokazać ogromu swej rozpacz.

- To, co się wydarzyło wczoraj wieczór, nie było moim pomysłem - bronił się, przygotowany jednocześnie na szybki unik, gdyby znowu

zechciała czymś w niego rzucić. - Nie miałem pojęcia, że matka zrobi to, co zrobiła. Gdybym wiedział, powstrzymałbym ją.

- A co by to zmieniło? Jest oczywiste, że byłeś zaręczony, nawet jeśli jeszcze nie podano tego faktu do publicznej wiadomości.

- Nie byłem zaręczony. To prawda, że kilka miesięcy temu, jeszcze zanim cię poznałem, rozmawiałem z ojcem lady Amelii o takiej możliwości. Ale nie byliśmy po słowie i nie doszło do żadnych zręków między mną a panną Sutleigh.

- Twoja matka i hrabia najwyraźniej są innego zdania. Rozprostował palce.

- Hrabia wierzy w to, co służy jego celom. Jeśli zaś idzie o moją matkę... która zawsze wie lepiej i zrobiła to, co zrobiła, nie licząc się z moim zdaniem, by wyrzucić na mnie presję. Od lat razem z hrabią snuli plany dynastyczne. Jednemu z moich braci miał przypaść zaszczyt połączenia przez małżeństwo naszych rodów, ale po śmierci Arthura i Fredericka to zadanie spadło na mnie. Nigdy nie przystałbym na te plany...

- Ale przystałeś - zauważyła oskarżycielsko. Popatrzył jej w oczy.

- Nie zamierzałem jej poślubić. Dawno już postanowiłem, że rozmówię się z lordem Sutleigh i poinformuję go, że mimo wszystko nie będę się starał o rękę jego córki. Porozmawiałbym z nim jeszcze przed balem, gdybym wiedział, że jest w mieście.

- Doprawdy? A przez te wszystkie tygodnie nie miałeś pod ręką pióra i atramentu?

Przeciagnał palcami po włosach, mierzwiąc złote pukle, co sprawiło, że wyglądał jeszcze bardziej pociągająco. Lily, przeklinając własną słabość, zganiła się w duchu za to, że to zauważyła i wciąż jeszcze jest

podatna na jego czar. Z czasem się uodpornię, zapewniała samą siebie, lecz jej serce przeniknął smutek przejmujący niczym styczniowy wiatr.

- Mówiąc szczerze, na śmierć zapomniałem o całej sprawie - powiedział. - W końcu nic nie zostało jeszcze postanowione, przynajmniej tak myślałem, a byłem za bardzo pochłonięty tobą, by poświęcać temu więcej uwagi.

- O! A więc okazuje się, że ponoszę winę za to, że nie pamiętałeś o własnych zaręczynach.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie byłem zaręczony - wrzasnął.

- Może wtedy nie, ale teraz jesteś - stwierdziła na pozór spokojnie, podczas gdy myśl o tym, że poślubi inną, rozdzierała jej serce. Przycisnęła rękę do piersi, starając się stłumić drżenie.

Uniósł rękę.

- Tak, zgoda, racja, jestem zaręczony. Ale tylko tymczasowo. Musisz uwierzyć, że nie chcę jej poślubić.

Widziała, że tu mówi szczerze. Westchnęła i opuściła rękę.

- Nawet jeśli wierzę, to nie ma nic do rzeczy. Jesteś po słowie z... - Imię hrabianki nie chciało przejść jej przez gardło. - I nic tego nie zmieni.

- Owszem - powiedział, podchodząc do niej. - Znajdę jakiś sposób, by to zmienić.

- Jaki sposób, Ethanie? Pomijając fakt, że siedemdziesiąt pięć osób słyszało o waszych zaręczynach na balu, jest jeszcze dzisiejsza wzmianka w „Morning Post”. Nie da się tego cofnąć. Jesteś związany obietnicą... - urwała i drżąc, nabrała powietrza. - Jeśli tylko ona nie jest na tyle głupia, by się rozmyślić i zwolnić cię ze słowa, zaręczyny pozostaną w mocy.

Zmniejszył dzielącą ich odległość.

- Nie pozostaną. Dopilnuję, by ta farsa skończyła się w ten czy inny sposób. Na razie ona nie chce zerwać zaręczyn, ale znajdę sposób, by ją przekonać.

- Więc już z nią rozmawiałeś?

- Tak. Przychodzę tu prosto od niej. Nie mogłem czekać ani minuty dłużej, musiałem z tobą porozmawiać. Jeśli sobie przypominasz, usiłowałem ci wszystko wytłumaczyć wczoraj, ale byłaś zbyt zdenerwowana. Dopiero teraz mnie słuchasz. - Położył jej rękę na ramionach. - Lily, ty jesteś tą, której pragnę, nie ona. Daj mi czas, bym to wszystko rozwiązał. I uwierz, że wszystko naprawię.

- Ale jak mam ci wierzyć, skoro mnie okłamałeś? Dlaczego mam w ogóle ci zaufać, skoro od samego początku mnie oszukiwałeś?

- Bo cię kocham.

Serce zamarło jej w piersi. Kocha mnie, zastanawiała się. Naprawdę?

Ogarnęła ją gwałtowna pokusa, tak silna, że niemal bolesna. Boże, jak bardzo chciała mu uwierzyć. Ile by dała, by móc zapomnieć o swym bólu i krzywdzie i przyjąć jego zapewnienie bez dalszych pytań i wątpliwości. Jak wspaniale byłoby zapomnieć o swarach i waśniach i wrócić do tego, co było. Znaleźć się znów w bezpiecznym schronieniu jego ramion, mieć świadomość, że kocha ją tak samo jak ona jego. Ale choć pragnęła ustąpić - Bóg jeden wie jak bardzo - coś jej nie pozwalało.

- Jeśli mnie kochasz - rzuciła - w osobliwy sposób to okazujesz.

Popatrzył jej głęboko w oczy.

- Może to lepiej pokaże moje uczucia - wymruczał.

Zanim zdążyła zaprotestować, dotknął ustami jej ust, zamykając Lily w uścisku, któremu nie miała siły się oprzeć.

Zmysłowa i nęcąca rozkosz pocałunku ogarnęła ją i rozpałała z szybkością i mocą letniej pożogi. Uległa jej, oddając się całkowicie w jego władanie, pozwalając, by zabrał ją do ich świata, w którym nie istniało nic oprócz niezmiernego pożądania i bezgranicznej rozkoszy. Odpowiedziała na jego pocałunek równie namiętnie. Oddychała nierówno, oszołomiona upajającym zapachem jego skóry. Rozchyliła usta, sycąc się bogactwem miodowej słodyczy jego warg.

Przycisnął ją mocno do siebie, nie starając się nawet ukryć jednoznacznego dowodu narastającego podniecenia. Przekręcił głowę i pogłębił pocałunek, jednocześnie przesuwał dłoń po jej plecach i talii, by pogłodzić krągłą linię pośladków.

Ten dotyk wyrwał ją z otumanienia; zdała sobie sprawę, na co się zanosi. Jeśli nie zareaguje na czas, Ethan zaraz weźmie ją na ręce i zanieśli do sypialni. A kiedy to się stanie, wszystko będzie stracone.

Będzie zgubiona.

Ethan powiedział, że ją kocha, ale czy może mieć pewność? A może te deklaracje i obietnice są tylko sprytnym sposobem na wślizgnięcie się z powrotem do jej łóżka? Jeszcze dwa dni temu wierzyła mu bezgranicznie, uważając Vesseya za wcielenie dobra i honoru. Wczorajszy wieczór zburzył tę wiarę, pozbawił złudzeń i zdjął klapki z oczu.

A jeśli znowu mnie okłamuje, zastanawiała się, jeśli pragnie jedynie dogodnej partnerki do alkowy na teraz - a jednocześnie zamierza poślubić tę dziewczynę, by uszczęśliwić rodzinę i dodać blasku swemu rodowi? Ta myśl podziałała na nią niczym kąpiel w lodowatej rzece, otrzeźwiając umysł. Uświadomiła sobie raptem, że musi się uwolnić, że bez względu na cenę musi chronić resztki swej godności.

- Nie! - krzyknęła, odrywając się od jego ust. - Przestań! -

Oddychając chrapliwie, wywinęła się z jego ramion.

- Lily, co... - Wyciągnął ręce, żeby ją zatrzymać, ale się cofnęła o kilka kroków.

- Nie, nie dotykaj mnie. Dopóki jesteś z nią zaręczony, nie waż się do mnie zbliżyć. Chcę, żebyś wyszedł!

- Żartujesz. Nie zachowujesz się rozsądnie.

- Nie? - zaatakowała. - To nie ja przedstawiałam kłamliwie swoje zamiary. Nie ja przyrzekałam innemu i nie ja jestem teraz związana. Zrobiłeś ze mnie swoją kochankę, ale na Boga, Ethanie, nie jestem ulicznicą.

Twarz mu pobladła, drgnął, jakby wymierzyła mu policzek.

- Nie proszę cię o to.

- Nie? Bo nie będę w niczym lepsza od zwykłej dziwki, jeśli pozwolę ci teraz wrócić do mego życia. Powiedziałeś, że się z nią nie ożenisz. Co zrobię, jeśli nie zdołasz zerwać zaręczyn? Co będę myślała i jak się będę czuła, kiedy będziesz prowadził do ołtarza inną kobietę?

Oczy Vessey'a zapłonęły, zacisnął pięści.

- Żadnej innej kobiety nie poprowadzę do ołtarza. Chcę tylko ciebie. I już dzisiaj prosiłbym cię o rękę, gdybym był wolny. - Zrobił kilka kroków. - Do licha ciężkiego, nie kłamię.

Na myśl o tym, że mogłaby zostać jego żoną, zaparło jej dech w piersiach, a w sercu wezbrała nadzieja niczym migotliwy potok. Ale zaraz przypomniała sobie o fatalnych zaręczynach. Opuściła ramiona. W przeszłości wielokrotnie pragnęła czegoś, modląc się o to z niezachwianą

wiarą, i za każdym razem spotykało ją rozczarowanie. Gdyby teraz mu uwierzyła, a on by ją zawiódł, mogłaby tego nie przeżyć.

Pokręciła głową i zdusiła pragnienie.

- Nie. Musisz odejść. Nie mogę ci zaufać. Zbyt dobrze znam smak złamanych obietnic i rzucanych lekkomyślnie kłamstw. Zbyt wiele razy dałam się wodzić za nos. Mój ojciec przez całe życie opowiadał mnie i matce jedną bajkę za drugą, przekonując, że tym razem zostanie, że tym razem będzie inaczej. Dopóki znowu nie skłamał. Znowu nie wyjechał. Nie pozwolę, byś zrobił mi to samo.

- Dobry Boże, Lily, nie chcesz mi zaufać z powodu swego ojca? Nie zapominaj, że on i ja jesteśmy dwiema różnymi osobami.

- Tak, ale obaj jesteście mężczyznami - oświadczyła, zbyt zdenerwowana, by ważyć słowa. - Timothy Bainbridge był egoistycznym wagabundą, który z beztroską obojętnością ranił bliskich. A mój ojczym... to jadowity wąż ukryty w pięknym ciele. Ale ty, Ethanie, ty jesteś na swój sposób gorszy niż oni razem wzięci, bo sprawiłeś, że zaczęłam myśleć, iż może czekać mnie coś więcej, zaczęłam wierzyć, że między nami może być coś czystego, dobrego i prawdziwego. Ale to niemożliwe. Już nie.

Więc dlaczego nadal go kocham? Dlaczego na samą myśl o odprawieniu go chce mi się płakać i wyc? Wściekła na własną słabość, wyprostowała ramiona.

- Chcę, żebyś wyszedł. Teraz. A gdyby wpadło ci do głowy, by spróbować się tu zakraść nocą, muszę cię poinformować, że twój klucz już się nie nada. Kazałam wymienić zamki we wszystkich drzwiach i oknach.

Smagnął ją wściekłym spojrzeniem niczym batem, ale oprócz furii dostrzegła w jego oczach ból. Kiedy się odezwał, jego słowa były jak sople lodu.

- Zapewniam, że gdybym postanowił zakraść się tu którejs nocy, pani śmieszne wysiłki, by mnie powstrzymać, nie odniosłyby skutku. Ale proszę być pewną, że nie będę się pani naprzykrzał bez jej uprzedniej wyraźnej zgody. Zapewniam również, że na tym nie skończyliśmy i jeszcze mnie obaczysz. Wrócę już jako wolny człowiek, niezaręczony z żadną kobietą. Spodziewam się, że tego dnia sownie mi wynagrodzisz swój dzisiejszy brak zaufania. Zatem, sugeruję, byś wykorzystwała pozostały ci czas na obmyślanie najlepszych sposobów na uzyskanie mego wybaczenia. Jeśli się sprawisz i pokajasz odpowiednio, być może przywrócę cię do łask, acz niewykluczone, że jedynie w charakterze kochanki.

Otworzyła usta w niemym krzyku.

- Życzę miłego dnia, pani Smythe. - Ukłonił się sztywno, odwrócił na pięcie i wyszedł z pokoju.

Poczuła ból w piersiach, kamień przygniótł jej serce. Czyżbym go źle osądziła, zastanawiała się. Czy popełniłam, błąd odprawiając go?

O Boże, co ja najlepszego zrobiłam? A jeśli on naprawdę mnie kocha, czy teraz ta miłość zmieni się w nienawiść?

Drżąc, opadła na najbliższy fotel i przycisnęła zbielełe palce do ust. Po policzku Lily spłynęła gorzka łza, potem skapnęła na suknię. Po chwili z jej oczu trysnęły strumienie łez. Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się płaczem.

Wiele godzin później Ethan wstrząsnął szklaneczką brandy, patrząc, jak przejrzysty płyn spływa po ściankach naczynia migotliwymi strumyczkami, w których odbijał się blask świec. Nagle znudzony, jednym haustem opróżnił szklaneczkę i uniósł dwa palce, dając znać kelnerowi w Klubie White'a, by podał mu następną.

Garson odszedł spełnić jego polecenie, przy Ethanie zaś pojawił się mężczyzna i zajął fotel naprzeciwko z pełną wdzięku nonszalancją księcia z krwi i kości.

- Czy nie dość już wypiełeś? - spytał Wyvern, wskazując głową pustą szklaneczkę, piątą, którą Ethan odstawił od chwili przybycia do klubu.

Ethan wydał usta.

- Muszę zaprzeczyć... Skoro ciągle jeszcze mogę prowadzić z tobą rozmowę. Jeśli przyszedłeś pastwić się nade mną, możesz odejść.

- Ja miałbym się pastwić nad kimś tak markotnym? Cóż byłby ze mnie za przyjaciel?

- Triumfujący. No dalej, powiedz, co o mnie myślisz. Byłem idiotą, chcąc się związać z dziewczyną, której nigdy nie pokocham, a z którą może będę musiał się ożenić. W dodatku wbrew własnej woli.

Wyvern wzruszył ramionami współczująco.

- Cóż, przecież cię ostrzegałem. Ale teraz jesteś wystarczająco zgębiony, nie będę cię dobijał.

Ethan uderzył pięścią w oparcie fotela.

- Muszę coś zrobić, Tony. Zmusić jakoś Amelię Dodd, by posłuchała głosu rozsądku i położyła kres tej farsie.

- I dlatego jesteś taki zasepiony?

Vessey spojrzał przyjacielowi w oczy i pokręcił głową.

- Lily mnie odprawiła.

- Jasne. Zastanawiałem się, jak ona to wszystko przyjmie.

- Źle. Jest przekonana, że kłamię co do zamiarów względem lady Amelii. Ze chcę, by między nami wszystko zostało po staremu, a jednocześnie planuję poślubić córkę lorda, niezależnie od moich zapewnień, że jest inaczej.

- A czego naprawdę chcesz od niej?

- Wszystkiego - odparł Ethan i głos mu nagle złagodniał. - Kocham ją, Tony. I to bardzo, choć wścieka mnie, że za grosz mi nie ufa. Ile bym dał, by to zrozumiała. By mi uwierzyła i dała szansę na wywikłanie się z tej kabały. Niech licho porwie moją matkę za jej intrygi i wścibianie nosa w nie swoje sprawy.

- Nie tylko twoją. Tu się z tobą zgadzam.

Ethan znał doświadczenia Tony'ego z własną matką.

Pojawił się kelner, stawiając szklaneczkę szkockiej przed Wyvernem i nową brandy przed markizem. Książę poczekał, aż obsługujący się oddali, i dopiero wtedy rzucił:

- Choć to bardzo niezręczna sytuacja, powiedz, co zamierzasz zrobić, jeśli lady Amelia będzie obstawała przy ślubie?

Ethan przeciągnął dłonią po twarzy.

- Samemu z nią jakoś zerwać... Nie wiem. Ale musi być sposób, żeby ją przekonać do odwołania zaręczyn.

- A jeśli nie ma? Jesteś gotów ją porzucić, ryzykując, że wybuchnie skandal? Wiele osób uzna taki postępek za niewybaczalny, zwłaszcza obie wasze rodziny.

Dopóki będę miał Lily, nie dbam o to, co inni myślą. Ale czy ona zechce do mnie wrócić? Może tylko wmawiam sobie, że darzy mnie prawdziwym uczuciem?

Pomimo wyraźnej wściekłości z powodu jego rzekomej przewrotności, nigdy tak naprawdę nie powiedziała, że go kocha. A zważywszy na jej zdanie o wierności mężczyzn, nie był pewien, czy miałyby to jakieś znaczenie. Jego kłamstwa bardzo ją zraniły, nawet jeśli miały charakter przemilczenia, a nie wierutnej blagi. Teraz już to rozumiał. Będzie musiał się natrudzić, by odzyskać jej zaufanie. Ale czy w ogóle mu na to pozwoli, a może już na zawsze wykluczy go ze swego życia?

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne, by uniknąć ślubu z Amelią - powiedział. - Jestem absolutnie zdecydowany. - Uniósł szklaneczkę i pociągnął duży łyk, delektując się cierpkością alkoholu. - Zresztą ona wcale nie pali się do tego małżeństwa. Jest zakochana w synu miejscowego pastora, w jakimś chudopachołku, którego konkury są nie w smak hrabiemu. Gdyby tylko udało mi się ją przekonać, by z nim uciekła, byłoby po sprawie. - Zamarł, uświadamiając sobie, co właśnie powiedział. - Wielkie nieba, to jest to!

- To znaczy?

- Muszę doprowadzić do tego, by Amelia i jej kawaler spotkali się ze sobą i podsunąć im pomysł ucieczki. Jeśli kocha go tak bardzo, jak twierdzi, zbiegnie z nim, by go poślubić, nie bacząc na gniew ojca.

Tony parsknął cicho.

- Z pewnością wielki, gdyby do czegoś takiego doszło.

Ethan zignorował uwagę przyjaciela i odstawił szklaneczkę. Pochylił się w fotelu z uśmiechem na ustach. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła się ta matrymonialna katastrofa, pojawiła się jakaś nadzieja. To podniosło go na duchu. W skupieniu zmarszczył brwi.

- Muszę tylko przypomnieć sobie, jak on się nazywa - wymruczał na głos. - Jak to brzmiało? Robert jakoś tam... Robert... - Zamyślił się na chwilę, ale zaraz pstryknął palcami. - Hocksby! Robert Hocksby. Jest synem pastora i asystentem lekarza, więc nietrudno będzie go odnaleźć.

Księżę spojrzał przyjacielowi w oczy, unosząc brew.

- O, nie...

- O, tak. Tony, może pojechałbyś ze mną na małą wycieczkę?

Lily usiłowała skupić się na książce, którą trzymała przed oczyma, ale kiedy próbowała czytać, myśli jej odływały, uparcie krążąc wokół Ethana.

Porzuciła więc lekturę i z westchnieniem odłożyła książkę. Minał ponad tydzień od chwili, kiedy markiz wkroczył do tego pokoju, żądając, by wysłuchała jego wersji wydarzeń, które doprowadziły do tych nieszczęsnych zaręczyn. Cóż, wysłuchała go, a potem odprawiła. Po części spodziewała się jednak - a nawet miała nadzieję - że mimo zakazu będzie starał skontaktować się z nią ponownie.

Ale nie spróbował.

Cisza z jego strony była absolutna, jakby w ogóle nigdy nic ich nie łączyło. Być może uznał, że ich romans naprawdę skończył się definitywnie. Wcześniej twierdził, że na to nie pozwoli, że wróci, by dowieść prawdy swych słów i ją odzyskać. Ale jeśli kroniki towarzyskie nie kłamały, zapomniał o niej z łatwością. Wciąż natrafiała w prasie na wzmianki, że lord Vessey bywa: zalicza bal za balem, przyjęcie za przyjęciem, często z lady Amelią u boku.

Dziś rano, przeczytawszy, że tańczył z narzeczoną poprzedniego wieczoru, wydarła stronę z gazety, zgmiotła i wrzuciła do ognia. Przez chwilę widok palącego się papieru nappełnił ją mściwą satysfakcją, ale gdy kartka zamieniła się w popiół, Lily znów ogarnęła melancholia.

Już kilka dni temu przestała płakać i każdego ranka zmuszała się, by tak jak dawniej wstać z łóżka, umyć się, ubrać i zjeść śniadanie. Ale nic już nie było tak jak dawniej, nie dla niej.

Tęskniła za Ethanem wprost nie do wytrzymania. W chwilach słabości wyobrażała sobie, że idzie do niego i zgadza się nadal być jego kochanką, jeśli tylko zechce. Ale powstrzymywała ją duma, a poczucie godności nie pozwalało na całkowitą kompromitację. Dlatego też przez cały zeszły tydzień nie wychodziła z domu, odprowadzając gości - nawet Davinę, która dwa razy wpadła zapytać, jak Lily się miewa.

Kazała Hodgesowi powiedzieć, że jest przeziębiona, choć naturalnie każdy, kto miał odrobinę oleju w głowie, domyślał się prawdziwej przyczyny jej niedyspozycji.

Z początku zresztą naprawdę zastanawiała się, czy nie jest chora: czuła takie znużenie i apatię, że z trudem podnosiła się z łóżka, by coś zjeść. Przeszło jej nawet przez głowę, że może jest przy nadziei, jednak któregoś ranka obudził ją dobrze znany ból w dole brzucha i już wiedziała, że ominął ją stan błogosławiony.

Powinna była poczuć ulgę, bo ostatnie, czego teraz było jej trzeba, to nosić pod sercem nieślubne dziecko Ethana. Ale świadomość, że nie jest brzemienna, wywołała tylko kolejny atak łez, jakby to odkrycie jeszcze bardziej oddaliło ją od kochanka.

Westchnęła i wyjrzała przez okno na słoneczny, lecz chłodny listopadowy dzień. Normalnie wyszłaby z domu, aby korzystać z uroków miasta w takie piękne popołudnie. I niezależnie od nastroju, uświadomiła sobie, właśnie to powinnam robić.

Umartwienie się nie leżało w jej naturze. W przeszłości zawsze znosiła problemy i trudy życia z energią i hartem ducha. Teraz nie powinno być inaczej bez względu na to, jak bardzo cierpiała. W końcu

nawet gdyby tego chciała, nie mogła w nieskończoność ukrywać się w domu.

Życie toczy się dalej i ja także muszę żyć dalej.

Zdecydowana, wstała z fotela, wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem. Z dołu dochodziły ją jakieś niewyraźne głosy, ale była tak zamyślona, że nie zwróciła na nie uwagę. Stała na szczycie schodów, po czym ruszyła na dół.

- Hodges - zawołała - każ przygotować mój faeton. Chcę wyjść.

- Na Boga, to naprawdę ty! - rozległ się jedwabisty głos, w którym pobrzmiwały złowieszcze tony. - Muszę przyznać, że jak na nieboszczkę wyglądasz doskonale.

Lily poślizgnęła się na wełnianym bieżniku, w ostatniej chwili chwyciła się barierki, co ją uratowało przed upadkiem ze schodów. Wczepiona w balustradę, popatrzyła w dół na twarz, której miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Był tam Gordon Chaulk, a obok niego stał Edgar Faylor z błyskiem triumfu w czarnych okrutnych oczach.

- Mówiłem ci, że to ona - powiedział Faylor.

- W rzeczy samej, mówiłeś - odparł ojczym Lily, którego wytworna uroda jak zawsze stanowiła kontrast z gadzią naturą.

- Przepraszam, mówiłem im, że pani nikogo nie przyjmuje - zapewnił stojący w pobliżu wyjścia Hodges.

I nie mogła go winić za to, że ich wpuścił. Z ustawienia drzwi wносиła, że właśnie ich wyrzucił na zewnątrz, kiedy sama niechcący mu w tym przeszkodziła.

W gardle jej zaschło i ścisnął strach. Gdyby mogła uciec, z miejsca wzięłaby nogi za pas. Ale wiedziała, że na ratunek jest już za późno.

Boże, znalazł mnie!

Następnego dnia Ethan śmiał się od ucha do ucha i gratulował sobie w duchu, kiedy stojąc w gabinecie, po raz wtóry czytał pilny list, który właśnie otrzymał od lorda Sutleigh. Hrabia z przykrością komunikował mu straszną wieść: wczoraj późno w nocy jego córka uciekła z Robertem Hocksbym, całkowicie nieodpowiednim chłopcem, w którym, jak sobie uroiła, się zakochała. Teraz strapiony ojciec siedział w powozie jadącym Great North Road w nadziei, że uda mu się złapać krnąbrnych kochanków, zanim dotrą do Gretna Green.

Hrabia nie wiedział, że jechali jednym z najszybszych powozów Ethana i że wcześniej poczyniono przygotowania, aby zmiana koni w każdym z zajazdów po drodze przebiegała błyskawicznie. Jeśli tylko nie będą zatrzymywać się na nocny odpoczynek, powinni dotrzeć do Szkocji na długo przed lordem i pobrać się, zanim ich dopadnie - przypuszczalnie jeszcze następnego dnia. Gdyby jednak sprawy potoczyły się inaczej, Ethan wiedział, że nie musi się martwić, bo Amelia będzie już tak skompromitowana, że ojciec, nie mając innego wyboru, będzie musiał się zgodzić, by poślubiła ukochanego Roberta.

Jednak kiedy Tony przyjechał dwa dni temu z Hocksbym do miasta, Ethan nie miał wcale pewności, że jego plan wypali. Inteligentny i poważny młodzieniec o przenikliwym spojrzeniu z początku odniósł się podejrzliwie do pomysłu markiza. Poczł się urażony tym, co uznał za próbę przekupstwa.

- Nie mogę przyjąć od pana dwudziestu tysięcy funtów - oświadczył oburzony, prostując się dumnie. - Wyszedłbym na łowcę posagów.

- Ale kocha ją pan?

W twarzy Roberta coś drgnęło, odmalowała się na niej tęsknota.

- Oczywiście, że ją kocham... Nawet pan nie wie, jak bardzo.

- Zatem pragnie pan jej szczęścia, a to oznacza, że musicie postąpić tak, jak mówię. Jeśli pobierzemy się z Amelią, ona nigdy nie będzie szczęśliwa i z pewnością nigdy nie będzie pana żoną.

Oczy Roberta posmutniały, pojawiła się w nich boleść, którą Ethan sam doskonale rozumiał od czasu rozstania z Lily.

- Co do pieniędzy - ciągnął markiz - nie proponuję panu jednorazowej wypłaty w gotówce. Chcę pana zatrudnić w moich włościach w Suffolk, by zapewnił pan opiekę medyczną mieszkańcom okolicznych wiosek i miasta. Potrzebujemy tam wykwalifikowanego lekarza, ale oczekuję, że najpierw skończy pan stosowną szkołę. Bo rozumiem, że chciałby pan kształcić się w tym kierunku.

- Owszem. - Hocksby wyglądał na nieco oszołomionego, ale w jego spojrzeniu pojawił się błysk zainteresowania. - Chciałbym pana dobrze zrozumieć. Mógłbym studiować medycynę, po uzyskaniu dyplomu otworzyć praktykę i przy tym wszystkim mieć jeszcze środki na poślubienie Amelii? Dlaczego? Dlaczego chce pan to wszystko dla mnie zrobić?

- Nie robię tego dla pana. Ja także kogoś kocham. Niech pan ucieknie z Amelią, abyśmy wszyscy byli szczęśliwi.

Po dłuższej chwili Hocksby zgodził się, z wdzięcznością potrząsał ręką Ethana i dopytywał, kiedy będzie mógł się zobaczyć z ukochaną.

Przekonanie Amelii, by sprzeciwiła się ojcu, także zabrało trochę czasu, ale gdy tylko usłyszała o propozycji Ethana i znalazła się w objęciach Roberta, nie potrafiła wyrzec się szansy na zostanie jego żoną.

Reszty dopilnowali już Ethan i Tony, pomagając uciec kochankom w środku nocy. Wszystko szło jak z płatka i zgodnie z planem po części dlatego, że markiz przez cały ubiegły tydzień doskonale odgrywał rolę narzeczonego. Nie chciał wzbudzać podejrzeń, zwłaszcza w ojcu narzeczonej, że chodzi mu po głowie coś innego niż kontynuowanie narzeczeństwa.

Pozbywszy się podstawowej przeszkody, mógł teraz już wrócić do Lily i pokazać jej, że mówił serio. Najpierw będzie musiał przekonać ją, by mu znowu zaufała. Później namówić, by zapomniała o swych lękach i zgodziła się za niego wyjść. Już wcześniej zrozumiał, że ją kocha, ale tych kilka dni spędzonych osobno ugruntowało jeszcze jego uczucia i przekonało, że nie tylko chce, ale wręcz musi spędzić z nią resztę życia

Odłożył list hrabiego na biurko i odwrócił się, by udać się na górę i odświeżyć przed wizytą u Lily. Uniósł głowę i zobaczył, że na progu pokoju stoi kamerdyner.

- Jakiś pan Ross chce się z panem widzieć, milordzie - oznajmił służący.

Ross! Wielkie nieba. W zamieszaniu ostatnich dni kompletnie zapomniał o prośbie, z jaką zwrócił się do przyjaciela. Cóż, stary druh nie mógł pojawić się w lepszym momencie: Ethan dowie się czegoś o zmarłym mężu Lily, zanim uda się do niej bronić swej sprawy. Bez dwóch zdań, dodatkowe informacje mogły tu tylko pomóc.

- Ależ wprowadź go koniecznie.

Ross wszedł do gabinetu niecałą minutę później, jak zwykle rozchełstany i sprawiający wrażenie udęczonego. Ethan uścisnął mu dłoń i serdecznie powitał.

- Nie spodziewałem się ciebie, ale jestem bardzo rad, żeś przyszedł. Usiądź proszę i powiedz, czego się napijesz.

- Nie mam czasu na picie, Vessey - powiedział Ross, padając na fotel.

Ethan oparł się o biurko.

- A zatem, jakie masz dla mnie wieści?

- Raczej dość zaskakujące, co sam chyba przyznasz. Prawdę rzekłszy, cała sprawa zajęła mi znacznie więcej czasu, niż planowałem.

- Hm... - mruknął Ethan, unosząc brew. - A to dlaczego?

- Głównie dlatego, że jegomość, o którym kazałeś mi zdobyć informacje, ten John Smythe, mówiąc krótko, nie istnieje.

- Ze co? Ależ to niemożliwe. Musiała zajść jakaś pomyłka.

- Też tak myślałem z początku. Ale kiedy przejrzałem rejestry i akta, i nie wpadłem na żaden trop, skontaktowałem się listownie z wszystkimi dowódcami, którzy stracili ludzi pod Vitorią. Żaden, co do jednego, nigdy nie służył z niejakim Johnem Smythe'em.

Ethan szeroko otworzył usta ze zdumienia. Jak to możliwe, zastanawiał się. To nie miało sensu. Jednak Ross był kuty na cztery nogi, bardzo skrupulatny i rzadko się mylił. Jeśli mówi, że nie ma żadnego Johna Smythe'a, to John Smythe nie istnieje.

- Jesteś pewien tego nazwiska? - spytał przyjaciel.

- Tak, naturalnie. Lily wymieniała je wielokrotnie.

A jednak, kiedy się nad tym dobrze zastanowić, zawsze dziwnie niechętnie mówiła o swym mężu, nie zdradzając właściwie żadnych szczegółów dotyczących jego pochodzenia ani swojej z nim znajomości. Nigdy nawet nie opowiedziała, jak się poznali. W przeszłości zawsze tłumaczył sobie tę powściągliwość bólem, powstrzymując się od zadawania pytań. Ale jeśli jej milczenie miało zupełnie inną przyczynę?

Nie, to być nie może, mówił sobie. W głowie kłębiły mu się najróżniejsze myśli, domysły i podejrzenia. Ale w końcu coś zaczęło mu świtać. Na plan pierwszy uparcie wysuwał się w tym zamęcie jeden dręczący fakt, nad którym już dawno temu przeszedł do porządku dziennego, ale który tak naprawdę od samego początku był absurdalny. Lily Smythe była wdową, a mimo to dziewicą.

Ciarki przebiegły mu po plecach, w głowie usłyszał szyderyczy śmiech.

To niemożliwe! Choć pomysł wydawał się niedorzeczny, nagle zaczął mieć sens. Powiedziała mu wcześniej, że małżeństwo nie zostało skonsumowane z braku czasu. Ale jeśli nie zostało skonsumowane z braku pana młodego? Bo pan młody nie istniał? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym więcej widział sensu.

Niech mnie diabli, ale coś mi się widzi, że Lily Smythe w ogóle nie jest wdową. A jeśli nie jest, to....

Nagła krew zalała go niczym plama atramentu rozprzestrzeniająca się błyskawicznie na czystej stronie, oczy mu się zwęziły, zacisnął pięści. Jakim byłem naiwniakiem, pieklił się, po prostu skończonym idiotą. I pomyśleć, że tak łatwo dał się nabrać na jej bajki o tragedii, bólu, utraconej miłości i tym, że nie może znieść nawet myśli o ponownym

ślubie, podczas gdy w rzeczywistości nie miała żadnego męża, a więc też nie miała kogo oplakiwać. Później może ucieszy go świadomość, że jej serce nie należało nigdy do innego mężczyzny, ale teraz był zbyt wściekły, by o tym myśleć. A to intrygantka! Mała kłamczucha! Niech no tylko wpadnie mi w ręce, pasy z niej zedrę, srożył się w duchu, wyobrażając sobie, jak przetrzepie jej skórę.

- Vessey, nic ci nie jest? - spytał Ross, marszcząc czoło.

Ethan wzdrygnął się zaskoczony i popatrzył na przyjaciela: zupełnie zapomniał o jego obecności.

- Wszystko dobrze.

Jeśli chodzi o Lily, nie gwarantował, że będzie się czuła dobrze, gdy już się z nią rozprawi.

Ethan zastukał kołatką do drzwi rezydencji Lily. Był wzburzony jak jeszcze nigdy w życiu. Minęły prawie dwie godziny od chwili, kiedy Ross przybył do Andarton House i podważył wszystkie wyobrażenia markiza o pani Smythe. Jeśli jego podejrzenia się potwierdzą - a był przekonany, że tak - będzie musiała gęsto się tłumaczyć i mocno natrudzić, kajając się i błagając o wybaczenie.

I pomyśleć, że miała czelność jego oskarżać o kłamstwa, odsadzając od czci i wiary. To, co zrobił, było niczym w porównaniu z jej łgarstwami, poza tym nic, co mówił, nie miało na celu rozmyślnego oszustwa. Jakikolwiek miała powód, by podawać się za pogrążoną w żałobie wdowę, lepiej, aby był poważny. Czekał, by go usłyszeć i usłyszy, bo zamierzał szczerze się z nią rozmówić. Co do przetrzepania jej skóry, nadal rozważał taką możliwość. Jednego był pewien: cokolwiek się wydarzyło, po tej

rozmowie wszystkie kłamstwa między nimi zostaną wyjaśnione i skończą się - raz na zawsze.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie Hodgesa. Ale zamiast zwykłego powitania, zobaczył na twarzy kamerdynera trwogę.

- O, milordzie! - rzucił służący pośpiesznie. - Tak się cieszę, że pan przyszedł. Może nie mam prawa tego mówić, ale pani Smythe... ona.... ona...

Gniew opuścił Ethana, jego miejsce zajął niepokój.

- Tak? Co z nią? Gdzie jest Lily?

- Zniknęła, milordzie. Wyjechała wczoraj po południu z dwoma mężczyznami, którzy pojawili się tu nieoczekiwanie.

Niepokój zamienił się w paniczny strach, markiz poczuł ucisk w gardle.

- Jakimi mężczyznami? I dlaczego z nimi pojechała?

- Jeden powiedział, że jest jej ojczymem i że przyjechał zabrać ją do domu.

Ethan ze wszystkich sił starał się zachować zimną krew.

- A drugi?

Hodges spojrzał w bok, unikając spojrzenia markiza.

- Twierdził, że jest jej narzeczoną. Nie wydawało się, by pani była tego samego zdania, ale nic nie powiedziała. Odniosłem wrażenie, że nie znosi tego człowieka. Widok ojczyma też jej chyba nie ucieszył.

W to Ethan nie wątpił, choć do niedawna w ogóle nie wiedział, że miała ojczyma. Jak go nazwała? Jadowitym wężem ukrytym w pięknym ciele? A o co chodzi z tym narzeczoną? Jakiś absurd!

- I pojechała z nimi chętnie? Kamerdyner znowu spojrział w bok.

- Pojechała, ale przez cały czas zastanawiam się, czy z własnej woli.

Nie zabrała ze sobą nawet pokojówki.

- Jak się nazywali ci mężczyźni? Pamiętasz?

- Ojczym przedstawił się jako Chaulk. Tak, właśnie tak. Gordon Chaulk. Jeśli idzie o tego drugiego, słyszałem tylko imię. Chaulk nazywał go Edgarem. Ogromny jegomość, z wyglądu przypominał byka.

Wielki byk i jadowity gad tak przerażili Lily, że zmusili ją do opuszczenia domu?

- O, i powiedział jeszcze coś dziwnego, milordzie. Ethan zerknął na służącego.

- Tak? Co takiego?

- Chaulk powiedział, że pani wygląda doskonale jak na nieboszczkę. Co mógł mieć na myśli?

No, właśnie. Co miał na myśli? Czyżby Lily udawała, że nie żyje? Grała martwą z tego samego powodu, dla którego podawała się za wdowę? Dobry Boże, w co ona się wplątała? I jak mam ją z tego wyciągnąć?

- Wyjechała wczoraj, czy tak? Hodges skinął głową.

- Wczesnym popołudniem. Poszła na górę z ojczymem i wróciła, niosąc kufer podróżny. Susan chciała jechać z nimi, ale jej nie pozwolono.

Żołądek podszedł markizowi do gardła. Czy Lily grożono? Dlatego opuściła dom bez walki?

- Powiedzieli, gdzie jada?

- Pani powiedziała, i to, jak się nad tym teraz zastanawiam, z naciskiem, jakby chciała, bym koniecznie zapamiętał. Oświadczyła, że jedzie do Bainbridge Manor niedaleko Penzance, i gdyby pytał o nią ktoś z

przyjaciół, miałem powiedzieć, by odwiedzili ją jak najszybciej. Ojczym spiorunował ją wtedy wzrokiem, potem cała trójka wyszła i odjechała jego powozem.

Wołanie o pomoc, pomyślał Ethan. To oczywiste. Brawo, Lily. Ale dlaczego nie próbowała skontaktować się z nim? Chyba że w obliczu ich ostatniej kłótni doszła do wniosku, że to niemożliwe. Gdyby rozwiązał problem z Amelią dzień wcześniej, być może udałoby mu się uchronić Lily przed przymusowym wyjazdem z Londynu. Cóż, pojedzie teraz jej tropem i nie wróci bez niej.

W tej samej chwili, ale wiele mil dalej, Lily dziobała niechętnie widelcem obiad złożony z gotowanej wołowiny i kapusty, groza sytuacji skutecznie odebrała jej apetyt. Chaulk i Faylor nie mieli tego problemu, z zadowoleniem jedząc posiłek podany przez właściciela zajazdu, w którym zatrzymali się, by zmienić konie i coś przekąsić.

Gospoda przy głównej drodze prowadzącej na zachód od Londynu nie różniła się od wielu innych mijanych po drodze tego typu przybytków: ciasna izba roiła się od hałaśliwych gości, w powietrzu unosiła się ostra woń piwa, cebuli i dymu cygar. Gdy przyjechali, oberżysta zaproponował, by skorzystali z zacisznego gabinetu, ale Chaulk nie chciał wyrzucać pieniędzy w błoto na zbytki - a „kosztowne gabinety” należały do tej kategorii. Prawdę rzekłszy, Lily też wołała usiąść w tłumie, wykończona już godzinami jazdy, które spędziła zamknięta w powozie z dwoma swymi towarzyszami.

- Zjedz wszystko - poradził Chaulk, wskazując na nietkniętą porcję na jej talerzu. - Nie będziemy zatrzymywać się na posiłek aż do rana. Jeśli będziesz głodna, to tylko przez swój upór i grymasy.

Myśli, że jestem grymaśna. Raczej pełna obrzydzenia. A może nie ma pojęcia, jaki wstręt we mnie budzi; i on, i jego płaszczący się pobratymiec.

Uświadomiła sobie, że zgoda na wyjazd z nimi z Londynu była ogromnym błędem, jednak wtedy myślała, że nie ma innego wyboru. Zwłaszcza kiedy Chaulk powiedział, że wezwie władze i każe ją aresztować pod zarzutem kradzieży. Jako prawny opiekun nie tylko sprawował nad nią władzę, był także jedynym legalnym dysponentem jej majątku. Ona zaś, jako kobieta niezamężna, nie miała prawa rozporządzać pieniędzmi ze spadku bez wyraźniej zgody ojczyma, niezależnie od tego, jak bardzo ów fakt był oburzający. Tymczasem nie tylko sfingowała własną śmierć i uciekła - co już samo w sobie było przestępstwem - lecz także później żyła pod fałszywym nazwiskiem i w dodatku podając się za mężatkę. Wiedziała, że Chaulk wcale nie przesadza, twierdząc, że gdyby złożył oficjalną skargę, prawo stanęłoby po jego stronie. W oczach sądu stanowiła jego własność.

Kiedy zobaczyła ojczyma i Faylora w holu swej rezydencji, nogi się pod nią ugięły. W pierwszej chwili pomyślała tylko, że ów mężczyzna z byczym karkiem, którego spostrzegła na jarmarku kilka tygodni temu, naprawdę musiał być Faylorem. Osłupiała, dała się zastraszyć Chaulkowi, nie widząc możliwości ucieczki, ponieważ ojczym nie odstępował jej dosłownie na krok. Pocieszała się, że może później zdoła im się jakoś wymknąć, ale im bardziej oddalali się od Londynu, tym mniejsze były na to szanse.

O Boże, lamentowała, a jeśli zdoła mnie zmusić do powrotu do domu? I co gorsza wydać mnie za Faylora?

Na samą myśl o takiej ewentualności żołądek podjechał jej do gardła. Poczowała gęsią skórkę, przeszły ją ciarki, kiedy zauważyła, że Faylor łypie pożądanym okiem na jej piersi. Powoli uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy, zlizując z grubych warg wołowy tłuszcz, jakby wyobrażał sobie, że ją całuje. Kiedy wzdrygnęła się wyraźnie, zaśmiał się i połknął kolejny kęs.

- Dość tego dobrego, Edgar - upomniał go spokojnie ojczym. -
Będziesz miał mnóstwo czasu, by umizgać się do mojej córki, kiedy już się pobierzecie.

Nie potrafiła ugryźć się w język

- Wolałabym wyjść za capa - powiedziała.

Przystojna twarz Chaulka stężała, bez ostrzeżenia sięgnął przez stół i wymierzył jej siarczasty policzek.

Wydała stłumiony krzyk, czując dzwonienie w uszach oraz palący ból, który rozlał się po lewym boku jej twarzy. Przyłożyła dłoń w miejsce uderzenia. Drżąc na całym ciele, łykała łzy, które natychmiast napłynęły jej do oczu.

- Dostaniesz mocniej, jeśli nie będziesz grzeczna - rzucił Chaulk spokojnie, przez co jego słowa zabrzmiały jeszcze groźniej.

Jak gdyby nigdy nic - zupełnie jakby nie uderzył jej przed chwilą na oczach pełnej izby ludzi, z których nikt nie ruszył się, by jej pomóc - Chaulk otarł usta serwetką i złożonywszy ją starannie, odłożył na stół. Wbił świdrujące spojrzenie w nietknięty obiad Lily.

- Jeśli skończyłaś, możemy ruszać w drogę.

Nie mogę tak po prostu wyjść, uzmysłowiła sobie. Musi być coś, co mogę zrobić, jakiś sposób, by się uratować, nawet jeszcze teraz. Bez względu na ryzyko, muszę chociaż spróbować.

- Dd-dobrze - powiedziała, z rozmysłem spuszczać oczy i demonstrując ostentacyjnie uległość. - Ale najpierw muszę skorzystać z toalety.

Westchnął.

- Zgoda. Pójdę z tobą.

- Do damskiego ustępu? Toż to nie przystoi. - Spuściła wzrok dla podkreślenia swego rzekomego zażenowania.

Ojczym milczał długą chwilę, potem z chichotem opadł na ławę.

- Proszę, proszę, jaka drażliwa! Idź zatem, ale jeśli nie wrócisz za pięć minut, pójdziemy po ciebie z Edgarem, a to ci się nie spodoba.

- Wrócę - obiecała z pokornym uśmiechem.

Chwyła torebkę, której jakimś cudem jej nie zabrali, opuściła salę i ruszyła korytarzem do damskiej toalety. Na wypadek, gdyby któryś z nich przyszedł tu, by ją obserwować, weszła do środka i zamknęła drzwi. Ale zamiast załatwić potrzebę fizjologiczną, otworzyła torebkę i wyciągnęła oprawny w srebro bloczek do pisania i ołówek. W pośpiechu skreśliła wiadomość, której nie miała ani czasu, ani sposobności zostawić przed opuszczeniem domu.

Ethanie,

Jestem w tarapatach i błagam Cię o pomoc. Przyjedź niezwłocznie do Bainbridge Manor niedaleko Penzance. Obiecuję, że wszystko Ci później wyjaśnię.

Z niepokojem czekam na Twój przyjazd Lily.

Złożyła kartkę na pół i napisała na odwrocie nazwisko Ethana oraz jego adres. Starła się wyraźnie poinformować Hodgesa, gdzie można ją znaleźć, ale nie liczyła, by Ethan pojawił się w najbliższym czasie u niej w

domu. A mimo równie wyraźnej prośby o „wizytę przyjaciół”, wątpiła, by ktokolwiek się domyślił, że potrzebuje pomocy, zwłaszcza że nie wiedzieli o jej obecnych kłopotach.

Ukrywszy w dłoni jedną gwineę i liścik, uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Nie widząc nigdzie Chaulka i Faylora, wyszła z toalety. Ręce jej zwilgotniały, serce dziko waliło, kiedy szła pośpiesznie korytarzem w nadziei, że znajdzie któregoś z pracowników zajazdu. Musiała się uwinąć, jeśli nie chciała, by ojczym tymczasem za nią zatęsknił.

Właśnie wtedy z kuchni wyszła pokojówka. Lily podbiegła do niej.

- Proszę - powiedziała przyciszonym głosem. - Musi mi pani pomóc. Mam straszne kłopoty. Błagam, niech pani dopilnuje, by ten list jak najszybciej dotarł do adresata. Proszę niech pani go weźmie i powie, że się tym zajmie.

Dziewczyna patrzyła się na nią okrągłymi oczyma.

- D-dobrze, pszepani, ale czy nie mogę jakoś pomóc? Lily pokręciła głową.

- Nie. Proszę nikomu o tym nie mówić. I obiecać, że wyśle pani ten list przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Kiedy dziewczyna skinęła na znak zgody, Lily wyciągnęła rękę, by podać jej list i monetę. Zanim jednak zdążyła to zrobić, duża męska dłoń spadła z nienacka i niczym szpon porwała papier. Złota gwinea spadła, skacząc i wirując po drewnianej podłodze.

- Co my tu mamy? - zażądał wyjaśnień Chaulk.

Przeszył ją dreszcz, kiedy uniosła głowę i napotkała zimne spojrzenie niebieskich oczu ojczyma. Rozłożył kartkę, szybko przeczytał wiadomość

i złożył z powrotem. Z całkowitym spokojem podarł liścik na małe paseczki i zmiął całość w ręce.

- Proszę wybaczyć mojej córce - rzekł do służącej z najbardziej czarującym uśmiechem. - Ma skłonność do hysterii.

Lily straciła nadzieję, widząc, że dziewczyna daje się zwieść gładkiej powierzchowności ojczyma i jego sprytnym podchodom. Gdyby tylko wiedziała, że pod tymi sympatycznymi pozorami kryje się zło i szalbierstwo.

- Ciągle jej się coś roi - ciągnął Chaulk. - Wymyśla niestworzone historie o przemocy, prześladowaniach i rzekomym niebezpieczeństwie, gdy w rzeczywistości nic takiego nie ma miejsca. -Zrobił kilka kroków i schylił się, by podnieść monetę. - Proszę - powiedział, podając pieniądz dziewczynie. - Niech panienka to weźmie i zapomnijmy o całym incydencie. Staram się opiekować córką najlepiej, jak mogę, ale czasami mam z nią prawdziwy krzyż pański.

Kiedy pokojówka ponownie spojrzała na nią, w oczach litość mieszała się z drwiną.

- Chodź, Lily - powiedział, biorąc pasierbicę pod ramię i ściskając boleśnie. - Musimy już jechać. - Odwrócił ją i poprowadził w stronę wyjścia.

Nie chciała jednak ulec, zapierając się obcasami, próbowała uwolnić się z jego uścisku.

- On kłamie! - zawołała do dziewczyny. - Proszę, musi mi pani uwierzyć. - Nie zwracając uwagi na ból w ramieniu, gdy Chaulk ciągnął ją naprzód, krzyknęła jeszcze raz: - Proszę skontaktować się z markizem

Vesseyem z Mayfair w Londynie. Powiedzieć mu, że Lily Smythe go potrzebuje. Znajdzie mnie pod Penzan...

- Dość tego - wysyczał jej do ucha i wypchnął przez frontowe drzwi na dziedziniec z powozami. - Lily Smythe, dobre sobie. Czy twój kochanek ma pojęcie, kim naprawdę jesteś? Choć to bez znaczenia, bo i tak nie przybędzie ci z pomocą. Z tego, co słyszałem, umył już ręce od waszego romansiku na rzecz córki jakiegoś hrabiego.

Ethan by mi pomógł, gdyby tylko wiedział, że go potrzebuje, zapewniała samą siebie. Bez względu na ostatnie nieporozumienia między nimi, nie był typem człowieka, który stoi z założonymi rękoma, gdy komuś dzieje się krzywda - a zmuszenie jej do powrotu do domu i ślubu wbrew jej woli było bez wątpienia krzywdą. Jednak co by pomyślał, gdyby wiedział, że podawała się za kogoś innego? Jak bardzo by się gniewał? Czy aż tak, by z nią zerwać albo odmówić pomocy? Ale tego już się chyba nie dowie, ponieważ Chaulk udaremnił jej próbę skontaktowania się z Vesseyem.

Ojczym ciągnął ją dalej:

- Zważywszy, iż stałaś się ladacznicą od swej rzekomej śmierci, powinnaś być wdzięczna, że Faylor nadal chce się z tobą ożenić. Prawdę rzekłszy, oddałbym mu ciebie bez ślubu, ale wtedy mógłby nie dopuścić mnie do udziału w zyskach ze swych kopalń, na czym mi zależy. Na szczęście nie ma nic przeciwko używanym towarom. - Potrząsnął nią. - Wiesz, na jakie koszta mnie naraziłaś? Ile było zawracania głowy z poszukiwaniem ciała? Gdyby Edgar nie zauważył cię na tym jarmarku, uwieszona u ramienia twego protektora, twoje oszustwo mogłoby nie

wyjść na jaw. Wydaje ci się, że jesteś sprytna, co? Cóż, zobaczymy, jaka sprytna będziesz teraz. Jest powóz, wsiadaj.

Nacierając całym ciałem, spróbowała się wyrwać ojczymowi, choć nie miała pojęcia, gdzie mogłaby uciec. Krzyknęła głośno, ból przeszył jej ramię, kiedy Chaulk zacisnął na nim dłoń tak mocno, że tylko cudem nie złamał kości. Oczy piekły ją od łez.

- Radzę ci, zachowuj się grzecznie. - Chaulk spiorunował ją wzrokiem. - Jeszcze jeden taki numer, a będziesz podróżować w bagażniku.

Lily zatrzęsała się, wiedząc, że jego pogrożki nie są czcze. Przestała się opierać.

- Mądra decyzja - mruknął Chaulk. Odwróciwszy głowę, skinął zbliżającemu się Faylorowi. - Jeśli jesteś gotów, Edgar, możemy jechać.

- Tak, ruszajmy. Nie mogę się doczekać powrotu do domu. - Wgramolił się do środka, usadowił swoje zwałiste cielsko i poklepał siedzenie obok siebie. - Panna Lily może siąść przy mnie - zapraszał z lubieżnym uśmiechem.

Chaulk popchnął ją lekko.

- Słyszałaś, co powiedział narzeczony. Wsiadaj i dotrzyj mu towarzystwa. Czeka nas długa droga.

Przygotowała się na czekającą ją gehennę i weszła do środka. Przeszył ją dreszcz, kiedy Faylor chwycił jej dłoń. Instynktownie ją wyszarpnęła.

- Nie dotykaj mnie. - Spodziewała się uderzenia - kolejnego policzka lub czegoś jeszcze gorszego. Jednak Faylor tylko odrzucił do tyłu wielką głowę i zaśmiał się tubalnie.

- Proszę, baw się na razie w te swoje gierki, panienko - powiedział, ukazując Chaulkowi ręką, by zajął miejsce naprzeciwko. - Będziemy mieli mnóstwo czasu na inne zabawy, za kilka dni, kiedy się pobierzemy. - Puścił do niej oko.

Żółć się w niej zagotowała, nienawiść ścisnęła gardło i poprzysięgła sobie w tej chwili, że nigdy nie wyjdzie za tego człowieka. Znajdę jakieś rozwiązanie, postanowiła. Nie była w stanie znieść myśli o związku z Faylorem.

RS

Wyczerpany podróżą i ledwie żyw, zmarznięty, w ubłoconych butach i płaszczu, Ethan wkroczył do małej karczmy na przedmieściach Penzance. Po pięciu dniach ciężkiej jazdy padał z nóg i potrzebował odpoczynku, ale mógł zatrzymać się tu zaledwie kilka minut, tylko aby wypytać o Bainbridge Manor. Zaraz musiał ruszać dalej. Odnalezienie Lily było sprawą najpilniejszą, jeszcze bardziej palącą po niepokojącej relacji, jakiej wysłuchał w jednym z przydrożnych zajazdów.

Pytał właśnie jego właściciela, czy widział młodą kobietę pasującą do opisu Lily, kiedy wtrąciła się jedna z dziewczek służebnych.

- Ja ją widziałam - oświadczyła. - Była z dwoma mężczyznami. Przystojnym jegomościem, który twierdził, że jest jej ojcem, i drugim, takim przysadzistym z karkiem jak u byka.

Ethan odwrócił się w jej stronę.

- Tak? Mów, panienko.

Dziewczyna zerknęła szybko na swego pryncypała, który skinął głową na znak, by kontynuowała.

- Ta pani chciała, żebym wysłała jakiś list. Dała mnie pieniądze i w ogóle, ale wtedy wmieszał się jej ojciec. Powiedział, że jest stuknięta, znaczy się niespełna rozumu, i żeby nie zwracać uwagi na to, co mówi. Ale od tego czasu łamię sobie głowę...

- Nad czym? - zapytał Ethan.

- Czy czasem nie mówiła jednak prawdy. Powiedziała, że ma kłopoty i musi się skontaktować z jakimś mężczyzną. Markizem, co to niby mieszka w Londynie.

- Vessey. Czy nazywał się Vessey? Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Ano właśnie tak. Skąd wiecie, panie?

- Bo ja jestem Vessey. Dobrze, opowiedz wszystko jeszcze raz od początku i niczego nie pomijaj.

Od tamtej chwili jechał co koń wyskoczy, zatrzymując się tylko, by zmienić wierzchowca, szybko się posilić i z rzadka trochę przespać. Ale choć nadrobił w ten sposób wiele godzin, powóz Lily ciągle był daleko przed nim, jej ojczym utrzymywał równie mordercze tempo, jak gdyby świadom, że jest ścigany.

Teraz, dojechawszy do krańca Anglii, Ethan był już niemal na miejscu. Podszedł do długiego drewnianego baru oberży i zajął miejsce.

- Co podać? - spytał siwowłosey staruszek bez dwóch przednich zębów.

- Cokolwiek, byle było gorące i mocne. Szybko.

- Znaczy się jednego grzańca. - Mężczyzna odwrócił się i podszedł do imbryka stojącego na palenisku opodal i wrócił chwilę później z parującym kuflem.

Ethan przesunął po blacie monetę - o nominale większym niż wynosiła cena napitku. Wypił łyk i stwierdził, że piwo jest zadziwiająco dobre.

- Szukam Bainbridge Manor. Myślałem, że może mi powiecie, gdzie to jest.

Mężczyzna się skrzywił.

- Ma pan sprawę do Chaulka? - prawie wypluł te słowa.

- Nie, przyjechałem zobaczyć się z pewną młodą kobietą. Lily Smythe.

- Nie znam żadnej Lily Smythe. Ma pan chyba na myśli Lily Bainbridge. - Oczy barmana posmutniały. - To straszne, ale wydaje mi się, że pan nic nie wie.

- Nie wiem o czym?

- O biednej panience Lily. Zeszłego lata utopiła się w morzu. Jej ojczym rozpuścił wieść, że niby poszła pływać i zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Ale Lily Bainbridge pływała jak ryba, ojciec ją nauczył, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Te brzegi nigdy nie widziały lepszej pływaczki. Nie, jej śmierć to nie był żaden wypadek, mimo sztormu.

- Co chcecie powiedzieć?

- Ano chcę powiedzieć, że wypłynęła w morze podczas burzy, bo wołała, by woda ją zabrała niż ten cham i drab, Faylor. Wszyscy wiedzą, że wpadła mu w oko, ale go odtrąciła. Ludzie gadają, że ojczym nie chciał o tym słyszeć i kazał jej go poślubić. Utonęła w tajemniczych okolicznościach kilka dni później.

Lily wypłynęła w morze podczas sztormu? Jak udało jej się przeżyć?

- Czy znaleziono ciało? - spytał Ethan zachrypłym głosem, choć znał już odpowiedź.

- Nie. Ale wielu topielców idzie prosto na dno i nigdy nie wypływają.

- Powiedzieliście, że wołała umrzeć, niż wyjść za tego Faylora. Czy była wcześniej zamężna?

- Panienska Lily? Skąd. Całe życie spędziła w domu rodzinnym. Opiekowała się swoją mamą, póki pani Bainbridge-Chaulk nie umarła

zeszłej zimy. Może dlatego dziewczyna ze sobą skończyła: za dużo bólu jak na tak krótkie życie.

Ethan wypił jeszcze kilka łyków trunku, stwierdzając, że chyba teraz zaczyna rozumieć. Kiedy odzyska Lily, ona wyjaśni mu resztę.

- Dziękuję bardzo - powiedział. - Chciałbym się dowiedzieć, jak tam dojechać.

Światło poranka wlewało się przez okna sypialni Lily - czy raczej jej więzienia, ponieważ kiedy wczoraj wieczorem przyjechali do

Bainbridege Manor, Chaulk siłą wciągnął ją na górę i zamknął w pokoju. Miała w nim pozostać, dopóki nie wyjdzie za Faylora.

Wykończona wielogodzinną jazdą w powozie, zdjęła brudną odzież i gąbką obmyła się w ciepłej wodzie, którą przyniosła jedna z pokojówek. Służąca - nowa dziewczyna, której nie znała - podała jej także posiłek. Przebrawszy się w koszulę i wełniany szlafrok, Lily wypła filiżankę gorącej herbaty i zjadła kilka kęsów pieczonego kurczaka z puree ziemniaczanym. Z oczyma klejącymi się ze zmęczenia, szybko jednak odstawiła jedzenie i wyciągnęła się na posłaniu. Łóżko, niegdyś tak dobrze znane, teraz sprawiało dziwne i obce wrażenie. Mimo to wkrótce zasnęła twardym, pozbawionym marzeń snem.

Gdy się obudziła, przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje, jednak rzut oka na starą tapetę w niebiesko-białe pasy szybko jej przypomniał również to, jaki dzisiaj dzień.

Dzień mojego ślubu z Faylorem.

Dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem, potem poczuła nagły przypływ energii. Zdeterminowana, odrzuciła kołdrę, włożyła szlafrok, pantofle i podeszła do drzwi. Nadal były zamknięte, metalowa gałka szczęknęła, ale

pozostała w tej samej pozycji. Lily odwróciła się na pięcie i podeszła do szyby, szukając innej drogi ucieczki. Wprawdzie wyjście przez okno było pomysłem ryzykownym, zważywszy na odległość, jaka dzieliła jej sypialnię na piętrze od ziemi. Ale ponieważ był to jedyny sposób na odzyskanie wolności, nie pozostawało jej nic innego, jak zaryzykować. Jednak kiedy spróbowała otworzyć okno, to ani drgnęło. Naparła mocniej, znowu bez skutku. Wtedy przyjrzała się bliżej drewnianej ramie i parapetowi.

Zabite gwoździami!

Westchnęła głęboko. A to łotr, pomyślała, przeklinając w duchu ojczyzna. Musiał kazać zabić to okno, zanim jeszcze wyjechał do Londynu. Raz już wymknęła się spod jego władzy i najwyraźniej postanowił za wszelką cenę dopilnować, by nie udało jej się to ponownie.

Rozejrzała się po pokoju, szukając sztuców pozostałych po wczorajszym posiłku. Znalazszy je, przystąpiła do pracy. Dwadzieścia minut później łyżka, nóż i widelec leżały na parapecie powyginane, zniekształcone i porysowane, tymczasem gwoździe nawet nie drgnęły. Postanowiła zatem skorzystać z pomocy pogrzebacza, ale okazał się za gruby i całkowicie bezużyteczny, podstawy dwóch świeczników też do niczego się nie nadały.

Właśnie złamała końcówkę swojego srebrnego nożyka do otwierania listów, kiedy usłyszała, że ktoś przekręca klucz w zamku. Zesztywniała, przygotowując się do konfrontacji z ojczymem.

Napięcie zelzało, kiedy zobaczyła, że w drzwiach stoi pokojówka z naręczem czystych ręczników przerzuconym przez ramię i dzbanem wody

w ręku. Na widok dokonanych przez Lily zniszczeń służąca wydała stłumiony okrzyk:

- Święta Panienko!

Widząc za plecami dziewczyny otwarte drzwi, Lily w jednej chwili uświadomiła sobie, że nie może zmarnować takiej szansy. Nie zwracając uwagi na to, że ma na sobie jedynie koszulę i szlafrok, rzuciła się naprzód. Wyminęła pokojówkę, jednym szarpnięciem szerzej otworzyła drzwi i wbiegła na korytarz prowadzący na klatkę schodową. Liczyła, że służba będzie zajęta w innej części domu, podobnie jak ojczym, który zwykle spędzał ranki w swoim gabinecie. Z bijącym sercem zbiegła po schodach. We frontowym holu nie zauważyła żadnego lokaja i jej nadzieja wzrosła - wolność była na wyciągnięcie ręki, dzieliło ją od niej zaledwie kilka kroków. Ale właśnie kiedy już chciała otworzyć drzwi wejściowe, ktoś przekręcił klamkę i oczom Lily ukazali się stojący w progu Chaulk i Faylor.

Uskoczyła w bok i ruszyła biegiem do holu na tyłach w nadziei, że zdoła wymknąć się im obu i jakoś uciec. Ale niczym lis ścigany przez stado bezwzględnych psów gończych, szybko została osaczona. Z gardła Lily dobył się krzyk, kiedy silne ramiona Chaulka zamknęły się wokół jej talii i unieruchomiły.

Odwrócił ją ku sobie, uniósł rękę i uderzył w twarz. Mocno. Poczowała rozsadzający głowę ból i dzwonięcie w uszach, jakby ktoś rozhuśtał kościelne dzwony.

- Co mówiłem o nieposłuszeństwie? - ryknął.

Mimo cierpienia, postanowiła, że tym razem się nie ukorzy.

Niech już to zrobi. Niech mnie bije na śmierć, bo wolę już to, niż poczuć na sobie wstrętne łapska Faylora.

Ale jej nadzieje raz jeszcze wzięły w łeb, kiedy Chaulk opuścił dłoń.

- Wiedziałem, że będziesz próbować uciec. Ale się nie udało, co? Teraz wrócisz na górę i zostaniesz tam aż do ceremonii. W końcu wiesz, że mówią, iż oglądanie panny młodej przed ślubem przynosi pecha panu młodemu. - Wyszczrzył zęby w dzikim grymasie.

Faylor też się uśmiechnął, w jego ciemnym spojrzeniu pojawiły się lubieżne błyski. Omiótł wzrokiem jej ciało w taki sposób, że poczuła, jakby ją gwałcił.

Uwięziona w stalowym uścisku ojczyrna, dała się zaprowadzić z powrotem do swojego pokoju. Sądziła, że Chaulk wepchnie ją do środka i zamknie drzwi od zewnątrz, ale ku jej przerażeniu kazał się oddalić pokojówce, zaś dwóm zaufanym lokajom przeszukać pomieszczenie i usunąć z niego wszystko, co mogłaby wykorzystać w charakterze broni czy pomocy przy dalszych próbach ucieczki. Kiedy pokój został doszczętnie ogołocony, włączając w to również pościel, wyszli, uwięziwszy ją w środku.

Rzuciła się na goły materac i skrzyżowawszy ramiona na piersi, zastanawiała się, jak zdoła przetrwać zbliżający się koszmar.

Godzinę później Ethan jechał ścieżką prowadzącą do wejścia do Bainbridge Manor. Duży szary dom, zbudowany z solidnego kornwalijskiego kamienia, rysował się na tle surowego skalistego krajobrazu i lazurowego nieba. Zimny porywisty wiatr szarpał włosy i smagał twarz markiza, nozdrza wypełnił mu zapach morskiej wody, przypominając, jak blisko jest oceanu.

A więc tu dorastała Lily, pomyślał, rozumiejąc nagle, jak bardzo ta dzika, bezwzględna ziemia do niej pasuje. Takie otoczenie wymagało siły, a tej akurat Lily miała pod dostatkiem.

Przybył tu, aby ją uratować a jednocześnie uczynić swoją raz na zawsze. Zeskoczył z konia i szybko pokonał frontowe schody, ignorując zdziwione spojrzenia pary służących. Uniósł kołatkę i zdecydowanie zastukał.

Szerokie drewniane drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, posiwiały mężczyzna w średnim wieku zmierzył Ethana pytającym spojrzeniem.

- Tak? Kto zacz?

Ethan uniósł brew.

- Markiz Vessey. Chcę się widzieć z panną Lily.

Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe jak u sowy, usta przybrały taki sam kształt.

- Pp-panny Lily tu nie ma. Wszyscy to wiedzą. Utonęła w zeszłym roku.

- Wydaje mi się, że właśnie niespodziewanie zmartwychwstała. Czyż nie? - oświadczył Ethan zdecydowanym tonem, widząc błysk potwierdzenia w spojrzeniu kamerdynera. - A teraz odsuń się, bo chcę wejść do środka.

Służący - najwyraźniej otrzymawszy polecenie niewpuszczania obcych - usiłował zablokować Ethanowi drogę. Ten jednak, wyższy, silniejszy i zdecydowanie sprawniejszy, bez problemu otworzył siłą drzwi i wkroczył do wejściowego holu.

- Nie jest pan tu mile widziany - protestował kamerdyner. - Mojemu panu się to nie spodoba.

Ethan zignorował ostrzeżenie.

- Poinformuj panią... pannę Bainbridge, że ma gościa.

- Coś za jeden, u diabła? - rozległ się męski głos, jedwabisty i złowrogi jednocześnie.

Ethan odwrócił się i zobaczył, jak z pobliskiego pokoju wyszedł do korytarza przystojny ciemnowłosy mężczyzna. Aha, pewnie ojczym, skonstatował.

- Jak już poinformowałem pańskiego słuę, jestem markiz Vessey i przyjechałem po Lily.

Chaulk zamrugął ze zdziwieniem, gładko przechodząc do kłamstwa.

- Nie wiem, co powiedzieć, bo mojej pasierbicy tu nie ma.

- Oczywiście, że jest. Przyjechał pan do Londynu i zmusił ją, bez wątpienia groźbą, by wraz z panem opuściła dom. Jechałem za wami od wielu dni, wysłuchując przy okazji bardzo ciekawych informacji o młodej rudowłosej kobiecie i dwóch towarzyszących jej mężczyznach. Wiem także, że próbowała się ze mną skontaktować, ale uniemożliwił jej pan przesłanie listu. A teraz mów pan, gdzie jest.

Szyderczy uśmieszek wykrzywił usta Chaulka.

- Jej aktualne miejsce pobytu to nie pańska sprawa, milordzie.

Najwyraźniej chciałby pan, by moja pasierbica wróciła do pańskiego łóża, ale ona ma inne plany. Jeszcze dziś po południu wychodzi za mąż za miejscowego dziedzica, któremu została przyobiecana wiele miesięcy temu. Zeszłej wiosny miała pewne wątpliwości i uciekła. Od tego czasu jednak zmieniła zdanie. Prawda, Faylor?

W tym momencie z pokoju obok wychynał inny mężczyzna - zapewne ów dziedzic, jak przypuszczał markiz. Krzepki, o grubo

ciosanych rysach, przypominał Ethanowi wyglądem jednego z wołów, które jego dzierżawcy wykorzystywali czasem do orki, choć trzeba przyznać, że wyglądał trochę bardziej inteligentnie. Założywszy ręce na piersi, piorunował markiza wzrokiem. Z jego spojrzenia i postawy emanowała nieskrywana wrogość.

- Wynoś się pan! - rzucił.

Ethan ani drgnął. Miał już nieraz do czynienia z podobnymi bysiami, znał dobrze ten typ, a choć lżejszy o dobrych kilka funtów, pięści miał nie od parady, gdyby przyszło co do czego.

- O, wyjdę i to z przyjemnością, gdy tylko zabiorę Lily. Ruszył szybko w stronę prowadzących na górę schodów. Faylor jednak rzucił się i natychmiast zablokował mu drogę.

- Nigdzie pan nie pójdzie.

- Dobrze radzę, usuń się pan, jeśli nie chcesz, bym cię skrzywdził.

Faylor wymienił rozbawione spojrzenie z Chaulkiem.

- Skrzywdził, mówisz pan? Chciałbym to zobaczyć. Lepiej znikaj stąd i zostaw w spokoju moją kobietę.

- Nie jest twoją kobietą. Lily jest i zawsze będzie moja - odrzekł Ethan ze śmiertelnym spokojem, co dla tych, którzy go znali, byłoby wystarczającym ostrzeżeniem.

Jednak dziedzic tylko się uśmiechnął pobłaźliwie.

- Doprawdy? Cóż, zobaczymy, kto będzie dziś wieczorem rozsuwał jej nogi. - Mówiąc to, posłał Chaulkowi porozumiewawcze spojrzenie, odchylił głowę do tyłu i głośno zarechotał.

Śmiał się jeszcze, kiedy pięść Ethana wylądowała na jego brzuchu, w jednej chwili ucinając rechot. Dziedzic sapnął chrapliwie i z bólu zgiął się

wpół. Nie czekając, aż przyjdzie do siebie, Ethan posłał mu mocnego haka w szczękę i zaraz poprawił sierpowym.

Faylor zachwiał się lekko, ale ustał na nogach. Z jego nosa pociekły czerwone krople, plamiąc biały lniany fular. Przeciągnął ręką nad ustami, by otrzeć krew. Był wyraźnie zaszokowany obrażeniami. Uniósł głowę, twarz miał ściągniętą oburzeniem, furia płonęła w jego oczach.

Właśnie wtedy Ethan usłyszał szybkie kroki na podeście schodów, zerknął w tamtą stronę i zobaczył to, po co przyjechał.

- Lily! Dzięki Bogu! Wszystko dobrze?

- Teraz już tak! - krzyknęła do niego, przytrzymując się balustrady. - Cokolwiek ci o mnie powiedzieli, to kłamstwo. Przetrzymują mnie tu wbrew mojej woli i wcale nie chcę go poślubić - stwierdziła, wskazując palcem dziedzica. - Proszę, Ethanie, proszę, zabierz mnie stąd.

- Z ochotą. Po to przyjechałem.

- Po moim trupie! - ryknął Faylor.

Ethan usłyszał krzyk Lily, który zabrzmiał w holu w tej samej chwili, w której dziedzic rzucił się do przodu. Ethan czym prędzej odskoczył, ale za późno. Znalazł się w niedźwiedzim uścisku Faylora, siłował się z nim przez długą chwilę, potem padli obaj na ziemię, a markiza przygwoździło masywne cielsko dziedzica. Poczul ból w żebrach i plecach, ale niepomny na to, zaczął walić przeciwnika pięściami po głowie. Jednak Faylor nie bez kozery przypominał byka: ciosy markiza nie zrobiły na nim wrażenia.

Ethan usłyszał jak przez mgłę, że Lily go woła, i chciał odpowiedzieć, ale nie mógł: Faylor zacisnął ciężkie łapska na jego gardle. Desperacko wciągnął haust powietrza, świadom, że ten chwyt pozbawia go tchu. Zacisnąwszy dłonie na palcach przeciwnika, starał się je

podważyć i odciągnąć. Usłyszał głośne buczenie, przed oczyma zawirowały plamki, świadomość słabła. Instynktownie chwycił twarz dziedzica i z całej siły bez litości wepchnął kciuki w jego oczy.

Faylor krzyknął, puścił markiza i z jękiem poleciał do tyłu.

W mgnieniu oka otrząsnąwszy się z bólu i odzyskawszy oddech, Ethan uniósł się i do końca zepchnął z siebie dziedzica. Uniósł pięści i wymierzył przeciwnikowi kolejny potężny cios, którego siłę sam poczuł we własnym ramieniu. Faylor zamrugał, jęknął i zatoczył się w miejscu. Markiz podniósł się i czekał zdyszany, sprawdzając, czy Faylor zdradza jeszcze chęć do walki. Ale dziedzic miał dość, wywrócił oczyma i kilka sekund później padł nieprzytomny na podłogę.

Z zaciśniętymi pięściami Ethan odwrócił się na pięcie w poszukiwaniu Lily.

Skraj sukni owinał się jej koło kostek, gdy zbiegała po schodach. Rzuciła się prosto w ramiona Ethana, żadne z nich nie zauważyło czającego się obok Chaulka. Szybki jak kobra, wyciągnął ręce i owinał je mocno dokoła talii dziewczyny. Ethan z rosnącą furią patrzył, jak krzyknęła i usiłowała bez powodzenia wydostać się z uścisku ojczyma.

- Puść ją, Chaulk - zażądał. - A może chcesz skończyć jak twój przyjaciel?

Chaulk rzucił szybkie spojrzenie na leżącego na ziemi Faylora, potem przeniósł wzrok na Ethana.

- Nie zabierzesz jej. Ona jest moją przepustką do okrągłej sumki, której nie dam się tak łatwo pozbawić.

- Nic mu nie dawaj! - rzuciła Lily, wyrywając się z rąk ojczyma. - To łajdak i oprych, zasługuje co najwyżej na stryczek.

- Masz absolutną rację, kochanie - powiedział Ethan. - Ale jeśli idzie o pieniądze, zapłacę każdą sumę, by cię uwolnić. Dla mnie jesteś cenniejsza niż wszystkie rubiny i perły.

Chaulk się uśmiechnął.

- Mądry człek z tego twojego kochasia. Dobrze, ile dasz za nią?

- Nie, Ethanie. To sęp. Jeśli dasz mu pensa, wróci po funta. Ojczym potrząsnął dziewczyną.

- Zamknij się, czy postradałaś rozum? I jak, u licha, wydostałaś się z pokoju? Zamknęliśmy cię przecież na cztery spusty.

Na ustach wykwitł jej śmiały uśmieszek.

- Znalazłam szpilkę do włosów na podłodze i otworzyłam zamek. Masz się za sprytnego, ale tak naprawdę jesteś tylko tchórzliwym, głupim intrygantem.

Chaulk ściągnął usta, słysząc tę obelgę i zacisnął mocniej ręce, co sprawiło, że jęknęła z bólu.

Ethan podszedł do nich zdecydowany położyć kres tej sytuacji. W tej samej chwili Lily uniosła nogę i wymierzyła ojczymowi kopniaka, którego nie powstydziliby się muł. Chaulk wrzasnął i poluzował chwyt na tyle, że zdołała się z niego oswobodzić.

Wyprostował się w sam czas, by nadzieć się na pięść Ethana, która wylądowała prosto na jego szczęce. Podobnie jak wcześniej dziedzic, Chaulk chwiał się przez chwilę na nogach z coraz bardziej szklanym wzrokiem, zanim padł na podłogę bez świadomości.

Zaszokowana Lily patrzyła na ojczyma z ulgą i powoli docierało do niej, że został naprawdę pokonany. Odwróciła się i rzuciła w ramiona Ethana. Z uspokajającym pomrukiem chwycił ją mocno i przytulił do swej

piersi. Przywarła twarzą do jego szyi, napawając się ciepłem i siłą ukochanego.

- Ethanie, jesteś tu, uratowałeś mnie. Nie sądziłam, że przyjedziesz - powiedziała wśród łez. - Nie sądziłam, że wiesz.

- Dowiedziałem się - wyszeptał, gładząc ją po plecach. - Choć za późno, by powstrzymać Chaulka i Faylora, i z tego powodu jest mi przykro. Bardzo przykro.

- To nie ma znaczenia, teraz już nie. Pięknie się z nimi rozprawiłeś. A teraz zabierz mnie ze sobą do domu, tylko tam chcę teraz być.

- Tam jest twoje miejsce, u mego boku. Ale najpierw muszę coś zrobić.

- Co takiego?

Z bezbrzeżną czułością zbliżył usta do jej warg i wyjaśnił jej dokładnie, co ma na myśli.

Godzinę później Lily, ubrana w suknię i pelerynę, siedziała, opierając się o wysłużone skórzane poduszki powozu, którym jechali z Ethanem do Londynu. Wprawdzie wynajęty wehikuł nie mógł się równać z żadnym z powozów markiza, ale i tak była zadowolona, że dysponują tym środkiem lokomocji. Kiedy jednak jednym kołem wjechał na nierówność, na skutek czego najpierw podskoczyła do góry, a potem opadła na siedzenie, przeszło jej przez głowę, że powóz ma pewne wady. Rozcierając ręką biodro, napotkała wzrok Ethana.

- Nic ci się nie stało? - spytał z troską i jeszcze jakimś o wiele głębszym uczuciem w bursztynowych oczach.

- To tylko koleina. Drogi o tej porze roku zawsze są błotniste.

- Nie o to pytam - powiedział łagodnie głosem aksamitnym jak filiżanka czekolady o poranku.

Ten dźwięk sprawił, że zaląła ją fala ciepła.

- Pytam - ciągnął - czy nic ci się nie stało? Czy cię skrzywdzili, Lily? Czy Faylor ważył się cię tknąć?

Pokręciła głową.

- Nie, nawet się nie zbliżył, nie w taki sposób, o jakim myślisz. Oprócz kilku siniaków nie poniosłam żadnego uszczerbku.

Napięcie Ethana wyraźnie zelżało i zaraz przysunął się bliżej Lily.

- To dobrze, bo inaczej musiałbym tam wrócić, by ostatecznie wyrównać rachunki.

Uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie satysfakcji, jaką odczuła, kiedy już przebrała się w sypialni, pozbierała swe nieliczne rzeczy i zeszła z Ethanem na dół, gdzie Faylor i ojczym nadal leżeli bez zmysłów na podłodze korytarza. Kiedy wychodzili z domu, służba odprowadzała markiza spojrzeniami pełnymi szacunku.

Delikatnie pogładził kciukiem policzek Lily.

- Przysięgam, że już nigdy więcej nikt cię nie skrzywdzi. Obiecuję ci to solennie.

Zadrżała, czując, że zalewa ją fala emocji.

- Och Boże, Ethanie, tak się bałam. Myślałam, że jakoś sobie z tym poradzę, ale w miarę upływu czasu wyglądało to coraz gorzej.

- Ciii - uciszył ją, chwytając ją w ramiona i muskając ustami jej wargi. - Już po wszystkim - zapewnił. - Musisz się z całych sił postarać, by wymazać te kilka dni z pamięci. Wszystko znowu będzie dobrze, zobaczysz.

Będzie? Tyle jeszcze było między nimi spraw niewyjaśnionych, wliczając w to również jej kłamstwa. Mimo wszelkich obaw, wiedziała, że niepodobna dłużej ukrywać prawdy. Po wszystkim, co zrobił, by ją odnaleźć i uratować, była mu to winna. Ale choć już zdecydowała się wszystko wyznać, zawahała się, czując wewnętrzny dygot. Odchyliła się lekko w jego ramionach i zmusiła w końcu do otworzenia ust.

- Ethanie, chcę ci coś powiedzieć.

- Cokolwiek to jest, Lily, nie musisz...

- Muszę - przerwała mu, zdecydowana wyznać wszystko, skoro już zaczęła. - Mam ci wiele do powiedzenia, powinnam była powiedzieć ci już dawno temu. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że obawiałam się, co sobie pomyślisz, co zrobisz.

- Lily...

- Pozwól mi dokończyć.

Po chwili wahania skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

Odsunęła się jeszcze trochę od niego, po czym podjęła opowieść.

- Nie byłam z tobą zupełnie szczerą. Nazywam się... W rzeczywistości nazywam się Lily Bainbridge, nie Smythe.

- Wiem.

Zerknęła na niego spod rzęs. Tak, naturalnie, że wie, skoro dotarł do jej domu rodzinnego w Kornwalii. Ale co do reszty...

- Nie - ciągnęła. - Nie rozumiesz. Kiedy mówię, że nie nazywam się Smythe, chodzi mi o to, że nigdy się tak nie nazywałam.

Ethanie... ja ... - Wzięła głęboki oddech i rzuciła: - Nigdy nie byłam zamężna.

- Wiem - powtórzył.

Szok, który myślała, że będzie jego udziałem, niespodziewanie spadł na nią.

- Co to znaczy, że wiesz?!

- Wprawdzie dopiero niedawno poskładałem w całość twoje kłamstwa, jednak domyśliłem się prawdy.

- Ale jak?- wyjąkała.

- Otóż armia prowadzi rejestry i ma archiwa, moja droga. Żaden oficer nazwiskiem John Smythe nie walczył pod Vittorią, a tym bardziej tam nie poległ.

Przełknęła ślinę, niezdolna wydusić składowej odpowiedzi, starając się jednocześnie zrozumieć niespodziewany zwrot wypadków. Jako żywo, nigdy nie przyszło jej do głowy, że Ethan może próbować dowiedzieć się czegoś w wojsku o jej rzekomym mężu. A zawsze uważałam się za osobę bystrą i przewidującą. Widać nie za bardzo... Potem zaprzątnęła ją nowa myśl.

- I nie gniewasz się? - spytała, lustrując jego twarz, by poznać prawdziwe uczucia.

Uniósł lekko brew.

- Z początku się gniewałem. Prawdę mówiąc, wpadłem w furję, kiedy uświadomiłem sobie, że mnie okłamałaś, zwłaszcza że sama wcześniej zarzucałaś mi nieszczerłość... Ale... - dodał ze znaczącym wahaniem.

- Tak?

- Kiedy się dowiedziałem, że zniknęłaś i zrozumiałem, że mogę cię stracić, ujrzałem to wszystko w innym świetle. Przyznaję, że nie

wybaczyłem ci jeszcze całkowicie tej wymyślnej blagi oraz tego, że tak łatwo mnie nabrałaś...

- Oszukiwanie cię nigdy nie było łatwe - zaprzeczyła.

- Ale wiem, że miałaś powody, by tak postąpić, powody, które zaczynam coraz lepiej rozumieć. Wielkie nieba, czy naprawdę upozorowałaś własną śmierć? W Penzance powiadają, że wypłynęłaś w morze i utonęłaś? Ile jest w tym prawdy?

- Sporo. W rzeczywistości wszystko, z wyjątkiem faktu samej śmierci. Kiedy Chaulk zażądał, bym wyszła za Faylora, odmówiłam, ale moje protesty nie robiły na nim wrażenia. Wiedziałałam, że nie zniosę takiego poniżenia, takiej niewyobrażalnej niedoli i wolałam zaryzykować życie, niż na zawsze związać się z takim brutalem i prostakiem jak on. Więc wypłynęłam w morze podczas sztormu, pozwalając wszystkim wierzyć, że zginęłam.

- To był bardzo niebezpieczny krok, który naprawdę mogłaś przepłacić życiem. Jak udało ci się przeżyć?

Wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu wszystko - jak uciekła do Londynu i spotkała go po drodze, jak w mieście zgłosiła się po spadek, przedstawiając się jako wdowa. Nie chcąc już żadnych niedomówień i sekretów między nimi, złożyła szczegółową relację, niczego nie tając.

Kiedy skończyła, opadła na oparcie.

- Nie cofnęłaś się przed niczym, posunęłaś się do takich skrajności, by nie musieć nigdy wychodzić za mąż? - zauważył zamyślony. - By pozostać wolną i niezależną od mężczyzn?

Wygładziła dłonią fałdy sukni.

- Tak, taki miałam zamiar. Milczał przez długą chwilę.

- I twoje zdanie w tej kwestii nie uległo zmianie?

Ongiś patrzyła na małżeństwo jak na pułapkę, koszmarne więzienie, do którego podstępem zwabiano kobiety. Ale dni spędzone z Ethanem pokazały, że się myliła. Teraz, pomimo wcześniejszych uraz i poczucia zdrady, wiedziała, że tylko marzy, by móc z nim dzielić życie. Jeśli tylko Ethan poprosiłby ją o rękę, wiedziała, że usłyszałby w odpowiedzi zdecydowane „tak”.

Ale nie poprosił jej, uświadomiła sobie z żalem, myśląc o jego narzeczonej czekającej w Londynie. Ale przecież była twarda, czyż nie? Jeśli naprawdę kocha Ethana - a kocha - powinna o niego walczyć.

- Nie - powiedziała na głos, przyciskając się do jego piersi. - Teraz myślę inaczej. Wiem, że ta dziewczyna... lady Amelia... stoi między nami, ale nie chcę, by stała. Kocham cię, Ethanie i cokolwiek postanowisz, cokolwiek mi powiesz, tym razem ci uwierzę. Wszystko, czego chcę, to byśmy byli razem. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach.

- Chcesz tego? A jeśli powiem, że ja chcę, abyś znów była moją kochanką?

Poczuła rozczarowanie, ale szybko stłumiła to doznanie.

- To znów nią będę.

Wsunął palec pod podbródek Lily i unióś jej głowę, tak by spojrzała mu w oczy.

- To bardzo wspaniałomyślna decyzja z twojej strony, ale zupełnie niepotrzebna.

- Słucham?

- Nie pytałem o stosunek do małżeństwa, by zrobić z ciebie kochankę. Pytałem po to, by cię uczynić moją żoną. Wyjdź za mnie, Lily. I tym razem nie przyjmę innej odpowiedzi niż twierdząca.

- Ale co z lady Amelią?

- Teraz już panią Hocksby, jak mi się wydaje - sprostował. -Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy opuściłaś Londyn, Amelia uciekła do Gretna Green z pewnym młodzieńcem, którego kocha. Sądzę, że są już mężem i żoną, co znaczy, że teraz mogę swobodnie dysponować swoim słowem. Zatem powiedz mi, że zostaniesz moją żoną.

Przez moment nie mogła oddychać, poczuła wybuch radości głośny i promienisty niczym bengalskie ognie.

- Och tak, tak, mój kochany.

Z uśmiechem na ustach rzuciła mu się na szyję i przyciągnęła jego głowę do swojej. Zamruczała gardłowo, gdy odpowiedział na jej pieszczotę, ale nie oddała inicjatywy, penetrując jego usta w zapamiętaniu, które ją samą rozpaliło od stóp do głowy. Tuląc się do niego, mruknęła z zadowolenia, kiedy podniósł ją z siedzenia i umieścił sobie na kolanach w taki sposób, by oboje mogli czuć większą bliskość.

W miarę jak się całowali, straciła poczucie czasu i przestrzeni. Wsunęła palce we włosy markiza, podczas gdy on rozpalał jej zmysły do czerwoności serią długich, gorących pocałunków przeplatanych lekkimi ukąszeniami i pieszczotą języka. Kiedy oderwali się od siebie, by nabrać powietrza, miała obrzmiałe wargi i ciało obolałe z pożądania.

- Na Boga! - wykrzyknął. - Nie wiem, jak wytrzymałem bez tego tyle czasu.

- Też się za tobą stęskniłam. - Uśmiechnęła się.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, bo nie ręczę za siebie i mogę cię posiąść tu i teraz.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz? - zachęciła, muskając palcami jego policzki i skronie.

- Głównie z uwagi na stan sprężyn powozu. Boję się, że jeśli spróbujemy czegoś więcej, możemy oboje zostać kalekami.

Zaśmiała się na tę myśl. Huśtał ją na swych udach.

- Ale to nie oznacza, że zamierzam czekać długo.

- W ogóle nie musisz czekać. Przecież już nieraz byliśmy ze sobą.

- Zgoda, ale choć marzę, by znaleźć się znów w twoim łóżu, a uwierz, że tak jest, pomyślałem o ceremonii ślubnej z zapowiedziami i wszystkimi innymi tradycyjnymi elementami. Jestem bardzo dumny, że zostaniesz moją żoną, i chcę, by wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy będziemy brać ślub, nikt nie będzie wątpił, że czynimy to wyłącznie z miłości.

Uśmiech wykwitł na jej drżących ustach, fala ciepła zalała ją niczym blask letniego słońca.

- Co byś powiedziała na ślub w Andarley? - ciągnął. - Rodzinna kaplica, wprowadzie mała i pomieści co najwyżej dwudziestu gości, ale za to bardzo ładna. Myślę, że przypadłaby ci do gustu.

- Uważam, że to wspaniały pomysł. Choć poślubiłabym cię wszędzie, nawet w kurnej chacie czy w szałasie.

W jego oczach pojawił się wyraz zadowolenia, a zaraz po nim błysnęła iskierka rozbawienia.

- Kurna chata? Szalas? Cóż, wolałbym, żeby sama ceremonia odbyła się w jakimś bardziej reprezentacyjnym miejscu, ale możemy poszukać szałas na miesiąc miodowy, jeśli upierasz się przy takiej kwaterze.

Roześmiała się.

- Gdzie tylko chcesz, milordzie, bylebyśmy byli razem - zapewniła. -

Kocham cię, Ethanie.

Twarz Vessey'a spoważniała. Pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

- Ja też cię kocham. Teraz i zawsze.

RS

Och , wyglądasz przepięknie! - oznajmiła Davina pięć tygodni później, cofając się kilka kroków, by ocenić, jak prezentuje się strój ślubny Lily po ostatnich poprawkach. Sama Lily musiała przyznać, że w sukni ze śnieżnobiałego aksamitu z rękawami do łokci i dekoltem karo naprawdę czuje się jak prawdziwa księżniczka. Zaledwie kilka minut wcześniej pokojówka skończyła układać jej włosy w modną burzę loków i przypięła długi do kostek welon z misternej brukselskiej koronki. Serce Lily waliło jak oszalałe, w palcach czuła mrowienie. Nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana a jednocześnie pełna euforii. Zastanawiała się, czy jej białe, naszywane perełkami pantofelki naprawdę dotykają podłogi.

- Davina ma rację - zgodziła się Julianna, dołączając do przyjaciółek w jednym z pokoiów gościnnych w Andarley. - Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widziała równie olśniewającą pannę młodą.

Lily popatrzyła na przyjaciółki, mając ogromną ochotę uściskać je obie, ale zdawała sobie sprawę, że w ten sposób może zniweczyć dwugodzinne wysiłki wszystkich pracujących nad jej wyglądem.

- Jeśli wyglądam tak dobrze, jak obie twierdzicie - odrzekła - to tylko dlatego, że jestem szczęśliwa. Dziękuję, że dziś jesteście ze mną i zgodziłyście się zostać starościami na weselu.

- Za nic w świecie nie opuściłabym twojego ślubu - powiedziała Julianna. - Jak mogłabym się nie pojawić, by patrzeć, jak pobiera się dwoje moich najlepszych przyjaciół?

Choć dopiero co zakończył się okres połogu, Julianna oświadczyła stanowczo, że czuje się na siłach, by odbyć podróż z West Riding. Oczywiście towarzyszyli jej Rafe, Cam i malutka Stephanie.

- Ja też w żadnym razie nie odmówiłabym sobie tej przyjemności - zapewniła Davina. - I muszę powiedzieć, że ucieszyłam się, widząc tu markizę wdowę. Zawsze to lepiej, gdy w rodzinie panuje zgoda.

- Owszem - odrzekła Lily, powstrzymując się od rozwijania przykrego tematu. - Lepiej.

Nadal nie wiedziała, co dokładnie Ethan powiedział matce, by skłonić ją do zmiany pierwotnej decyzji i wzięcia udziału w ceremonii. Jednak, oddając jej sprawiedliwość, Lily musiała przyznać, że przyszła teściowa pojawiła się, by powitać ją w rodzinie. Lily miała nadzieję, że z czasem starsza pani zapomni o goryczy spowodowanej fiaskiem matrymonialnych planów dotyczących Ethana. Może nigdy nie będą sobie tak bliskie jak matka i córka, ale przecież mogą zostać przyjaciółkami.

- Och, spójrzcie na zegar - zauważyła Davina. - Już prawie dziesiąta. Pora iść do kaplicy. Pomożemy ci z peleryną.

Z ogromną ostrożnością Julianna i Davina opatuliły Lily białą, obszywaną futrem wełnianą peleryną, absolutnie nieodzowną w chłodny dzień Wigilii świąt Bożego Narodzenia. Poranne słońce świeciło mocno, sprawiając, że pokrywający ziemię śnieg iskrzył się i migotał diamentowym blaskiem, jakby sama natura cieszyła się szczęściem Lily i Ethana i postanowiła świętować razem z nimi.

- O, teraz jesteś gotowa - orzekła Julianna. - Może powinniśmy zostawić cię samą, abyś mogła skorzystać z ostatniej chwili spokoju? Wrócimy z Daviną za kilka minut i wtedy ruszymy do kaplicy.

Z uśmiechem Lily pomachała im ręką, ale gdy tylko wyszły, okazało się, że nie jest w stanie odprężyć się na tyle, by usiąść - choć, jak wiedziała, nie z lęku, a pełnego niecierpliwości oczekiwania. Od kiedy zgodziła się zostać żoną Ethana, ani przez chwilę nie wątpiła, nie miała cienia wahania. Wbrew wcześniejszym obawom, teraz była pewna, że jeszcze nigdy w życiu żaden krok nie wydał jej się równie słuszny, jak decyzja o poślubieniu markiza. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, wszystko dobrze się ułoży, bo są i będą razem.

Kiedy usłyszała, że za jej plecami otwierają się drzwi, odwróciła się, sądząc, że to Julianna albo Davina chce jej pomóc zejść do karety, którą miały udać się do pobliskiej kaplicy. Ale w progu stał Ethan.

Puls jej przyspieszył na jego widok. Zastanawiała się, jak to możliwe, by wyglądał jeszcze piękniej, a jednak tego dokonał. Miał na sobie tradycyjny strój ślubny: niebieski frak podkreślał szerokie ramiona, muskularną pierś osłaniała biała koszula i szara kamizelka, obcisłe, jasnoszare pantalony opinały uda. Pod szyją pysznił się perfekcyjnie zawiązany biały fular z wykrochmalonego lnu, czarne pończochy eksponowały muskularne łydki markiza, zaś połyskujące czernią trzewiki zdobiły jego smukłe, eleganckie stopy.

- Och, wyglądasz wspaniale - westchnęła na głos. Z uśmiechem zamknął za sobą drzwi.

- Chciałem właśnie powiedzieć to samo o tobie. Wielkie nieba, kochanie, zaparło mi dech w piersiach na twój widok. Taka jesteś śliczna, a nie widziałem jeszcze sukni ukrytej pod peleryną.

- I nie zobaczysz, dopóki nie zacznie się ceremonia - zbeształa go z udawaną przyganą. - W ogóle nie powinno cię tu być. Julianna i Davina wpadłyby w szal, gdyby wiedziały, żeś się tu zakradł.

- To będzie nasz mały sekret - powiedział, puszczając do niej oko i wchodząc głębiej do komnaty. - Mam coś dla ciebie i chciałem dać ci to zaraz.

- Mogłeś przez kogoś przysłać. Pokręcił głową i stanął przed nią.

- Nie to. Muszę dać ci osobiście. Byłbym to zrobił wczoraj wieczorem, ale posłaniec dopiero przed chwilą doręczył przesyłkę z Londynu. - Sięgnął do kieszeni fraka i wyciągnął długie obite czarnym aksamitem pudełko na biżuterię.

- O, nie musiałeś sprawiać mi kolejnego ślubnego podarunku - zapewniła. - Już przecież podarowałaś mi ten cudny diamentowy naszyjnik i kolczyki. - Rozwiązała wstążkę pod szyją i rozchyliła pelerynę, ukazując połyskujące klejnoty. - Widzisz, mam je na sobie.

- To są rodowe klejnoty Andartonów, teraz i twoje jako mojej małżonki. I choć niewątpliwie pięknie na tobie wyglądają, teraz przynoszę ci specjalny podarunek, przygotowany wyłącznie z myślą o tobie. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Podoba mi się wszystko, co mi dajesz - zapewniła.

Ale chwilę później, kiedy Ethan otworzył pudełko i pokazał jej znajdującą się w środku kolbę, głos uwiązł jej w gardle. Prosty, a jednocześnie olśniewający naszyjnik wykonano z okrągłych, doskonale dobranych i oprawionych w złoto diamentów. W środku znajdował się duży owalny klejnot w odcieniu najczystszej, najbardziej lazurowego błękitu, jaki widziała w życiu.

- Wiem, że błękitny to twój ulubiony kolor - wyszeptał. - Kazałem więc ludziom z Rundell and Bridge znaleźć szafir, który możliwie jak najbardziej przypominałby niebo w pogodny, słoneczny dzień. Znaleźli ten. Co o tym sądzisz?

Wyciągnęła drżącą dłoń i potarła koniuszkiem palca kamień, przekonując się, że ma gładką i zaskakująco ciepłą powierzchnię.

- Zapiera dech w piersiach.

- Chciałem ci go dać - ciągnął - byś zawsze, gdziekolwiek będziesz, mogła zabrać ze sobą kawałeczek nieba.

- Och, Ethanie! - Zapominając całkowicie o tym, że jest w ślubnej toalecie, zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła usta do jego ust.

Z uśmiechem oddał jej pocałunek.

- Więc ci się podoba?

- Niebiańsko - westchnęła. - Ale ani w połowie nie tak jak ty.

Kocham cię.

- A ja cię uwielbiam. Obiecuję, że uczynię cię szczęśliwą.

- Przyrzekam to samo.

- Poczekaj - powiedział i zrobił krok do tyłu. - Włożę ci naszyjnik.

Odpiął kolbę, którą miała na szyi i odłożył na toaletkę. Wyjął podarunek z aksamitnego puzderka, ozdobił naszyjnikiem jej dekolt i zamknął zapięcie.

- Proszę - oświadczył. - Cudownie.

Klejnot migotał szafirowym blaskiem, naprawdę przypominając kawałek słonecznego nieba.

Podeszła bliżej i pocałowała Ethana, wkładając w tę pieśczętę całą swą miłość.

- Nie mogę się doczekać dzisiejszej nocy - wymruczał z ustami na jej wargach.

- Mimo że zakradłeś się wczoraj do mojej sypialni? To było bardzo niegrzeczne, wiesz o tym. A gdyby ktoś nas przyłapał?

Uśmiechnął się szeroko.

- Ale nie przyłapał. Po tygodniach spędzonych osobno nie mogłem zasnąć, wiedząc, że jesteś na drugim końcu korytarza.

- Przestałam brać te zioła - wyznała. - Być może już jestem przy nadziei.

Objął ją mocno ramionami.

- Jeśli jeszcze nie jesteś brzemienna, z wielką przyjemnością postaram się, by szybko się to zmieniło.

Roześmiała się, ale uciszył ją kolejnym pocałunkiem. Przymknęła oczy i dała się ponieść błogiej fali rozkoszy. Nagle ciszę przerwał ostry okrzyk.

- Aaa! Co wy wyprawiacie? - spytała zgorziona Davina, wpadając do komnaty. - Nie możecie całować się przed ceremonią!

Ethan uniósł głowę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak widzisz, już to robimy.

- Chodzi mi o to, że nie wolno wam być teraz razem - zachnęła się Davina. - Sio, milordzie! A kysz! Sio.

Ethan wyprostował się i uniósł brew, nigdy dotąd nikt nie przeganiał go jak kury.

Julianna poparła przyjaciółkę.

- Tak, Ethanie, zostaw Lily i zabieraj się stąd. Rafe i Tony czekają na ciebie na dole, co chwila spoglądają na zegarki i sarkają, że się spóźnicie.

To nieładnie z twojej strony zakradać się tu, by zobaczyć Lily, od dawna powinienes być w kaplicy.

Lily wypuściła Ethana z objęć i odwróciła się, wskazując swój nowy naszyjnik.

- Przyszedł, żeby mi dać ten klejnot.

Kiedy obie kobiety podeszły, żeby się przyjrzeć z bliska, krzyknęły z zachwytem.

- Jest bajeczny!

- Wprost precudny!

- Wiem - stwierdziła Lily z uśmiechem. - To mój własny kawałeczek nieba.

Davina pierwsza oprzytomniała.

- Naszyjnik jest bardzo piękny, ale my jesteśmy spóźnieni. Co pan tu jeszcze robi, milordzie? Nie wie pan, że oglądanie panny młodej przed ślubem przynosi nieszczęście?

Ethan zawahał się przez chwilę, potem spojrzał Lily w oczy.

- Nie wierzę w takie przesady. Poza tym z Lily u boku mam tyle szczęścia i miłości, że nie obawiam się pecha.

Podziękowania

Kieruję wyrazy szczerzej wdzięczności do całego zespołu wydawnictwa Ballantine — doceniam wszystkie wasze wysiłki.

Szczególne wyrazy uznania dla moich przyjaciół z DC AA - dziękuję wam za życzliwości wsparcie.

I uściski dla Lannette i Gusa Moutos, którzy znali mnie przed laty, kiedy to, że zostanę pisarką, pozostawało w sferze marzeń.

RS